Córka rzeki

Hong Ying

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Pasjonująca autobiografia łączy w sobie brutalny realizm z ciepłem i poezją.

Ujawnia prawdziwe oblicze chińskiego socjalistycznego dobrobytu i pokazuje, że człowiek o rozbudzonej świadomości może odmienić własny los.

- Hong Ying
  -
  -
  - I
    - 1
    - 2
    - 3
    - 4
    - 5
  - II
    - 1
    - 2
    - 3
    - 4
  - III
    - 1
    - 2
    - 3
    - 4
    - 5
  - IV
    - 1
    - 2
    - 3
    - 4
    - 5
    - 6
  - V
    - 1
    - 2
    - 3
    - 4
  - VI
    - 1
    - 2

- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8

- VII
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4
- VIII
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4
  - 5
- IX
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4
  - 5
- X
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4
- XI
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4
  - 5
- XII
  - 1
  - 2
  - 4
  - 5
- XIII
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4

- 5
- XIV
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4
  - 5
- XV
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4
  - 5
  - 6
- XVI
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4
- XVII
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4
- XVIII
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4
- XIX
  - 1
  - 2
  - 3
  - 4
- Podziękowania

Córka rzeki

Hong Ying

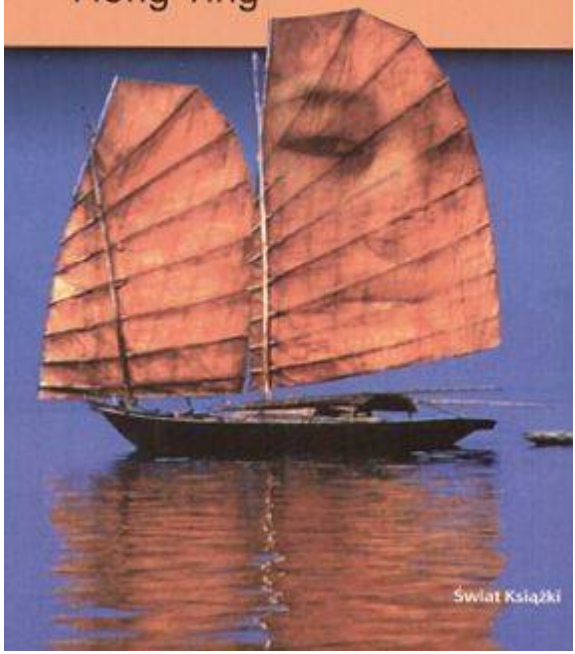

Świat Książki

Hong Ying

Córka rzeki

przełożyła Anna Zielińska

Mojej matce, Shuhui Tang

I

1

Nigdy nie rozmawiałam o moich urodzinach ani z rodziną, ani z najbliższymi przyjaciółmi. To z początku celowe przemilczanie sprawiło, że w końcu naprawdę o tym dniu zapomniałam. Przez pierwsze osiemnaście lat nikt o nim nie pamiętał, a potem ja sama po prostu omijałam ten temat. Ale jednego jestem pewna: to wszystko wydarzyło się w osiemnastym roku mojego życia.

Krzywy, dziurawy chodnik przed szkolną bramą. Kiedy przechodziłam przez ulicę, dreszcz przebiegł mi po kręgosłupie; wyraźnie czułam, że znowu ktoś mnie obserwuje.

Nie mając odwagi się obejrzeć, zerknęłam w lewo, potem w prawo, ale nie zauważyłam niczego niezwykłego. Siłą woli zmusiłam się, aby iść dalej, i dopiero gdy znalazłam się przy starej kobiecie, która sprzedawała lodowe lizaki, rzuciłam szybkie spojrzenie za siebie, dokładnie w chwili, gdy ciężarówka z okresu wojny ludowo-wyzwoleńczej przemknęła obok z wizgiem, rozchlapując błoto. Kilku wyrostków kupujących lizaki zatupało ze złości, miotając przekleństwa pod adresem rozpędzonej ciężarówki, bo bryzgi błota wylądowały na ich krótkich spodenkach i gołych nogach. Stara kobieta przeciągnęła pudło z lodowymi lizakami bliżej muru. Kto, do diabła, tak jeździ, burknęła. Dla takich niegodziwców nie powinno być miejsca w Czteromilowym Krematorium.

Zamieszanie minęło, zapadła cisza, a ja stałam na środku zabłoconego, dziurawego chodnika, zastanawiając się, czy przypadkiem nie ponosi mnie wyobraźnia, bo tak dużo dzisiaj rozmawiałam.

W pewnym okresie mojego dzieciństwa te przebiegające po kręgosłupie dreszcze byty częstym objawem i zawsze wywoływała je para wpatrzonych we mnie oczu. Kilkakrotnie zdarzyło mi się dostrzec człowieka, do którego należały, ale zawsze widziałam go tylko przez chwilę. Mężczyzna o nieokreślonych rysach i potarganych włosach nigdy nie zbliżył się na tyle, bym mogła mu się przyjrzeć. Pojawiał się przy szkolnym boisku przed lekcjami albo po lekcjach, ale nigdy za mną nie szedł, jakby wiedział, gdzie w każdej chwili może mnie znaleźć. Musiał jedynie czekać.

Krążyło wiele przerażających historii o gwałtach, ale ja nigdy się nie obawiałam, że właśnie to ma na myśli.

Ani razu nie wspomniałam o nim ojcu ani matce. Bo niby co miałam powiedzieć? Jeszcze by pomyśleli, że posunęłam się do czegoś niewłaściwego, i urządziliby mi piekło. Więc przez lata nosiłam się z tą tajemnicą, aż w końcu opuścił mnie lęk i wtedy już nie było tajemnicy. Być może to normalne, że jest się oglądanym, i prędzej czy

później każdemu się to przytrafia, więc nie należy tego traktować jak czegoś strasznego lub odrażającego. Przecież trudno przejść przez życie, nie będąc narażonym na kłopotliwe spojrzenia, zatem bez trudu mogłam udawać, że nic sobie z nich nie robię, zwłaszcza że wtedy niewielu ludzi miało ochotę spojrzeć w moją stronę.

Za każdym razem, kiedy usiłowałam podtrzymać tamto spojrzenie, ono jakimś sposobem umykało, więc aby sobie udowodnić, że nie ponosi mnie wyobraźnia, poruszałam się przyczajona, jakbym tropiła jaskrawozieloną ważkę. Jednak czasami, kiedy człowiek się wysila, żeby zrozumieć coś niejasnego, sukces jedynie sprowadza nieszczęście.

Ale starałam się o tym nie myśleć, bo tamtego roku cały mój świat stanął na głowie. Tyle rzeczy mi się przydarzyło. Czułam się, jakbym była złożona z samych supłów, podobnie jak ten porastający mury zielony mech, który przypominał splątane kędziory diabła.

2

Mój dom stał na południowym brzegu rzeki Jangcy.

Na tym brzegu poprzecinane parowami wzgórza schodzą aż do rzeki. Gdyby nastąpiła powódź tysiąclecia i całe miasto Czungcing znalazłoby się pod wodą, nasze wzgórza trwałyby uparcie – ostatnia niezalana wysepka. Od wczesnego dzieciństwa ta myśl była dla mnie dziwnie krzepiąca.

Jeżeli z przeciwległego brzegu przypływało się promem z doku przy Niebiańskich Wrotach, najbliżej do mojego domu było z przystani przy alei Strumienia Kotów lub Kamyka z Procy. W obu wypadkach należało wspiąć się na nabrzeże i przez dwadzieścia minut iść pooraną koleinami ulicą do połowy wysokości wzgórza, gdzie znajdował się nasz dom.

Stojąc na krawędzi wzgórza przed domem, widziałam miejsce, w którym rzeki Jangcy i Cialing łączą się ze sobą u Niebiańskich Wrót, bramy do naszego miasta. Sercem Czungcing jest półwysep ograniczony tymi rzekami. Zbieranina budynków na okolicznych wzgórzach przypomina bezładnie porozrzucane dziecięce klocki, Pontonowe przystanie znaczą brzegi obu rzek. Cumują przy nich parowe statki, a kolejki linowe, sypiąc rdzą, suną powoli w górę i w dół pochyłości. O świcie nad pomarszczoną jak rybie łuski wodą wiszą ciemne chmury, o zmierzchu, kiedy promienie słońca padają ukośnie na rzekę, zanim znikną za wzgórzami na północy, resztki słonecznego światła z trudem przedzierają się przez gęstą mgłę. Wtedy zapalają się lampy na wzgórzach i odbijając w wodzie, rozpraszają mrok. A kiedy ulewne deszcze zasnują rzeki, słychać syreny statków, które zawodzą na podobieństwo zrozpaczonych wdów; to miasto o zmiennej scenerii, uwięzione między dwiema wartko płynącymi rzekami, jest zawsze smutne i tajemnicze.

Na wzgórzach Południowego Brzegu stoi mnóstwo szop skleconych z papy lub płyt azbestowych, o dachach z desek. Chwiejne, poczerniałe od deszczu i wiatru, sprawiają ponure wrażenie. Jeżeli zboczy się z wąskich, krętych ścieżek na ciemne, niekształtne podwórka, znalezienie drogi powrotnej graniczy z cudem; mieszkają tu miliony niewykwalifikowanych robotników. Meandry ścieżek na Południowym Brzegu prawie całkowicie pozbawione są rynsztoków i studzienek odpływowych. Nagromadzone nieczystości ściekają do przydrożnych rowów i spływają po zboczach wzgórz. Ziemia zawsze jest usiana odpadkami, które albo spłyną do Jangcy podczas najbliższej ulewy, albo zmienią się w gnijące błoto pod palącymi promieniami słońca.

Na górach śmieci świeże warstwy pokrywają swe cuchnące poprzedniczki, tworząc zadziwiającą kombinację zapachów. Podczas dziesięciominutowego spaceru którąkolwiek ścieżką Południowego Brzegu zmysł węchu atakują setki różnych woni. Zdarzało mi się chodzić po zaśmieconych ulicach wielu miast, ale nigdzie nie mieszało się ze sobą tyle rodzajów fetoru. Czasami zastanawiam się, dlaczego mieszkańców Południowego Brzegu, którzy żyją w takim smrodzie i poruszają się wśród nieczystości, natura pokarała nosami.

Ludzie powiadają, że japońskie niewybuchy z drugiej wojny światowej leżą zasypane w parowach na wzgórzach i że wojska Kuomintangu, opuszczając miasto pod koniec 1949 roku, zakopały tysiące ton materiałów wybuchowych. Jak głosiły oficjalne komunikaty, pozostały tu również setki tysięcy tajnych agentów – czyli każdy dorosły w mieście był potencjalnym szpiegiem i nawet po wielkich czystkach oraz masowych egzekucjach, dokonywanych przez komunistów na początku lat pięćdziesiątych, liczni wrogowie mogli się przecisnąć przez oka sieci. Również ludzie, którzy po wyzwoleniu zapisali się do partii, mogą być spiskowcami i pod osłoną nocy wykonywać swą brudną robotę: mordować, podpalać, gwałcić i nie wiadomo co jeszcze. Nie znajdzie się ich pośród wieżowców na szerokich ulicach przeciwległego brzegu, bo wolą działać potajemnie w odwiecznym zaduchu Południowego Brzegu. Tereny takie jak te, tak obce socjalistycznemu wizerunkowi, są idealnym miejscem dla kreciej roboty anty socjalistycznych elementów.

Jeżeli wyjdzie się poza bramę siedliska i wytęży słuch, przywierając ciałem do wilgotnego muru, można w ciemności pochwycić echo głosów byłych nocnych stróżów. W drzwiach zasnutych pajęczyną może czasem tajemniczo mignąć staromodny but z haftowanego czerwonego aksamitu, a mężczyzna w filcowym kapeluszu nasuniętym na oczy, znikający za rogiem, może mieć w nogawce spodni ukryty nóż. W ciemne, deszczowe dni każdy człowiek idący wąskim zboczem, po którym spływa brudna woda, wygląda jak tajny agent. Gdyby przekopać pierwszy lepszy skrawek ziemi na głębokość kilkudziesięciu centymetrów, znalazłoby się niewypał, ukryte materiały wybuchowe, tajną książkę kodów pełną różnych dziwacznych symboli albo „rejestr mienia” skonfiskowanego dawnym posiadaczom, spisany przez nich samych pędzelkiem.

Przeciwległy brzeg rzeki różni się od naszego jak dzień od nocy. Centrum miasta równie dobrze mogłoby się znajdować na innej planecie; gdziekolwiek spojrzeć, widać czerwone flagi i wszędzie słychać podniosłe pieśni. Życie ludzi „staje się lepsze z każdym dniem”, a młodzież czyta rewolucyjne dzieła, przygotowując się do życia w szeregach rewolucyjnej kadry. Natomiast Południowy Brzeg jest miejskim wysypiskiem śmieci, beznadziejnym slumsem; kurtyna

mgły nad rzeką kryje przed ludzkim wzrokiem to zakazane miejsce, ten gnijący wyrostek miasta.

Gdy po zejściu z promu chybotliwym pomostem i dwudziestominutowym marszu po kocich łbach pokrytych warstwą śmieci spojrzy się w górę, przed oczyma wyrastają rzędy zapadających się domów na palach i glinianych chat – cały przyprawiający o zawrót głowy labirynt nieopisanych ruder. Ja sama potrafiłam wyłowić w tej plątaninie tylko jeden dom z szarej cegły, z czarnymi dachówkami, stojący na wysuniętym nad rzekę, poszarpanym występie skalnym w połowie wysokości wzgórza. Miejscowi nazywali to miejsce przy jednej z bocznych uliczek odchodzących od alei Strumienia Kotów siedliskiem Ósmy Dziób. Aleja Strumienia Kotów była stromą, kamienistą drogą. Rosły wzdłuż niej drzewa chińskiej jagody, rajskie jabłonie oraz krzaki, które czasem wydzielały smród, a czasem znów słodko pachniały. Stało tam też trochę ruder, które dawno powinny były się rozlecieć. Ściany i wejście do siedliska Ósmy Dziób były czarne jak smoła, jedynie tu i ówdzie pojedyncze czerwone i zielone cegły dodawały odrobinę koloru. Znalazły się tam dzięki uderzeniu pioruna, kiedy połowa cegieł posypała się na ziemię. Podczas naprawy ścian okazało się, że nie wystarczy pokruszonych odpadów, więc te czerwone cegły ściągnięto z jakiegoś innego miejsca.

Ale to nie był mój dom. Żeby znaleźć mój dom, trzeba było spojrzeć jeszcze wyżej, ponad rząd identycznych szarych dachów. Mieszkałam w Siedlisku Numer Sześć, wieńczącym dwa stosunkowo porządne, równolegle usytuowane siedliska, w miejscu, gdzie mech i pleśń pokrywały mury ł dachy. Nasze siedlisko miało w środku małe wewnętrzne podwórko, po bokach dwie wspólne kuchnie, jedną dużą, drugą małą, i cztery poddasza. Ciasny korytarzyk łączył większą kuchnię z podwórkiem. Ciemna, wilgotna klatka schodowa prowadziła do trzech pomieszczeń i dwóch tylnych wyjść.

Wiem, że z opisu siedliska można wnioskować, iż jego dawny właściciel był zamożnym człowiekiem. Szczerze mówiąc, nie potrafię nic powiedzieć o rodzinie, która tutaj poprzednio mieszkała. Jednakże właściciele domu mieli dość rozumu, żeby zniknąć i zatrzeć za sobą wszelkie ślady, zanim w zimie 1949 roku przyszli komuniści, skonfiskowali meble i warsztaty tkackie miejscowego wyrobu. Rodziny marynarzy, gnieżdżące się w drewnianych budach na Południowym Brzegu, szybko zasiedliły dom; jedne z oficjalnym przydziałem, inne bez. Takie nazwy, jak „sień”, „korytarz”, „podwórko”, „boczny pokój” i „poddasze”, zachowano wyłącznie dla wygody. Z sieni wchodziło się do sześciu małych pokoi należących do czterech rodzin, więc wszystkich pomieszczeń używano wspólnie.

Do siedliska, które kiedyś zajmowała jedna rodzina, wprowadziło się teraz trzynaście rodzin; każdej z nich, zwykle trzypokoleniowej,

przysługiwał jeden pokój, najwyżej dwa. Biorąc pod uwagę krewnych i znajomych z dawnego miejsca zamieszkania, którzy regularnie przybywali z wizytą, nigdy nie udało mi się policzyć, ilu ludzi tutaj mieszka – gubiłam się w rachunkach po setce.

3

Nasza rodzina zajmowała pokój o powierzchni mniej więcej dziesięciu metrów kwadratowych, z jednym małym oknem wychodzącym na południe. Miało drewnianą ramę i sześć pionowych prętów, jak okno w więziennej celi. Naturalnie żaden włamywacz nigdy by nie zaszczycił odwiedzinami takiej rodziny jak moja. Okno zamykaliśmy wyłącznie podczas deszczu oraz w chłodne zimowe noce. W dodatku gliniany mur sąsiedniego siedliska, wyrastający w odległości zaledwie trzydziestu centymetrów, stanowił wysoką i solidną barierę. Ponieważ do wnętrza nie wpadało ani trochę światła, lampy musiały się palić nawet w ciągu dnia. Kiedy wytknęłam głowę przez okno i spojrzałam ponad sąsiedni mur, widziałam rozwidlone gałęzie rajskiej jabłoni. Strumyczek, który spływał z placu zabaw na alei Szkoły Średniej, na uskoku przed drzewem zmieniał się w kaskadę i wpadał prosto do rzeki. W nocnej ciszy szmer wody przeradzał się w huk i bardziej przypominał zawziętą kłótnię czy śmiertelną walkę niż pomiaukiwanie bezdomnego kota.

Na szczęście należało do nas również niskie pomieszczenie na poddaszu, o powierzchni znacznie mniejszej niż dziesięć metrów kwadratowych, ze spadzistym sufitem. W świetliku na południowej stronie dachu widać było szare niebo. Jeżeli wstając w nocy, nie zachowałam odpowiedniej ostrożności, uderzałam głową o sufit, aż dzwoniły dachówki.

Moi rodzice, trzy siostry, dwaj bracia i ja gnieździliśmy się w tych dwóch pokoikach. Nasza kwatera była mała, a mieszkańców wielu, więc cała szóstka dzieci musiała się pomieścić na dwóch pryczach na poddaszu, zbitych przez ojca. Ojciec z matką spali na dole na macie z włókna orzecha kokosowego. Resztę miejsca w pokoju zajmowało biurko z pięcioma szufladami, stare wiklinowe krzesło, stół i kilka stołków.

Kiedy my, dzieciaki, trochę podrośliśmy, musieliśmy wieczorami demontować stół w pokoju rodziców, aby złożyć łóżko dla braci. Za dnia było ono rozbierane, a stół wracał na swoje miejsce i mogliśmy przy nim jeść. Kiedy nadchodził czas kąpieli, demontowaliśmy zarówno stół, jak i stołki. Wiem, że to brzmi skomplikowanie, ale kiedy nabierze się wprawy, wszystko staje się proste.

W roku 1980 minęło dwadzieścia dziewięć lat, odkąd moja rodzina zamieszkała w tej kwaterze. Pierwszego lutego 1951 roku rodzice z dwiema starszymi córkami przeprowadzili się tutaj z terenu leżącego na północ od rzeki. W latach pięćdziesiątych Mao Tse-tung nakazywał ludziom mieć coraz więcej dzieci. Im więcej ludzi, tym państwo silniejsze i łatwiej o sukcesy, a jeśli wojna atomowa zmiecie

połowę ludności kuli ziemskiej, Chińczycy zdominują świat. I tak w ciągu kilkunastu lat liczba ludności Chin wzrosła o sto pięćdziesiąt procent, w latach osiemdziesiątych osiągając miliard.

Po moich narodzinach nasza rodzina liczyła osiem osób. Z początku wcale nie wydawało się tłoczno, bo bracia i siostry, których partia wysłała na wieś, rzadko przyjeżdżali do domu. Kiedy jednak rewolucja kulturalna dobiegła końca, młodzi mieszkańcy miast zaczęli do nich wracać i moi bracia oraz siostry na dobre zjechali do domu. Przed 1980 rokiem nasza mała, dwupokojowa kwatera, bardziej zatłoczona niż chlewik, pękała w szwach. Ledwo w niej było można pomieścić się na stojąco. Nie muszę mówić, że latem tamtego roku, kiedy wszyscy członkowie rodziny deptali sobie wzajemnie po nogach, łatwo dochodziło do spięć.

Matka powiedziała, że przyszedł list od Dużej Siostry; przyjeżdża do domu za parę dni.

Duża Siostra znalazła się w pierwszej grupie młodzieży wysłanej na wieś, co oznaczało, że najtrudniej jej było powrócić do miasta. W tym czasie rozwiodła się dwukrotnie i dorobiła trójki dzieci, z których najstarsze było zaledwie sześć lat młodsze ode mnie. Swoje dzieci zaraz po urodzeniu odsyłała pod opiekę naszych rodziców, a sama zajmowała się kolejnym rozwodem czy ponownym zamążpójściem. „Przeklęte ladaco!" Już na samo jej wspomnienie matce cisnęły się przekleństwa na usta. „Jak to możliwe, że ta gadzina jest moją córką?"

Za każdym razem, gdy Duża Siostra zjawiała się w domu, momentalnie skakały sobie z matką do oczu, wrzeszcząc i tłukąc meble. Od słów, jakie wówczas padały, kręciło mi się w głowie. Prędzej czy później siostra prowokowała matkę do płaczu, a sama wychodziła z triumfalnie podniesionym czołem.

Więc dlaczego, zastanawiałam się, matka mówi o niej z taką czułością, kiedy jej nie ma w pobliżu? Jak tylko się dowiedziała, że pierworodna córka wraca do domu, tak się przejęła, że nie mogła usiedzieć na miejscu.

Nie potrafiłam się pozbyć wrażenia, że siostrę i matkę łączy coś, czego my, pozostałe dzieci, nie potrafimy zgłębić, a nawet gdyby nam się to udało, to i tak ten szczególny rodzaj porozumienia pozostanie dostępny wyłącznie dla wtajemniczonych, a z nami nie ma nic wspólnego.

Tamtego lata nastąpiło kilka wydarzeń, które sprawiły, iż zaczęłam myśleć, że ta więź w jakiś sposób dotyczy również i mnie. A ponieważ Duża Siostra była jedynym członkiem rodziny, od którego mogłam cokolwiek wyciągnąć, ja także, podobnie jak matka, z niecierpliwością czekałam na jej przyjazd.

Wiedziałam, że jestem dla matki kimś szczególnym. Urodziła

ośmioro dzieci, z czego dwoje zmarło. Ja byłam szósta. Zawsze czułam, że ma dla mnie specjalne miejsce w sercu, i wcale nie dlatego, że byłam najmłodsza. Nie potrafię znaleźć odpowiednich słów, aby to opisać. Nigdy mnie nie rozpieszczała ani nie przymykała oczu na moje wady i zawsze trzymała mnie krótko, tak jakby się opiekowała cudzym dzieckiem i robiła wszystko, aby nie można jej było zarzucić, że niedbale wywiązuje się z obowiązku.

Ojciec także traktował mnie inaczej niż pozostałe dzieci, ale jego podejście różniło się od postawy matki. Z natury małomówny, ze mną nie rozmawiał prawie wcale. Jego rezerwa mnie onieśmielała. Kiedy wpadał w gniew, chwytał za bambusowy kij i spuszczał lanie nieposłusznemu dziecku. Podczas gdy matka przymykała oko na wybryki moich braci i sióstr, ojciec nie był skłonny do wybaczania, jednak na mnie nigdy się nie rozzłościł i nigdy mnie nie zwymyślał.

Czasami dostrzegałam niepokój w oczach ojca, kiedy spoglądał w moją stronę; matka też patrzyła zimnym wzrokiem. Czułam, że jestem powodem ich rozczarowania, kimś, kto nie powinien pojawić się na świecie, zagadką, której nie potrafili rozwiązać.

4

Ojciec siedział na stołku w sieni i zwijał kolejnego skręta. Stołek był nieco wyższy od pozostałych, warstwa czerwonej farby dawno już się złuszczyła i tylko tu i ówdzie widać było jej ślady. Siedzenie zdobił czerwony kwiat i cztery kafelki wyłożone wokół niego. Nie miałam pojęcia, skąd wziął się u nas taki wyszukany mebel. Pomimo słabego oświetlenia ojciec zręcznie skręcał tytoniowe liście, bo wcale nie musiał patrzeć na to, co robi. Miał bardzo długie, niezbyt ciemne brwi, wydatne kości policzkowe i błyszczące oczy, chociaż źle widział. Po zachodzie słońca tracił wzrok. Rzadko się uśmiechał, nie pamiętam, ażeby się kiedykolwiek roześmiał czy zapłakał. Dopiero gdy dorosłam, zrozumiałam, że jego powściągliwość była wynikiem rozliczonych życiowych doświadczeń. Ponieważ nie odznaczał się skłonnością do wynurzeń, rozumiałam go najmniej z całej rodziny.

Wróciłam do domu i zastałam drzwi zamknięte na zasuwkę. Z pokoju dochodziły odgłosy kąpieli.

– Matka jest w domu – oznajmił, a jego akcent z prowincji Czeciang był tak samo wyraźny jak zawsze. – Jesteś głodna? – zwrócił się do mnie.

– Nie – odpowiedziałam. Powiesiłam tornister na kołku na ścianie.

– Weź sobie trochę jedzenia, jeżeli zgłodniałaś.

– Poczekam, aż Czwarta Siostra i Piąty Brat wrócą do domu - powiedziałam. Plusk wody z miejsca wprawił mnie w zły humor.

Matka była robotnicą, harowała, aby pomóc utrzymać rodzinę, a za całe wyposażenie służył jej drąg i dwie długości liny. Butle tlenowe, które powinno nosić czterech tragarzy, dźwigało po pomoście na statek zaledwie dwóch. Matka z trudem zdobyła tę pracę. Raz, kiedy się poślizgnęła i wpadła do wody – walcząc o życie, trzymała się kurczowo butli z tlenem. „Mogę je dalej nosić” – to były jej pierwsze słowa, kiedy ją wyciągnięto z wody.

Nie powodowała nią nadzieja na zdobycie tytułu „wzorowej pracownicy”, tylko lęk przed utratą pracy – robotników takich jak ona można było zwolnić w każdej chwili. Matka nosiła kosze z piaskiem, z dachówkami, z cementem. Jeszcze przed moim przyjściem na świat, gdy zakończono budowę miejscowej fabryki farmaceutycznej, zgłosiła się na ochotnika do noszenia cegły szamotowej, którą wykładano palenisko. Zaczynał się okres głodu i już wtedy była chuda jak szczapa. Do dwóch koszy zawieszonych na końcach drąga ładowano po cztery spore cegły szamotowe i trzeba je było przenieść z nabrzeża na wzgórze; nawet bez obciążenia pokonanie tej drogi wymagało pięćdziesięciu minut. Dniówka wynosiła niecałe dwa juany. Pozostałe

dwie robotnice niosły tylko po dwie cegły w każdym z koszy, ale były tak wyczerpane i zagłodzone, że praca okazała się ponad ich siły. Kiedy sądziły, że nikt nie patrzy, po prostu wrzuciły cegły do stawu przy ścieżce. Jednak ktoś to zauważył i z miejsca je zwolniono.

Pewnego razu matka naraziła się przewodniczącemu komitetu mieszkańców i straciła pozwolenie na pracę. Jedynym wyjściem było rozejrzeć się za robotą w którejś z sąsiednich dzielnic.

Przewodniczący komitetu mieszkańców w innej dzielnicy, dobra dusza, powiedział jej:

– Mam ekipę tragarzy złożoną z „elementu". Czy to by przeszkadzało?

Matka pospiesznie odparła, że nie. I tym sposobem zaczęła pracować „pod kontrolą mas" wraz z grupą ludzi, którzy w przeszłości lub obecnie mieli problemy polityczne – robotnikami wyznaczonymi do robót, jakich nikt inny nie chciał wykonywać.

Matka chodziła z ekipą tragarzy do odległej stoczni w Zatoce Białego Piasku, gdzie na równi z mężczyznami, ze śpiewem na ustach, harowała, zalewając się potem. Dotrzymywała im kroku przy dźwiganiu kamiennych bloków na fundamenty i arkuszy stalowej blachy na kadłuby statków. Ponownie wpadła do wody, lecz tym razem o mało nie utonęła; jednak tak długo robiono jej sztuczne oddychanie, aż brudna rzeczna woda chlusnęła ustami z żołądka.

Dziesiątki lat ciężkiej fizycznej pracy dały żniwo w postaci problemów z sercem, anemii, która w końcu doprowadziła do nadciśnienia, reumatyzmu, uszkodzenia stawu biodrowego oraz bólu całego ciała. Dopiero kiedy byłam w gimnazjum, matce udało się zmienić pracę – paliła w stoczni ogień pod kotłem na wodę. To nowe zajęcie – utrzymywanie żaru pod kotłem przez cały dzień -było uważane za lekką pracę. Ogień należało zgasić w środku nocy i rozpalić o czwartej nad ranem, usunąć popiół, potem dołożyć węgla tak, aby o piątej, kiedy przyjdzie pierwsza zmiana, w kotle był wrzątek.

Matka mieszkała w przyfabrycznym hotelu robotniczym dla kobiet, wracała do domu jedynie na weekendy i zazwyczaj zaraz, po obiedzie kładła się spać. Nawet jeśli starałam się poprawić jej nastrój, przynosząc wodę do mycia, w zamian spotykały mnie jedynie połajanki i wyrzekania.

Podwijałam jej koszulę i obmywałam plecy; barki, stwardniałe od dźwigania ciężarów, wyglądały jak grzbiet wielbłąda, a w miejscu, gdzie opierał się drąg, utworzył się garb. Potem myłam przód; zwiotczałe piersi wisiały jak puste woreczki – bezużyteczny nadmiar skóry leżący na brzuchu. Zanim wycisnęłam ściereczkę i wzięłam się do mycia od pasa w dół, matka już spała kamiennym snem, z ramionami zwisającymi z łóżka i niełądnie rozrzuconymi nogami. W

całym domu słychać było chrapanie przypominające chrumkanie świni, z ust ciekła ślina. Układając matce ramiona na łóżku, z odrazą odwracałam głowę.

Gdy szła do pracy, wszystkie domowe obowiązki przejmował ojciec, który był na rencie. Mimo że nic nie widział po zachodzie słońca, robił pranie i gotował, poruszając się po omacku. Właściwie od niemowlęctwa zajmował się mną wyłącznie ojciec.

W soboty wstawałam wraz z Czwartą Siostrą o świcie, żeby stanąć w kolejce do rzeźnika, gdzie za nasze cztery kupony mogłyśmy kupić około ćwierci kilo wieprzowiny. Gotowałyśmy garnek aromatycznego wywaru i wpatrując się w niego łapczywie, czekałyśmy na powrót matki. A ona, zamiast okazać zadowolenie, beznamiętnie dziobała pałeczkami w garnku między kawałkami mięsa. Któregoś wieczoru ojciec nie wytrzymał; uderzył pięścią w stół i strącił swoją miseczkę na ryż i pałeczki. Potem my, dzieci, zostaliśmy wyrzuceni z pokoju i rozpętała się wielka awantura. Im bardziej przybierała na sile, tym cichsze stawały się głosy rodziców, abyśmy nie słyszeli, co mówią. Podejrzewałam, że matka wyżywa się na ojcu, chcąc wyładować frustrację, i byłam na nią bardzo zła.

Prawie nigdy nie wychodziliśmy z matką do sklepu czy do krewnych. Z biegiem lat popadała w coraz dziwniejsze nastroje; poznawaliśmy to po ordynarnych słowach, jakie płynęły z jej ust. Byłam przyzwyczajona do tego, że ludzie w siedlisku czy na ulicy obrzucają się wyzwiskami, klną i mówią obelżywie o przodkach. Jednak to była moja matka, więc te przekleństwa i wyzwiska wprawiały mnie w zakłopotanie.

Znajdowałam wady niemal we wszystkim, co robiła: za głośno przesuwała sprzęty podczas sprzątania, często rozlewała płyn do mycia garnków na podłogę, trzaskała drzwiami wejściowymi tak mocno, że aż drżały ściany na poddaszu, a za każdym razem, kiedy otwierała usta, mówiła podniesionym głosem. Nie mogłam tego znieść. Nie cierpiałam nazywać jej matką, ani w rozmowie z nią, ani za jej plecami, i rzadko kiedy się do siebie uśmiechałyśmy.

Nurtowało mnie, jaką matką była osiemnaście, a właściwie dziewiętnaście lat temu, gdy zaszła w ciążę i gdy zaczynała mnie wychowywać.

Nie pamiętam, żeby matka kiedykolwiek wyglądała ładnie czy chociażby korzystnie.

A może celowo wymazałam z pamięci jakieś atrakcyjne wspomnienia? Patrzyłam, jak stopniowo zmienia się w schorowaną kobietę z psującymi się, plombowanymi zębami, to znaczy z paroma zębami, jakie jej pozostały. Miała obrzęknięte, opuszczone, nieruchome powieki, wiecznie mrużyła oczy, aż w końcu patrzyła

przez szparki i ledwo poznawała ludzi. Nawet gdyby próbowała uczesać włosy, i tak przypominałyby siano, bo sterczały na wszystkie strony i siwiały z każdym dniem. Niewiele pomagał postrzępiony słomkowy kapelusz, który przeważnie nosiła. Poza tym się kurczyła, jakby sprasowały ją dźwigane ciężary, a przez zgarbione plecy wydawała się niższa i grubsza, niż była w rzeczywistości. Chodząc, powłóczyła nogami, jakby podeszwy stóp miała z ołowiu, jej uda i łydki stały się grube i masywne od ciężkiej pracy, a paluchy powykręcane. Stopy nie krwawiły, nawet jeśli nadepnęła na ostry kamień. I bardzo jej dokuczała grzybica, ponieważ przez okrągły rok chodziła po błocie.

Raz, jedyny raz, obudził mnie wczesnym rankiem stukot drewnianych sandałów matki o kamienne stopnie – zadziwiająco miły odgłos. Osłaniając się papierową parasolką, wyszła z siedliska na i siąpiący deszcz, a mnie uderzyła myśl, że kiedyś matka miała, musiała mieć, aksamitną cerę i młodą, jędrną twarz.

Powoli zaczęłam pojmować, dlaczego matka nie lubi luster. Raz narzekała do sióstr, że w domu nie ma ani jednego przyzwoitego lustra. Siostry przemilczały tę uwagę, zapewne instynktownie wyczuwając, że w ten właśnie sposób daje im do zrozumienia, iż nie znosi luster.

Z czasem między matką a mną wyrósł mur porośnięty trawą i krzakami; piął się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu żadna z nas nie wiedziała, co z nim zrobić. Tak naprawdę to była krucha ścianka, którą mogłyśmy zburzyć, gdybyśmy chciały, tylko nigdy nie przyszło nam na myśl – a przynajmniej mnie nie przyszło – żeby podjąć taką próbę. Raz czy dwa, nie więcej, dostrzegłam czułość w jej oczach i wtedy pomyślałam, że być może, mimo wszystko, nie jestem niechcianym dzieckiem. W tamtych chwilach wydawało mi się, że potrzebny jest jakiś serdeczny gest z mojej strony; ale niestety, zanim się na niego zdobyłam, czułe spojrzenie znikało, dopiero kiedy skończyłam osiemnaście lat, udało mi się spojrzeć wstecz i wyraźnie zobaczyć swoją przeszłość.

5

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich matka, odświeżona po kąpieli.

– Przynieś wiadro, Mała Szóstko – poleciła.

Miała na sobie koszulę domowej roboty bez rękawów i kołnierza, spodnie do kolan, a na nogach sfatygowane drewniane sandały.

Razem podniosłyśmy wanienkę, żeby wylać brudną wodę do wiadra. Matka powiedziała, że Duża Siostra będzie w domu dziś wieczorem, a najpóźniej jutro.

– Możesz sobie czekać, ile ci się żywnie podoba – odparłam z zamierzonym okrucieństwem. – Ona przygotowuje cię na swój przyjazd jesienią.

– Nieprawda – zaprzeczyła z uporem. – Jeżeli napisała, że przyjeżdża, to tak będzie.

Jej rysy zmiękły na samo wspomnienie mojej najstarszej siostry, a ja, kiedy spojrzałam w górę, zapomniałam o tym, co robię, i rozlałam wodę na cementową podłogę.

– Uważaj! – warknęła. – Czy nie potrafisz niczego porządnie zrobić?!

Dźwignęłam pełne wiadro i wyniosłam je za próg.

– Nie wylewaj! Zostaw do mycia podłogi na poddaszu – powiedziała głośniej, niż to wydawało się konieczne.

Woda była bardzo cenna, bo oprócz tego, że dużo się za nią płaciło, w każdej chwili mogła zostać odcięta. Kilka setek rodzin korzystało z jedynego kranu za aleją Szkoły Średniej. Czekanie w kolejce stanowiło zaledwie część problemu, ponieważ woda, jeśli w ogóle leciała, była mętnie żółta. Natomiast kiedy czerpaliśmy wodę z rzeki, przy czym trzeba się było sporo namęczyć, musieliśmy dodawać do niej ałunu albo chloru, ażeby się nadawała do picia czy gotowania, a i tak pozostawał metaliczny smak. Więc z wyjątkiem okresów, kiedy bieżąca woda była odcięta, wody z rzeki używaliśmy wyłącznie do prania i mycia podłóg.

Każda z rodzin miała tak mało życiowej przestrzeni, że wodę musieliśmy trzymać w skopkach we wspólnej kuchni, więc zawsze jej wszystkim brakowało. Mężczyźni i chłopcy zazwyczaj kąpali się w rzece, chyba że lenili się zejść z góry. W takim wypadku, rozebrani do samych spodenek, myli się w miskach na kamiennych stopniach na podwórku. Czemu mieliby się krępować, skoro latem chodzili równie skąpo odziani? Bardziej wstydliwi mężczyźni kąpali się pod osłoną nocy, ale ponieważ było ich niewielu, ablucje na dworze stanowiły normę. Oblewali się wodą z misy i wszystko im się odznaczało przez mokre spodenki. Już jako mała dziewczynka wiedziałam dokładnie, co

mają między nogami, a kiedy szłam po coś do kuchni lub wychodziłam na podwórko, żeby wylać brudną wodę do rowu, wręcz musiałam się przeciskać wzdłuż rzędu mężczyzn, młodych i starych, którzy stali praktycznie ramię w ramię. W dodatku bez żadnych zahamowań siusiali do odpływu na oczach wszystkich.

Bywało, że podczas długiego, wlokącego się lata przez miesiąc nie spadła kropla deszczu. Potem, kiedy Jangcy zaczynała przybierać, masy wody powoli, acz nieubłaganie spływały z wyższych partii gór i setki metrów brzegu znikały zalane w ciągu jednej nocy, gdy nastawała pora powodzi.

Ktoś, kto nie cierpiał podczas upałów w tym mieście, prawdopodobnie nie jest w stanie zrozumieć, jak przeżerają one serce i zatykają wszystkie pory na skórze, przepalając ją na wylot. Przeważnie nie ma wiatru, lecz kiedy już wieje, przypomina to dolewanie oliwy do ognia i człowiek czuję się jak zamknięty w parowniku i rozgotowany.

Kiedy my, kobiety, się kąpałyśmy, mężczyźni musieli siedzieć na zewnątrz, dopóki nie skończyłyśmy, i wtedy wracali do domu, naburmuszeni i źli. Najpierw napełniałyśmy drewniany szaflik, dodając parę kropli wrzątku, żeby nieco ogrzać wodę, potem zamykałyśmy drzwi na zasuwkę, rozbierałyśmy się i brałyśmy błyskawiczną kąpiel, nerwowe jak kocięta. Zwilżałyśmy ciało, szybko nacierałyśmy się kawałeczkiem mydła, potem je spłukiwałyśmy i to była cała nasza kąpiel.

Przy pięciu kobietach w rodzinie czasami brakowało czasu, abyśmy się mogły wykąpać pojedynczo, więc my, siostry, tłoczyłyśmy się w pokoju wszystkie razem. Ponieważ nie znosiłam, by ktokolwiek oglądał mnie nagą, nawet jeżeli były to siostry czy matka, czekałam, ażeby wykąpać się na końcu, i wtedy brałam miskę zimnej wody, zamykałam za sobą drzwi i szybko obmywałam się gąbką. Wszyscy uważali, że zachowuję się ekscentrycznie, zajmując sama rodzinny pokój, i mieli mi to za złe.

Tak było w lecie. Kiedy się ochładzało, kąpiel stawała się jeszcze trudniejsza. Brakowało gorącej wody; a ponieważ nie stać nas było na publiczną łaźnię, kąpaliśmy się rzadziej albo wcale. Robotnicy, gdziekolwiek się ruszyli, rozsiewali wokół siebie woń potu, co dodawało jeszcze jeden silny odór do natrętnej mieszaniny zapachów.

Chłód zimą był równie dokuczliwy jak upał latem. Nasze domy nie miały ogrzewania, opał był praktycznie nieosiągalny, więc grzaliśmy dłonie o termofor albo siedzieliśmy stłoczeni przy piecyku, a czasami owinięci w kołdry leżeliśmy w łóżku. Na noc naciągaliśmy na siebie tyle ubrań, ile się zmieściło, i leżąc w łóżkach, cierpieliśmy do rana, ze stopami i dłońmi jak sople lodu. Nie pamiętam z dzieciństwa takiej zimy, żebym nie odmroziła rąk, przez co moje palce wyglądały

jak marchewki.

Cisnęłam ścierkę do wiadra, uniosłam je na zgiętym przedramieniu prawej ręki i przechylona, ostrożnie przeniosłam swój ciężar pod schody. Przełożyłam wiadro do lewej ręki, prawą uchwyciłam chybotliwą poręcz i szykowałam się do wejścia na poddasze.

– Teraz zostaw to mycie podłogi! – zawołała gderliwie matka. - Woda w czajniku jeszcze jest gorąca. Wykąp się najpierw. Ostygnie, jak będziesz marudzić.

Zawsze mi tak rozkazywała. Więc postawiłam wiadro i stałam z nieszczęśliwą miną u podnóża schodów.

Matka starła wodę, która wylała się podczas kąpieli, i zaniosła szmatę do suchego kąta, a pozostałe strużki szybko wsiąkły w podłogę.

Ojciec spojrzał na mnie i dał znak, żebym zrobiła, jak matka każe.

Nie chcąc mu się sprzeciwiać, wzięłam miskę i poszłam do kuchni po wrzątek. Potem zamknęłam drzwi i zdjęłam ubranie. Widok mego spoconego, nagiego ciała i zapach potu spod pach przyprawił mnie o mdłości.

II

1

W tym czteromilionowym mieście są dziesiątki uniwersytetów i innych uczelni, ale nie ma ulicy Uniwersyteckiej. Natomiast na Południowym Brzegu jest aleja Szkoły Średniej. Zdaje się, że wiele lat temu otwarcie pierwszej w tej dzielnicy slumsów szkoły średniej, która stanęła na szczycie wzgórza, musiało być nie lada wydarzeniem.

Jednak dla uczniów tej szkoły uczelnie równie dobrze mogłyby się znajdować na innej planecie. Na palcach jednej ręki można było policzyć absolwentów liceum na Południowym Brzegu, którzy mieli szczęście zdać egzaminy wstępne na uczelnię. Niektóre szkoły średnie od dziesięciu lat albo i dłużej „nie pamiętały" o konieczności przygotowania uczniów do egzaminów i w końcu likwidowały klasy licealne, udowadniając w ten sposób, że okoliczna młodzież nie nadaje się do kontynuowania nauki. W związku z tym każde spotkanie absolwentów stałoby się zjazdem drobnych handlarzy, przewoźników z łodzi na rzece i robotników ze stoczni.

Mieszkałam niedaleko alei Szkoły Średniej, szerszej od innych, brukowanej, mniej stromej niż pozostałe ulice. Po obu bokach pochyłego chodnika stały zapadające się drewniane rudery, których mieszkańcy utrzymywali się ze sprzedaży drobnych artykułów: sosu sojowego, octu winnego i soli albo igieł, nici, sznurowadeł czy guzików. Budka z komiksami, w której można było kupić również cukierki i orzeszki ziemne, stała na szczycie kamiennych stopni. W deszczowe dni stara kobieta zabierała książki do domu i rozkładała interes na drewnianych stołkach w drzwiach wejściowych.

Czasami trudno się było przedrzeć z jednego końca ulicy na drugi, bo mnóstwo ludzi gromadziło się na stopniach, pod okapami, w drzwiach i w otwartych oknach.

– Ty padalcu, ty gadzino, ty żabi skrzeku, wydaje ci się, ze możesz wylewać mi nocnik na głowę, co?! Nie wiesz, z kim zadzierasz! We łbie ci się poprzewracało?!

– Szkoda śliny na takiego skurwysyna! Dołóż mu!

– Pieprzę twoich przodków! Myślisz, że kim, do diabła, jesteś?!

– Pieprzę cała twoją rodzinę pięć pokoleń wstecz, z tobą na czele!

Postronni obserwatorzy, w obawie, że może nie dojść do bójki, jeszcze podjudzali zwaśnione strony.

Mieszkańcy Czungcing są porywczy i mają ostre języki. Wybuchają jak fajerwerki i słychać ich kilka dzielnic dalej. Ludzie z Południowego Brzegu łatwiej wpadają w gniew niż ci z centrum miasta. Tu się nie rzuca słów na wiatr – spór pozostaje rozstrzygnięty, dopiero gdy błyśnie nóż. Jednocześnie są bardzo prostolinijni. Jeżeli cię polubią, nie ma rzeczy, której by dla ciebie nie zrobili. Mieszkańcy

centrum natomiast lubią wiedzieć, z której strony wieje wiatr; wolą najpierw ocenić możliwości swoich przeciwników i nie podejmą walki, jeżeli nie są pewni wygranej. Ale tylko się odwróć do nich plecami, to dopadną cię prędzej czy później i będziesz miał się z pyszna.

W dzieciństwie widziałam wiele ulicznych bójek. Później, kiedy czytałam książki o walkach Wschodu i oglądałam filmy kung-fu w telewizji, zdałam sobie sprawę, że ich bohaterowie, postaci pozytywne, byli nikim innym, jak dobrze ubranymi chuliganami, którym brakowało soczystego języka uczestników ulicznych burd.

Kiedy dochodziło do bijatyki, gapie rozstępowali się, aby zrobić miejsce walczącym. Ach, miejscowy chojrak trafił dziś na godnego przeciwnika!

– Hej, przestańcie! Ten facet krwawi! Takie okrzyki nie robiły na nikim wrażenia.

– Idzie policja!

To skutkowało. Mężczyźni podbiegali i rozdzielali walczących. Przeważnie ludzie odnosili się do policji z niechęcią. Ale kiedy wybuchał spór, jedni drugich ciągnęli na posterunek. Wszyscy najwyraźniej żywili szacunek dla władzy.

Najokazalszy budynek w okolicy, kiedyś herbaciarnia, stał obok lokalnego sklepu i mógłby pomieścić jakąś setkę ludzi. W dawnych czasach bajarze zabawiali tu wieczornych gości, rytmicznie deklamując Romans trzech królestw, Banitę z mokradeł czy Dzielne czyny młodych wojowników, i zawsze wszystkie miejsca były zajęte. Jakiś czas przed moimi narodzinami herbaciarnię przerobiono na stołówkę Komuny Ludowej, a kiedy miałam cztery czy pięć lat, przemianowano ją na Kwaterę Słońca ku czci przewodniczącego Mao. W końcu urządzono tam bazę rewolucyjnych buntowników oraz miejsce, gdzie okoliczni wrogowie ludu, „demony wołu" i „duchy węża", byli poddawani krytyce mas; ofiary tego publicznego poniżenia wyprowadzano na ulice i zmuszano do paradowania w oślich czapkach. Ponieważ w owych czasach nie wolno mi było przestąpić progu tamtego domu, stałam na stopniach na zewnątrz i wspinając się na palce, czekałam w napięciu na okazję, by zajrzeć i zobaczyć, co się tam dzieje. Potem przez wiele lat nad frontowymi drzwiami wisiała tablica z napisem: GRUPA STUDIUJĄCA MYŚLI MAO TSE-TUNGA. „Studenci" się zmieniali, lecz twarze zawsze miały ten sam przywiędły wygląd, a zapyziałe ciała wydzielały taki sam odór. Pod koniec lat siedemdziesiątych, gdy ostatnie takie grupy zniknęły, każdego wieczoru przed oczyma hałaśliwych dorosłych i ich rozbrykanych pociech, szczelnie wypełniających dom, migotał ekran czarno-białego telewizora. Widzowie bliżej ekranu siedzieli na stołkach, ci z tyłu musieli na nich stać.

Ja nie mogłam sobie pozwolić na luksus oglądania telewizji, bo musiałam się przygotowywać do egzaminu wstępnego na uczelnię.

2

Kiedy kończyły się lekcje w szkole, słońce prażyło dokuczliwie. Więc idąc z tornistrem na plecach, szukałam chłodniejszych miejsc. Przy drodze rosły oleandry o delikatnych różowych kwiatach, opierając gałęzie o omszały mur. Skręciłam w miejscu, gdzie wisiały dwie ścienne gazetki, i weszłam między drzewa. Wilgotna ziemia na zacienionym terenie miała mdłosłodki, zbutwiały zapach nawet podczas upału, więc wolałam piec się na słońcu niż iść w cieniu. Wracaj do domu, nakazałam sobie w duchu. Dzisiaj tam nie pójdę. Nie pójdę! Następnym razem? Zobaczę. Ale na pewno nie dzisiaj.

Kiedy jednak mijałam budynek szkolnego biura, nogi same mnie zaniosły na kamienną ścieżkę. Weszłam po schodach i stanęłam przed znajomymi drzwiami.

– Wejdź, proszę.

Te same dwa słowa. Zawsze wiedział, że to ja stoję przed drzwiami. Kiedy znalazłam się w środku, gdzieś uleciały szalone myśli, jakie nachodziły mnie na drodze. Usiadłam na starym wiklinowym krześle naprzeciw nauczyciela historii.

Duże pomieszczenie, byłą klasę, podzielono na kilka mniejszych. Czerwony papier, na którym wypisywało się hasła, leżał na szczycie biblioteczki wraz z kilkoma połamanymi łysymi pędzelkami. Każdy nauczyciel miał do dyspozycji biurko, chwiejne wiklinowe krzesło oraz dwa lub trzy stołki. Przez pozbawione zasłon okno na południowej stronie wpadały jaskrawe promienie słońca. Zamalowana zieloną farbą szyba w okienku przy biurku broniła częściowo dostępu słońcu i tłumiła okrzyki dochodzące z boiska do koszykówki za szkołą.

Pośród soczyście zielonych wzgórz otaczających miasto stały ukryte letnie domy możnych tego świata, wybudowane w stylu angielskim i francuskim; kiedyś zajmowali je ludzie z najbliższego otoczenia Czang Kajszeka oraz jego amerykańscy doradcy, obecnie mieszkali w nich działacze partyjni wysokiej rangi. Nigdy nie miałam okazji przyjrzeć się tym domom, mogłam sobie jedynie wyobrażać, jak wyglądają; ta część miasta była dla mnie jak z innej planety.

Piętrowy budynek biura szkoły, ze swoim skośnym dachem i dużymi oknami, był najładniejszym domem, jaki dotąd miałam okazję widzieć od wewnątrz. To nic, że stare schody skrzypiały i trzeszczały, kiedy się po nich stąpało, a drzwi i okiennice trzymały się w całości wyłącznie dzięki temu, że zostały obite tekturą, która pękała i darła się, gdy zbyt mocno je kopnięto czy zatrzaśnięto, co dość często się ostatnio zdarzało.

Kiedy po raz pierwszy weszłam do biura, napomknęłam nauczycielowi historii, że w jakiś sposób wszystko tutaj wydaje mi się

znajome, z pomalowanym na zielono oknem, drzwiami wzmocnionymi tekturą i ścianami z grubej cegły włącznie, więc jeśli nie byłam w tym miejscu w poprzednim życiu, to musiałam je widzieć we śnie. Zresztą podobnie było z samym nauczycielem. Kogoś mi przypominał i czasami się nawet zastanawiałam, czy to nie on mnie śledzi. Lecz zanim zdążyłam się z nim podzielić tą myślą, spojrzał mi z zaciekawieniem w oczy i nieznacznie się uśmiechnął. Od tego dnia przestał ze mną rozmawiać jak nauczyciel z uczennicą.

Włosy nosił krótko przycięte, przez co trudno było odgadnąć, czy są gęste, czy rzadkie, miękkie czy szorstkie, a jego uszy sprawiały wrażenie większych. Przeważnie nauczyciele nosili ubrania z terylenu, natomiast on chodził w niebieskiej bawełnianej koszuli. Jego uporządkowane biurku nie było pomazane kredą tak jak pozostałe. Nie palił, za to zawsze stała przed nim szklanka z herbatą, do której regularnie dolewał gorącej wody z plastykowego termosu, który trzymał na podłodze obok biurka. Miał krzaczaste brwi i nieproporcjonalnie długi nos, co nadawało jego twarzy ponury wyraz.

Teraz, kiedy o nim myślę, dochodzę do wniosku, że wyglądał całkiem zwyczajnie. I wykładał monotonnie, nie tak jak inni nauczyciele, którzy zmieniali lekcje historii w barwne opowieści o dawnych czasach. Był po prostu przeciętnym nauczycielem historii ze szkoły średniej.

Niemniej są na świecie tacy ludzie, których spotyka się na wąskiej ścieżce życia, a rolę, jaką w nim odegrają, można opisać wyłącznie za pomocą emocji, nie słów. Kiedy takich dwoje zejdzie się na tej samej wąskiej ścieżce, to czy tego chcą, czy nie, przyciągani potężną siłą zmierzają ku sobie, odczuwając zarazem lęk i podniecenie.

Właśnie coś takiego mi się przydarzyło w wigilię osiemnastych urodzin; niespodziewanie wybuchły emocje i nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów, ażeby wytłumaczyć sobie samej, co się dzieje. Z początku pałałam do niego nienawiścią za to, że mnie nie zauważa – och, jak ja go nienawidziłam! Byłam jedną z siedmiu głupiutkich dziewcząt w klasie, bardzo możliwe, że najmniej godną jego uwagi. Więc zaczęłam czytać książki na jego lekcjach, a robiłam to w taki sposób, żeby zauważył.

Postąpił jak większość nauczycieli w takich wypadkach; kazał mi wstać i zadał pytanie, coś tak prostego, że każdy potrafiłby odpowiedzieć. Tymczasem ja stałam, nie odzywając się słowem. A kiedy do mnie podszedł, zaskoczyłam go wyzywającym spojrzeniem. Właśnie w tamtej chwili zrozumiał, że nie jestem taką sobie zwykłą uczennicą, i zamarł, zapominając, że trwa lekcja i że powinien czym prędzej przywołać do porządku ucznia, który wystawia na szwank jego autorytet. W mgnieniu oka w klasie zapanował rozgardiasz, bo kilku bardziej niesfornych uczniów zaczęło bębnić pięściami w stoliki.

– Siadaj – powiedział cicho. – Stawisz się u mnie po lekcjach.

Serce mi waliło, kiedy podekscytowana usiadłam w ławce. Osiągnęłam swój cel, zwróciłam na siebie uwagę. Od tamtego dnia często bywałam w jego pokoju jako „niesubordynowany przypadek”.

3

Kiedy zbliżały się moje osiemnaste urodziny, wyglądałam blado i mizernie jak zawsze; nadal byłam chuda jak szczapa, a moje usta wydawały się pozbawione krwi. Nosiłam rzeczy wyblakłe od wielokrotnego prania, a suche, matowe włosy zaplatałam w mysie ogonki. Mao Tse-tung nie żył od czterech lat, fasony sukienek zmieniały się w błyskawicznym tempie, widywało się coraz mniej ludzi w workowatych zielonych lub niebieskich uniformach, które wszyscy nosili przez tak długi czas. Tu i ówdzie ludzie nucili piosenki budzące skojarzenia z klubami z lat trzydziestych. Po czterdziestu latach rewolucyjnej powagi miasto stawiało pierwsze, niepewne kroki ku dawnej lekkości. Co odważniej sze kobiety zaczęły nosić szeongsamy – tradycyjne chińskie kaftany ze stójką i z rozcięciem u dołu, które wdzięcznie podkreślały sylwetkę. Młode dziewczyny z naszych okolic ładnie się prezentowały, bo dzięki temu, że od dziecka poruszały się po górzystym terenie, miały długie, mocne nogi i gibkie sylwetki.

Szczególna atmosfera dawnych czasów zawitała nawet na zrujnowane ulice i boczne drogi Południowego Brzegu, a ja, im dłużej obserwowałam zmiany, tym bardziej się sobie nie podobałam. Wyglądałam jak ktoś, kto spóźnił się na statek i sterczy samotnie na zapomnianym molu: nosiłam zieloną bawełnianą spódnicę za kolana i białą bluzkę z krótkimi rękawkami. Obie części garderoby przypadły mi w spadku po siostrach. Za obszerne na mnie, sprawiały, że wydawałam się jeszcze drobniejsza, niż byłam w rzeczywistości. Chodziłam w sandałach z kremowego plastyku, które klapały o pięty przy każdym kroku, bo były o trzy centymetry za duże.

Tak wyglądałam, kiedy stanęłam przed biurkiem mojego nauczyciela historii. Pozostali wykładowcy rozeszli się do domów, więc byliśmy sami. Przyglądał się mi znad biurka.

– Źle mnie oceniasz – zaczął łagodnie – jeżeli sądzisz, że traktuję z pogardą uczniów z biednych rodzin.

Na ułamek sekundy zamarło mi serce. Zdałam sobie sprawę, że w dużej mierze miał rację. To głównie z tego powodu czułam się niezręcznie w szkole i nie lubiłam w niej przebywać.

– Ja też pochodzę z ubogiej rodziny. – Uśmiechnął się z rezygnacją. Z jego twarzy zniknął nieobecny wyraz, który zazwyczaj przybierał na lekcji. – Szczerze mówiąc, teraz jestem jeszcze biedniejszy. Ot, prawdziwy przedstawiciel proletariatu.

Wyznał, że jego ojca uznano za kontrrewolucjonistę, co jemu z kolei odebrało możliwość kształcenia się na uczelni. Nawet jako dorosły mężczyzna wraz z bratem pomagał ojcu sprzedawać prażoną

kukurydzę na ulicy i dostarczać węgiel do domów. Powiedział, że zna każdą uliczkę i zaułek na Południowym Brzegu.

– Byłaś wtedy zasmarkanym berbeciem raczkującym po podłodze. – Zaśmiał się ironicznie.

– Och, myśli pan, że jestem za młoda, tak? – Obruszyłam się, dotknięta do żywego, i podniosłam z krzesła.

– Jestem dwadzieścia lat od ciebie starszy.

Co chciał przez to powiedzieć? Jakie znaczenie miał tu wiek? Dawał mi do zrozumienia, że do siebie nie pasujemy? Więc już pomyślał o nas jako o parze? Zaczerwieniłam się i odwróciłam wzrok. Serce mi biło, jakbym wyciągnęła rękę po coś, co do mnie nie należy. Łzy napłynęły mi do oczu.

– Hej, dlaczego płaczesz?

– Obraził mnie pan – oświadczyłam z goryczą.

– Obraziłem cię? – Wstał, wyjął chusteczkę z kieszeni i obszedł biurko, żeby mi ją podać.

Nie przyjęłam jej. Łzy zdążyły już spłynąć do nosa i lada chwila mogły z niego skapnąć. Czułam się żałośnie, a mimo to nie chciałam wziąć chusteczki. Zobaczymy, co teraz zrobi, pomyślałam. Nie podniosłam oczu, choć czułam, że stoi tak blisko, iż mógłby mnie dotknąć.

Zdecydowanie odmówiłam przyjęcia chusteczki. Moja odważna demonstracja zaparła mi dech w piersiach. Za sekundę, myślałam, za sekundę mnie dotknie. Bałam się, że zemdleję.

I rzeczywiście, dotknął mnie, położył mi rękę na głowie. Jak małemu dziecku szorstkimi pociągnięciami wytarł oczy i twarz, a na koniec przyłożył mi chusteczkę do nosa. Odruchowo wydmuchałam nos.

Szybko się odsunęłam i stanęłam jakieś trzydzieści centymetrów od jego biurka. Bydlak jeden, myśli, że jestem oseskiem czy co? Ze złośliwą satysfakcją obejrzał chusteczkę i schował ją do kieszeni. Usiadł na krześle, kwitując uśmiechem moje zażenowanie i opryskliwość, bo udało mu się udowodnić, że istnieje między nami przepaść z powodu różnicy wieku i że nie pozwoli mi się do siebie zbliżyć. Znowu byliśmy uczennicą i nauczycielem, a mnie policzki płonęły z gniewu.

Spokojnym tonem oznajmił, że chociaż jest jeszcze dość czasu, żeby się przygotować do egzaminów wstępnych na studia, zostało mi sporo materiału do opanowania. Dla większego efektu przerzucał przy tym papiery na biurku, jakby to były moje prace. Moje stopnie, dodał, są poniżej możliwości i nadszedł czas, żebym przysiadła fałdów. Powtórzył, że z powodu pochodzenia musiał się pożegnać z myślą o studiach. A przede mną, jak to ujął, otwiera się życiowa szansa.

Wiedziałam, że mówi szczerze i słusznie rozumuje. Znał moją

słabość – kłopoty z zapamiętywaniem lekcji. Siedzieliśmy, obserwując się nawzajem. Patrzenie na niego sprawiało mi przyjemność i miałam wrażenie, że on czuje to samo.

Wkrótce powrócił dobry nastrój.

4

Niemal za każdym razem, kiedy z lekkim sercem mówiliśmy sobie „do widzenia” na szkolnym boisku, myślałam o tym, że jutro znowu go zobaczę, chociażby na lekcji.

Szkolny mur tu i ówdzie wznosił się dumnie, a miejscami, pokruszony, ledwo wystawał z ziemi. Za boiskiem i małym ogródkiem warzywnym kręte ścieżki rozchodziły się promieniście. Komin fabryki leków pluł dymem, ścieki przemysłowe spływały na okoliczne pola. Słońce zasnuwały ciemne chmury, powietrze było lepkie; dopiero gdy nastaną deszcze, temperatura nieco spadnie.

Ale w porze deszczowej wcale nie było nam łatwiej, bo dach przeciekał w wielu miejscach, czego dowodem były liczne wiadra i puszki poustawiane na podłodze i na łóżkach. Zbijaliśmy się w gromadkę w suchym miejscu, a kiedy puszka napełniła się wodą, wynosiłam ją ostrożnie na podwórko.

Nasz dom powinien zostać zburzony wiele lat temu; między deskami podłogi były szerokie szpary, ściany znaczyła pleśń, strop się zapadał, a kamienny posążek nad płytą kryła taka warstwa kopciu, że rysy Bóstwa Kuchni stały się nieczytelne. Trzeba się było sporo napocić, aby przywrócić mu pierwotny, radosny wygląd.

Przez cały rok zewnętrzne ściany u dołu oraz narożniki muru na podwórku porastał mech; wiosną i latem był ciemnozielony, a jesienią żółty w niebiesko-zielone smugi. Suche miejsca wydawały się kosmate, wilgotne, jakby papkowate.

W przeciwległym końcu podwórka, w dwóch pomieszczeniach skleconych z popękanych cegieł, mieszkała pięcioosobowa rodzina Er-wy. Matka Er-wy, kobieta chuda jak szczapa, wiecznie zamiatała placyk przed frontowymi drzwiami, bez żadnego powodu ciskając przekleństwa pod adresem każdego, kto się akurat nawinął.

Wiele lat temu moja matka czymś ją obraziła i od tego czasu ta kobieta, zamiast puścić urazę w niepamięć, uprzykrzała nam życie, jak tylko mogła, co już samo w sobie było wyrazem jej „politycznego aktywizmu”. Wyrzucała z siebie potok słów, czyniąc jakieś zupełnie dla mnie niezrozumiałe aluzje do chorób wenerycznych.

Któregoś dnia jej mąż wrócił z pracy na łodzi i przyłapał żonkę z sąsiadem na flircie pełnym seksualnych niedomówień. Stłukł ją wtedy na kwaśne jabłko, pociął ubranie nożyczkami i dosłownie porozbijał młotkiem miseczki do ryżu na jej ciele. Była tak przerażona, że przez miesiąc siedziała cicho, co na jakiś czas oszczędziło naszej rodzinie słownych ataków z jej strony. Niestety, nie na długo, bo potem podwórko na nowo wypełniły jej wrzaski, jakby nie potrafiła się od nich powstrzymać. A moi rodzice z kamiennym spokojem

wysłuchiwali tych zawziętych, obraźliwych tyrad.

Nawet najbardziej złośliwi chłopcy w szkole nie zwracali na mnie uwagi, jakby szkoda im było zachodu, by mi dokuczać. Natomiast dla dziewcząt stanowiłam idealny obiekt rozładowywania frustracji. Raz, kiedy kucałam w ubikacji szkolnej, jedna z nich o mało nie wepchnęła mnie do kloaki. Zanim zdążyłam się pozbierać, inna, wysoka dziewczyna, która akurat wyszła z ustępu, stanęła w drzwiach i powiedziała: „No, dalej, wrzeszcz, dlaczego nie wrzeszczysz? Czyżbyś nawet tego nie potrafiła?" A ja, zamiast krzyczeć, podciągnęłam majtki i przemknęłam obok niej. Kiedy znalazłam się na zewnątrz, rzuciłam się do ucieczki, nawet nie czując poniżenia.

Uzewnętrznianie uczuć zawsze sprawiało mi trudność, tym bardziej że i tak nikogo nie obchodziło, co czuję. Moja rodzina uznała, że nie mam nic ciekawego do powiedzenia, a jedyną osobą na świecie, którą interesowały moje poglądy, był nauczyciel historii – człowiek, który zaskarbił sobie moje bezgraniczne zaufanie. Wreszcie znalazłam kogoś, kto mnie rozumiał. Miał szersze spojrzenie na świat niż ktokolwiek inny z mego otoczenia. Wyraz jego twarzy, kiedy mnie słuchał, zachęcał do dzielenia się z nim wszystkimi problemami, zarówno poważnymi, jak i błahymi.

Cieszyłam się, że mnie słucha, wręcz czułam przy nim potrzebę zwierzeń. On rozumiał, jakie znaczenie mają dla mnie te z pozoru nieistotne sprawy. Zamknięta w sobie, tylko w jego obecności się otwierałam; bywały takie chwile, że najchętniej odsunęłabym biurko, żeby znaleźć się jeszcze bliżej niego.

Pewnego dnia wyjął z szuflady kartonową podkładkę i czystą kartkę.

– Nie ruszaj się – polecił. – Narysuję twój portret. Usłuchałam go, nie przestając przy tym mówić.

Od czasu do czasu spoglądał na mnie, po czym wracał do szkicowania. Na koniec odłożył ołówek i podnosząc wzrok, powiedział:

– Zapomnij o wszystkim. Powinnaś skupić się na egzaminach wstępnych, zamiast zaprzątać sobie głowę tymi sprawami.

Odparłam, że nie wiem, czemu o tym mówię, być może dlatego, że dotąd z nikim tak nie rozmawiałam.

Podał mi kartkę. Szkic ołówkiem. To rzeczywiście była moja twarz, kilka prostych kresek. Ale oczy w tej twarzy wydały mi się zbyt żywe, patrzyły z pasją. Szyja i ramiona pozostały nagie, nie dorysował kołnierzyka, czym, jak podejrzewałam, dał do zrozumienia, że nie zachwyca go mój ubiór. Rysunek zajmował górną część kartki, reszta pozostała czysta.

– I jak ci się podoba? – zapytał.

– Przypominam małego kotka. To nie są moje oczy.

– Co ty tam wiesz. – Wyjął mi kartkę z ręki. – Jesteś za młoda.

Westchnął chyba nieco za głośno, przynajmniej tak mi się wydało, i schował rysunek do szuflady. Poprosiłam, żeby dał mi ten szkic, ale odmówił, twierdząc, że go nie dostanę, dopóki nie będzie skończony.

III

1

Kiedy matka zjawiała się w domu, na obiad, oprócz miseczki zupy z kwaszonej kapusty, była fasolka mung.

Umyłam podłogę na górze, a właściwie zwilżyłam ją po to, aby ochłodzić maleńkie pomieszczenie. Na poddaszu mieściły się dwie wąskie prycze i stołeczek, który ustawiałam pod lampą, kiedy odrabiałam lekcje. Jeżeli zapomniałam go potem usunąć, co mi się często zdarzało, wchodzący na górę musieli lawirować w wąskim przejściu. W podłodze, między dwiema warstwami cienkich desek, harcowały szczury. Mocno wyżymałam ścierkę, ażeby woda nie przeciekła przez szpary do pokoju na dole. Przez świetlik w dachu nie wpadał najlżejszy powiew wiatru, byłam lepka od potu, mimo że dopiero co się wykąpałam.

– Mała Szóstko, chodź na obiad! – krzyknęła Czwarta Siostra, stając pod schodami.

Wyszłam na podest, z wiadrem i ścierką, po czym spojrzałam w dół. Jedzenie w jej miseczce miało zielony kolor i pachniało zachęcająco. Siostra bardzo zmizerniała na twarzy, być może dlatego, że pracując na budowie, przebywała na dworze w spiekotę i w ulewne deszcze. Policzki miała ogorzałe jak chłopka. Czwarta Siostra była znacznie ładniejsza niż ja, miała smukła figurę, a mierząc prawie metr sześćdziesiąt, przewyższała mnie wzrostem o całe trzy centymetry. Niestety, podobnie jak pozostałe dziewczęta w naszej rodzinie, miała krzywe zęby.

– A nie słuchałyście, jak mówiłam, żeby nie jeść marynowanej rzepy, kiedy rosły wam stałe zęby – wypominała nam matka.

Gdy stawiałam na stole miseczkę z ryżem, aby zasiąść do posiłku wraz z ojcem i matką, do pokoju wszedł cicho Piąty Brat i umył ręce nad miską na stojaku przy drzwiach. Ramiona miał wąskie i spadziste jak u dziewczyny, włosy cienkie, a rysy delikatne. Górną wargę szpeciła mu gruba blizna. Urodził się z zajęczą wargą i kiedy jadł, przykro było na niego patrzeć. Matkę bardzo smuciło jego kalectwo i obwiniała o nie ojca, twierdząc, że rąbał podpałkę na progu, kiedy była w ciąży z Piątym Bratem, a gdy poprosiła, żeby przestał, rzucił się do pracy z jeszcze większą energią, co niezaprzeczalnie musiało doprowadzić do nieszczęścia.

Kiedy Piąty Brat miał sześć miesięcy, miejscowy lekarz zoperował mu wargę, ale zabieg nie udał się od początku do końca; lekarz użył za grubej igły i zbyt szorstkiej nici, poza tym niestarannie wyciągnął szwy, co spowodowało infekcję i doprowadziło do powstania odrażającej blizny pośrodku górnej wargi.

Brat miał dwadzieścia dwa lata, dzieliła nas różnica czterech lat,

jednak na pierwszy rzut oka mógł sprawiać wrażenie młodszego ode mnie. O ile nie musiał, nigdy się nie odzywał, więc pod tym względem prześcignął nawet ojca; prawdopodobnie obawiał się, że mówiąc, ściąga uwagę na swoje okaleczone usta. Piąty Brat był spawaczem w stoczni; ilekroć mógł, przeprawiał się przez rzekę promem, żeby uniknąć dwuipółgodzinnego marszu z domu do pracy i z powrotem.

Nasza piątka jadła przy stole w mdłym świetle lampy.

Większość sąsiadów wolała spożywać posiłki na dworze przed wejściem do zabudowań, na ziemi lub na kamiennych stopniach; jak w jednej wielkiej rodzinie sięgali po jedzenie do wszystkich misek. Jednak przy najmniejszym zadrażnieniu sypały się przekleństwa, uniesione pałeczki niebezpiecznie celowały w twarz oszusta i jeśli atmosfera stawała się gorąca, miski lądowały na głowie delikwenta, a papka z ryżu wymieszana z lepką krwią spływała mu po twarzy.

Nie widzieliśmy powodu, aby przy naszych skąpych racjach zasiadać do stołu. Ale rodzice nie pozwalali nam jeść biegając, i to wcale nie dlatego, że przywiązywali wagę do dobrych manier; po prostu nie chcieli, abyśmy zanadto zbliżali się do sąsiadów. Wszyscy patrzyli na nas z góry, więc rodzice woleli trzymać się domu. My, dzieciaki, mogliśmy co najwyżej stać w sieni czy na podwórku, podczas gdy inne dzieci obsiadały kamienne stopnie albo przechadzały się po ulicy, albo nawet schodziły na brzeg rzeki, z miseczką w dłoni.

Piąty Brat napełnił swoją miskę i usiadł na ratanowym stołku przy drzwiach. Matka spojrzała prosto na mnie. Zdążyłam zauważyć, że jest niezadowolona, zanim jeszcze oznajmiła, iż ci z biura chcą, aby z powodu słabego zdrowia przeszła na emeryturę dwa lata wcześniej, czyli w wieku pięćdziesięciu trzech lat. Jeżeli ich posłucha i zostanie w domu, będzie dostawać miesięcznie małą emeryturę. Wszystkie pałeczki zastygły w powietrzu. Zapytałam, ile to będzie.

– Niecałe dwadzieścia dwa juany. Ponieważ nikt nie zareagował, ciągnęła dalej:

– Kiedyś dwadzieścia dwa juany mogłyby wystarczyć, ale nie teraz. Nawet jeżeli dotrwam w pracy do podwyżki emerytury i zaharuję się na śmierć, to i tak będzie za mało. Pomyśl tylko, Mała Szóstko, ten kurs przygotowawczy do egzaminu na wyższe studia pochłania dwadzieścia juanów miesięcznie. I co dobrego z tego przyjdzie? Nie mamy pieniędzy ani powiązań. Nie stać nas na trzymanie cię w szkole.

lemat pieniędzy i emerytury podjęła również poprzedniej niedzieli, twierdząc, że nie ma sensu, abym szła na studia. Jednak tym razem czułam, że mówi poważnie. Chciała, żebym pracowała i przynosiła pieniądze do domu. Płacenie za naukę to wyrzucanie pieniędzy w błoto, no i w żadnym wypadku nie mogą mnie utrzymywać przez następne cztery lata. Poza tym dyplom ukończenia

studiów bez odpowiednich dojść oznacza, że będę musiała „oddać swe usługi na potrzeby Partii”, czyli zostanę wysłana diabli wiedzą gdzie. Choć byliśmy robotniczą rodziną w kraju, w którym podobno rządzi klasa robotnicza, jakoś nigdy nie przypadła nam chociaż cząsteczka tej władzy, mimo że wszystkie dzieci w rodzinie, naturalnie oprócz mnie, pracowały fizycznie. Ponieważ jednak nie wyznaczono ich do najgorszej roboty, czyli kopania piasku nad rzeką, który można było sprzedawać za marne feny, nasza sytuacja ani trochę się nie poprawiała od dnia, kiedy przyszłam na świat. Innym rodzinom w sąsiedztwie powiodło się na tyle, by mogły się wyprowadzić z siedliska, nie oglądając się na nas.

Matka powiedziała, że nie mam pojęcia, jak trudno być rodzicami, jak trzeba sobie urabiać ręce po łokcie dla dzieci, i dodała, że gdyby w domu było trochę dostatniej, ojciec nie byłby dzisiaj na wpół niewidomy. Jeśli mieliby dodatkowe pieniądze, a lekarze w Czungcing nie potrafiliby mu pomóc, mógłby jechać na leczenie do Szanghaju czy Pekinu.

Już jako mała dziewczynka obiecałam sobie, że zrobię wszystko co w mojej mocy, będę gotowa na każde poświęcenie, żeby tylko dopomóc ojcu odzyskać wzrok. Ale teraz żadne słowa nie chciały mi przejść przez usta.

Matka odwróciła spojrzenie, a mnie myśli galopowały w głowie. Z miski przed nami zniknęła prawie cała zupa, na dnie została sama kwaśna kapusta. Matka dała ojcu dokładkę.

– Nie chcę więcej – odezwał się. – Już się najadłem. Jeżeli Mała Szóstka chce się uczyć, to jej pozwól. Sama mówiłaś, że ludzie będą ją lepiej traktować, jeśli zdobędzie wykształcenie. – Ojciec nie był zbyt dobrym mówcą, ale tym zdaniem utrafił w samo sedno.

– Zatrzymaj swoje opinie dla siebie. – Tym razem matka nie zamierzała ustąpić.

Wstałam od stołu i głośno odstawiwszy miseczkę na ryż, rozgniewana poszłam na górę.

2

Nie radziłam sobie, gdy mnie raniono, bo nie potrafiłam odpłacić tym samym. Konsekwencją ustępstw była silna reakcja emocjonalna. Najpierw godzinami nie odzywałam się słowem; po prostu siedziałam ze wzrokiem wbitym w ścianę albo zaszywałam się gdzieś, gdzie nikt nie mógł mnie znaleźć, i wyobrażałam sobie, że jestem odcięta od świata. Potem żal nad samą sobą przemieniał się we wściekły gniew i marzyłam o zemście: o morderstwie, podpaleniu, najokrutniejszej zbrodni, czymkolwiek, nawet o samobójstwie. Pragnęłam, aby moją rodzinę do końca życia zadręczały wyrzuty sumienia, a ja nie kiwnęłabym nawet palcem, ażeby ulżyć jej cierpieniu. Czułam już bezmiar smutku, jaki stałby się udziałem rodziców i rodzeństwa.

Po chwili te myśli wywoływały fizyczny ból, całe moje wnętrze zdawało się eksplodować; wrząca krew napływała mi do żołądka, zalewała przełyk, dławiłam się, a z zaciśniętego gardła wydobywała się odrobina piany o zapachu krwi. Czasami odczuwałam potworny ból jelit, jakby kiszki skręcały mi się w węzły, których żaden lekarz na świecie nie potrafiłby rozsupłać, i zamierzały jednym z końców wyrzucić całą treść. W ustach miałam kwaśny, przykry zapach, który bił z żołądka. Biegłam wówczas, ogarnięta paniką, do małej szafeczki, gdzie ojciec trzymał takie cudowne specyfiki, jak złoty eliksir z kory cynamonu, kamień żołądkowy służący za odtrutkę czy esencję z forsycji.

Ojciec pytał, co się ze mną dzieje, a ja odpowiadałam, że coś mi zalega w żołądku. Patrzył wtedy na mnie z niepokojem i pomagał wybrać środek, który najlepiej ugasi wewnętrzny ogień, uśmierzy pieczenie i zneutralizuje kwasy. Odchodziłam, gdy tylko wręczył mi lekarstwo, bo nie miałam ochoty wyjaśniać, dlaczego znowu boli mnie żołądek.

Po jakimś czasie ojciec wspinał się na poddasze, żeby sprawdzić, czy lepiej się czuję.

Nie przejmuj się tym, często powtarzał, taka się urodziłaś. I tak miałaś szczęście, że przyszłaś na świat pod koniec klęski głodu. Ale nawet wtedy trudno było zdobyć jedzenie. Twój żołądek wyrównuje rachunki za niedożywienie w łonie matki. Nie masz pojęcia, przez co musieliśmy przejść, żeby uchronić twoją matkę, a co za tym idzie, również i ciebie, od śmierci głodowej.

Wyliczyłam, że matka zaszła ze mną w ciążę w zimie 1961 roku, czyli ostatniej ponurej zimy trzyletniego wielkiego głodu. Nawet w Syczuanie, najbogatszej rolniczej prowincji kraju, którą często nazywano Niebiańskim Spichlerzem, zmarło co najmniej siedem milionów ludzi, co oznacza, że co czwarta ofiara klęski głodu w kraju

pochodziła z tego regionu. Większość ludzi pomarła w śnieżne zimy 1959, 1960 oraz 1961 roku, a także wiosną roku 1962, kiedy to „zielone się nie zażółciło".

Zawsze intrygowała mnie owa tragiczna klęska głodu, jakby moje życie w jakiś mistyczny sposób było z nią powiązane i czyniło mnie inną od pozostałych ludzi: wydawało mi się, że to właśnie ona ponosi winę za moje słabe zdrowie i melancholijne usposobienie, które nie należały ani do mego poprzedniego życia, ani do obecnego, lecz jedynie wbiły się klinem w długi, cienki wiszący most, który je łączył. Kiedy wkroczyłam na ten most, jakiś zły wiatr zmienił mnie w coś, co nie do końca było człowiekiem.

Pewnego razu spytałam nauczyciela historii o klęskę głodu, która zakończyła się po moim przyjściu na świat. Pobladł i odwrócił wzrok. Przestraszona zapytałam, co mu się stało. Zamiast odpowiedzieć, zerwał się z krzesła, podbiegł do okna i stojąc tam, szarpał obiema rękami włosy, próbując się uspokoić.

– Nie ufaj własnemu ciału – wymamrotał. – i nie wierz swoim kościom. Wrzuć kamienie do żołądka, a kiedy gorący popiół zacznie syczeć, ochronimy cię przed niebezpiecznymi siłami raju.

Byłam w szoku, bardziej wstrząsnęły mną jego dziwne słowa niż świadomość, że zmarły wtedy dziesiątki milionów ludzi.

Kiedy po długim czasie odzyskał równowagę, dowiedziałam się, że to właśnie wtedy uznano go za publicznego wroga Partii Komunistycznej. Wszystko zaczęło się od listu, który wysłał do Rządu Centralnego. Opisał w nim cierpienia ludności Syczuanu spowodowane rosnącym głodem. Nie miał wtedy nawet dwudziestu lat, mnie jeszcze w ogóle nie było na świecie. List odesłano do lokalnych organów bezpieczeństwa, które natychmiast przypięły mu łatkę „prawicowego oportunisty" i wsadziły go do więzienia. A przecież w swoim liście napisał jedynie, że za głód są odpowiedzialni partyjni funkcjonariusze, których interesuje wyłącznie własna kariera i dlatego przypochlebiają się swoim zwierzchnikom, w ogóle nie dbając o ludzi. Od lat przesyłają lukrowane raporty o rekordowych zbiorach i żaden z nich nie czuje się odpowiedzialny za choćby jeden zgon.

Strach i czasowa amnezja sprawiły, że większość Chińczyków nie poruszała tych tematów. Z wielką skwapliwością okazywali wielkoduszność i pobłażliwość.

Jedynie cienka warstwa skóry na brzuchu mojej matki dzieliła mnie od głodu. Przez dwa lata poprzedzające moje narodziny matka głodowała, aby wykarmić pięcioro dzieci. Miesięczna racja żywnościowa w naszym mieście wynosiła trzynaście kilo ziarna na dorosłą osobę, z czego jeden kilogram odejmowano jako „dobrowolną" darowiznę dla Rządu Centralnego, następne kilo szło

dla władz prowincji, kolejne do władz miejskich, a jeszcze jedno do zakładu pracy, co oznaczało, że tak naprawdę pozostawało dziewięć kilogramów ziarna na głowę, przy czym tylko trzy stanowił ryż, a resztę kukurydza, soja i grubo mielona mąka pszenna. Wcześniej mieszkańcy Syczuanu nie znali głodu. Klęski głodu przytrafiały się ludziom w północnym biegu Żółtej Rzeki i rzeki Huaj-ho, gdzie woda w dużym stopniu wypłukała żółtoziem. Na żyznych terenach nad rzekami Jangcy i Cialing zboże rosło jak włosy na głowach młodych ludzi: szybko i bujnie.

Cała piątka dzieci w naszej rodzinie była w okresie gwałtownego wzrostu, kiedy wiecznie brakowało jedzenia. Jeśli jesteś głodny, nie ma problemu; idziesz i kupujesz drogi płaski placek po dwa ju-any za sztukę, czyli za równowartość dwóch robotniczych dniówek. Nawet gdy oszczędzasz każdego fena z miesięcznych wydatków na te placki, na każde z dzieci przypada nie więcej niż połowa. Tylko w święta, nie chcąc, aby te dni przeszły niezauważone, rodzice kupowali taki placek i dawali każdemu z nas po kawałeczku.

Co parę dni w okolicy zjawiała się policja i zabierała w kajdankach któregoś z sąsiadów, oskarżonego o kradzież w państwowych spichrzach. Wyrok opiewał dziesięć lat albo i więcej. Ludzie padali jak muchy, ale spichrze musiały być pełne na wypadek nieustannie grożącej nam wojny z sowieckimi rewizjonistami lub amerykańskimi imperialistami.

Nie przesadzę, jeśli powiem, że na samej tylko alei Strumienia Kotów jakieś siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt procent rodzin obwiniono o drobne kradzieże i inne przestępstwa. Podczas tej nieustannej walki o napełnienie żołądka mało kto mógł uderzyć się w piersi i powiedzieć: „Jesteśmy czyści jak łza". Na przykład w jednej rodzinie z naszego siedliska trzech z czterech synów odsiedziało wyroki. Po kolei szli do więzienia, a całą ich winą było pragnienie ratowania bliskich przed śmiercią głodową.

Zieleninę także wydzielano po kilkanaście dekagramów na dzień, wliczając do racji zewnętrzne liście kapusty, by ludzie się o nie bili. Racjonowano nawet wytłoki z soi, pozostałość po produkcji tofu. Z miazgi orzeszków ziemnych, z których wcześniej wyciśnięto olej, formowano duże placki; ten przysmak można było zdobyć jedynie dzięki znajomościom. Jedyną jadalną rzeczą, jaką pozwalano ludziom zbierać bezkarnie, były liście i młoda kora wiązów, którą potem mełli na papkę. W ciągu tych trzech lat wyginęły ogromne ilości syczuańskich drzew; umierały, całkowicie odarte z kory. Dzieci, zaopatrzone w bambusowe koszyki czy plecaki, wyzbierały do czysta źdźbła trawy i grzyby rosnące na zboczach gór; szpitale nie były w stanie pomieścić maluchów zatrutych niejadalnymi grzybami.

Moja najstarsza siostra zabierała pozostałe dzieci do pobliskiej wsi

na poszukiwanie dzikiej cebuli, którą trudno było odróżnić od zwykłych chwastów. Kazała im przeszukiwać wysokie trawy, a sama szła na pola podkradać warzywa. Lecz wieśniacy czujnie strzegli swych żałosnych zbiorów i kiedy ją wytropili, przeganiali kijami. Czasami jednak udawało się jej wrócić z kilkoma mizernymi łodyżkami.

Trzeci Brat odmówił udziału w wyprawach po dziko rosnące warzywa, bo unikał kontaktu z rówieśnikami gorączkowo przeszukującymi zbocza gór i pola wieśniaków. Nie dołączył też do ludzi, którzy próbowali szczęścia z wędką na nabrzeżu. Dla niego rzeka była źródłem pożywienia. Nie przerażała go nawet najzimniejsza woda, kiedy dostrzegł w niej coś, co wydawało się jadalne. Skakał po obierki z warzyw, wodorosty, skórki od melona, cokolwiek się nadarzyło. Był wytrwałym pływakiem, nic nie było go w stanie powstrzymać, kiedy zmierzał do celu. Pochwyciwszy zdobycz, wracał na brzeg i zanosił ją do domu, a matka to myła, okrawała ze zgnilizny i wrzucała do woku. Zdarzało mu się wyłowić znoszony plastikowy sandał; szedł wtedy do punktu skupu materiałów wtórnych i sprzedawał go za parę fenów.

Lecz nie zawsze sprzyjało mu szczęście. Przeważnie woda niosła jedynie muł i wtedy zjawiał się w domu z pustymi rękami ku złośliwej satysfakcji Dużej Siostry. Ale i tak miał więcej szczęścia od innych dzieci, które nigdy nie powróciły z wypraw po jedzenie. Woda spływająca ze śnieżnych szczytów Cinghaj sprawiała, że rzeka przez cały niemal rok była lodowata, i jeżeli pływaka złapał skurcz, dotarcie do brzegu graniczyło z cudem, bo prędzej czy później wciągał go wir. Osłabione z głodu wyrostki nie miały szans.

Naturalnie ten, komu udało się przynieść do domu jedzenie, dostawał podczas posiłku największą porcję. Pewnego razu Trzeci Brat wrócił z kilkoma liśćmi rzepy, chodził po domu dumny jak paw, a kiedy nadeszła pora jedzenia, dosłownie rozpierała go radość.

Każde dziecko siedziało ze wzrokiem wbitym w miseczkę, bojąc się, że dostanie o kęs mniej, niż mu się należało. Czasem któreś usiłowało zagarnąć nieco więcej strawy, przez co wybuchały piekielne awantury, a nawet bójki. Moja najstarsza siostra, największa z gromadki, zawsze wychodziła z nich zwycięsko. Zdarzało się, że ojciec wracał z łodzi w trakcie takiej kłótni i wtedy kładł jej kres za pomocą bambusowego kija. Miał do tego prawo, bo jadł najmniej ze wszystkich.

3

W miejskim ogrodzie zoologicznym trzymano południowochińskiego tygrysa, niezwykle rzadkie i drogie zwierzę, należące do jednego z najbardziej zagrożonych gatunków na świecie. Dozorcy kazano go karmić żywą zwierzyną. Dookoła głodowali ludzie, lecz skoro w całej prowincji był tylko jeden taki tygrys, jemu należało się pierwszeństwo, podobnie jak kadrze politycznej wyższego szczebla przysługiwało pierwszeństwo przed średnią, i tak dalej, i tak dalej, aż do samego dołu drabiny społecznej. Opiekun tygrysa, drobny, przygarbiony mężczyzna, bardzo polubił drapieżnika. Był jedynym człowiekiem, któremu zwierzę pozwalało się do siebie zbliżyć. Gdy w razie choroby zastępował go czasowo jakiś inny dozorca, to musiał przerzucać jedzenie przez wysoki płot, aby uniknąć ataku. Czasem ludzi przerażało agresywne zachowanie tygrysa, kiedy właściwy opiekun zbliżał się do klatki; ale on wiedział, że jego pupilek tylko udaje, okazując w ten sposób przywiązanie. Dozorca był wzorowym pracownikiem zoo.

Nadeszła klęska głodu i opiekun tygrysa cierpiał tak samo jak wszyscy. Udało mu się jakoś przetrwać pierwszy rok, ale w drugim zaczął podbierać z tygodniowej racji tygrysa po jednym króliku, którego zabijał, gotował i zjadał. Gdy pewnego dnia tygrys rozszarpał dozorcę na kawałki, ludzie uznali, że uczynił to nie z głodu, ale ponieważ poczuł od niego zapach króliczego mięsa. Jednak to nie wyjaśnia, dlaczego, zjadając dozorcę, pozostawił jedną stopę. Po kilkudniowym śledztwie policja doszła do wniosku, że zwierzę w ten sposób ostrzegło następnego opiekuna, aby trzymał się z daleka od jego mięsa.

la historia krążyła między ludźmi przez jakiś czas, a potem o niej zapomniano; według mnie miała ona morał natury politycznej. W końcu tygrys również padł z głodu, a gdyby opiekun nie został wcześniej zjedzony, zapewne podzieliłby jego los.

Ludzie bez uprzywilejowanej pozycji radzili sobie, jak mogli. Na łodzi ojca każdy z marynarzy pokładowych dostawał rano trzy dekagramy ryżu na kleik na śniadanie, ponadto sześć deka na obiad i tyle samo na kolację. Najpierw ważono przydział, potem gotowano ryż, a gdy stawał się na wpół miękki, dolewano do pełna wody, bo wtedy napęczniałe ziarenka wchłaniały jej więcej i można było lepiej oszukać żołądek. Kiedy ryż się gotował, marynarze ani na chwilę nie schodzili z pokładu, czujnie obserwując się nawzajem, czy przypadkiem coś się komuś nie przylepi do palców.

Dzięki temu, że wciąż byli w ruchu, pracujący na łodzi mieli okazję wchodzić w podejrzane, aczkolwiek pożyteczne układy. Za

każdym razem, gdy zawijali do portu, udawali się na poszukiwanie czegoś, co w danym miejscu można było zdobyć, a potem sprzedawali to w następnym porcie, zatrzymując zysk dla siebie. Nieodmiennie dochodziło do kłótni między tymi, którym się powiodło, a tymi, którym się nie udało, po czym ci drudzy donosili 'na pierwszych. Kara była błyskawiczna i surowa: delikwent z miejsca tracił pracę, co oznaczało większy przydział ryżu dla pozostałych członków załogi.

Ojciec był nazbyt przyzwoitym człowiekiem, aby bezwzględnie walczyć o swoje, więc nawet takie mało nadające się do jedzenia rośliny jak kolczaste kaktusy były poza jego zasięgiem. Kiedy kwitły palmy, niezłą zdobycz stanowiły ich duże stożkowate kwiaty, ale zawsze ktoś bywał szybszy od ojca. W najlepszym wypadku udawało mu się naciąć korzeni palmowych drzew; gotował je, żeby straciły goryczkę, i kroił w plastry. Smakowały okropnie, lecz i tak były znacznie lepsze od niektórych rzeczy, jakimi ludzie usiłowali zasycić głód. Myśl o matce, poszukującej z pięciorgiem drobiazgu jadalnych roślin w górach, zwiększała jego determinację, by jeszcze bardziej zacisnąć pasa i jeść ledwie tyle, żeby przeżyć, a resztę przynieść do domu.

Pewnego dnia ojciec poślizgnął się, wychodząc z kabiny, i upadł na główny pokład. Uderzył o niego głową, a kiedy próbował wstać, stoczył się do wody. Krew trysnęła z ciętej rany na głowie, ale do szpitala trafił dopiero, gdy przepłynęli z Ipin do Luczou. Badanie wykazało, że doszło do poważnego uszkodzenia wzroku.

Tamtej głodowej zimy matka musiała pracować jako tragarz w fabryce plastikowych sandałów, mimo że była ze mną w ciąży. Ciężka praca i konieczność utrzymania mnie przy życiu powinna dawać jej prawo do większych porcji. Ale nie, moi bracia i siostry wcale tak nie uważali, szczególnie że w grę wchodził ktoś jeszcze nienarodzony. W tamtych potwornych czasach przeze mnie zmuszeni byli do wyrzeczeń, których – jak uważali – cierpieć nie powinni. Prawdopodobnie w miarę upływu lat te ich myśli się zatarły, lecz zadra w sercu pozostała. Zawsze czułam, że mają do mnie pretensję, choć nie wiedziałam o co.

Byłam tak zagłodzona w łonie matki, że w ogóle się nie poruszałam, co ją dziwiło, a zarazem napawało niepokojem. Na świat przyszłam w Klinice Matki i Dziecka w centrum Czungcing. Powiedziała, że wody odeszły jej akurat w chwili, gdy przechodziła obok wejścia do kina, w którym wyświetlano Czerwony oddział znad jeziora Hung – pean na cześć przywódczyni komunistycznych partyzantów. Usiłowała iść dalej, ale z powodu skurczów musiała przysiąść na krawężniku. Jacyś wrażliwi przechodnie, widząc, że jest w ciąży i cierpi, pomogli jej dojść do kliniki.

Ze wszystkich dzieci ja jedna przyszłam na świat w szpitalu.

Wcześniej matka radziła sobie sama – odcinała pępowinę, myła noworodka i owijała go w powijaki. Jednak w moim przypadku, kiedy wyliczyła, że się spóźniam, ze strachu, iż mogę urodzić się martwa, postanowiła trzymać się blisko centrum miasta. Po porodzie długo nie wydawałam z siebie głosu, w końcu lekarz uniósł mnie za stopy i dał klapsa w pupę, i wtedy z mego gardła wydobył się śluz, a zaraz po nim pierwszy słaby płacz.

4

Wszyscy powtarzali, że miałam szczęście, rodząc się pod koniec lata 1962 roku. Dobre plony położyły kres klęsce głodu, która trwała trzy lata i zebrała żniwo w postaci dziesiątków milionów ludzkich istnień, a tych, którzy przeżyli, zmusiła do kanibalizmu. W tamtym czasie, w przeciwieństwie do innych lat maoistowskiej ery, pieśni wychwalające komunizm nie brzmiały już tak gromko.

Kiedy wreszcie zaczynałam rozumieć, co się wokół mnie dzieje, a na stoły powróciło jedzenie, Mao Tse-tung z zapałem przystąpił do nowego eksperymentu, znanego pod nazwą Wielkiej Proletariackiej Rewolucji Kulturalnej. Wszyscy mówili, że mam szczęście, bo głód nauczył Mao, że istnieją nieprzekraczalne granice i jeśli nie przestanie deptać narodowi po żołądku, w kraju może dojść do anarchii. Podczas rewolucji kulturalnej pozamykano fabryki i szkoły, ale rolnicy nadal uprawiali pola. Oczywiście dalej brakowało żywności, wszystko racjonowano, niedożywienie wśród dorosłych i dzieci było powszechne, rzadko jednak dochodziło do masowych przypadków śmierci głodowej. Skoro zatem ludzie musieli spędzać większość czasu na poszukiwaniu żywności, konsumując wszystko, co było bardziej lub mniej jadalne, brakowało im już energii na wzniecanie zamieszek.

Głód stanowił moją embrionalną edukację. Matka i córka przetrzymały próbę, lecz piętno widma głodu na zawsze odcisnęło się na moim umyśle. Nie miałam odwagi sobie wyobrazić, jak bardzo matka musiała się poświęcać i ile wycierpiała, żeby utrzymać mnie przy życiu.

Sprawiałam wrażenie spokojnej młodej osoby, ale to były tylko pozory. W głębi duszy przeżywałam tortury, bo miałam poczucie, że jestem niepożądana, chociaż nie wiem, skąd się ono u mnie wzięło. Czasami nawet wolałabym, aby tamten nieznajomy -człowiek, który mnie śledził – nie odchodził; szczerze mówiąc, pragnęłam, żeby był okrutny i posunął się do czegoś tak potwornego, co by sprawiło, że ludzie już na samą myśl o tym dostawaliby dreszczy ze strachu. Przynajmniej nie byłabym dłużej niepożądana. Taki koniec by sprawił, że zostałabym dostrzeżona. Byłam podekscytowana, kiedy nachodziły mnie takie myśli.

Noc w noc śniły mi się koszmary; budziłam się z krzykiem, zlana potem, jak w ciężkiej chorobie. W moich snach zawsze byłam głodna i nie mogłam znaleźć swojej miseczki na ryż, chociaż czułam zapach jedzenia. Zaczynałam cicho szlochać. Z nadzieją, że nikt mnie nie słyszy, szukałam dalej, gotowa paść na kolana przed każdym, kto miał miseczkę ryżu. Za kawałek pachnącej duszonej wieprzowiny bez wahania rzuciłabym się do stóp komuś, kto by mnie obrażał i poniżał.

A potem się budziłam i myśląc o swoim śnie, byłam zła na siebie, wręcz zaczynałam siebie nienawidzić. Nie mogłam pojąć, skąd się u mnie bierze taka silna fizyczna potrzeba.

Nie urodziłaś się taka, powtarzałam w duchu. Nie wiesz, co się działo w twoim życiu płodowym; jak możesz cierpieć z powodu urazu po przeżyciach, które nie były twoim udziałem? Lecz jak w takim razie należy tłumaczyć moje zachowanie? Na przykład byłam ogromnie wyczulona na smak jedzenia. Nie byłam już dzieckiem, a ciągle myślałam o jedzeniu i wiecznie czułam się głodna. Obojętnie ile bym jadła, pozostawałam chuda jak szczapa. Wystarczył zapach ryżu smażonego z jajkami, płynący z kuchni sąsiadów, a ślina sama napływała mi do ust. Nie interesowały mnie drobne przekąski, z niechęcią patrzyłam na dzieci w szkole, które wyrzucały na nie pieniądze. Lecz tłusty kawałek wieprzowiny to zupełnie inna sprawa. Puszczając wodze fantazji, widziałam siebie jako dorosłą, dobrze sytuowaną osobę, którą stać na mięso do wszystkich posiłków.

Bardzo łatwo było mnie urazić. Mocno przeżywałam najmniejszy nietakt, który po innych spłynąłby jak woda po gęsi. A kiedy moje uczucia zostały zranione, nic nie pomagało, jakkolwiek bym się starała.

Wiedziałam, że nie jestem silna ani agresywna i że nie mam ostrego języka. Samo przebywanie wśród ludzi kosztowało mnie dużo nerwów. Gdziekolwiek się znalazłam, czy to w szkole, czy w domu, czy też w grupie rówieśniczek, zawsze byłam najchudsza, miałam najmizerniejszą twarz i włosy najbardziej przypominające druty. Więc nieodmiennie kryłam się w kącie, żeby zejść ludziom z oczu i nie dawać im pretekstu do zaczepki, bo wiedziałam, że dla nich najlepszym sposobem na poprawienie sobie samopoczucia jest zabawa moim kosztem.

Czy skutki klęski głodu mogą kłaść się cieniem na czyjeś życie, choć upłynęło osiemnaście lat? Ludzie zaledwie parę lat starsi ode mnie cierpieli głód, a moi rówieśnicy poznali go w łonie matek. Więc jakże mogli być tacy szczęśliwi? Jakim sposobem udało im się o tym zapomnieć i korzystać z przywilejów młodości? Cieszyli się życiem, kochali je, podczas gdy ja wiecznie byłam melancholijna i nieszczęśliwa.

Czyżby moje doświadczenia różniły się od przeżyć innych ludzi, a jeśli tak, to co to mogło być?

Kiedy zapytałam matkę o tamte czasy, usłyszałam jedynie: – Ach, tak. Nic wielkiego. Po prostu trzy lata słabych zbiorów. Zagrożenie ze strony sowieckich rewizjonistów i amerykańskich imperialistów. Zgodny antychiński chór. I to wszystko. Ale bezpiecznie przeprowadziliśmy przez to wszystko całą waszą niewdzięczną gromadkę, prawda? Po co wracać do spraw, które dawno zostały

zamknięte?

Jednak chłodna rezerwa matki jeszcze bardziej podsycała moją ciekawość. Jak ona, kobieta tragarz, jedna z tych, które w Czung-cing nazywano drągowymi, przetrwała tamten potworny okres? Kogo obchodził jej los? Była zdana wyłącznie na siebie. Być może wkradła się w łaski osoby rozdzielającej porcje w stołówce Komuny Ludowej i dzięki nieco głębszemu zanurzeniu chochli dostawała trochę gęstszy kleik z ryżu niż inni? A może flirtowała z mężczyzną wydającym warzywa, który jednym szybkim ruchem nadgarstka dokładał kilka cienkich łodyżek do należnej doli? Podczas klęski głodu wszystkie oczy błyszczały z chciwości i w mig wybuchały awantury o każdy grosz. Stołówka Komuny Ludowej była tym miejscem, gdzie ubijano interesy, i jeśli się znało sposoby, można było uchronić przed głodem nawet nienarodzone dziecko. Istniał tylko jeden poważny problem: za stołówkę nieodmiennie odpowiadał antypatyczny, w stu procentach godny zaufania członek partii, więc jaką szansę na dodatkowe zyski miała rodzina pozbawiona wszelkich koneksji, taka jak nasza?

Najstarsza siostra wielokrotnie się użalała, że zawsze dostaje najrzadszy, najcieńszy kleik, który bardziej przypomina wodę niż jedzenie, i na nic się zda wystawanie w stołówce i płacz. Więc w drodze do domu połowę wypijała, wtedy reszta braci i sióstr biegła do stołówki z piekielną awanturą, ściągając gromadę gapiów, przez co rozdzielający nie miał wyboru i musiał dołożyć trochę ryżowej papki.

– To twoja wina, że ludzie tak nas traktują! Jeszcze trochę, a wszyscy staniemy się bandą zagłodzonych duchów! – Duża Siostra zawsze miała niewyparzony język, a przecież nie powinna tak się odzywać do matki.

A matka, czerwona z gniewu, ledwo chwytała oddech. Jednak nigdy się nie odcięła. Dlaczego za każdym razem, gdy wspominano okres wielkiego głodu, nabierała wody w usta, nawet jeśli się na niej wyżywano? Czy posunęła się do czegoś, o czym nie mogła mówić?

5

Następnego ranka w szkole moje myśli krążyły wyłącznie wokół stwierdzenia matki, że kiedy przestanie pracować, będzie dostawać żałośnie niską emeryturę.

A co ze mną? Czy powinnam postąpić zgodnie z jej wolą? Jeżeli zrezygnuję z zajęć przygotowujących do egzaminów wstępnych, nie będę miała powodu, by dłużej chodzić do szkoły, i nie zobaczę więcej nauczyciela historii. Ta myśl bolała mnie najbardziej. Lecz jeśli zostanę w szkole, skąd wezmę książki i zeszyty w tym semestrze, nie wspominając już o następnym? Nie mogłam prosić matki o pieniądze. Prawdopodobnie można pożyczyć podręczniki w szkole, ale co z zeszytami? Gdy tak się nad sobą użalałam, przyszła mi na myśl niska renta, jaką ojciec otrzymywał za inwalidztwo. Kurza ślepota była chorobą zawodową, więc ojcu należało się sto procent poborów. Gdybym potrafiła to jakoś załatwić, ojciec dostałby spłatę za kilka lat wstecz, a mnie by się coś niecoś z tego należało, czyż nie?

„Nie możemy sięgnąć do nieba ani stać nogami na ziemi. Nawet diabeł nie zagląda w takie zakazane miejsce" – zwykła mawiać nasza sąsiadka o Południowym Brzegu. Stąd wszędzie było daleko – do szpitali, do składnic węgla, rynków, teatrów, na pocztę; aby udać się dokądkolwiek, musieliśmy wspinać się kilkaset metrów pod górę albo pokonać podobną odległość, schodząc w dół. Załatwianie jakichkolwiek formalności łączyło się z planowaniem długiej i uciążliwej wyprawy. Tak więc pokonanie rzeki i dotarcie do centrum miasta było dla mnie nie lada wyczynem.

W 1980 roku zakończono w Czungcing budowę mostu przez Jangcy, który połączył centrum z Południowym Brzegiem, więc jego mieszkańcy świętowali radośnie, nazywając tę inwestycję „wielką zdobyczą socjalizmu". Sądzili, że odtąd oni również będą uważani za prawdziwych rezydentów Czungcing. Ale wkrótce mieli się przekonać, że dla nich, skazanych na życie w slumsach na zboczach prawego brzegu, wyprawa do miasta nadal oznaczać będzie pieszą wędrówkę drogami na szczyt wzgórza, a nie okrężną podróż autobusem. Jazda autobusem zabierała więcej czasu, a w dodatku była droższa. Tak więc most na niewiele się zdał. Z autobusu korzystaliśmy jedynie wtedy, gdy z powodu mgły lub powodzi nie kursowały promy. Przeprawa promem trwała krócej i mniej kosztowała. Czyli w sumie nic się nie zmieniło.

Dochodziła trzecia po południu, kiedy znalazłam biuro Okręgowego Przedsiębiorstwa Promowego, w którym kilku typowych przedstawicieli kadry partyjnej, siedząc przy biurkach, czytało gazety i popijało herbatę. Jeden z urzędników rozmawiał przez telefon.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi ani nie raczył odpowiedzieć na moje pytania, więc weszłam do środka i oznajmiłam, że jestem dzieckiem emerytowanego pracownika i chcę się dowiedzieć, dlaczego mój ojciec nie otrzymuje pełnej renty inwalidzkiej. Ponieważ nadal mnie ignorowano, powtórzyłam moją kwestię jeszcze raz. Urzędnik przy telefonie zakończył rozmowę, zbliżył się i zmierzył mnie wzrokiem.

– I kogóż my tu mamy? – odezwał się z przesadną uprzejmością. – Małą dziewczynkę, która przyszła zapytać o rentę ojca. Wracaj do domu, dziecko. Wykonujemy swoją pracę zgodnie z wytycznymi partii i dyrektywami Rządu Centralnego. Nie może być mowy o pomyłce.

Czułam, jak dzwonią mi zęby; ze wzrokiem utkwionym w blat stołu, nie patrząc na mężczyznę, wyrzuciłam z siebie przygotowaną wcześniej przemowę: mój ojciec nie tylko nie dostaje renty inwalidzkiej, ale również jego staż pracy został błędnie obliczony. Widnieje w spisie pracowników od roku 1949, czyli od wyzwolenia, ale faktycznie pracował w tym przedsiębiorstwie jeszcze przed 1945 rokiem, kiedy Komunistyczną Partię Chin łączyło z Kuomintangiem przymierze w sprawie jednolitego frontu walki przeciwko Japończykom. To wszystko jest udokumentowane.

Zanim skończyłam wyłuszczać moją sprawę, znad burka podniósł się gładko ogolony mężczyzna, który dotąd popijał herbatę.

– Jesteś jeszcze bardzo młoda, jednak nie brakuje ci odwagi - zauważył, spoglądając na mnie spod oka. – Chodź, pozwolę ci zajrzeć do dokumentów, ale jak już je sobie obejrzysz, zmykaj do domu i więcej nie zawracaj nam głowy.

Wyjął kluczyk, otworzył małą szafkę, wyciągnął teczkę z wysokiej sterty i tak długo przerzucał dokumenty, aż natrafił na to, czego szukał.

– Masz, sama zobacz! – Otworzył mały notatnik.

Spojrzałam tam, gdzie wskazał mi palcem. Oniemiałam z wrażenia! „Po zakończonym powodzeniem leczeniu syfilisu wzrok paq ˚enta uległ pogorszeniu”. Mój ojciec, który nie pozwala żadnemu z dzieci używać brzydkich wyrazów… czy to możliwe, żeby on… z inną kobietą?! Nie, w jego sercu było miejsce wyłącznie dla matki. Jak można mu przypisywać taką chorobę?!

– To nieprawda! – krzyknęłam. – Na całym świecie nie ma człowieka porządniejszego niż mój ojciec!

Politrucy wymienili spojrzenia i wybuchneli śmiechem.

Nic z tego nie rozumiałam. Dzień w dzień, noc w noc przez tyle lat ojciec przebywał na statku. To właśnie tam, kiedy wpadł do rzeki, zaczęły się problemy ze wzrokiem. O mało nie przypłacił wypadku życiem, powinien dostawać pełną rentę.

– Ojciec nie otrzymuje tego, co mu się należy. Proszę mi pomóc

wyjaśnić tę sprawę – odezwałam się cicho, błagalnym głosem.

– Którym z kolei dzieckiem jest ta bezczelna mała dziewczynka? – zapytał jeden z urzędników.

– Zdaje się, szóstym.

– Ach, szóstym! – Jego śmiech zabrzmiał ironicznie, kiedy zmierzył mnie wzrokiem, którym zdawał się przewiercać na wylot.

Ci ludzie zajmowali się dziesiątkami tysięcy spraw, a mimo to wiedzieli o moim ojcu więcej niż ja. W ich szafce z aktami personalnymi spoczywały losy mnóstwa robotnic i robotników.

Byłam zdruzgotana, z całej siły powstrzymywałam łzy. Kiedy wychodziłam, towarzyszył mi strach. Jak ludzie mogli mieć tyle sekretów? Tajemnic, które mogły wstrząsnąć mną do głębi, jeśli przez przypadek je odkryję.

IV

1

Po obiedzie siedziałam przy stole pogrążona w myślach, wodząc wzrokiem za braćmi i siostrami.

– Mała Szóstko! – odezwała się matka. – Nie podoba mi się twoja mina. Powinnaś się cieszyć, że żyjesz. Tylko to się liczy w przypadku kogoś z twoim pochodzeniem. Więc pogódź się z losem. – Siedziała na łóżku i zszywała rozdartą poduszkę.

Nie widziałyśmy się od kilku dni, a ją nadal nurtował ten sam problem: egzaminy wstępne nie szły w parze z moim pochodzeniem.

– Nie musisz mnie utrzymywać, jeżeli nie chcesz – odparłam naburmuszona. – Ale po co te brednie o życiu i śmierci?

– Bo do tego wszystko się sprowadza – podsumowała. – Twoja trzecia ciotka, a moja kuzynka, bliższa mi od rodzonej siostry, nie przeżyła, prawda?

Matka opowiadała, że kiedy wiosną 1960 roku po raz ostatni poszła z ziołami na Kamienne Zbocze, żeby wykąpać Trzecią Ciotkę, znalazła ją w łóżku z puchliną głodową. Skórę miała niemal przezroczystą, a opuchnięta twarz przypominała lampion z pergaminu.

Mąż ciotki był właścicielem małego sklepu rzeźnickiego, który prowadził wraz z pomocnikiem, i całkiem nieźle mu się powodziło. Jednak na początku lat pięćdziesiątych nie mógł już dłużej zatrudniać pracownika, a na dodatek sklep przekształcono w spółkę państwowo-prywatną. W1957 roku trafił do więzienia, bo powiedział w herbaciarni, że za rządów komunistów wszystko jest wspaniałe, ale przed wyzwoleniem lepiej mu się żyło. Ktoś na niego doniósł, a podczas śledztwa wyszło na jaw, że kiedyś należał do stowarzyszenia religijnego. W rezultacie uznano go za „wrogi element" i wysłano na resocjalizację do obozu pracy.

Ciotka, aby jakoś przetrwać i jeszcze wykarmić dwóch małych synków, została tragarzem. Obaj chłopcy i tak umarli, a praca okazała się ponad jej siły, więc żywiła się warzywami porzuconymi na rynku, a kiedy mogła, brała pranie do domu.

Matka przeprawiła się przez rzekę i poszła odwiedzić ciotkę, jak tylko się dowiedziała o jej chorobie. Tamta przywitała ją ze łzami w oczach, z trudem siadając na łóżku. Spójrz na mnie, kuzynko, powiedziała, chwytając przybyłą za rękę. Nie doczekam powrotu męża.

Nie zwlekając, matka ugotowała zupę z soi, powszechnie bowiem uważano, że jest bardzo pożywna. Lecz Trzecia Ciotka jej nie tknęła. Masz dużą rodzinę do wykarmienia, powiedziała. Zabierz zupę do domu. Wychodząc, matka zostawiła mączkę sojową i nawet przez

myśl jej nie przeszło, że ciotka wkrótce umrze.

Jakiś czas później, którejś zimowej niedzieli, chudy mężczyzna o zapadniętych policzkach dowlókł się do naszych drzwi. Matka była akurat w korytarzu, ale go nie poznała. Dopiero kiedy podszedł bliżej i nazwał ją Drugą Kuzynką, dotarło do niej, że ma przed sobą męża Trzeciej Ciotki. Cztery lata temu skazano go na siedem lat resocjalizacji poprzez pracę. Matka, w szoku, zapytała, jak udało mu się opuścić obóz trzy lata przed terminem.

A on, zamiast usiąść na stołku, który dla niego przyniosła, przycupnął na progu. Kiedyś uwielbiał się śmiać i opowiadać przeróżne historie; potrafił zachować kamienną twarz, gdy wszyscy wokoło pokładali się ze śmiechu. Obsesyjnie schludny i czysty, zawsze miał starannie uczesane włosy. Teraz, w łachmanach, z trudem unosił powieki. Wyglądał jak jakiś anemiczny chwast, bezbarwną skórę pokrywały liczne blizny, a w dodatku usiadł na progu, czego w przeszłości nigdy by nie zrobił.

Wyjawił matce, że w obozie pracy nie mieli co jeść, nie było nawet dziko rosnących warzyw. Zniknęły wszystkie wróble i szczury – większość ich upolowali wieśniacy z okolicznych wsi, którzy poruszali się sprawniej od skazańców. Najpierw śmierć dosięgła ludzi starych i schorowanych, a ci, co pozostali, byli zbyt słabi, aby ich pogrzebać. Więc władze wypuściły go przed terminem i nakazały wrócić do Czungcing, gdzie miał pozostawać pod nadzorem lokalnej administracji.

Ona odeszła, powiedział. Dlaczego nie wytrzymała paru miesięcy dłużej? Matka przeżywała tortury, zastanawiając się, jak mu powiedzieć, że Trzecia Ciotka umarła z głodu, ale on już o tym wiedział.

Wyznał, że nie ma dokąd pójść. Ponieważ jego dom opustoszał, władze przydzieliły trzypokojowe mieszkanie innej rodzinie oraz skonfiskowały meble. Oczywiście nowi lokatorzy nie mieli ochoty przyjąć go do siebie.

Zanim Trzeci Wuj zdążył dokończyć swoją opowieść, matkę wezwano do kuchni, gdzie czekała ją konfrontacją z grupą uświadomionych politycznie sąsiadów. Z miejsca przeszli do rzeczy: wykluczone, aby w tym siedlisku udzieliła schronienia skazańcowi z obozu pracy! A jeśli spróbuje, to i tak nie uda się jej załatwić ani zameldowania, ani przydziału racji. Skąd brać jedzenie dla kogoś, kto powinien być martwy? Niech idzie swoją drogą, im prędzej, tym lepiej. Nie chcemy tu widzieć takich jak on! Sąsiedzi nie dali matce otworzyć ust w obronie wuja, poza tym ich piskliwe tyrady przeznaczone były także dla jego uszu, bo przecież siedział na progu w pomieszczeniu obok.

Właściwie sąsiedzi okazali wspaniałomyślność, bo mogli wuja

przepędzić siłą. Kiedy matka, ociągając się, opuściła kuchnię, nie znalazła go na progu. Więc torując sobie drogę łokciami, przedarła się przez napierającą na nią gromadę i pobiegła za nim.

Wuj był tak schorowany, że dogoniła go bez trudu. Drzewa na zboczu jeszcze nie wypuściły pączków, więc brakowało jadalnych liści. Matka wręczyła wujowi dwa juany. Kiedy odmówił przyjęcia pieniędzy, oświadczyła, że jeśli ich nie weźmie, zabierze go ze sobą do domu i nic ją nie obchodzi, co ludzie powiedzą.

W końcu wuj przyjął pieniądze. Jestem nikim, powiedział, a mimo to znajdujesz w sercu współczucie dla mnie. Rozpłakał się, i matka też zapłakała. Z żalu, że nie może przyjąć krewnego pod swój dach.

Minęły dwa tygodnie. Matka, nadal zmartwiona, popłynęła promem na Kamienne Zbocze, gdzie kiedyś mieszkali wujostwo. Rozpytywała o wuja w okolicy, ale nikt nie wiedział, gdzie jest. W jego domu, tak jak powiedział, mieszkała sześcioosobowa rodzina.

Trzeci Wuj błąkał się przez wiele dni; nie miał dokąd pójść, nikt też nie chciał wystawić mu dokumentów uprawniających do otrzymania raqi żywnościowych. Życie z żebractwa graniczyło z cudem, bo wszędzie pełno było żebraków. Kto zresztą miał jedzenie do rozdawania? Wuj spędzał noce w publicznym ustępie u stóp wzgórza, bez jedzenia i bez picia, w łachmanach, które nie chroniły przed zimnymi wiatrami. Spuchł z głodu i w końcu umarł z otwartymi oczami. Kobieta, która mieszkała w domu Trzeciej Ciotki, pokazała dłońmi, jak szeroko były rozwarte.

Jego ciało? Matka trzęsła się tak bardzo, że aby nie upaść, musiała się przytrzymać framugi.

Zabrali je, odparła zwięźle kobieta. Kim był dla pani? Ach, nieważne! Niech pani posłucha mojej rady i zapomni o nim. Skazaniec z obozu pracy to same kłopoty. I zatrzasnęła matce drzwi przed nosem. Słychać było jeszcze, jak szczęknęła zasuwa.

– Dlaczego dałam mu tylko dwa juany? Miałam ich pięć. Przyszedł do mnie po pomoc. Byłam wtedy z tobą w ciąży, dla ciebie to zrobiłam. Więc umarł zziębnięty i zagłodzony. A taki był dla nas hojny, kiedy znaleźliśmy się w potrzebie. – Matka odgryzła nitkę, odłożyła przybory do szycia i spojrzała na mnie. W uszach dzwoniły mi jej wcześniejsze słowa: „Powinnaś się cieszyć, że żyjesz”.

Tamten publiczny ustęp, w którym zmarł wuj, nie różnił się niczym od innych: był brudny, cuchnący i przegniły. Jeśli nie uważałeś, mogłeś wpaść do kloaki. Agonia w takim miejscu była gorsza od konania w przydrożnym rowie. Uderzyło mnie, że wyrzuty sumienia matki są niczym innym jak próbą usprawiedliwienia własnego postępowania. Mogła się przeciwstawić sąsiadom i pozwolić,

by wuj pomieszkał u nas chociaż przez kilka dni. Opór wobec presji uczyniłby z niej lepszą osobę. Ale ona nie odczuwała takiej potrzeby; była zastraszona i kierował nią egoizm. W beczce brakowało ryżu, a w garnku oliwy, natomiast jej w każdej chwili mogli przypiąć „polityczną łatkę". Więc ze względu na moich braci i siostry, a także na mnie, wolała stchórzyć.

Czy to oznacza, że urodziłam się obciążona winą?

2

Zebrałam naczynia ze stołu i zaniosłam je do kuchni, gdzie jedna goła żarówka rzucała słabe światło. Woda była zimna, a ogień pod płytą zgasł. Zmarnowałabym węgiel, gdybym rozpaliła pod kuchnią tylko po to, żeby pozmywać naczynia; na szczęście z powodu skąpej ilości oleju nie były tłuste. Możemy być biedni, zwykł mawiać ojciec, ale to nie znaczy, że mamy być brudni. Więc co dwa, trzy tygodnie szorowaliśmy sodą naczynia, drewnianą pokrywę woka i bambusowy stolik przed płytą.

W mieszkaniu Mamy Wang, naprzeciwko kuchni, rozległ się płacz. Chwilę później drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

– Przez cały dzień nic, tylko się awanturujecie! Przez was skończę w krematorium! – Mama Wang usiłowała przerwać kłótnię, lecz swym pomstowaniem jeszcze bardziej ją podsycała. Jej najmłodszy syn i jego żona, rodzice trojga dzieci, co dwa, trzy dni urządzali nam przedstawienie. Atmosfera była tak napięta, że kiedy dwie córki Mamy Wang zjawiały się w domu, nie mogły w nim usiedzieć dłużej niż parę godzin.

Drugi syn Mamy Wang zaciągnął się do Armii Ludowo-Wyzwoleńczej w 1956 roku, gdy rozgorzał bunt we wschodniej części Tybetu, i został wysłany na granicę między Syczuanem i Tybetem. Tybetańscy pasterze poruszali się na koniach jak wiatr, atakowali obozy nocą i ucinali głowy jeńcom. W końcu rząd zdecydował się wyprawić spadochroniarzy z miotaczami ognia, żeby powstrzymali szalonych jeźdźców. Wysyłając do walki z rebelian-tami niedoświadczonych rekrutów, takich jak drugi syn Mamy Wang, pchano ich prosto w objęcia śmierci.

Z dnia na dzień Mama Wang zyskała status krewnej męczennika i odtąd zawsze w Dniu Żołnierza oraz w Nowy Rok przy dźwięku gongów i bębnów wmaszerowywał na podwórko naszego siedliska Komitet Dzielnicowy, żeby na drzwiach Mamy Wang powiesić List Honorowy z czerwoną urzędową pieczęcią. Któregoś roku przyznano jej nawet małą drewnianą plakietkę z napisem złożonym czerwonymi literami: „Czcigodna Rodzina Męczennika", którą zawieszono nad drzwiami, tak aby wszyscy mogli ją widzieć. Mama Wang pławiła się w chwale i rozpływała w uśmiechach. Przy każdej kłótni z najbłahszego nawet powodu wypowiadała doniosłe słowa: „Jestem krewną męczennika".

– Twój syn nie żyje, a ty nie uroniłaś ani jednej łzy! – wyrzucała jej najmłodsza synowa podczas kłótni.

– Dlaczego miałabym się smucić? – odpowiadała święcie oburzona. – On stracił życie w obronie rewolucji, nie mogę czuć się

szczęśliwsza.

Ze wszystkich dzieci Mamy Wang ten syn najlepiej się prezentował i był najbardziej posłuszny. Uczył się świetnie i na pewno poszedłby na uczelnię, gdyby w wieku dziewiętnastu lat, gdy tak łatwo ulega się emocjom, nie uznał, że służba w Armii Ludowo-Wyzwoleńczej przynosi większą chwałę.

– Kiedy chłopak jest za dobry, diabły się za nim rozglądają - słyszano, jak mruczy pod nosem Wujek Wang w swoje wolne dni. Ten człowiek, uosobienie cierpienia, nieodmiennie sam skracał sobie urlop, żeby wrócić na statek. Między łóżkiem a komodą wisiała na ścianie mała czarno-biała fotografia oprawiona w ramki. Przedstawiała uśmiechniętego drugiego syna, wtedy ucznia gimnazjum. Ilekroć na nią spojrzałam, przebiegał mnie dreszcz na myśl o jego głowie toczącej się po ziemi.

Kiedy tutejsze trzy- lub czteroletnie dzieci zaczynały chodzić do przedszkola, prowadzono jej grupami do miejscowego Muzeum Walki Klasowej. Ponieważ za przedszkole trzeba było płacić kilka juanów, stałam po drugiej stronie muru i z zazdrością słuchałam, jak przy akompaniamencie akordeonu śpiewają: „Nigdy nie zapomnij o cierpieniach klasy". Dopiero gdy skończyłam siedem lat i poszłam do szkoły, spotkało mnie to szczęście, że mogłam wejść do muzeum i obejrzeć wystawę narzędzi tortur, za pomocą których reakcjoniści katowali rewolucyjne masy, oraz przerażające zdjęcia zamordowanych rewolucjonistów. Było tam też trochę ohydnych fotosów przedstawiających egzekucje kontrrewolucjonistów po zwycięstwie rewolucji ludowej.

„Miej się zawsze na baczności, bo niedobitki Kuomintangu ukrywają się pod wieloma przebraniami! Powieści rewolucyjne pokazują, jak pobitym agentom Kuomintangu rozkazano zniszczyć to miasto i położyć kres szczęśliwemu życiu w Chinach. Nigdy nie zapominaj o walce klasowej, donoś policji i rejonowym władzom partyjnym o sabotażystach kryjących się w ciemnych zakamarkach społeczeństwa".

Te niekończące się ostrzeżenia i napomnienia sprawiały, że my, dziesięciolatki, oglądaliśmy się przez ramię ze strachem, jak gdyby dokoła czyhali tajni agenci. W deszczowe, ponure dni, kiedy ludzie nosili stożkowate kapelusze, aby osłonić twarze, wszyscy wyglądali niepokojąco.

Rzadko zachodziłam do Mamy Wang, bo jej zarozumiały uśmiech krewnej męczennika kojarzył mi się z Muzeum Walki Klasowej, a takie myśli nocą zmieniały się w koszmary.

* * *

Wylałam brudną wodę z woka, powiesiłam go na kołku wbitym w ścianę, następnie wzięłam szpatułkę, pałeczki oraz stos miseczek i czym prędzej opuściłam kuchnię. Ponieważ wiedziałam, że tak naprawdę Mama Wang boi się swego najmłodszego syna, a groźby wykrzykuje jedynie po to, aby dać upust złości, prędzej czy później poszuka sobie nowej ofiary. I rzeczywiście, kiedy w drodze do naszego pokoju mijałam schody po lewej stronie korytarza, rzuciła się na mnie z krzykiem:

– Dlaczego żarówka pali się o tej porze?! Jeszcze jest jasno! Ślepa jesteś czy co?! Rząd wzywa nas do oszczędzania energii; liczy się każda kilowatogodzina i każda kropla wody! Te dobrodziejstwa zostały okupione krwią! Serce mi pęknie, jak przyjdzie rachunek za prąd w tym miesiącu! – Z jej zatroskanego tonu przebijała ogromna pewność siebie.

Zamierzałam powtórzyć matematykę, ale ta niekończąca się tyrada tak mnie wyprowadziła z równowagi, że wstałam i wyszłam na dwór. Było ciemno, miałam wrażenie, że niebo lada chwilę spadnie mi na głowę. „Jest jeszcze jasno”, akurat! Nie tylko ty płacisz za prąd! Wszyscy za niego płacimy, odcięłam się w myślach Mamie Wang. A potem przypomniały mi się zdjęcia straconych rewolucjonistów i kontrrewolucjonistów. Cała ściana zdjęć. Zastanawiałam się, dlaczego wszyscy zabici kontrrewolucjoniści mieli spodnie opuszczone do kolan. Krwawa szara masa u góry i coś lepkiego czarnego tam niżej. Ktoś powiedział, że nie chciano dopuścić, aby skazańcy popełnili samobójstwo albo uciekli w drodze na miejsce egzekucji, więc zabierano im pasy podtrzymujące staromodne, luźne spodnie. Ale to, co mieli między nogami… dlaczego to było takie brzydkie? Czy tylko podczas egzekucji złych mężczyzn wystawiano na widok publiczny tę brzydką rzecz?

3

Wszyscy ludzie, którzy wcześniej wystawali na dworze, żeby się ochłodzić albo poplotkować ze znajomymi, rozeszli się do domów, więc usiadłam pod latarnią i po cichu powtarzałam lekcje. Opadały mi powieki, litery pływały i falowały przed oczyma. Bojąc się, że ktoś może zaryglować bramę, co rusz się na nią oglądałam, bo potem musiałabym wołać bez końca, zanim ktoś by mi otworzył. Wreszcie, ledwo trzymając się na nogach, wzięłam książkę i stołeczek, wróciłam do siedliska, zamknęłam za sobą bramę i zasunęłam ciężki rygiel. Dokoła panowała martwa cisza. Wściekłość i wrzaski zdawały się należeć do poprzedniego życia. Cisza odrealniała to miejsce.

Drzwi na poddasze były uchylone, więc weszłam do środka, zamykając je za sobą. Minęło babie lato, nocą robiło się chłodniej. Lekki wiatr wpadał przez świetlik w dachu i choć w pokoju nie panowała już taka duchota, nadal było za ciepło na spanie pod kocem. Przebrałam się w bawełnianą nocną koszulę, położyłam na słomianej macie i nakryłam prześcieradłem. Niespodziewanie usłyszałam, jak Czwarta Siostra i jej chłopak, Dehua, przewracają się na łóżku za zasłoną, i w jednej chwili opuściła mnie senność.

Czwarta Siostra zajmowała łóżko naprzeciw drzwi, na którym kiedyś my, wszystkie dziewczynki, tłoczyłyśmy się razem. Mnie przypadła wąska prycza przy drzwiach, poprzednio należąca do moich dwóch braci. Sufit schodził ukośnie od lewej ściany ku prawej; najniższy był nad moją głową. Sprana zasłona, dzieląca poddasze, odkąd dorosłyśmy, miała szarobury kolor. Za kawałkiem płótna, zawieszonym w poprzek pokoju, stał nocnik.

Coś zaszeleściło. Dehua odchylił róg zasłony i poszedł wysiusiać się do nocnika. Kiedy wrócił do łóżka, to samo zrobiła Czwarta Siostra.

Leżałam z zamkniętymi oczami, słuchając ciurkania za zasłonką. Moje nozdrza wypełnił kwaśny odór, lecz ani drgnęłam, dopóki oboje nie położyli się spać. Dopiero wtedy przewróciłam się na plecy i leżałam ze wzrokiem wbitym w świetlik.

Odkąd sięgałam pamięcią, mężczyźni i kobiety w mojej rodzinie zawsze mieszkali razem. Poczucie wstydu i prawo do prywatności stały się pojęciami abstrakcyjnymi. Przyzwyczailiśmy się do tego. Jednak teraz Czwarta Siostra sprowadziła do domu chłopaka; obecność obcego mężczyzny w naszym i tak już ciasnym pokoju wprawiała mnie w zażenowanie.

Światło księżyca sączyło się przez świetlik; w niebieskiej poświacie ciemne jak smoła poddasze wyglądało niepokojąco. Bezdomne koty spacerowały po luźnych dachówkach okapu, ich

ciężkie kroki nasuwały myśli o intruzie przyczajonym w ciemnościach, podglądającym z dachu życie toczące się w domu. Nocą w tym zrujnowanym siedlisku słychać było mnóstwo zatrważających odgłosów. Niespodziewanie przypomniałam sobie o tajemniczym mężczyźnie, śledzącym mnie w ciągu dnia. Czemu chodził akurat za mną, a nie za jakąś inną dziewczyną? Pierwszy raz przeszedł mnie dreszcz na tę myśl. Dlaczego, zastanawiałam się, przyszłam na świat w miejscu pozbawionym szczęścia? Czemu jestem lekceważona, zaniedbywana i smutna?

Podciągnęłam koszulę, bo ciężko mi było oddychać. Moje ciało zdążyło już przybrać kobiece kształty. W ciemności nocy skóra na pozbawionych wdzięku wypukłościach była niezdrowo blada. Miałam prawie osiemnaście lat, czas poznać jaśniejsze strony życia. Ale jak dotąd nic ich nie zapowiadało. Potrzebne mi są marzenia, myślałam przygnębiona. Niczego nie osiągnęłam, a przyszłość nie rysowała się lepiej. W szkole zdawałam się brnąć w ślepy zaułek. Im więcej się uczyłam, tym trudniej mi przychodziło zapamiętywanie wszystkich formuł i socjalistycznych teorii. Żaden z mieszkańców alei Strumienia Kotów nigdy nie został przyjęty na uczelnię, więc co kazało mi sądzić, że dziewczyna taka jak ja, na którą nikt nie zwracał uwagi, stanie się wyjątkiem? Nie miałam lepszych stopni niż inni uczniowie, byłam pewna, że skończę jak wszyscy na tym wzgórzu: będę nosić piach, wylewać nocniki i wychowywać dzieci.

Postanowiłam, że obojętnie co się dalej stanie, muszę marzyć. Najbardziej niewiarygodne marzenia są lepsze niż ich brak. Bez nich jestem skończona, do końca życia pozostanę skazana na harówkę jak wszystkie kobiety z Południowego Brzegu.

4

Kiedy wstałam wcześnie rano, ojciec siedział na stołeczku przy schodach i w bambusowej fajce palił tani tytoń o gryzącym dymie. Odwróciłam głowę, chcąc uniknąć irytującego obłoku. Nigdy nie widziałam, żeby ojciec jadł cokolwiek rano. Palił tylko fajkę. Jako mała dziewczynka wierzyłam mu, kiedy mówił, że nie jest głodny. Gdy podrosłam, zrozumiałam, iż odzwyczaił się od jedzenia śniadań podczas klęski głodu. Im mniej jadł, tym więcej zostawało dla nas, dzieci. Potem, kiedy pożywienia starczało dla wszystkich, było za późno na zmianę nawyków. Poranny posiłek szkodził mu na żołądek.

Ojciec odłożył fajkę i wyjął z kieszeni szeleszczący nowiutki banknot – starannie złożone pół juana. Zanim wcisnął mi go do ręki, rozejrzał się szybko po pokoju, czym wprawił mnie w zdumienie. Dlaczego robi z tego taką tajemnicę? Zaniosłam pieniądze na poddasze, które teraz, w pełnym słońcu, wyglądało jakoś obco. Zasłona dzieląca pokój była na wpół odsunięta; Czwarta Siostra i Dehua zniknęli. Spod zmiętej pościeli na ich łóżku sterczały luźne bambusowe pręty. Usiadłam na moim posłaniu i wysypałam podręczniki na podłogę. Gdy chmury przesuną się ponad wzgórze, na poddaszu zapanuje półmrok.

Na schodach zadudnił głos matki. Znowu muszę zejść nad rzekę, mówiła do ojca. Parę dni temu robiłam pranie, a kosz już jest pełen brudnych rzeczy.

Wpatrywałam się w nowy banknot w mojej dłoni, słuchając, jak matka idzie do bramy. Nagle mnie olśniło! Przecież dziś jest dwudziesty pierwszy września! Moje osiemnaste urodziny! Nic dziwnego, że ojciec wsunął mi pieniądze.

Matka wczoraj ani słowem nie wspomniała o moich urodzinach i naturalnie teraz, kiedy szła z praniem nad rzekę, na pewno nie zaprzątała sobie nimi głowy. To były moje osiemnaste urodziny, powinna wiedzieć lepiej ode mnie, jakie znaczenie ma ten dzień dla dziewczyny. Czyżby mnie unikała? Nie, po prostu zapomniała, i tyle. A co za różnica, gdyby pamiętała? Nie interesowało jej nic, co mnie dotyczyło.

Zeszłam na dół, celowo nie odzywając się do ojca.

Idąc w górę po zboczu ku alei Szkoły Średniej, minęłam internat podstawówki, gdzie kilku emerytowanych nauczycieli, siedząc lub stojąc w otoczeniu wnuków, przyglądało się przechodniom. Jakaś siwowłosa kobieta przywołała mnie i powiedziała, że widziała Dużą Siostrę. Nie była sama, oznajmiła. Niosła podróżną torbę przewieszoną przez ramię i szła w towarzystwie niskiej, krępej kobiety. Sporo ludzi

się tu kręciło, więc nie udało mi się przyciągnąć jej uwagi.

Długo wyczekiwana Duża Siostra wreszcie wróciła. Po paru krokach zaczęłam się zastanawiać, czy to możliwe, aby siostra, przebywając w Czungcing, nie pokazała się w domu. Dlaczego? Przecież nie należała do osób ukrywających swe sprawy przed ludźmi. Stara kobieta musiała się pomylić.

Skierowałam się na Kamienny Most. Panował tu wielki tłok Była niedziela, dzień ładny, ani deszczowy, ani nie za gorący, więc ludzie zewsząd ściągali na targ. Pośród towarów porozkładanych na dwóch ulicach wyznaczonych do handlu przez władze, oprócz produktów rolnych przywiezionych ze wsi przez chłopów, można było znaleźć wszystko, czego dusza zapragnie. Nawoływania, odgłosy targowania się i uporczywe brzęczenie much tworzyły kakofonię dźwięków. Klienci, chcąc mieć pewność, że mięso, które kupią, jest świeże, żądali, aby zwierzęta zabijano na ich oczach. Handlarz siedzący na długiej ławie wyjął żabę z bambusowego kosza, podciął jej gardło, z wprawą obciągnął ze skóry i wypatroszył, a blade żabie udka ciągle drgały. Ręce sprzedawcy i fartuch były wymazane krwią, stos czerwonych i poczerniałych jelit, wątróbek i płucek leżał u jego stóp, dookoła walały się zielone skórki. Zabite żaby leżały w misce splątane kończynami, różowa od krwi woda spływała pod murem.

Zeszłam po kamiennych stopniach, omijając najbardziej zatłoczoną część ulicy. Jednak wszędzie przewijał się tłum, dorośli prowadzili dzieci, śmiali się i rozmawiali, ot, szczęśliwe, kochające się rodziny. Na poczcie, w kinie, w herbaciarniach – wszędzie panował tłok. Przeciskając się przez ciżbę, minęłam atelier fotografa. Dla mnie czy dla ojca pół juana było ogromną kwotą, ale nie wystarczyłoby mi nawet na najtańsze zdjęcie. Na wystawie, którą kiedyś zdobiły portrety kobiet i mężczyzn z odznakami przewodniczącego Mao i małymi czerwonymi książeczkami, stały teraz upozowane fotografie uśmiechniętych kobiet z trwałą ondulacją. Po przeciwnej strome ulicy znajdowała się apteka, a obok dom towarowy. Szybko weszłam do środka.

Chodziłam od gabloty do gabloty, nie znajdując niczego, na co byłoby mnie stać. Widziałam dużo kosmetyków – szminek, różów, konturówek, ale wszystko było dla mnie za drogie. Poza tym te drobiazgi kojarzyły się z „pięknem”, pojęciem, którego znaczenie jakoś mi uleciało.

Weszłam na najwyższe piętro, skąd roztaczał się wspaniały widok na okolicę. Na północy płynęła Jangcy, na jej północnym brzegu rozciągała się Zielona Trawiasta Równina, wznosiły się stocznie i stała zabytkowa wieża. Nieco bardziej na wschód widziałam plac Przy Kamiennym Moście, który z tej odległości wcale nie wydawał się taki

duży. Z jednej strony ograniczał go targ, z drugiej pasy pól uprawnych, a pozostałe dwa boki wytyczały odrapane budynki niewiadomego przeznaczenia oraz stalownia i Więzienie Regionalne Numer Dwa, gdzie więźniowie polityczni i recydywiści odsiadywali długie wyroki.

Pierwotnie plac Przy Kamiennym Moście był kawałkiem ziemi ornej, która nie nadawała się do uprawy z powodu nagromadzonych tam stosów śmieci i pokruszonych cegieł. W ciągu ostatnich dwóch lat mojej nauki w gimnazjum dwa razy w tygodniu zwalniano nas z lekcji, abyśmy w czynie społecznym nosili piach z nadbrzeża do niwelowania terenu, tak by zmienić to miejsce w przyzwoity skwer. My, dzieci, pracowaliśmy ramię w ramię z dorosłymi, żeby pomóc im wykonać normę. Praca była ciężka, ale za każdym razem udawało mi się sprostać wyznaczonym zadaniom.

Najdonioślejszy okres w historii placu Przy Kamiennym Moście to czas, kiedy ustanowiono go miejscem publicznych masowych rozpraw. Na drewnianej platformie umieszczono wielkie głośniki, wszędzie powiewały transparenty i sztandary. Po rozprawach uzbrojeni strażnicy zapędzali skrępowanych przestępców na ciężarówki. Stali tam, nisko opuszczając ogolone głowy, a na szyjach mieli zawieszone drewniane tabliczki, które klasyfikowały ich według popełnionych przestępstw: „morderca", „gwałciciel", „kontrrewolucjonista", „defraudant", „złodziej" i jeszcze jedno określenie, którego nie rozumiałam – „sodomita". Ich nazwiska, wypisane niżej, były przekreślone czerwonym tuszem. Potem ciężarówki z więźniami krążyły powoli głównymi ulicami Południowego Brzegu jako ostrzeżenie dla ludności. Kilka lat wcześniej przy nasypie na skraju placu odbywały się egzekucje, ale wywoływały takie podniecenie i chaos, że czasami dochodziło do niepożądanych sytuacji; a to pluton egzekucyjny strzelał ze zbyt dużym rozrzutem, a to skazańcy wykrzykiwali obelgi pod adresem Wielkiego Wodza i Wielkiej Partii. Pewnego razu więzień z rozłupaną czaszką ruszył prosto na widzów, wprawiając ich w śmiertelne przerażenie. Zdarzały się też próby ucieczki. Po tych wypadkach ostatni akt dramatu, egzekucję, przeniesiono do górskiego wąwozu, skąd nie można było zbiec.

O mało nie straciłam życia na tym placu. W roku, w którym ukończyłam gimnazjum, odbywał się publiczny proces rewolucyjnych buntowników – młodych mężczyzn, którzy z nadmierną gorliwością potraktowali swój udział w rewolucji kulturalnej. Oskarżono ich o „pobicia, chuligaństwo i grabież". Podczas walki między frakcjami ich kule dosięgły przeciwników, więc rachunki za krew należało wyrównać krwią. Dla celów edukacyjnych nauczyciele przyprowadzili na rozprawę uczniów. Tamtego dnia na placu zgromadziło się co najmniej dziesięć tysięcy ludzi; nawet szczyty murów były gęsto

oblepione. Akurat w chwili, kiedy zamierzano rozpocząć egzekucję, niebo podemniało, rozpętała się burza i lunął deszcz. Policja nie pozwalała zebranym się rozproszyć, nikt nie śmiał się ruszyć, choć wszyscy byli przemoknięci do suchej nitki. Nagle część muru runęła i około dwunastu osób spadło na ziemię. Wybuchła panika: ludzie, którzy już i tak mieli napięte nerwy, rzucili się do ucieczki przez wyrwę w murze, tratując tych, którzy wcześniej spadli. Trzęsąc się ze strachu, przykucnęłam i trwałam nieruchomo. Ogarnięci paniką ludzie biegli tuż obok mnie, depcząc się nawzajem. Nie pomagały komunikaty płynące z głośników, a pędzące samochody policyjne i ambulanse jeszcze pogłębiały zamieszanie.

„Posypały się głowy niewinnych, potrzaskały czaszki. Niebo na to nie pozwoli, zażąda zapłaty". Te słowa wypowiedział żebrak, który siadywał na kupie popiołu na tyłach restauracji. Ktoś o tym doniósł i zabrała go policja.

Kiedy przerażona i ubłocona wracałam do domu, widziałam, jak ludzie, stojąc pod murami w małych grupkach, rozmawiają szeptem i mrugają przy tym znacząco.

5

Zanim ukończono budowę placu, rozeszła się wiadomość o śmierci Mao Tse-tunga. Był wrzesień 1976 roku. „Gdy dziewiątki się nakładają, imperatorzy upadają". Tym, którzy pracowali przy budowie placu, przypadł w udziale zaszczyt uczestniczenia w wielkiej akademii żałobnej; pozostałym musiały wystarczyć skromniejsze uroczystości w zakładach pracy.

Tamtego dnia plac Przy Kamiennym Moście udekorowano białymi kwiatami i czarnymi szarfami. Obecność uzbrojonej polią"i potęgowała atmosferę grozy. Nastrój czyniło jeszcze bardziej podniosłym grzmiące z głośników przemówienie następcy Mao, Hua Kuo-fenga, w dziwacznie prowincjonalny sposób akcentującego słowa. Łkanie przechodziło w zawodzenie, wokół widziałam twarze zalane łzami, a nie ma nic bardziej zaraźliwego od płaczu. Miałam czternaście lat, strach przepełniał mi serce, łzy same cisnęły się do oczu. W końcu ja także straciłam panowanie nad sobą i zaszlochałam.

Po ceremonii, kiedy nauczyciel przyprowadził nas z powrotem do szkoły, sprawdzono nam oczy jak stadu bydła. Czy były wystarczająco czerwone? Odpowiednio zapuchnięte? Dostatecznie smutne? Tak właśnie powinna się objawiać bezgraniczna lojalność w stosunku do Wielkiego Przywódcy. W moim przypadku łzy łatwo płynęły, lecz równie szybko wysychały. Ale wyglądałam na bardzo smutną, zresztą jak prawie każdego dnia. Choć raz melancholia, która zniechęcała do mnie ludzi, przyniosła mi korzyść.

6

Jednego roku deszcze przez wiele dni zalewały aleję Przy Kamiennym Moście, zmieniając drogi i ulice w błotne szlaki. Śmieci spłynęły wraz z wodą podczas burz i powodzi, a zmyte kamienne schody zrobiły się takie czyste, że można by się na nich położyć i zdrzemnąć. Rzeka też zmieniła wygląd; na jej powierzchni unosiły się chaty o dachach ze strzechy, drewniane szafliki, drzewa wyrwane z korzeniami, a nawet zwłoki, choć trudno było odgadnąć, czy należały do psów, świń czy ludzi. Ludzie pływali na własnoręcznie zbitych tratwach i wyławiali co wartościowsze przedmioty. Z zazdrością patrzyło się na kogoś, kto ściągnął zegarek z topielca, i wcale nie dlatego, żeby zegarki były szczególnie cenne; po prostu takiego czynu nie uważano za kradzież, bo przecież czasomierz zdecydowanie nie przyda się nieboszczykowi.

Pewnego dnia gruby malarz mebli, który mieszkał przy alei Strumienia Kotów, wyszedł z domu i dumnie paradował z pięcioma zegarkami, które pościągał z trupów. W mgnieniu oka zgarnęła go policja, mimo że krzyczał przez całą drogę, iż nie należy do rabusiów, którzy po dokonaniu grabieży wpychają swe ofiary do rzeki.

Podczas nawałnic woda porywała całe walące się chaty, z meblami i rupieciami włącznie. Jednak zbudowany na palach Dom na Wodzie jakimś cudem oparł się żywiołom. Trzy dni po tym, jak opadły wody, sklep, z plamami grzyba na ścianach, wznowił działalność. Teraz, kiedy minęły burze, smakowity zapach sakiewek z mięsnym nadzieniem i bułeczek gotowanych na parze wypełniał okoliczne uliczki. Ludzie powiadali, że właściciel zawdzięcza sukces swojemu ojcu, który studiował magię taoistyczną na górze Emei i korzystał z tajemnej wiedzy, nadziewając bułeczki. Mnie obchodziło jedynie, jaki pyszny był farsz, czy było go dużo i jak cudownie świeżo wyglądały cebulka i czosnek.

Kiedy opuściłam dom towarowy, podeszłam pod górę do kina. Zawsze lubiłam oglądać filmy i nieważne, czy były kolorowe i czy miały wyraźny dźwięk; najważniejsze, aby poruszały się obrazy. Każdy film mnie zadowalał, nawet dokument o krajobrazach Chin czy o przywódcach witających zagranicznych dostojników albo o samolotach opylających pola. Czasami ojciec wsuwał mi kilka fenów na projekcję w szkole, abym mogła zaspokoić swoje tęsknoty. Lecz teraz po raz pierwszy sama wybiorę sobie film – i ta myśl wprawiła mnie w podniecenie. W mojej duszy toczyła się ostra walka między zapotrzebowaniem na strawę fizyczną i intelektualną.

W końcu jedzenie zwyciężyło. Zeszłam trochę w dół wzgórza, przecięłam drogę i ruszyłam prosto do lady w Domu na Wodzie, gdzie

około tuzina klientów czekało w kolejce na świeżą porcję pierogów prosto z pieca.

Na niewielkiej czarnej tablicy widniał jadłospis: sakiewki z mięsem, pyzy, cienkie pieczone placuszki, kluseczki, bułki na parze, trójkątne ciasteczka ryżowe, mleko sojowe. Cena każdego wyrobu oraz liczba kuponów na ziarno były wypisane dwoma różnymi odcieniami tuszu. Miałam zaledwie pół juana, ale stanęłam w kolejce, nie mogąc oderwać oczu od puszystych bułeczek z mięsno-warzywnym farszem w cieniutkim białym opakowaniu. Goście, siedzący na drewnianych stołkach wokół czterech stolików, popijali mleko sojowe lub jedli zupę z pierożkami won-ton i plasterkami cebuli pływającymi po wierzchu.

Gdy nadeszła moja kolej, młody kasjer o krótko ostrzyżonych włosach popatrzył na mnie zniecierpliwiony.

– Dwie bułeczki z mięsem – odezwałam się nieśmiało, podając mu pół juana.

– A kupony na ziarno? – zapytał, tak jak się tego obawiałam.

– Zapomniałam zabrać – wyjaśniłam z rosnącym niepokojem i dodałam pod nosem: – Bułeczki są po dwadzieścia fenów za sztukę, czyli dwie kosztują czterdzieści. Proszę przymknąć oko na kupony i zatrzymać resztę. Co pan na to?

Jestem pewna, że oblałam się rumieńcem od policzków aż po nasadę szyi. Nie pomyślałam o kuponach, ponieważ nigdy przedtem nie kupowałam żadnej przekąski. Poza tym nikt by mi ich nie dał, skoro można było nimi płacić.

Mężczyzna odwrócił się i krzyknął coś w kierunku zaplecza; wynurzyła się stamtąd stara, pomarszczona kobieta w białych zarękawkach i białym fartuchu poplamionym mąką i sosem sojowym. Zapytała, o co chodzi, a potem powiedziała, że może być. Odwróciła się w stronę garnka do gotowania na parze, szczypcami wyjęła z niego dwie bułeczki z farszem mięsnym i położyła je na talerzu.

– To na wynos – wyjaśniłam.

Wyjęła z witrynki bloczek żółtawych papierków, oderwała arkusik i przeniosła na niego bułeczki. A potem odłożyła szczypce i podsunęła jeszcze dwie kartki pod spód.

– Uważaj! – ostrzegła. – Są bardzo gorące!

Trzymałam gorące bułeczki na obu dłoniach, chłonęłam ich cudowny aromat i po raz pierwszy w życiu wiedziałam, co to znaczy być szczęśliwą. To są moje urodziny i teraz je świętuję!

Zamiast wrócić tę samą drogą, zeszłam wąską uliczką, która biegła przy Domu na Wodzie. Trasa była bardziej górzysta, ale nieco krótsza. Zaczynało mi burczeć w żołądku. Pospiesz się, zjedz, póki są gorące, podpowiadał żołądek, ale ja tylko głośno przełykałam ślinę, bo chciałam wrócić do domu i uczcić z rodzicami fakt, że powołali mnie do życia. Pokonałam biegiem kamienne schody przy sklepie z

ziarnem; nie wydawały się szczególnie strome, ale kiedy dotarłam na górę, byłam zadyszana.

Drogi na szczycie wzgórza rozchodziły się w trzech kierunkach. Stary sprzedawca herbaty siedział pod rajską jabłonią, której pień otoczały dziwnie uformowane kamienie. Kiedy zbliżyłam się do starca, dreszcz przebiegł mi po plecach. Odwróciłam się. Starannie ubrany mężczyzna stał pod okapem warsztatu ślusarskiego; nie widział mnie, bo akurat rozmawiał ze ślusarzem.

Ktoś, kto czeka na dorobienie klucza? Poczułam się nieco lepiej, lecz kiedy znów się odwróciłam, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że jestem obserwowana. Huczało mi w głowie. Byłam tak roztrzęsiona, że upuściłam jedną bułeczkę. Uklękłam, aby ją podnieść, a ona potoczyła się na zbutwiałe liście pod straganem. Zdmuchnęłam z niej kurz, jednak paprochy przywarły do ciasta, więc ostrożnie je pozdejmowałam.

Mężczyzna zniknął, zanim podniosłam się z klęczek. Czy to mógł być ten sam człowiek, który zwykł mnie śledzić? Może obserwował mnie przez cały dzień? Była niedziela. W przeszłości chodził za mną do szkoły i z powrotem, być może teraz zmienił zwyczaj?

A może tak szybko wbiegłam po schodach, że zakręciło mi się w głowie? Nie, ufałam moim przeczuciom, byłam pewna, że to był on. Dlaczego chował się przede mną przez dziesięć lat, żeby akurat dziś pojawić się bez ostrzeżenia? Omal na niego nie wpadłam.

W tej okolicy często dochodziło do gwałtów; na wzgórzach i w pobliżu rzeki było mnóstwo nisz i jam, więc szansa wytropienia sprawcy była niewielka. Kiedy dochodziło do ujęcia i skazania gwałciciela, szczegółowy opis zdarzenia podawano do publicznej wiadomości. Ofiara najczęściej była mordowana, a jej ciało gniło gdzieś w zaroślach lub lądowało w rzece. Wszystkie młode dziewczyny bały się mężczyzn.

Kiedyś aresztowano ojca dziewczynki z mojej klasy, a ona wraz z młodszą siostrą szła za nim kawał drogi, płacząc cały czas. „Ani żony, ani burdeli, co miałem robić?!” – wywrzaskiwał owdowiały doker. Podobno uwiódł córkę sąsiadów, która była dziewicą.

Nie odważyłam się dłużej o tym myśleć, już i tak czułam przerażenie. Toteż zawróciłam i przebiegłam do placu zabaw na alei Szkoły Średniej. Ponieważ była niedziela, nikt tam nie krzyczał ani nie popiskiwał, żadne dziecko nie grało w piłkę ani nie łapało koników polnych czy motyli. Niebo rozciągało się hen, za plac zabaw. Zwolniłam i zaczęłam schodzić w dół wąską trawiastą ścieżką, usiłując uciszyć nerwy.

V

1

Wyjęłam z kredensu płytką kamionkową miskę i włożyłam do niej bułeczki, przedtem odwinąwszy je ostrożnie z nasiąkniętego tłuszczem papieru. Na kredensie stała miseczka z rozgotowanym, wodnistym ryżem; głodna i spragniona, wypiłam go jednym haustem.

Kiedy wszedł ojciec, zapaliłam światło. W pokoju nadal było mroczno, ale kontury łóżka, stołu i kredensu stały się trochę wyraźniej sze.

Podałam ojcu miskę.

– To dla ciebie i dla matki.

– A ty? – Nie wziął bułeczki.

– Ja już jedną zjadłam. Te są dla was.

– Słaba z ciebie kłamczucha – zauważył. – Gdzie można dostać trzy duże, nadziane mięsem bułeczki za pięćdziesiąt fenów? Tak bardzo je lubisz, zjedz.

W tej samej chwili weszła matka z umytymi miseczkami do ryżu i pałeczkami, które wetknęła do bambusowego pojemnika na ścianie.

– Mała Szóstko, dokąd poszłaś z samego rana? Przydałaby mi się pomoc przy wieszaniu bielizny, ale teraz, kiedy jesteś dorosła, moje słowa nic dla ciebie nie znaczą. Jeżeli nie można się wesprzeć na bambusowym kiju, jak można się oprzeć na jego pędach? Każde z was, dzieciaków, jest gorsze od poprzedniego.

Matka coraz bardziej się zaperzała. Powiedziałam, żeby przestała wyrzekać, bo przyniosłam dla niej jej ulubiony poczęstunek.

Oczywiście rozpromieniła się na widok bułeczek. Nawet nie zapytała, skąd wzięłam na nie pieniądze.

– Dlaczego? Gdzie je kupiłaś?

Wyjaśniłam jej, że byłam na Kamiennym Moście.

Chciała wiedzieć, do którego sklepu poszłam.

Naturalnie do Domu na Wodzie, odparłam. Cieszy się największą renomą w mieście. Zawsze stały u nich kolejki po nadziewane bułeczki i sakiewki z mięsem.

Zanim skończyłam mówić, matka szurnęła miską w głąb kredensu i przytrzymując się wezgłowia łóżka, ze świstem zaczerpnęła powietrza.

– Nadziewane bułeczki z Domu na Wodzie! – Zatrzęsła głową z obrzydzeniem i siadając na brzegu łóżka, wzięła wilgotny ręcznik, który jej podałam.

– Przesadnie reagujesz – zauważył ojciec przygnębionym głosem.

– Przesadnie? Czyżbyś zapomniał, jakie to były lata?

Z ich chaotycznej rozmowy udało mi się mniej więcej wywnioskować, co ją tak poruszyło. Fama głosiła, że podczas

wielkiego głodu nadziewano bułeczki dziecięcym mięsem. Zadowoleni klienci ufnie powracali, podobnie jak dziś trzymają się restauracji, w których do wywaru dodaje się korzenia konopi czy makowin. Raz ktoś natrafił w farszu na paznokieć i powiadomił władze. Para właścicieli trafiła do więzienia, a sklep zamknięto. Otwarto go ponownie dopiero po wielu latach, i to jako spółdzielnię.

– Kobiety w naszej okolicy to kupa starych plotkarek – stwierdził ojciec.

– Skąd ci z Domu na Wodzie brali mięso, skoro było o nie tak trudno? – zapytała matka. – W dodatku takie dobre mięso. Bez żadnych dodatków.

Poza tym istnieją dowody. Matka przypomniała, jak trzyletni synek tragarki, z którą pracowała w parze przez rok czy dwa, zniknął bez śladu. Przez jakiś czas kobieta płakała za każdym razem, kiedy ktoś o nim wspomniał, a potem, gdy zabrakło już łez, rzuciła się do studni w pobliżu placu zabaw na alei Szkoły Średniej. Jej ciało odnaleziono dopiero wtedy, gdy ktoś poczuł smród unoszący się nad studnią, którą później zabito deskami. Matka powiedziała, że z tamtą kobietą najlepiej jej się pracowało, bo nigdy nie poluźniała liny, żeby przerzucić większy ciężar na partnerkę.

– Mów ciszej – skarcił ją ojciec. – Mała Szóstka nie kupiła tych bułeczek dla siebie. Nie chcesz ich, w porządku, ale teraz nawet ona boi się wziąć je do ust, a wszystko przez jakieś bezpodstawne pogłoski. – Ojciec odwrócił się i wyszedł na korytarz.

– Mam ciszej mówić? – Matka jeszcze bardziej podniosła głos. - Chcesz mnie uciszać?! Dlaczego? Jestem za stara, żeby się bać! - Jednak ściszyła głos, kiedy ojciec znalazł się poza jego zasięgiem.

Wpatrywałam się w miskę z bułeczkami. Wszystkie te domniemane przypadki wydarzyły się podczas wielkiego głodu, zanim się urodziłam, więc nie było powodu do obaw. Jednak opuścił mnie radosny, urodzinowy nastrój. Przecisnęłam się obok matki i podeszłam do biurka. Otworzyłam pierwszą szufladę po lewej stronie.

– Czego szukasz? – zapytała matka, obserwując, jak przewracam zawartość.

– Listu. – Wewnątrz leżały przybory do szycia, nożyczki, guziki, grzebienie i mnóstwo różnych drobiazgów. Byłam gotowa wyciągnąć całą szufladę i wyrzucić wszystko na podłogę. – Gdzie jest list od Dużej Siostry? – spytałam.

– Tam go nie ma – odparła stanowczo i wsunęła dłoń pod poduszkę.

Z poszewki wypadła harmonijka ustna. Kiedy po nią sięgnęłam, matka przytrzymała moją rękę. I chociaż ten gest był pozbawiony gwałtowności, zaskoczył mnie. Po co jej ta harmonijka? Zareagowała, jakby to był jakiś skarb, coś, czego nie powinnam dotykać. Nigdy nie

miałam żadnego instrumentu, więc nie potrafiłam na niczym grać, a jedyną zabawką, jaką się kiedykolwiek bawiłam, była szmaciana lalka, którą matka sama dla mnie zrobiła.

– Ach, tak, przypomniałam sobie! Musiał zawieruszyć się z praniem.

Byłam przekonana, że coś ukrywa. Nie chciała, abym przeczytała list od siostry; podejrzewałam, że podarła go w przypływie złości.

– Nie wierzę ci – oświadczyłam.

– Co w ciebie dzisiaj wstąpiło? Cały czas nic, tylko pyskujesz.

– Ktoś widział Dużą Siostrę dziś rano. Ona wróciła.

– No i co z tego? Może sobie chodzić, gdzie jej się żywnie podoba. Dopóki nie przestąpi progu tego domu, czuję się szczęśliwa.

Niemniej zauważyłam, że twarz matki spochmurniała, kiedy usłyszała wiadomość. Zniknął z niej wyraz oczekiwania i zaczęły się stare żale; jej pierworodna córka ściąga same kłopoty; złe nasienie, zawsze tak jest, jak się nie słucha matki. Rzuca taka szkołę i bez pytania o zdanie wychodzi za mąż, ilekroć nachodzi ją ochota. Dlatego nic jej się w życiu nie układa.

– Mała Szóstko – zwróciła się do mnie. – Ty także mnie nie słuchasz pomimo swego młodego wieku.

– A kiedy choć raz ci się sprzeciwiłam? Poza tym nie jestem już dzieckiem. Mogę głosować, a nawet zostać wybrana. – Nie uchwyciła aluzji do urodzin. W rzeczywistości moja uwaga jeszcze bardziej wyprowadziła ją z równowagi.

– Ach, więc wydaje ci się, że wiesz wszystko o głosowaniu? - prychnęła. – Z radością oddałabym moje prawo wyborcze komuś, kto tylko by je chciał. Całe te wybory sprowadzają się do zakreślenia jednej kratki. Zawsze nam powtarzają: Chcecie demokracji? Przecież nawet nie potraficie czytać!

Miałam ochotę krzyknąć: Mamo, dziś są moje urodziny! Jak mogłaś o nich zapomnieć?

Czułam instynktownie, że moje urodziny nie były zwyczajną datą pośród wielu innych dat, lecz szczególnym koralikiem w modlitewnej bransolecie, od którego zacznie się odliczanie. Dotknięcie tego koralika wyzwoli wiele tematów tabu. Ogarnięta paniką, rozpaczliwie pragnęłam przytulić się mocno do matki. Nić wiążąca mnie z moim losem była jak lont bomby z opóźnionym zapłonem, który przepalały niebieskie iskierki. Czułam, że nadszedł czas, żeby uczynić następny krok, obojętnie czy byłam gotowa, czy nie. Dzisiaj, dokładnie w tej minucie, wiedziałam, że nadeszła chwila, aby wyjaśnić z matką pewne sprawy.

Oparłam się o drzwi; zaskrzypiały pod moim ciężarem. Zamknęłam je czym prędzej, usiłując opanować rosnący niepokój. Aż wreszcie zebrałam się na odwagę.

– Nie uroniłabyś ani jednej łzy, gdyby ktoś pociął mi twarz czy oblał ją kwasem, a nawet mnie zgwałcił i zamordował.

– A to co ma znaczyć?

– Chodzi za mną jakiś mężczyzna.

Zerwała się z miejsca i dotknęła mego spoconego czoła.

– Jesteś pewna?

Wpatrywała się we mnie ze wzburzeniem. Odwróciłam wzrok.

– Możesz mi nie wierzyć, jak nie chcesz.

– Zbyt dobrze cię znam. Zrobisz wszystko, bym się nad tobą trzęsła. – Przyglądała mi się jeszcze przez chwilę, a potem odepchnęła mnie na bok i wybiegła z pokoju.

Wróciła zasapana po jakichś dziesięciu minutach.

– Wiedziałam, że kłamiesz – stwierdziła. – Nikogo nie ma. - Zrobiła pauzę, by zaczerpnąć powietrza, po czym zaczęła mnie wypytywać: – Jak on wygląda? Od kiedy za tobą chodzi? Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

Przestraszyłam się, widząc, jak bardzo się przejęła.

– Od dawna… nieraz…

Powiedziałam, że nie wydawał się bardzo młody, ale nie był też zgrzybiałym starcem. W średnim wieku, i dlatego zapewne bardziej niebezpieczny od młokosa czy starca.

– Nigdy mu się nie przyjrzałam. Gdyby tak było, nie musiałabym ci o nim mówić. – Ta ostatnia uwaga miała ją zdenerwować.

Matka zgasiła światło.

– Wyjdź stąd. Idź na górę.

Wypadłam z pokoju, trzaskając drzwiami. Postałam przez chwilę w sieni, dusząc się z żalu i gniewu, zanim ruszyłam na poddasze.

2

Złapałam za książkę, ale nie mogłam przeczytać ani jednego słowa; zanadto rozpraszały mnie spekulacje, o czym może myśleć matka, siedząc na dole po ciemku. Więc włączyłam magnetofon, taniego, starego grata, który wyglądał jak tara do prania. Czwarta Siostra razem z Dehuą przez wiele miesięcy odkładali na niego każdy grosz, a teraz wszyscy chodziliśmy na palcach wokół stołu, żeby przypadkiem nie uszkodzić tego rodzinnego skarbu.

Ile razy możesz być w życiu pijana?

Kiedy jest czas na zabawę, jeśli nie teraz?

No dalej, wysącz szklanicę do dna, a potem zobaczymy.

Piękne kwiaty zakwitają jeden raz,

Druga szansa rzadko się zdarza.

Gdy dziś odejdziesz, kiedy powrócisz znów?

Ten popularny szlagier sprzed pół wieku, który nuciło całe miasto, zanim jakieś trzydzieści lat temu został zakazany jako „niemoralny", w ostatnim czasie przedarł się przez kordon rewolucyjnych pieśni. Zawsze ulegałam jego czarowi, jednak dzisiejszego popołudnia, zamiast poprawić mi nastrój, pogłębił jeszcze mój niepokój. Po raz czwarty w życiu szczerze martwiłam się o matkę. Więc wyłączyłam muzykę i zeszłam na dół.

Matki nie było. Dziwne, dokąd mogła pójść?

Na podwórku ojciec, kucając, formował brykiety; wilgotny węglowy pył oblepiał mu dłonie. Zawsze stanowczo odmawiał przyjęcia pomocy, jeśli sam o nią nie poprosił. Natomiast matka postępowała dokładnie na odwrót; zamiast poprosić o pomoc, czekała na ochotników, by sprawdzić, które z dzieci pragnie zdobyć jej względy.

Matki nie było w siedlisku ani też w jego pobliżu. Ponieważ jej nie znalazłam, wróciłam do domu i stanęłam na progu z nieobecnym wyrazem twarzy.

– Mała Szóstko! – zawołał ktoś za moimi plecami. Odwróciłam się. Duża Siostra stała oparta o drzwi do naszego pokoju.

Tamta stara kobieta miała rację. Duża Siostra wróciła do Czungring.

– Mała Szóstko, czyżbyś ogłuchła?! Moje roztargnienie ją zniecierpliwiło.

3

– W domu nie ma żywej duszy. Jak to możliwe? – dziwiła się Duża Siostra, kiedy się umyła. Wyjęła z szuflady w biurku grzebień z powyłamywanymi zębami i ręczne lusterko Czwartej Siostry. Zdmuchnęła z niego kurz i uczesała włosy, przesadnie skręcone świeżą trwałą.

Niewiele się zmieniła w ciągu tych ostatnich sześciu miesięcy. Twarz jej się nieco wypełniła, figura zaokrągliła, a bystre oczy patrzyły jeszcze czujniej.

– Ojciec jest w domu, nie? Ja jestem. Więc co masz na myśli, mówiąc, że nie ma tu żywej duszy?

– Nie można zadać prostego pytania? – Uśmiechnęła się. – Jesteś dla mnie zbyt wykształcona.

Już zdążyłam zapomnieć o liście, którego matka nie chciała mi przeczytać. Moje myśli były zajęte czym innym.

– Nic mi nie wychodzi tak, jak bym chciała – oznajmiła Duża Siostra i czułam, że to wstęp do długiego monologu o kolejnym rozwodzie.

– Wiedziałam, że przyjechałaś – przerwałam jej, chcąc skierować rozmowę na inne tory. – Po co te tajemnice?

Roześmiała się i stwierdziła, że nie miała zamiaru wracać prosto do domu, chcąc sprawdzić, jak bardzo zirytuje tym matkę. Więc pierwsze kroki skierowała do koleżanki, z którą była na wsi.

– No właśnie! – zawołała, jakby dopiero teraz matka przyszła jej na myśl. – A co tam u niej słychać? Gdzie ona jest?

Sama chciałam to wiedzieć. Powiedziałam, że matka była w domu w południe, ale kiedy zeszłam na dół, gdzieś zniknęła.

– A zresztą, co za różnica – stwierdziła gorzko Duża Siostra. - Zapewne jest po drugiej stronie rzeki z wizytą u Drugiej Siostry. Jest jej ulubienicą, my się nie liczymy.

Rzeczywiście, Drugiej Siostrze najbardziej się poszczęściło. Dzięki temu, że zdała egzamin do studium przygotowującego nauczycieli szkół podstawowych, udało jej się uniknąć wyjazdu w góry albo na wieś w 1969 roku, nie podzieliła więc trudnego losu zesłanej młodzieży. Potem, kiedy miała podjąć pracę, zamiast wylądować na jakiejś zabitej deskami wsi, złapała miejsce w szkole w śródmieściu – tylko dlatego, że wykorzystała patową sytuację między dwoma walczącymi o tę posadę ustosunkowanymi nauczycielami, z których żaden nie chciał ustąpić. Z dnia na dzień siostra stała się mieszkanką śródmieścia. Następnie urodziła jednego syna, potem drugiego, no i naturalnie miała męża, który o nią dbał.

– Umieram z głodu, po prostu umieram z głodu! – oznajmiła Duża

Siostra, wyraźnie zła. Zaczęła szperać w kredensie i oczywiście natychmiast natrafiła na bułeczki. Trzymała po jednej w dłoni. – Pycha! Są naprawdę świetne! – stwierdziła, rwąc zębami duże kęsy.

Minutę później obie bułeczki zniknęły, a siostra wycierała ręce w chusteczkę.

– Mała siostrzyczko, dlaczego jesteś blada jak śmierć? – zapytała, zmieniając ton. – Wyglądasz okropnie!

– Jak można dobrze wyglądać w takim słabym świetle?

Była moją siostrą i choć nie widziałyśmy się przez dłuższy czas, wyczuła, że coś mnie gnębi.

– Czy to dlatego, że zjadłam te bułki? Myślałam, że to resztki z obiadu.

– Jak widzę, nadal masz giętki język – odparowałam. – Jakim cudem w tym domu miałyby się uchować takie resztki jak nadziewane bułeczki?

Mogłam powiedzieć więcej, ale tego nie zrobiłam. Ani ojciec, ani ja nie potrafiliśmy się przemóc, żeby je zjeść, przez nie doszło do awantury z matką. Duża Siostra była z nas najstarsza, ale czasami postępowała jak dziecko. Matka mówiła, że sprawia najwięcej kłopotów z całej rodziny i że nie waha się robić scen na oczach ludzi.

Może Duża Siostra miała rację, twierdząc, że matka poszła odwiedzić Drugą Siostrę, osobę zgodną, sumiennie wywiązującą się zarówno z obowiązków matki, jak i nauczycielki. A w dodatku dobrą córkę. Gdy matka wyprowadzała ją z równowagi, trzymała emocje na wodzy i w przeciwieństwie do pozostałych trzech sióstr – nigdy się z nią nie kłóciła.

– Dzisiaj są moje urodziny! – wyrzuciłam z siebie. – Chciałam to matce uświadomić. Znowu o nich zapomniała. Celowo, jak zwykle.

– Ojej, dlaczego mi nie powiedziałaś?! – Duża Siostra zawsze potrafiła grać. – Mogłaś mnie przecież uprzedzić! Te bułeczki pewnie były prezentem urodzinowym. – Siostra miała swój rozum. Nawet spróbowała usprawiedliwić zaniedbanie matki. – Matka nie zapomniała, nie wolno ci tak myśleć. Prawdopodobnie pomyliła daty. Nie byłabym zaskoczona, gdyby liczyła dni według starego kalendarza księżycowego.

– Nowy kalendarz czy stary, nieważne. Specjalnie zapomniała – obstawałam przy swoim.

Wszyscy traktowali mnie tak samo, obojętnie czy pamiętali o moich urodzinach, czy nie. Co za różnica? Matka wiecznie przypominała, że miałam szczęście, iż dane mi było przeżyć.

– Pozwól swej Dużej Siostrze naprawić to zaniedbanie. Chodź no, zrobię ci fryzurę. Widzisz moją trwałą? Niezła, co? Nie uważasz, że wyglądam lepiej od tych dziewczyn ze skręconymi włosami, paradujących po ulicach? Albo od tych wyfiokowanych wieśniaczek,

których wszędzie pełno? Jeśli chcesz wiedzieć, sama ją zrobiłam.

Nie czekając na moją zgodę, zgasiła światło, wyciągnęła mnie do sieni i posadziła na stołku. Było tu znacznie jaśniej. Po drugiej stronie podwórka siedziała w drzwiach, oparta o framugę, stara matka naszego sąsiada, Łysego Czenga. Jej oczy zmieniły się w szparki.

– Jesteś teraz dorosła, więc musisz ładnie wyglądać. Odchyl głowę. Zaplotę ci warkocz, a luźne włosy odgarnę do tyłu, tak żeby odsłonić szyję i uszy, no i ten pieprzyk na lewym policzku. Pie-przyk na twarzy oznacza, że twoja szczęśliwa gwiazda świeci mocnym blaskiem i ochroni cię przed pechem. Nie będziesz cierpieć z powodu marnego życia tak jak ja.

Siostra obeszła mnie z przodu, zlustrowała i kazała zostać na miejscu. Po chwili wróciła z nożyczkami i przycięła mi grzywkę. A potem podała lusterko. Wstałam i studiowałam swoje odbicie. Zamiast dwóch warkoczy miałam jeden. Całkiem poważna odmiana. Moje kości policzkowe wydawały się wyższe, a szyja dłuższa. Podobałam się sobie. Poczułam się szczęśliwsza, ale nie pokazałam tego po sobie, bo nie chciałam, żeby Duża Siostra była zanadto z siebie zadowolona.

– No i co? Podoba ci się? Dlaczego nic nie mówisz?

Nigdy jej takiej nie widziałam. Im bardziej ją ignorowałam, tym bardziej starała się wkraść w moje łaski.

– Ot, po prostu mizerna, woskowa twarz, brzydka jak zawsze, i nic tego nie zmieni. Każdy ci to powie, przecież wy wszyscy uwielbiacie się na mnie wyżywać. – Oddałam jej lusterko.

– No dobrze, siostrzyczko, dzisiaj są twoje urodziny. Ile ty masz lat?

– Urodziłam się w sześćdziesiątym drugim, gdybyś przypadkiem nie wiedziała.

– Skończyłaś osiemnaście lat?! O rany! Myślałam, że piętnaście czy szesnaście. Twoja duża siostra nawet nie wiedziała, że masz urodziny. Kupiłabym ci jakiś prezent.

Prychnęłam pogardliwie, chociaż zrobiło mi się ciepło na sercu. Niczego by mi nie kupiła, ale przynajmniej tak powiedziała. Dotąd niczego takiego od nikogo nie usłyszałam.

– Osiemnaste urodziny to przełomowa chwila w życiu. Powiedz, co chcesz, żebym dla ciebie zrobiła. Wyraź życzenie.

Siostra wydawała się szczera.

– Naprawdę?

– Poważnie. Potrafię okłamać niejednego, jeśli jest taka potrzeba. Ale dlaczego miałabym oszukiwać kogoś z własnej rodziny?

– Chcę, żebyś przeszła się ze mną brzegiem rzeki – odpowiedziałam po chwili namysłu.

– Tylko tyle? – Roześmiała się. – Spodziewałam się czegoś trudniejszego. Oczywiście, że się z tobą przejdę.

4

Opuściłyśmy więc mury siedliska i zeszłyśmy po kamiennych stopniach, kierując się na brzeg rzeki.

Musiałam zgłębić, albo chociaż częściowo wyjaśnić, zagadki i niedomówienia, jakie spowijały moje życie. Wszyscy o czymś wiedzieli, ale nikt nie chciał mi tego wyjawić, cokolwiek to było. Wzrastałam w atmosferze konspiracji, tyranizowana milczeniem. Być może prawda, którą tak rozpaczliwie pragnęłam poznać, kryła się właśnie w tym, o czym nie mówiono? Byłam zdecydowana wszystko odłożyć na bok, nawet naukę do tak dla mnie ważnych egzaminów wstępnych, byle tylko rozwikłać tę sprawę. Jeśli tego nie zrobię, będę dalej żyć jak we mgle!

Gratulowałam sobie, że nie straciłam umiejętności oceniania ludzi. Duża Siostra przyjechała do domu w moje urodziny; była właśnie tą osobą, której potrzebowałam akurat w tym dniu. Nie mogła się wykręcić od obowiązków, jakie miała względem młodszej o szesnaście lat siostry. Byłam przekonana, że należy do nich także odpowiedź na pewne pytania, które mnie nurtowały. Po to los zesłał ją do domu.

Każdy z mojego rodzeństwa, z wyjątkiem Dużej Siostry, znał swoje miejsce w szeregu. Ona zawsze sprzeczała się z matką. W trakcie zajadłych kłótni patrzyła na nią z wyrzutem, może dlatego, że jako najbardziej faworyzowane dziecko w rodzinie była krnąbrna i rozpuszczona.

W 1969 roku Mao Tse-tung rozwiązał oddziały Czerwonej Gwardii, które siały rewolucyjne spustoszenie w całym kraju, i wysłał ich członków na „niezmierzone obszary wolności" na przygranicznych terenach.

Moja siostra znacznie wcześniej, bo już w 1964 roku, odpowiedziała na wezwanie partii, aby wyjeżdżać na wieś. Z pierwszym kontyngentem „światłej młodzieży" cierpiała dłużej od innych. Spędziła dziewięć lat w kolektywnej wsi, zanim skierowano ją do pracy w kopalni w górach na obrzeżu prowincji Syczuan.

Kiedy miała osiemnaście lat, tuż przed ukończeniem szkoły pielęgniarskiej, poszła na przechadzkę ze studentem, za co została skrytykowana przez klasowego sekretarza Ligi Młodzieży Komunistycznej, bo szkolna dyscyplina nie pozwalała na takie wybryki. „Mam chłopaka, a tobie nic do tego" – odpowiedziała butnie i po chwili poszły w ruch pięści. Tylko ją spotkała kara za ten incydent; zabroniono jej uczestniczyć w obchodach Nowego Roku.

Przysięgła, że się zabije, i rzeczywiście próbowała to zrobić, skacząc z okna na pierwszym piętrze. W rezultacie złamała nogę,

odstawiono ją do szpitala, a w jej aktach pojawił się czarny znaczek, który miał tam pozostać na całe życie. Kiedy kazano jej napisać samokrytykę, poszła prosto do dyrektora szkoły, a gdy nie zgodził się interweniować, cisnęła mu w twarz legitymacją uczniowską, rzuciła szkołę i wróciła do domu.

Pewnego dnia przyszli do nas kadrowcy z komitetu mieszkańców prowadzący kampanię agitacyjną. W Trzech Wąwozach jest pięknie jak w bajce, opowiadali. W rzece na górze Wu pływają ryby grube jak beczki, a węgiel jest taki czysty, że można go bez obawy zawijać w chusteczkę. Cóż to za wspaniałe miejsce! No i Duża Siostra im uwierzyła. Wykradła kartę meldunkową i wymeldowała się z miasta, aby pokazać nauczycielom i kolegom, że to właśnie ona jest największą rewolucjonistką.

Ojciec powiedział, że pływał w okolice góry Wu i wcale nie jest tam tak, jak opisywali kadrowcy. Cierpią tam straszną biedę, przekonywał, żądając, aby poszła się zameldować z powrotem. W odpowiedzi oskarżyła ojca o sianie kontrrewolucyjnych pogłosek, doprowadzając go tym do płaczu. Matka też się popłakała i poszła do komitetu mieszkańców, żeby wstawić się za córką, za co spotkała ją surowa reprymenda. Usiłując powstrzymać córkę od wyjazdu na wieś, oświadczono jej, sabotuje akcję „rozsyłania młodzieży po całym kraju". Czy zdaje sobie sprawę, jakie to poważne przestępstwo? Może przemierzyć Chiny wzdłuż i wszerz i nie znajdzie nikogo, kto by się odważył przywrócić dziecku zameldowanie w mieście. Matka, wstrząśnięta tą krytyką, mogła jedynie patrzeć, jak jej córka wyjeżdża, bardzo z siebie zadowolona.

Koledzy ze szkoły śmiali się, że zgłupiała, matka wyzwała ją od najgorszych za szalone pomysły i brak posłuszeństwa. A mnie się wydaje, że ona pragnęła jak najszybciej opuścić dom, bo nie czuła się z nim związana.

Duża Siostra zawsze ze mną dużo rozmawiała, a w tym, co mówiła, pobrzmiewały pewne aluzje. Jakieś prawdy i półprawdy; odkąd sięgam pamięcią, miałam wrażenie, że się ze mną droczy.

Czasami robiła melodramatyczne miny. Gdyby nie to, byłaby całkiem ładną kobietą; wyglądała szczególnie atrakcyjnie, kiedy piorąc nad rzeką, upinała wysoko gęste czarne włosy. Wiele osób mówiło, że kształtem brwi i wykrojem ust przypomina matkę z młodych lat. Miała inne rysy twarzy niż pozostałe rodzeństwo, była wyższa i mocniej zbudowana. Kobiety z Czungcing charakteryzował szczególny rodzaj gracji; mgliste powietrze i deszczowy klimat czyniły je łagodnymi i melancholijnymi. Natomiast Duża Siostra miała temperament mężczyzny; była twarda i wybuchowa, łatwo wdawała się w walki zarówno na słowa, jak i na pięści. Naprawdę przyłożyła pierwszemu mężowi nóż do gardła, aby go zmusić do podpisania dokumentów

rozwodowych.

Działała impulsywnie, nie bacząc na konsekwencje. Zdarzało jej się nawarzyć piwa, które potem inni musieli wypić. Kiedy siedziała na wsi, na górze Wu, miejscowy wróżbita powiedział, że czuje wokół niej zapach krwi, lecz jeżeli uda jej się przekroczyć czterdziestkę, być może będzie w stanie ustabilizować swą energię qi i zawrócić ją do właściwych naczyń.

– Chociaż wcale nie chcę, wierzę jego słowom. Coś złego mi się przytrafi, kiedy będę miała czterdzieści lat. Wiem, że tak się stanie. Postaram się lepiej postępować. – To była jej mantra od wielu lat.

Ale dzisiaj coś się zmieniło w jej sposobie mówienia. Wlokąc się parę stopni za mną, głośno narzekała:

– W tym roku kończę trzydzieści cztery lata i jeśli ten przeklęty wróżbita miał rację, zostało mi niewiele czasu. Dlaczego muszę iść przez życie, uważając na każdy krok? Nie mogę się doczekać, po prostu chcę wiedzieć, co, u diabła, się stanie.

Odwróciłam się, żeby na nią spojrzeć.

– Ukrywasz coś przede mną! – wyrzuciłam z siebie. – Siostro, musisz mi powiedzieć, co to jest!

Schodziła dalej, jakby mnie nie usłyszała. Znalazłam się teraz tuż za nią, niemal deptałam jej po piętach. Ponieważ ani drzewa, ani domy nie zasłaniały mi widoku, dostrzegłam kilkoro ludzi pływających w rzece. Cialing jest czystsza od błotnistej Jangcy. Przy Niebiańskich Wrotach, gdzie obie się łączą, koryto ma zygzakowaty kształt. Poniżej wzgórza, na którym mieszkaliśmy, płynęła tylko rwąca, zmącona Jangcy.

Powtórzyłam naleganie.

– Co mam ci powiedzieć? – zapytała nonszalancko Duża Siostra.

– Przed chwilą coś mi obiecałaś. Powiedziałaś, że skoro dziś mam urodziny, zrobisz to, o co cię poproszę.

– Co się dzisiaj z tobą dzieje?! – Klepnęła mnie w plecy. Uderzenie było całkiem silne, ale zapanowałam nad bólem i ugryzłam się w język, czekając na jej dalsze słowa. Najpierw po prostu się roześmiała.

– Jak obietnica, to obietnica! Ale lepiej byśmy się bawiły, gdybyś się trochę rozchmurzyła. Szłybyśmy sobie brzegiem, patrzyły na statki, podziwiały widoki, co w tym złego? Jeżeli chcesz, możemy przepłynąć na druga stronę i pójść do kina albo jeszcze gdzie indziej.

– Mówię poważnie, musisz mi powiedzieć! – Zignorowałam jej kuszącą propozycję.

Zaczynała ogarniać mnie rozpacz. Syreny statków konkurowały ze sobą, wyjąc coraz donośniej. Moje zmysły były zawsze wyczulone na ten dźwięk, a dzisiaj odczuwałam go szczególnie dotkliwie. Potrafiłam wyłowić głos poszczególnych syren, jak gdyby każda z nich była

obdarzona duszą, opłakującą swój los. Zadrżałam.

– Ty wiesz! – napadłam na nią. – Mam rację?! Nikt z was nie chce, abym się dowiedziała. Wszyscy usiłujecie mnie zwodzić, ale ty mi musisz dzisiaj powiedzieć, siostro! Po prostu musisz!

Uśmiechnęła się niewzruszona, a moje krzyki przeszły w błagalny szept, który tylko my dwie mogłyśmy słyszeć.

– Dobrze – zgodziła się już bez uśmiechu. – Co takiego chcesz wiedzieć?

– Jak doszło u ojca do osłabienia wzroku i dlaczego był zmuszony przejść na rentę tak wcześnie, zanim jeszcze się urodziłam? Nie wierzę w tę historię, którą usłyszałam.

Zapytała mnie, co to za historia.

Powiedziałam jej, iż w aktach w biurze zatrudnienia przedsiębiorstwa promowego znajduje się adnotacja, że uszkodzenie wzroku nastąpiło w wyniku syfilisu. Poza tym ludzie w siedlisku też czynią złośliwe uwagi w podobnym tonie.

– Który z tych skurwieli?! Jaka zgniła cipa mówi coś takiego?! - ryknęła Duża Siostra.

Zatkałam jej usta dłonią. Przechodziłyśmy w pobliżu domów, ludzie mogli nas usłyszeć. Siostra zrobiła zwrot i zbiegła po śliskich schodach, pomiędzy cuchnącymi stertami śmieci, do ciemnej groty pod skalnym nawisem, gdzie padła na kolana i zaczęła bić pokłony przed kamienną ścianą.

– Chodź tu i ukłoń się nisko trzy razy bóstwu opiekuńczemu - zażądała.

– O jakim bóstwie mówisz? – zapytałam, wchodząc z wahaniem do ciemnej niszy.

– O Nadbrzeżnej Opiekunce Połatanych Ubrań – wyjaśniła. -Posąg zniszczono podczas rewolucji kulturalnej, więc nie mogłaś go widzieć. Ale miejscowi buddyści niedawno go odrestaurowali. Chodź tu i poproś o opiekę nad naszą rodziną.

To było takie niecodzienne słyszeć, jak Duża Siostra mówi o dobru rodziny, że osunęłam się na kolana i kłaniałam się kamiennej ścianie, a siostra w tym czasie zebrała w garść wodę sączącą się po skale i wypiła parę łyków. Potem kazała mi zrobić to samo. Oczyma wyobraźni ujrzałam ściek przy murze w naszym siedlisku i zaprotestowałam. Siostra pochyliła się, nabrała jeszcze jedną garść i przyłożyła mi dłoń do ust.

– To woda Buddy – oznajmiła, a kropelki kapały jej spomiędzy palców. – Jest czysta i ma właściwości uzdrawiające – dodała stanowczo.

Więc posłusznie otworzyłam usta i przełknęłam wodę. Smakowała jak źródlana.

– No dobrze, zrobiłam to – powiedziałam. – A teraz dość

zwlekania, siostro. Nie sądzisz, że czas, abyś zaczęła mówić?

– O czym?

Dobre pytanie. Czego właściwie chciałam się dowiedzieć? Oczywiście wszystkiego, ale jakim cudem mogłam odgadnąć, co Duża Siostra wie, a czego nie?

Po krótkiej pauzie oświadczyła:

– Zgoda, opowiem ci co nieco o moim życiu. O innych sprawach nic nie wiem. A ty musisz przyrzec, że to pozostanie między nami.

Usiadłyśmy przy dużym głazie, zapatrzone w wiry wartko płynącej rzeki.

VI

1

Matka przybyła do Czungcing na statku – zaczęła Duża Siostra – ot, kolejna dziewczyna ze wsi, która uciekła przed małżeństwem zaaranżowanym przez rodziców. Ukryła się w tej rozległej metropolii, tak by rodzina nigdy jej nie odnalazła.

Tamtego dnia, gdy tu dopłynęła, gęsta jak mleko mgła spowijała miasto. „Czung-cing!" – rozległ się okrzyk przy relingu.

Matka przecisnęła się na pokład z cuchnącej, zatłoczonej kabiny pod pokładem i zaczerpnęła w płuca rześkiego rzecznego powietrza. Jej oczom ukazały się dziwnie wyglądające domy u podnóża wzgórz i rzędy kamiennych stopni wiodących do starożytnych murów miasta. Kiedy statek podpłynął bliżej przystani pontonowej, ujrzała tłum czekających ludzi: mężczyzn w garniturach i kapeluszach, kobiety w jedwabnych szeongsamach i butach na wysokich obcasach, tragarzy z nosidłami na barkach, nosicieli lektyk, handlarzy zachwalających towary i uzbrojonych policjantów. Wszystko było takie dziwne i nowe, że na chwilę zapomniała, dlaczego się tu znalazła.

Był rok 1943, ciężka zima dobiegła końca; gęsta mgła dawała poczucie bezpieczeństwa, bo Japończycy byli zmuszeni wstrzymać naloty do maja, aby dopiero przy bezchmurnym niebie ranić miasto bombami. Czungcing, tymczasowa siedziba rządu Kuo-mintangu, obfitował w szpitale, uczelnie, fabryki, najróżniejsze firmy, a nawet w stada bydła. To brudne, wilgotne miasto, któremu Jangcy zapewniała utrzymanie, a kordon wzgórz ochronę, pełniło rolę politycznego i kulturalnego centrum kraju.

Matka uciekła z domu zaledwie parę dni wcześniej i pomimo bólu w dolnej części kręgosłupa z powodu urazu, jaki odniosła, wyskakując z okna, ruszyła z przystani prosto przed siebie, szczęśliwa, że gęsta mgła jest jej sprzymierzeńcem. Nie miała odwagi przystanąć choćby na chwilę. Ale żaden z krewniaków jej nie szukał. O brzasku, gdy zapiały koguty, dołączyła do zmierzającej ku miastu grupy sprzedawców bambusowych mat. Miała przy sobie tylko jedną rzecz: moskitierę z bielonych konopi, wyszywaną w granatowe ptaszki, która stanowiła całą jej wyprawę. Kiedy zapadła noc, matka wraz z kilkunastoma innymi młodymi kobietami z portowego miasteczka w powiecie Czong wsiadła na parowiec kursujący po Jangcy, który miał je dowieźć do pracy w fabryce tekstylnej. Dziewczęta spały pod pokładem, ciut powyżej kadłuba. Przy wejściu ułożyło się dwóch żołnierzy; pilnowali, by nic się im nie przytrafiło w drodze do fabryki. Większość kobiet przerażał odgłos wody uderzającej o kadłub i ryk syren okrętowych. Ale matka zwinęła się w kłębek i spała jak zabita, nieświadoma tego, co się wokół dzieje. Ten być może pierwszy od

wielu miesięcy mocny sen był dla niej błogosławieństwem.

2

Matka miała okazję lepiej przyjrzeć się miastu, dopiero kiedy zeszła ze zmiany w fabryce, a to, co zobaczyła, nie wyglądało najciekawiej. Ponieważ wiosna dobiegała końca i wkrótce miały opaść mgły, bezpiecznych dni pozostało niewiele. Północna część miasta ginęła w oparach, natomiast zarys południowej to wyłaniał się z nich na chwilę, to znikał. Zygzaki wąskich uliczek biegły w różne strony, pnąc się i opadając pośród dzielnic biedoty, gdzie chałupy na palach wzdłuż dróg i na pochyłościach wzgórz przypominały stada szarych górskich jaszczurek.

Duża Siostra mówiła o mieście sprzed trzydziestu siedmiu lat, a mimo to opis brzmiał znajomo. Wątpię, czy przez pół wieku cokolwiek się zmieniło w okolicznych slumsach poza tym, że teraz tłoczyło się w nich jeszcze więcej ludzi.

To miasto ze swą różnorodnością, przyczajonymi niebezpieczeństwami i ukrytymi sekretami miało prawo budzić lęk Trudno było odgadnąć, kim naprawdę są mężczyźni poruszający się po ulicach Czungcing; nawet strój nie wyjaśniał niczego. Każdy z nich mógł być miejscowym opryszkiem lub dżentelmenem, wrogim agentem albo przestrzegającym prawa obywatelem, śledczym tropiącym zamieszki, funkcjonariuszem tajnej policji, człowiekiem triady, uczonym, hazardzistą, urzędnikiem, aktorem, włóczęgą czy kieszonkowcem. Podobnie rzecz się miała z kobietami w Czung-cing; niemożliwością było odgadnąć z wyglądu, czy ma się do czynienia z mężatką, ze zbiegłą żoną czy z tanią prostytutką. Wszystkich otaczała atmosfera tajemniczości i dla wszystkich siłę napędową stanowiła chęć czerpania przyjemności z życia.

Wkrótce nadszedł 1945 rok. Zamilkły tak dobrze wszystkim znane syreny alarmowe przed nalotami, nie słychać było przeraźliwych pisków ludzi, w panice szukających schronienia. Mieszkańcy miasta wkrótce stracili nawyk niespokojnego spoglądania w niebo i wypatrywania czarnych punktów, które zbliżając się, przybierały kształt japońskich bombowców. Schrony przeciwlotnicze stały teraz puste. Miasto wypełniła oszałamiająca atmosfera radości ze zwycięstwa nad wrogiem. Lecz ten punkt zwrotny w jego historii miał niewielki wpływ na życie osiemnastoletniej robotnicy z fabryki tekstylnej. Los zdążył już zdecydować, że przypadną jej w udziale przeżycia, które rodzicom, rodzeństwu czy rówieśnicom nadal pracującym na roli nie mogły się nawet wyśnić.

Siedziałam tuż przy Dużej Siostrze na wyżłobionym głazie, a sprawy, o których opowiadała, wydawały mi się nie z tego świata.

Zawyła jękliwie syrena liniowca, który zawijał do portu przy Niebiańskich Wrotach. Jej głos przypominał żałobną muzykę w wykonaniu taniej orkiestry. Słońce zachodziło za wzgórza na północnym brzegu, przystrajając je w delikatną, czerwoną aureolę. Kilkoro amatorów kąpieli zmierzało już do brzegu, trzymając suche rzeczy nad głową. Miasto miało burzliwą historię; słowa siostry czyniły w mej głowie taki zamęt, że nic bym nie zrozumiała, gdybym nie chłonęła ich również sercem.

Młody mężczyzna, który wszedł do Fabryki Tekstylnej 601 w dzielnicy Piaskowych Ławic, nie zamierzał przystawać przy dormitorium dla nowo zatrudnionych pracownic. Ale kiedy przechodził obok, usłyszał dziwny hałas, więc wsunął głowę do środka, żeby sprawdzić, co się tam dzieje, a jego dwóch ludzi od specjalnych poruczeń zatrzymało się parę kroków za nim. Pod ścianami dużej budy podobnej do namiotu leżały sienniki, w powietrzu wisiał zaduch starego potu.

Młoda kobieta stała przywiązana do słupa, pasma włosów z rozplecionych warkoczy oblepiały jej policzki; całe światło słoneczne, które wpadało do pomieszczenia, zdawało się skupiać na ciele kobiety, nadając jej skórze aksamitny połysk. Rzęsy miała czarne i długie, a zawzięcie zaciśnięte usta były wilgotne i karminowe z gniewu. Bat brygadzisty śmigał w powietrzu, tymczasem ona uparcie zmagała się z więzami.

Duża Siostra stwierdziła, że punkt zwrotny w historii naszej rodziny nastąpił w chwili, gdy mężczyzna w kapeluszu zajrzał do dormitorium, bo właśnie tamtego ranka oczarowała go uroda matki i zaintrygował jej upór. Zaskoczyło go, że ta ładna wiejska dziewczyna okazuje taki zawzięty sprzeciw i nie ugina się pod razami bata, nie błaga o litość, przez co brygadzista poniósł uszczerbek na honorze. Kiedy się odwrócił wściekły z gniewu, stanął twarzą w twarz z człowiekiem triady, więc pozostało mu tylko pokornie się uśmiechnąć. W triadzie panowała hierarchia; mężczyzna, który wszedł do środka i zapytał, co się dzieje, był zdecydowanie ważniejszy od brygadzisty.

Ponieważ słońce padało zza pleców matki, nie mogła widzieć wyraźnie rysów mężczyzny, zauważyła jedynie, że ma kapelusz, jest wysoki i trzyma się prosto. Nagle ogarnęła ją trwoga, bo obecność kogoś takiego mogła oznaczać poważne kłopoty. Zdesperowana, odwróciła zaczerwienioną ze strachu twarz, a jej pierś gwałtownie unosiła się i opadała, poruszana urywanym oddechem.

Kiedy przystojny młody mężczyzna rozkazał ją uwolnić, mogła mu się wreszcie lepiej przyjrzeć. Poruszyło ją jego pełne troski spojrzenie.

Romantyczna z natury Duża Siostra co rusz się w kimś

zakochiwała. Nie byłam w stanie przerwać jej opowieści, a teraz z kolei nie potrafię jej dokładne przytoczyć. Mogę jedynie mniej więcej odtworzyć, co mówiła, i spróbować zrozumieć, skąd wzięła się tamta miłość od pierwszego wejrzenia. Matka była wiejską, niewątpliwie ładną dziewczyną, która za wszelką cenę pragnęła obronić swoją niewinność; kto wie, może akurat ten fakt stanowił kryterium dla człowieka triady przy wyborze żony. Należało szukać kogoś, kto zadba o dom. Jako mało znaczący watażka w tajnej organizacji musiał z uporem piąć się w górę, więc instynktownie nie ufał zalotnym kobietom, które pchały mu się do łóżka.

Mężczyzna dokładnie przyjrzał się matce, rzucił parę słów do brygadzisty i zaraz wyszedł.

Po tamtym niepokojącym incydencie matka wróciła do pracy i z biegiem czasu zapomniała o całej sprawie, podobnie jak wcześniej zapominała o innych niebezpieczeństwach, o które otarła się w młodości. Żyła bardzo skromnie, a odłożone pieniądze wysyłała do domu. Aż tu pewnego dnia, jakieś dwa miesiące później, kiedy po skończonej zmianie wraz z innymi dziewczętami czekała w kolejce do kontroli osobistej, która miała zapobiec wynoszeniu kłębków przędzy czy skrawków tkaniny, podszedł do niej brygadzista i rozpływając się w uśmiechach, poprosił, by przeszła prosto do fabrycznej bramy.

Za bramą matka stanęła jak wryta na widok nowej rikszy o okuciach wypolerowanych do blasku i rikszarza w liberii, który czekał na nią w pozie pełnej szacunku.

3

W tamtych czasach bywalcy eleganckich restauracji przychodzili do nich w garniturach i w skórzanych butach, a włosy i brody nosili starannie przycięte, natomiast kobiety miały pantofle na wysokich obcasach i fryzury w stylu ulubionych gwiazd hollywoodzkich; kolczyki, naszyjniki, broszki oraz rękawiczki dodawały szyku, biżuteria pobrzękiwała dyskretnie, a rozdęcia na bokach satynowych szeongsam były tak głębokie, jak dyktowała moda.

Dużą Siostrę od urodzenia cechował talent krasomówczy. Wcześniejsze pokolenia snuły legendy o heroicznych rycerzach, lecz za jej czasów wyparły je filmy i książki. Jako mała dziewczynka siedziałam skulona w kącie i chłonęłam historie opowiadane przez młodych ludzi, którzy przyjeżdżała ze wsi na długi urlop. Stłoczeni w małym pokoju, rozsiadali się na obu łóżkach lub na podłodze i gryząc pestki melona, opowiadali o przerażających duchach zamieszkujących góry albo o szpiegach Kuomintangu. Czasami skupiali się na sprawach bliższych życia: romansach przyjaciół, potyczkach z wieśniakami, bójkach na noże z bezwzględnymi przedstawicielami miejscowej kadry i szykanami policji, jakie z nich wynikały. Historie sypały się jak z rękawa, jedne wywoływały salwy śmiechu, inne wyciskały łzy.

– Mała Szóstko, zejdź na dół! – wołała matka, która nieodmiennie miała pretensję, że za mało pomagam w domu. Wtedy Duża Siostra przepędzała mnie zniecierpliwiona. Lecz kiedy zrobiłam już, co należało, znowu kucałam w drzwiach na poddasze i słuchałam, gotowa w każdej chwili się stawić na następne wezwanie matki.

Nie wiem, w jakim stopniu Duża Siostra ubarwiła tę rodzinną historię. Szczerze mówiąc, ona miała większe predyspozycje do zostania pisarką niż ja. Niestety, nawet nie skończyła szkoły, a swe najlepsze lata zmarnowała w służbie rewolucji. Bezpowrotnie je utraciła. Podczas jednego z towarzyskich spotkań stwierdziła, że los obszedł się z nią okrutnie, nie pozwalając jej zostać pisarką, ponieważ to, co przeżyła, wystarczyłoby na kilka ciekawych powieści. Zrobiło mi się przykro, gdy to powiedziała, bo odniosłam wrażenie, że utraciła życiową szansę.

Teraz, kiedy jej słuchałam, nie potrafiłam powiązać tamtej młodej, ładnej dziewczyny z matką taką, jaką znałam – mało kobiecą, niekształtną, o grubych nogach i wiecznie złą. Usiłowałam ją sobie wyobrazić w ulubionej luźnej szeongsamie w kolorze indygo i filcowych papciach, bez żadnej biżuterii, z błyszczącymi czarnymi włosami sczesanymi z czoła i zaplecionymi w dwa warkocze… z krótkimi włosami też by jej było do twarzy. Skromne spojrzenie ciemnych oczu idealnie pasowało do rysów, uśmiech dodawał jej

dyskretnego czaru. Tak… mogła być piękna. Duża Siostra ma rację, dlaczego matce miałyby być obce uroki młodości?

Mężczyzna, który siedział naprzeciw niej w restauracji, wyglądał zniewalająco. W białym garniturze, ze świeżo przystrzyżonymi włosami, był przystojniejszy od gwiazdorów z plakatów; modna fryzura lśniła od brylantyny, wyraziste oczy patrzyły spod ładnie zarysowanych brwi. Zdecydowanie nie przypominał tych gogusiów z filmów z lat trzydziestych i czterdziestych ani zniewieściałych aktorów teatralnych z tamtego okresu. Ośmiokątna lampka na stole rzucała dyskretne światło, zastawa o błękitnych wrąbkach była z cienkiej, niemal przezroczystej porcelany. Na niebo wypłynął księżyc i rozbłysły gwiazdy. Za oknem migotały światła miasta rozciągniętego na wzgórzach. Matka nie jadła, siedziała z pochyloną głową i dłońmi na podołku.

O czym rozmawiali? Zapominając o skrępowaniu, jakie wywołał elegancki strój i pierwszy w życiu pobyt w ekskluzywnej restauracji, słuchała z uwagą, kiedy opowiadał jej historię swego życia. Nie wiem, kiedy matka przekazała ją Dużej Siostrze, ale oto co usłyszałam…

Powiedział, że pochodzi z Anjue w prowincji Syczuan. W rodzinie panowała taka bieda, że matka musiała brać pranie do domu, a ojciec był tragarzem lektyki. Na jedenaścioro dzieci przeżyło zaledwie dwoje: ósme i ostatnie. Matka dała mu na imię Długowieczny Chłopiec, mając nadzieję, że będzie żył długo i szczęśliwie. Na młodszego brata wołali Płonące Polano, aby zrównoważyć zły wodny element w jego łosie, odkryty przez wróżbitę.

W 1938 roku w powiecie Anjue wybuchła epidemia, po której nastąpiła susza i oboje rodzice zmarli w przeciągu tygodnia. Miał wtedy czternaście lat, a jego brat pięć, więc utrzymywali się z żebrania. Któregoś dnia w grupie żołnierzy szukającej rekrutów wypatrzył swojego wuja, który wyjechał z małego miasteczka przed wielu laty. Dołączył do niego jako kuchcik, bo wuj był kucharzem. Dowódca pozwolił chłopcu zostać, bo nie należał mu się żołd, a w armii brakowało ludzi. W 1942 roku, kiedy wojsko rozłożyło się obozem w Czungcing, był już młodszym oficerem. Przed końcem wojny z Japończykami w tym mieście do triady należało jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt tysięcy ludzi, wliczając w to praktycznie całą armię. Został wtedy członkiem piątego rzędu w generacji zwanej „rytuał”, nic zatem dziwnego, że brygadzista zachował się wobec niego służalczo. Wpływy „rytuału” były szczególnie silne w uboższych warstwach ludności, natomiast wysocy rangą przywódcy triady, działając w porozumieniu z wpływowymi i bogatymi mieszkańcami miasta, ciągnęli zyski z prostytucji, hazardu, handlu opium i z opiumowych melin.

Matce nie chciało pomieścić się w głowie, że ten wytworny,

dystyngowany pan, siedzący naprzeciw niej, był kiedyś brudnym, obdartym żebrakiem. W jej sercu panował kompletny zamęt. Po raz pierwszy w jej życiu, umykającym z szybkością wodospadu, pojawił się mężczyzna, naturalnie nie licząc nieznanego kandydata na męża, któremu obiecano ją za parę buszli ryżu.

Miasto nie zasypiało przez wiele tygodni, świętując zwycięstwo po ośmioletniej wojnie z Japończykami. Strzelały fajerwerki, żołnierze paradowali przy dźwiękach gongów i bębnów. Japończycy się poddali, rząd Kuornintangu szykował się do powrotu do Nankinu. Powstającą lukę we władzach Czungcing wypełniły tajne stowarzyszenia; stało się to z cichą aprobatą rządu, który wiedział, że musi zdać się na lokalne siły, chcąc zachować kontrolę na rubieżach.

Matka i ten mężczyzna pobrali się. Na przyjęcie nakryto siedemnaście stołów dla gości, a weselnicy tak długo wznosili toasty za zdrowie panny młodej, że matce zaszumiało od tego w głowie. W ślubnej komnacie, zamiast tradycyjnych dwóch czerwonych świec, całe ich szeregi płonęły aż do świtu.

Matka szybko zaszła w ciążę i rok po zakończeniu wojny urodziła córkę. To ja jestem tą córką, oznajmiła Duża Siostra. Jestem owocem związku dziewczyny, która uciekła z domu przed zaaranżowanym małżeństwem, i gangstera; innymi słowy, jestem dzieckiem kontrrewolucjonisty.

4

A więc Duża Siostra miała innego ojca niż reszta nas. Zdaje się, była z tego bardzo dumna. Gangster to ktoś, na kogo patrzy się z podziwem, a nasz ojciec był tylko porządnym, ciężko pracującym robotnikiem. Muszę przyznać, że próżność siostry działała mi na nerwy.

Kiedy poszłam do szkoły, podobnie jak wszystkie dzieci byłam zmuszona wypełnić niezliczoną liczbę formularzy. W okienku przy pytaniu o „miejsce pochodzenia" – terminie, który komuniści przejęli po poprzednim reżimie, a znaczącym tyle samo co „miejsce urodzenia" – wpisywałam powiat Tientaj w prowinqi Czeciang, u ujścia Jangcy do morza. Nigdy w życiu tam nie byłam i nie potrafiłam mówić tamtejszym dialektem.

Ojciec urodził się pierwszego czerwca, czyli w Dzień Dziecka, więc łatwo to zapamiętać. Mówił z tak silnym czeciańskim akcentem, że ludzie go nie rozumieli, jeśli nie zwolnił na tyle, bym mogła tłumaczyć. Czasami przekręcałam jego słowa, gdy nie podobał mi się rozmówca, ale wtedy, patrząc na mnie groźnie, wyjaśniał, że jego najmłodsza córka musiała źle usłyszeć i stąd ta pomyłka, za którą bardzo przeprasza.

Bronchit ojca zaostrzał się w wilgotne i mroźne zimy, ponieważ nie mieliśmy opału. Brał wtedy lekarstwa, ale stanowczo odmawiał pójścia do szpitala, obojętnie jak bardzo było z nim źle. Po chorobie z tego z natury szczupłego i niewysokiego mężczyzny zostawała sama skóra i kości, przez co wydawał się jeszcze drobniejszy. Ale z uporem twierdził, że nie jest chory, i nawet kiedy trawiła go wysoka gorączka, mówił jedynie: „Chcę jechać do domu".

– Pozwól mu wrócić do Czeciang! – My, dzieci, prosiliśmy chórem matkę.

– Nie – sprzeciwiała się zdecydowanie. – On nie chce jechać z wizytą, on chce tam umrzeć.

Jak większość ludzi, którzy przenieśli się do Syczanu z terenów w dolnym biegu rzeki, ojciec przybył do Czungcing podczas wojny o niepodległość. Mając piętnaście lat, zatrudnił się jako pomocnik, który opróżniał i czyścił nocniki i robił wszystko, co mu kazano. Ponieważ był pojętny, wkrótce nauczył się grępłować bawełnę i naprawiać kołdry. W 1938 roku, gdy miał dwadzieścia jeden lat, w Tientaj pojawili się ludzie z Kuomintangu szukający rekrutów. Naczelnik wsi za łapówkę wpisał ojca na miejsce kogoś innego, więc nie było wyboru – musiał pożegnać rodzinę i jechać do Czungcing jako poborowy. Oddział rozłożył się obozem w górach na południe od rzeki, a zadaniem ojca było wysyłanie sygnałów ostrzegających o

nalotach.

Wiosną 1943 roku, nieco wcześniej, zanim matka uciekła z rodzinnego domu w powiecie Czong i znalazła się w Czungcing, jednostkę ojca przenoszono do innego miasta. Kiedy maszerowali przez góry, ojciec dostał biegunki, więc pobiegł do lasku. Gdy wrócił na drogę, jego towarzysze byli zaledwie punkcikami na górskiej ścieżce, a ich zapalone pochodnie pokazywały, jak duża odległość go od nich dzieli. Wtedy ruszył w przeciwnym kierunku i tym sposobem stał się dezerterem, za co groziło mu rozstrzelanie. Na szczęście nie zauważono jego zniknięcia, a może uznano, że umarł na drodze. Kogóż w czasie wojny obchodziło, czy prosty żołnierz żyje, czy padł? Więc ojciec wrócił do Czungcing i zatrudnił się w przedsiębiorstwie żeglugowym.

Według Dużej Siostry okazał mądrość i odwagę tylko raz w życiu, kiedy związał się z matką wiosną 1947 roku. Do spotkania z nim los doprowadził ją zawiłą ścieżką, bo po raz drugi opuściła rodzinę i została sama. Przez cztery lata, zanim się poznali, ojciec mieszkał i pracował jako marynarz w tym obcym mieście, a przeznaczenie sprawiło, że osiadł w nim na zawsze, i kazało mu czekać na dziewczynę z Syczuanu, która z własnej woli popadła w poważne tarapaty.

Duża Siostra wstała, a ja podniosłam się razem z nią. W bladej poświacie księżyca brzeg rzeki wyglądał znacznie lepiej. Światła przepływającego statku prześlizgnęły się po ciemnych falach, migotliwe odbicia lamp ze wzgórz na przeciwległym brzegu przywodziły na myśl leniwie mrugające oczy. Ktoś grał na harmonijce. Po raz pierwszy wzruszyło mnie jej piękne brzmienie.

– Jaką głupią dziewczyną była matka! – prychnęła gniewnie Duża Siostra. – Chciała pokazać, jaka jest ambitna, więc odeszła. Chyba jestem do niej podobna. A mój ojciec był prawdziwym sukinsynem! – ciągnęła dalej. – Nie dość, że drań wysiadywał całe noce poza domem, to jeszcze zaczął sprowadzać atrakcyjne młode kobiety. Bił matkę, kiedy cicho popłakiwała. „Jak kobieta, która nie potrafi nawet urodzić mi syna, śmie urządzać sceny! – wrzeszczał. – Będę musiał wziąć sobie konkubinę!”

W końcu matka, nie mogąc wytrzymać z nim ani chwili dłużej, wzięła córeczkę, spakowała tobołek i uciekła do rodzinnej wsi. Ale stary lokalny zwyczaj nakazywał utopić kobietę, która zbiegła od męża. Więc ukrywała się przez trzy dni, a potem wróciła do Czungcing, gdzie mąż szukał jej z pomocą swoich zbirów, ale nigdy nie odnalazł.

5

Z kamiennych stopni poniżej domu na palach nasz ojciec dostrzegł młodą kobietę z niemowlęciem na plecach; prała w Cialing przepocone marynarskie ubrania. W przeciwieństwie do innych praczek, które spędzały większość czasu, plotkując, śmiejąc się i wulgarnie flirtując, pracowała szybko i w skupieniu, aby zarobić praniem na życie. Kiedy się wyprostowała, nawet tobołek z dzieckiem nie zniekształcał jej zgrabnej figury. Odwróciła się i podniosła głowę. Wpatrywał się w nią zauroczony. Miał wrażenie, że ona też na niego patrzy, ale się mylił. Jedynie prostowała plecy, zanim znowu przykucnęła nad rzeką. Był początek wiosny, jej ręce wymoczone w krystalicznie czystej, lodowatej wodzie były czerwone jak raki. Rękawy miała wysoko podwinięte, włosy spięte w ciasny kok, ani jedno pasmo nie opadało jej na twarz. Nie nosiła żadnej biżuterii: ani kolczyków, ani naszyjnika, ani bransoletek. Wyglądała tak nieskazitelnie i świeżo, że gdyby nie dziecko na plecach, pomyślałby, że ma do czynienia ze zjawiskiem z jakiegoś innego, nieznanego mu świata.

Przeważnie w domach na palach mieszkali ludzie utrzymujący się z rzeki – marynarze, tragarze, drobni handlarze, prostytutki i trochę zbiegłych więźniów. Ludzie pojawiali się i znikali jak woda w rzece. Komorne w tej dzielnicy slumsów było znacznie niższe niż w mieście.

Kobieta mieszkała w jednym z domów na palach i zarabiała nie tylko praniem, lecz także szyciem i łataniem starych ubrań. Żyła oszczędnie, utrzymując swą małą rodzinę z ciężkiej pracy, a przecież z taką urodą mogła mieć wielkie powodzenie wśród marynarzy. Ci jednak wcale się jej nie narzucali, a ona wydawała się z tego zadowolona i wiodła ciche, rozważne życie.

Dlaczego mężczyźni, którzy mieli dziewczyny w każdym porcie, omijali ją szerokim łukiem? Ktoś, kto wiedział co nieco o jej przeszłości, udzielił ojcu odpowiedzi na to pytanie: ta kobieta oczarowała cię podobnie jak wszystkich mężczyzn. Ale to zbiegła żona człowieka triady, więc trzymaj się od niej z daleka. Nie zaprzątaj nią sobie głowy.

Wczesna wiosna 1947 roku stała się punktem zwrotnym w życiu ojca. Intrygowała go budowa maszyn, a dzięki wrodzonej ciekawości i zdolnościom szybko poznał topografię rzeki i dostał pracę pilota. Jednak obojętnie czy płynął w górę, czy w dół rzeki, główny nurtem czy dopływami, cały czas stała mu przed oczami kobieta z dzieckiem na plecach, przykucnięta nad praniem. Kiedy ujrzał ją następnym razem, gdy zwrócona do niego twarzą prostowała ścierpnięte ramiona, dostrzegł w niej wszystko naraz: dobroć, osamotnienie i silny

charakter.

Więc zaczął jej przynosić rzeczy do prania, zawsze płacąc więcej niż inni. Potem odwracał się na pięcie i odchodził, nie oglądając się za siebie.

– Te ubrania są czyste, nie trzeba ich prać – zauważyła cicho pewnego razu.

Zaczerwienił się i przystanął na progu, zanadto speszony, by uczynić krok. Zdał sobie sprawę, że zbyt często przynosi do niej rzeczy. Dziecko spało na łóżku. Kobieta zwinnym ruchem wystawiła stołek i zaprosiła go, by usiadł w drzwiach.

6

Człowiek triady na wszelkie sposoby starał się odszukać zbiegłą żonę. Rozlepił ogłoszenia o zaginionej osobie i wysłał ludzi do jej rodzinnego miasteczka; wszystko na próżno. Wściekły pojechał do Anjue i znalazł sobie dziewczynę, która jeszcze chodziła do szkoły średniej. Po krótkiej ceremonii ślubnej urządził ją w nowym domu, a sam wrócił do Czungcing. Nawet jemu, miejscowemu despocie o szerokich powiązaniach, nie udało się odszukać matki, więc założył, że musiała się wynieść z miasta. Przez myśl mu nie przeszło, że tancerka z nocnego klubu, z którą się zadawał, przekupiła jego ludzi, aby nie podawali mu adresu żony. Pewnego dnia matka, piorąc ubrania nad rzeką, zauważyła elegancko ubraną kobietę, ale w ogóle jej to nie obeszło.

Zanim wiosna 1947 roku dobiegła końca, odgłosy świętowania zastąpił szczęk broni; wybuchła wojna między oddziałami Kuomintangu a siłami komunistów. Lokalni namiestnicy wojskowi, tajne stowarzyszenia i organizacje religijne wykorzystywały zamieszanie, by rozszerzać swe wpływy. Wśród przerażonych mieszkańców miasta krążyły najróżniejsze pogłoski. Człowiek triady nie miał czasu zaprzątać sobie głowy żoną, która uciekła z córeczką. Gdyby w grę wchodził syn, naturalnie sprawa wyglądałaby inaczej.

Ojciec, człowiek małomówny, wiedział, że może zdobyć matkę tylko za pomocą czynów. W przeciwieństwie do innych, śliniących się na jej widok mężczyzn nie bał się okrutnej triady. Być może jako obcy w mieście nie doceniał siły podziemnego Syczuanu. Obojętnie jak na to patrzeć, wtedy właśnie narodziła się nasza rodzina.

Duża Siostra w kilku zdaniach dokończyła swoją opowieść i mimo że kilkakrotnie próbowałam do niej powrócić, nie udało mi się poznać żadnych szczegółów. Wiem, że nie czuła się nieszczęśliwa z powodu związku naszych rodziców – w końcu dzięki temu przeżyła – lecz małżeństwo dwojga ubogich ludzi było zbyt pospolite i za mało romantyczne jak na jej gust.

Kiedyś natrafiłam na fotografię matki z ładnie uczesanymi włosami, w białym atłasowym stroju kupionym na wyprzedaży. Po kapitulacji Japończyków bogaci i wpływowi ludzie masowo wyjeżdżali do Nankinu i Szanghaju, wyprzedając za grosze wszystko, czego nie zdołali ze sobą zabrać. Wiele ulic zamieniło się w kramy z używanymi rzeczami. Ojca nie było na tym zdjęciu, matka siedziała na ukwieconym tarasie z niemowlęciem w ramionach. Wiele lat później Duża Siostra pomalowała na różowo kwiaty na czarno-białej fotografii, żeby ją trochę ożywić. Twarz z portretu patrzyła przed siebie spokojnie, może nieco melancholijnie, maskując smutek czy też

radość goszczącą w sercu. Tamto zdjęcie zapadło mi w pamięć, bo to był najładniejszy wizerunek matki, jaki kiedykolwiek widziałam.

7

Usiłowałam na podstawie rysów Dużej Siostry odtworzyć wygląd człowieka, którego nazywała prawdziwym ojcem. Nie mógł być niski i szczupły jak większość mężczyzn w Czungcing. Ten playboy w kapeluszu i w długim tradycyjnym chińskim kaftanie miał nieco zazdrosną naturę. Lojalność stawiał na pierwszym miejscu, gotów dzielić dobry czy zły los ze swymi braćmi. Mężczyzna, którego życie tak intymnie splotło się z życiem matki, człowiek, którego nie widziałam na oczy, obojętnie jak bardzo realny dla matki, dla mnie był zaledwie cieniem.

Wysłano go do arsenału na północnym brzegu rzeki, żeby wyłapał komunistów, którzy produkowali proch, nie dbając zanadto o zachowanie tajemnicy. Wrócił do domu pobity i zakrwawiony, wprawiając matkę w śmiertelnie przerażenie. To niespodziewana porażka zamknęła mu drogę do awansu w triadzie, przez co wpadł w pijacki szał. Rwąc z rozpaczy włosy z głowy, potłukł i podeptał wszystkie tabliczki z dedykacjami od gości weselnych. Wtedy właśnie matka zrozumiała, że jej życie nie będzie usłane różami. Sytuacja polityczna z dnia na dzień stawała się coraz bardziej napięta, na ulicach było więcej patroli wojskowych i tajnej policji, nasilały się nocne obławy na komunistów. Człowiek triady rzadko zaglądał do domu; pojawiał się niezapowiedziany i zaraz znikał. Wątpię, czy po ucieczce matka kiedykolwiek zatęskniła za tamtym trybem życia.

Duża Siostra opowiadała, że nigdy nie nosił przy sobie pieniędzy, kiedy ruszał się z domu. Jeżeli miał na coś ochotę, płacił za to któryś z jego niższych rangą towarzyszy, bo zawsze była przy nim kilkuosobowa obstawa, dokądkolwiek by szedł.

– Herszt gangsterów, czym tu się zachwycać! – podsumowałam z przekąsem. – Masz szczęście, że matka cię zabrała. Gdyby nie to, czy zdajesz sobie sprawę, jak wyglądałoby twoje życie po wyzwoleniu? – Chciałam trochę utrzeć jej nosa, chociaż teraz już rozumiałam, dlaczego wiecznie narzekała na naszą biedę.

– Wiem dobrze. – Odchrząknęła. – Moje życie i tak byłoby ciężkie, obojętnie jaka droga otworzyłaby się przede mną.

Na krótko przed wejściem komunistów Czungcing opanował ogromny pożar. Wiosenne wiatry od rzeki zawiewały ogień na wzgórza; rudery zapalały się w przegrzanym powietrzu, w płomieniach stawały nawet drewniane barki i pontonowe przystanie. Ludzie uciekali w obawie o życie, a wkoło nich szalał żywioł. Matka z dwuletnią Drugą Siostrą na rękach, ciągnąc za sobą

0 rok starszą Dużą Siostrę, biegła przerażona pomiędzy

zwęglonymi ruinami na brzeg rzeki, aby odnaleźć statek ojca. Wszędzie pełno było poranionych, jęczących ofiar pożaru oraz uciekinierów. Ludzie w łachmanach, o twarzach wysmarowanych sadzą zmierzwionych, zlepionych włosach, zbijali się w gromadki i wspólnie rozpaczali nad losem. Część pogorzelców grzebała w zgliszczach, poszukując domowych sprzętów, inni wylewali wiadra wody na zwęglone szkielety drewnianych domostw, a jeszcze inni biegali po ulicach jak oszaleli, nawołując swoich krewnych. Rodzice szukali dzieci, a dzieci rodziców.

Kiedy dogaszono pożar, zaczęły podpływać statki wyładowane ciałami ofiar, które wyłowiono z rzeki lub pozbierano z nadbrzeża, żeby pogrzebać je w zbiorowych grobach na piaskowych ławicach u ujścia rzeki. Natomiast zwłoki tych, co zginęli w centrum miasta, palono na placu w pobliżu doku przy Niebiańskich Wrotach. Stos pogrzebowy polewano benzyną, aby podsycać ogień; policjanci w czarnych uniformach trzymali przy nim straż. Przez wiele dni nad miastem czarnym od dymu wisiał odór rozkładających się ciał.

W pobliżu hotelu „Czungcing" matka usłyszała wystrzały. Podobno pochwycono podpalacza i od razu dokonano egzekucji. Krążyły różne pogłoski; jedni mówili, że strażacy z Kuomintangu rozpylali benzynę, żeby wzmagać ogień, a inni – że pożar wznieciła partyzantka komunistyczna, ażeby obrócić ludność przeciw rządowi. Kto wie, gdzie leżała prawda? W czasach gdy zawierucha wojenna potrafiła zmieść z powierzchni ziemi dziesiątki tysięcy istnień ludzkich w ciągu jednego dnia, pożar w Czungcing był niewielką tragedią.

Pożar wybuchł drugiego września 1949 roku; ponad dwa miesiące później, pod koniec listopada, miasto znalazło się w oblężeniu wojsk komunistów. Żeglarze z Jangcy porzucili swoje statki, wiedząc, że w czasie działań wojennych w pobliżu szlaku wodnego o strategicznym znaczeniu ich jednostki były łatwym celem.

Jednak ojciec nie miał serca opuścić barki, mimo że do niego nie należała. Dwunastu żołnierzy Kuomintangu załadowało na pokład skrzynie z materiałami wybuchowymi i pod bagnetami kazało mu płynąć w górę rzeki. Zawinięty w kołdrę, tak że widać było jedynie oczy i dłonie, wprawnie manewrował barką, unikając pocisków, które padały z obu brzegów rzeki. Oficer stojący na pokładzie został trafiony w udo i wpadł do budki sternika; krew ochlapała szybę i poplamiła kołdrę ojca. Żołnierze krzyczeli ze strachu, świadomi, że amunicja może w każdej chwili wybuchnąć. Niektórzy z nich skakali do wody, a inni przycupnęli skuleni za budką. Ojciec cudem dostarczył ładunek na miejsce, za co dowodzący dał mu dwie srebrne dolarówki. Potem wymierzył do niego z pistoletu i zeskakując na ląd, rozkazał:

– Zatop statek!

Ojciec zużył cały zapas odwagi na przeprowadzenie statku przez

te wszystkie niebezpieczeństwa, gdyż pragnął go ocalić. Więc udając, że nie słyszy rozkazu oficera, zawrócił statek i odpłynął. Dopiero na milę od Niebiańskich Wrót, gdzie ostrzał był ciężki, bojąc się, by go nie zatopiono, wziął kurs na mieliznę przy Nabrzeżu Złotego Piasku.

Tamtego dnia mróz ściął to dziwne, skazane na tyle nieszczęść miasto, którego mieszkańcy to walczyli o żywność, to uciekali z linii frontu. Matka, ponownie w ciąży, wdrapała się na kamienne schody. W jednej ręce niosła worek fasoli, na drugiej trzymała Drugą Siostrę, a Duża Siostra dreptała za nią. Strzelanina nie ustawała, wichura przyginała drzewa niemal do ziemi, a dym z wystrzałów, wzbijany podmuchami wiatru, zawisł nad miastem niebieskawą mgłą. Kiedy matka dotarła do drzwi, chłodna krew chlusnęła jej po nogach. Poroniła.

Właścicielka domu powiedziała, że jeśli martwy płód jest w całości, to chłopiec, a jeżeli się rozpadł – dziewczynka. Pochyliła się i szturchnęła krwawy strzęp szczotką do mycia ubikacji.

– Chłopak! – zawołała. – To chłopak!

Kiedy gospodyni się oddaliła, matka zległa na łóżku, myśląc z rozpaczą, że ojciec na pewno zginął, transportując amunicję, a jego zwłoki unoszą się na rzece wraz ze szczątkami statku. Jednak on uszedł z życiem z walk nad rzeką i wrócił do domu. Swym widokiem przeraził obie córeczki, bo w jego usmarowanej sadzą twarzy widać było jedynie oczy. A matka zarzuciła ramiona na szyję mężowi, który wywinął się Demonowi Śmierci.

Trzy dni później oddział, który zmusił ojca do przewozu amunicji, został okrążony i rozbity przez jednostkę Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Oficer dowodzący oddziałem opowiedział o wszystkim swoim pogromcom, ponieważ był pod wrażeniem odwagi sternika, który nie spełniając jego rozkazu, ryzykował życie. W swojej relacji oficer pominął milczeniem tylko dwa srebrne dolary.

Wiele lat później, w okresie Akcji Tłumienia Kontrrewolucji, ojciec musiał opisać ze szczegółami cały incydent, ale on także nie wspomniał o pieniądzach. Życie ocaliła mu umiejętność nawigacji i znajomość Jangcy – wiedza bardzo pożyteczna dla nowego, komunistycznego reżimu. Skierowano ojca na dopływ Jangcy w jej górnym biegu, zwany Rzeką Złotego Piasku, z niebezpiecznymi progami wodnymi i licznymi ukrytymi skałami, gdzie przy braku boi najmniejszy błąd sternika mógł doprowadzić do zatopienia statku wraz z załogą. W przypadku kogoś z tak niepewną przeszłością jak mój ojciec to zadanie było aktem wspaniałomyślności. Niestety, wyczerpujące żeglowanie nocami zaczęło zbierać żniwo w postaci osłabienia wzroku.

Już jako mała dziewczynka wiedziałam, że na dnie jednego z

kufrów leżą ukryte dwie srebrne jednodolarówki. Kiedy matka i ojciec się sprzeczali, zniżali głosy – w przeciwieństwie do pozostałych mieszkańców siedliska, którzy podczas kłótni wrzeszczeli na całe gardło. Rodzice nie chcieli, żeby ktokolwiek ich podsłuchał, a na mnie, skuloną w ciemnym kącie, nie zwracali uwagi.

– Zanieś te dwa srebrne dolary do banku i wymień je – mówiła matka. – A potem wyciągnij ile trzeba na jakiś porządny szpital, gdzie zajęliby się twoimi oczami.

– Za późno na to – wzdychał ojciec. – Poza tym, pokazując te monety, wzbudziłbym podejrzenia.

Wtedy nie rozumiałam jeszcze, jakie „podejrzenia” miał na myśli, ale patrząc z perspektywy czasu, wiem, że jego obawy były uzasadnione.

8

Duża Siostra ziewnęła i spojrzała na szczyt wzgórza, gdzie światło jedynej lampy wydawało się niezwykle jaskrawe w panujących dokoła ciemnościach. Stwierdziła, że czas wracać do domu i kłaść się spać.

– To wszystko? To już koniec? Nie odpowiedziałaś na moje pytanie! – protestowałam. – A syfilis?

– To proste – odparła. – Człowiek triady sypiał z dziwkami na prawo i lewo. Złapał syfilis, zaraził matkę, a ona ojca.

– A tamte wszystkie lata? Kiedy się zorientował, że go ma? Czy wiedział, że matka jest zarażona, zanim się pobrali? Czy oczu ojca nie zniszczyło pływanie w nocy?

– Wyleczono go dawno temu! – Duża Siostra niemal krzyknęła. – Ależ ty jesteś marudna!

Może nawet chciała mi o tym powiedzieć, ale uznała, że niewiele jest do opowiadania, a może nadal skrywała żal. Ot, tak przestawiały się realia potwornego życia biedoty miejskiej w Chinach i nie było sensu silić się na romantyzm. Na brudnych, porośniętych mchem murach w naszej dzielnicy zawsze wisiały plakaty obwieszczające: „Choroby weneryczne są uleczalne".

Kłyktiny na narządach płciowych, wysypka na żołędzi,
infekcje drożdżowcami, świąd genitaliów,
swędzenie sromu, ropna wydzielina z pochwy.

Nigdy nie udało mi się dociec, jak czytać te plakaty – z góry na dół, z dołu do góry, od lewej do prawej, czy może od prawej do lewej strony? Wszystkie te wprawiające w zakłopotanie i napawające strachem symbole niewątpliwie wiązały się z ohydnymi i wstydliwymi sprawami. Nawet kiedy „Czerwone Słońce" świeciło najjaśniej, a społeczeństwo chińskie doszło do szczytu rewolucyjnych osiągnięć i z dumą twierdziło, że Chiny są jedynym miejscem na ziemi, gdzie uporano się z chorobami wenerycznymi, te ostrzeżenia nigdy tak na dobre nie zniknęły; a na początku lat osiemdziesiątych pojawiły się znowu w masowych ilościach. Nigdy nie starczyło mi odwagi, aby lepiej się im przyjrzeć czy postarać się wniknąć w to, kto co leczy i u kogo. Kiedy więc Duża Siostra podniosła na mnie głos, bałam się dalej drążyć ten temat.

VII

1

Opuszczając szkołę po wieczornych zajęciach, zauważyłam światło w oknie biura nauczyciela historii i wspięłam się na schody budynku o skośnym dachu. Czytał książkę, ale odniosłam wrażenie, że czekał na mnie. Uśmiechnął się i zapytał, czy chce mi się pić. Wskazując na swoją szklankę, zaproponował, że jeśli mam ochotę, mogę wypić to, co w niej zostało. Przysiągł na przewodniczącego Mao, że na nic nie choruje.

Stałam przed jego biurkiem, lecz nie wyciągnęłam ręki po szklankę. Za oknem mżyło; pokój wypełniało łagodne i ciepłe światło, poczułam się jak w domu. Nauczyciel był w lepszym nastroju niż ostatnim razem, kiedy go widziałam; jego oczy naprawdę błyszczały.

Mieszkał w parterowym domku po rodzicach, który mieścił wewnątrz jedną dużą salę z drugim, tylnym wyjściem, przedzieloną na dwa mniejsze pokoje. Nigdy nie poznałam do końca historii jego rodziców, wiem jedynie, że ojciec rok po wyzwoleniu, w trakcie jednej z niezliczonych nagonek politycznych, był inwigilowany przez policję jako „element antysocjalistyczny" i stracił pracę. Co stało się tego przyczyną, nauczyciel nie wiedział. Matka pracowała jako kasjerka w banku, lecz ją także w końcu wyrzucono, więc była zmuszona brać szycie do domu. Kiedy go poznałam, rodzice od wielu lat nie żyli. Dom stał na pochyłości, a do tylnego wyjścia prowadziło sześć kamiennych stopni. Konary potężnej rajskiej jabłoni zwisały aż nad podwórkiem sąsiada, którego dom na palach opierał się o pień drzewa.

Za domkiem rósł krzew winorośli, lecz niegdyś zmarniał zapuszczony. Nauczyciel miał brata, który zginął w walkach frakcyjnych podczas rewoluqi kulturalnej. Krótko po jego śmierci winorośl ni stąd, ni zowąd zaczęła gwałtownie rosnąć, pędy owijały się wokół konarów rajskiej jabłoni, pięły po murze i czepiały dachówek. Liście stały się mięsiste i duże, a fioletowe owoce – soczyste i słodkie. Zielone gąsienice motyli, spadające z krzewu, wiły się na ziemi, ich obłe ciała połyskiwały jak kryształki. Winorośl przyciągała łakomych rabusiów.

Nauczyciel powiedział mi, że czasem zbiera się u niego grupka przyjaciół.

– Dołącz do nas – zaproponował. – Posłuchasz, jak rozmawiamy o literaturze. Jeśli zechcesz, pożyczysz sobie jakieś książki.

Z jego tonu wywnioskowałam, że zależy mu, abym przyjęła zaproszenie; pierwszy raz rozmawiał ze mną jak równy z równym. Ta grupka przyjaciół, których łączyły podobne doświadczenia oraz

pochodzenie, spotykała się, żeby razem czytać i omawiać książki, a także dyskutować o różnych sprawach, które ich interesowały. Słuchali również radia, które sami przestroili. Podczas gdy większość mieszkańców tej dzielnicy nastawiała radioodbiorniki na stacje w Hongkongu nadające muzykę pop, oni woleli słuchać na falach krótkich audycji Radia BBC albo Głosu Ameryki, prezentowanych w języku chińskim. To było coś, czego nie śmiałam sobie nawet wyobrazić. Od trzydziestu lat „słuchanie wrogich radiostacji" było przestępstwem, za które zasądzano długie wyroki. I chociaż przed 1980 rokiem represje osłabły, a kary nieco złagodniały, nadal samo tylko napomknięcie o „wrogich radiostacjach" wywoływało dreszcz strachu.

Burze wokół Czungcing bywały bardzo gwałtowne. Obserwowaliśmy ze wzgórz, jak pioruny rozbijają deszczowe chmury nad rzeką. Rzadko jednak trwały dłużej niż dziesięć minut. Pod tym względem przypominały temperament mieszkańców miasta, którzy uspokajali się równie szybko, jak wybuchali. Najbardziej dawały się we znaki ciągłe mżawki i grzyb osiadający na meblach, który ściągał robactwo bezlitośnie toczące drewno.

Podczas siąpiących deszczów bruk na drogach ginął pod warstwą mazistego, śliskiego błota. Deszcz przyprawiał o rozpacz, bo wydawało się, że już nigdy nie przestanie padać. Najgorzej było w zimie. Ludzie, którzy nie mieli na kalosze, musieli chodzić w plastikowych sandałach, trzęsąc się z zimna, gdy lodowata woda wciskała im się między palce u stóp.

Zdarzało się, że mżawka, rozpylona jak mgła, tak ograniczała widoczność, iż nie można było dojrzeć drugiego brzegu rzeki. Syreny statków wyły przenikliwie, wysyłając ostrzegawcze sygnały.

Właśnie w jeden z takich dni wdrapałam się na wzgórze, uważając przy tym, aby nie zjechać po śliskich, nierównych stopniach. Na głowie miałam stary, zniszczony kapelusz, z którego sterczały połamane bambusowe witki. Musiałam iść pochylona, bo inaczej woda, ściekając ze stożkowatego kapelusza, wsiąkałaby mi w ubranie.

Drzwi domu nauczyciela nie były zamknięte; żaden z jego sąsiadów nie odważyłby się tam zajrzeć, bo prawdopodobnie uważano, że w domu straszy. Jednak atmosfera zagrożenia czyniła to miejsce jeszcze bardziej pociągającym. Przystanęłam pod okapem, podekscytowana jak nigdy dotąd, i zapytałam, czy ktoś jest w domu.

Ponieważ nie doczekałam się odpowiedzi, pchnęłam drzwi i weszłam do środka. Na biblioteczce stała fotografia kobiety oprawiona w ramki. Owalną twarz okalały lśniące czarne włosy zaczesane do tyłu i krótko obcięte, jak u wszystkich Chinek w tamtych czasach. Kobieta miała na sobie sweter z golfem oraz narzucony na wierzch płaszcz ze zgrzebnej wełny. Moje serce biło jak szalone, miałam przed sobą

zdjęcie jego matki; domyśliłam się tego od razu, podobieństwo było bardzo wyraźnie. Patrzyła na mnie, jakby chciała mi coś powiedzieć.

W kącie stał popękany porcelanowy wazon posklejany cementem. Dostrzegłam na nim ślady dawnego malowidła. Obok biblioteczki na konsolce zauważyłam staroświecki gramofon. Za oknem bambusowy gaj połyskiwał szmaragdowe w deszczu. Świeże pranie wisiało na bambusowym kiju wspartym o słupki werandy, susząc się cierpliwie w przesyconym wilgocią powietrzu.

Na krzesłach, na łóżku, na komódce – wszędzie leżały książki. I gazety. Jemu i jego przyjaciołom książki były niezbędne do życia; potrafili przesiedzieć cały wieczór zanurzeni w lekturze albo dyskutować do rana o jakiejś powieści czy losie któregoś z fikcyjnych bohaterów.

W marzeniach wielokrotnie odwiedzałam dom nauczyciela historii; jako jego przyjaciółka siadałam z książką w kącie, słuchałam, jak jego znajomi dyskutują albo czytają na głos jakieś piękne fragmenty. Może byłam zanadto nieśmiała, może odczuwałam za duże skrępowanie w obecności obcych, a może po prostu nie chciałam, by przyjaciele nauczyciela mnie zobaczyli, w każdym razie nigdy naprawdę nie zapukałam do jego drzwi. Wystarczyło mi zaglądać tam w wyobraźni. W ten sposób dni szybciej mijały, a życie stawało się bardziej znośne.

Miałam cztery lata, kiedy zaczęła się rewolucja kulturalna, a czternaście, gdy dobiegła końca. Dzieci w tym wieku powinny przede wszystkim zajmować się nauką, nam jednak większość czasu pochłaniało uczestnictwo w najróżniejszych czynach społecznych; formowaliśmy tarasowo schodzące pola na wsi, zbieraliśmy złom na przyfabrycznych wysypiskach, czasem nawet zakradaliśmy się w nocy do wnętrza fabryki i wykręcaliśmy z maszyn metalowe części, które potem odstawialiśmy do punktu zbiórki surowców wtórnych.

Pod koniec każdego semestru łącznicy klasowi, wytrawni donosiciele, zawsze składali jakieś meldunki świadczące o mojej niewłaściwej postawie. Czarne znaczki na sprawozdaniu semestralnym napawały mnie przerażeniem: nie lubi ciężkiej pracy, nie współdziała z kolektywem, nie wykazuje entuzjazmu dla narodowych przedsięwzięć, reprezentuje obojętną postawę wobec zadań politycznych. Ojciec stał w najlepiej oświetlonym miejscu w pokoju i przygnębiony czytał po cichu sprawozdanie. Matka zbyt słabo czytała, żeby to wszystko zrozumieć, a ponieważ nie wierzyła w wersję ojca, szła do kogoś, aby przeczytał jej sprawozdanie. Ileż wstydu musiała się najeść! Wracała do domu jeszcze bardziej zła niż zwykle.

Moje sprawozdania semestralne z roku na rok stawały się gorsze, a jedno było wręcz pokazowe: reprezentuje burżuazyjne myślenie,

czyta grube pożółkłe książki, zrywa kwiaty przy drodze i chowa je do tornistra, ma niską świadomość polityczną, nie wykazuje chęci wstąpienia do Związku Młodzieży Komunistycznej, otwarcie twierdząc, że nie ma czasu na takie bzdury, odmawia szczerej rozmowy z nauczycielami lub z łącznikami klasowymi, nie przyjmuje zbiorowego krytycyzmu, nie przejawia solidarności z kolegami z klasy, nie włącza się do wspólnej zabawy podczas przerw. To były opinie mojej grupy, czternastu uczniów, którzy wzajemnie wyszukiwali swoje mocne i słabe strony. Z jakiejś nieznanej mi przyczyny nieodmiennie stawałam się celem zbiorowej krytyki. Opinia wychowawcy zawsze brzmiała mniej więcej tak: „Zgadzam się ze zdaniem kolektywu i mam nadzieję, że uczennica przyjmie krytykę, przyzna się do błędów i więcej ich nie popełni".

To chyba właśnie tamtego roku po raz pierwszy zobaczyłam nauczyciela historii. O ile dobrze pamiętam, przyszedł do mego gimnazjum na zastępstwo, które miało potrwać tydzień czy dwa. Ale wtedy nie zwróciłam na niego uwagi, zresztą on też mnie nie zauważył. Wówczas mężczyźni nie mieścili się w kręgu moich zainteresowań, a ja na pewno nie wpadłam mu w oko; prawdopodobnie nawet dzisiaj nie uznałby mnie za kobietę szczególnie atrakcyjną.

Co by było, gdybym więcej go nie spotkała? Albo gdyby potraktował mnie tak samo niechętnie jak pozostali nauczyciele, koledzy z klasy czy sąsiedzi? Nie, on był inny niż wszyscy i powinnam być wdzięczna, że pojawił się w moim życiu. Samo niebo mi go zesłało.

Na początku lata Trzeci Brat, który zawsze majstrował przy radiach, czy to sąsiadów, czy swoim, zreperował wyrzucony na śmieci odbiornik i podarował go ojcu, który już bardzo źle widział. Pożyczyłam go i w nocy kręciłam gałką tak długo, aż znalazłam stację, o której wspomniał mi nauczyciel historii. Pierwszy raz w życiu usłyszałam, jak ktoś czyta Biblię.

Bo choćbym też chodził wpośród cienia śmierci, nie będę się bał zła, albowiem ty jesteś ze mną; laska twoja i kij twój, te mię pocieszyły […]! miłosierdzie twoje pójdzie za mną po wszystkie dni żywota mojego, abym mieszkał w domu Pańskim przez długie dni.

Te słowa musiały być powiedziane bezpośrednio do mnie, bo inaczej jak mogłyby mi dostarczyć tylu wzruszeń, wycisnąć łzy z oczu? Zakochałam się w Psalmach i w Pieśni nad Pieśniami, słuchając potajemnie radia. Nie miało znaczenia, skąd był ten bóg, najważniejsze, że wlał mi otuchę w serce i że mnie chronił. Czasami nieświadomie czyniłam znak krzyża, przechodząc przed świątynią Buddy, lub składałam dłonie, mijając krzyż, czym budziłam wesołość

obserwatorów. Niektórzy ludzie zarzucali mi bluźnier-stwo, ale ja nie uważałam, bym zrobiła coś złego.

2

Dowiedziałam się z radia, że Jangcy osiągnęła najwyższy poziom w ciągu ostatnich dwudziestu sześciu lat i że idzie fala powodziowa.

Tego samego dnia, we wrześniu 1980 roku, radio podało jeszcze jedną informację: według nowego prawa minimalny wiek do zawierania małżeństwa wynosił dwadzieścia dwa lata dla mężczyzn i dwadzieścia dla kobiet. Natomiast partia nalegała, aby pary wstrzymywały się ze ślubem do chwili, kiedy suma ich wieku wyniesie pięćdziesiąt. Jeżeli ktoś wstąpił w związek małżeńskich, osiągnąwszy wiek minimalny, nie czekały go sankcje sądowe, natomiast mógł zostać ukarany przez zakład pracy za przestrzeganie litery, a nie ducha prawa.

Być może dlatego, że wzrastałam niedożywiona i wolno się rozwijałam, ludzie nadal zwracali się do mnie „dziewczynko" i nawet ja sama nie uważałam się za osobę dorosłą, mimo że zgodnie z prawem za dwa lata mogłam wyjść za mąż. Nowelizacja prawa małżeńskiego, która uszczęśliwiła wielu ludzi, w ogóle mnie nie obeszła. Sprawy rozgrywające się między kobietą i mężczyzną wydawały mi się takie abstrakcyjne.

W tamtym czasie do drukowania gazet, zaledwie czterech stron papieru niskiej jakości, używano tak kiepskiej farby, że czytając, zawsze brudziłam sobie ręce. Na rynku Przy Kamiennym Moście czołowe gazety, takie jak „Dziennik Ludowy" czy „Dziennik Czungcing", wystawiano w drewnianych ramach lub w oszklonych gablotach; jednak tych drugich nie było za wiele, bo szkło rozbijano, czego oczywiście nie robili czytelnicy gazet, tylko wandale. Zapewne byli to ci sami, którzy niszczyli uliczne latarnie, przez co w dzielnicy panowały egipskie ciemności. Jedyny wyjątek stanowiła aleja Strumienia Kotów – oczywisty znak, że tam mieszkali sprawcy. Lecz nawet gdyby wszystkie lampy się paliły, to i tak ulice na Południowym Brzegu pozostałyby ciemne. Po prostu było tam za mało latarni.

3

Nauczyciela historii bardziej interesowały artykuły w gazetach niż to, co działo się wokół niego. „Na sławetnych szanghajskich strychach i w osławionych mansardach Paryża – oznajmiał – narodziły się rzesze pisarzy i artystów. Trudne warunki mogą się okazać dobrodziejstwem". Ale mówił również i coś takiego: „Obojętnie jak bardzo będziesz silna, pozostaniesz bezbronna wobec świata i nigdy nie będzie ci dane zaznać tego, co nie jest ci pisane", albo: „Wodospad zawsze był w tym miejscu, a ludzie o nim nie wiedzieli, dopóki rzeka go nie odsłoniła".

Lubiłam słuchać, kiedy wypowiadał te swoje sentencje. Jego słowa były pełne mądrości, patrzyłam na niego z podziwem. Zapewne podobnie głębokie myśli formułował na swych spotkaniach towarzyskich. Prywatnie był zupełnie inny niż w klasie. Czułam, że traktuje mnie teraz jak przyjaciółkę, kogoś, kto potrafi zrozumieć jego słowa.

Właśnie w takich okolicznościach wzrosło moje zainteresowanie prasą, otwierając mi okno na świat. Nie opuszczałam niczego, nawet najmniejszej kolumny. Często na ostatnich stronach gazet ukazywał się spis czasopism literackich, a pewnego dnia natrafiłam na reklamę pekińskiego magazynu literackiego „Współczesność" wraz z urywkiem reportażu pod tytułem Zimowa opowieść. Autorką była Yu Luojin, młodsza siostra Yu Luoke, odważnego młodego człowieka, który bez ogródek wypowiadał się na temat prześladowań politycznych, twierdząc: „Wszyscy, bez względu na pochodzenie społeczne, mają prawo do politycznej równości". Został za to postawiony przed sądem, skazany i rozstrzelany podczas rewolucji kulturalnej. Siostra opisywała jego los i prześladowania, jakie później spotkały rodzinę.

Pożyczyłam ten numer czasopisma od nauczyciela historii, a czytając go, przepisałam najbardziej poruszające fragmenty do pamiętnika. Kiedy odniosłam pismo nauczycielowi, chcąc podzielić się z nim przemyśleniami, napomknęłam, że Yu Luoke miał zaledwie dwadzieścia siedem lat, kiedy został stracony. Nauczyciel przerwał mi gwałtownie tak szorstkim tonem, jakby był osobiście zaangażowany w tę sprawę. Jego niespodziewany wybuch zbił mnie z tropu. Co prawda opanował się, jak tylko zmieniłam temat, niemniej tego dnia zachowywał się chłodno i wydawał się trochę nieobecny.

Tamtego popołudnia, po wyjściu z jego biura, na chwilę przysiadłam na stopniach przy szkolnym murze, oddając się niewesołym rozmyślaniom. Zapewne jestem w szkole jedyną dziewczyną, która kontaktuje się z nim po lekqach. Nie wyróżnia się spośród pozostałych nauczycieli ani urodą, ani inteligenta, więc

dlaczego się wywyższa? Zapewne wie, że darzę go szczególnym uczuciem, toteż uznał, że wolno mu mną pomiatać. Byłam na niego zła i czułam się rozżalona. Tchórz, oto kim jest! Kto powiedział, że powinnam żywić dla niego szacunek?! Albo w ogóle zwracać nań uwagę?!

Rozległ się dzwonek wzywający na popołudniowe zajęcia. Akurat w planie miałam powtórkę z historii. Tamtego wieczoru zrobił nam próbny egzamin, więc dwie godziny minęły jak z bicza trząsł. Wymknęłam się z klasy, kiedy reszta uczniów jeszcze się po niej kręciła, i ruszyłam pustą ścieżką przez teren szkoły.

– Czemu się tak śpieszysz? – zapytał, doganiając mnie.

– Boję się duchów.

– To z mego powodu?

– Niby dlaczego?

– Ty mała złośnico, obraziłaś się na mnie – powiedział z westchnieniem. W dłoni trzymał gazetę zwiniętą w rulon. – Ale ja nigdy nie mam dość rozmów z tobą.

Moje silne postanowienie, by go ignorować, i cały gniew prysły pod wpływem tego westchnienia. Ale nie zwolniłam kroku. Zaproponował, abyśmy wyszli przez szkolną bramę.

– Może być – zgodziłam się.

Pora zrobiła się późna, wszyscy uczniowie rozeszli się do domów, więc nie było potrzeby, abym wymykała się okrężną drogą przez zburzony mur.

Tamtego wieczoru po raz pierwszy szliśmy tak blisko siebie. Wrażenie intymności pogłębiał fakt, że byliśmy zupełnie sami. Księżyc oświetlał wystające kamienie na ścieżce, szeleściły poruszane wiatrem liście. Doszliśmy do miejsca, gdzie rozchodziły się nasze drogi. Przystanęłam i odwróciłam się ku niemu, żeby powiedzieć do widzenia. Ale on był taki ożywiony, że zaproponował, iż odprowadzi mnie jeszcze kawałek. Chyba zdawał sobie sprawę z mojego niepokoju; czułam, jak płonie mi twarz. Zerknęłam na niego tak, by tego nie dostrzegł. Pocieszyła mnie świadomość, że ciemności kryją moje onieśmielenie i lęk.

Zatrzymałam się, zanim doszliśmy do stawu przy szkółce drzew. Nie chciałam, żeby dalej ze mną szedł.

– Nie wolałabyś, bym odprowadził cię do domu? – Stał nieco za mną z prawej strony i niechcący dotknęłam jego ręki, gdy poprawiałam pasek tornistra. Podniosłam wzrok, nasze spojrzenia się spotkały. Staliśmy tak blisko siebie, moje serce biło gwałtownie.

– Mam stąd parę kroków do domu, więc proszę zawrócić – powiedziałam cicho.

Skinął głową.

– Został ci jeszcze kawałek drogi, więc trzymaj się głównego

szlaku. Nie ma czego się bać. Wszystkim rządzi przeznaczenie. Można biec, ale i tak się nie ucieknie.

Zarzuciłam tornister na ramię, odwróciłam się i nie oglądając za siebie, zaczęłam schodzić po zboczu. Nie przystanęłam, dopóki nie nabrałam pewności, że nie może mnie już widzieć. Co to wszystko miało znaczyć? – zastanawiałam się.

Wiedziałam, że gdybym zawróciła, znalazłabym go w tym samym miejscu. Stał tam i odprowadzał mnie wzrokiem. A gdybym do niego podeszła, w jego oczach ujrzałabym to smutne spojrzenie, które tylko ja potrafiłam dostrzec. Nie umiał wyrażać swoich uczuć. Gdyby to potrafił albo gdybym ja okazała większe zrozumienie, nasze serca zbliżyłyby się do siebie.

Przeżywałam tortury; pragnęłam, by wziął mnie w ramiona i pocałował.

Ani matka, ani ojciec nigdy mnie nie pocałowali. Tak samo bracia i siostry. Ilekroć mi się przyśniło, że ktoś mnie całuje, budziłam się z krzykiem. Ta tęsknota musiała być głęboko zakorzeniona w mojej psychice. Gdyby za każdym razem, kiedy doznałam przykrości, ktoś mnie przytulił, poklepał po plecach czy pogłaskał po głowie, poradziłabym sobie z upokorzeniem. Ale w mojej rodzinie nie było takiego zwyczaju. Ludzie, pośród których żyliśmy, nie obejmowali się, nie całowali i nie dotykali. Kto wie, może robili to łóżku. Najwyraźniej obywali się bez fizycznego kontaktu; natomiast ja nie mogłam. Czerpałam ogromną przyjemność z wyśnionych pocałunków, co dowodziło, że byłam nienormalna.

Nauczyciel historii nie próbował mnie dotknąć; zastanawiałam się, czy on jest równie wystraszony jak ja.

4

Po powodziach zazwyczaj znacznie spadał poziom wody, pas nabrzeża się poszerzał, a pontonowe przystanie osiadały. Ich zardzewiałe kable wrzynały się w błotnistą, poznaczoną kamieniami skarpę. Wysokie głazy o krawędziach wymytych przez fale groźnie sterczały z płytkiej wody. Te podwodne skały, postrach marynarzy, teraz stawały się wysepkami przypominającymi skorupy żółwi.

Każdego lata ludzie ściągali nad rzekę z daleka i z bliska, aby kąpać się w miejscach, gdzie skaliste nadbrzeże schodziło łagodniej. Używaliśmy słowa „kąpać się", a nie „pływać". Kąpiący się baraszkowali na plecach, wypinając płaskie lub wystające brzuchy. Chudzi chłopcy, nadzy jak w chwili narodzin, urządzali wodne bijatyki. Marynarze o ogorzałych ciałach, ze statków towarowych przycumowanych do pomostu, nurkowali w brunatnej wodzie. Dla ludzi takich jak my, którzy nigdy nie widzieli łazienki, sąsiedztwo rzeki, obojętnie jak mętnej i zmiennej, było prawdziwym błogosławieństwem.

Jangcy, spływając z płaskowyżu, znacznie zwalnia na obszarze Syczuanu, zanim dopłynie do Czungcing, ale i tak każdego roku pochłania wiele istnień ludzkich: szarżujących pływaków, ofiary wywrotek statków i zabójstw, a także samobójców. Czy ktoś zginął śmiercią bohaterską, czy haniebną, spotyka go taki sam los, a miejsca w rzece wystarcza dla wszystkich.

– Chodźcie szybko, znowu płynie wodny kloc!

Na drogach i w siedliskach niosły się nawoływania na podobieństwo bicia bębnów. Z uliczek wybiegali gapie w sandałach, często z miseczką ryżu w dłoni, i ciągnęli sznurem nad rzekę. Oglądanie topielców stanowiło rzadką rozrywkę w monotonnym życiu mieszkańców Południowego Brzegu.

W zakolu rzeki przy doku Strzału z Procy, obok tartaku, woda powoli opływa skalisty brzeg, a wióry zmieniają ją w zawiesistą zupę. Rozdęte ciała topielców oblepione trocinami wyglądają jak bale drewna w dziwnym kolorze. Nie można ustalić, kim ci ludzie byli za życia, bo woda porywa ubrania albo okręca je wokół ciał. Nawet kiedy zwłoki są nagie, trudno odgadnąć, czy należą do kobiety, czy do mężczyzny. Panuje taki przesąd, że jeśli pośród gapiów znajdzie się krewny czy wróg topielca, z otworów w sino-purpurowej twarzy nieszczęśnika tryśnie świeża krew.

Większość topielców zdążyła przepłynąć dziesiątki, a nawet setki kilometrów i popłynęłaby dalej w jakieś odległe miejsce, gdyby nie zanieczyszczone zakole. Natomiast trupy, które przebywały w rzece krócej niż tydzień, cechowała jedna szczególna prawidłowość: zwłoki

kobiet zawsze płynęły na plecach, a mężczyzn twarzą do dołu. Kiedy już wiedziałam co nieco o tym, co się dzieje między kobietą i mężczyzną, za każdym razem, gdy widziałam tych płynących biedaków, czułam dziwne drżenie koło serca. Bo czyż rzeka, gdy pochłaniała ciała, nie tuliła ich jednocześnie w objęciach, głaszcząc czule w ostatniej miłosnej pieszczocie?

W tamten purpurowy wieczór niebieskawa poświata wpadała przez okno do biura na pierwszym piętrze budynku ze skośnym dachem; gorączka dnia jeszcze nie ustąpiła, a na pobliskich polach rozkumkane żaby płoszyły z drzew roje świetlików. Zwierzanie się nauczycielowi historii sprawiało mi radość. Mrużąc oczy, popijał herbatę i słuchał.

Zawsze potrafiłam wypatrzyć mojego chudego, śniadego Trzeciego Brata w gromadzie dzieciaków baraszkujących w rzece. Matka wiecznie go łajała: „Może tobie nie zależy, czy przeżyjesz, czy nie, ale mnie tak". Jej uwagi wpadały mu jednym uchem, a drugim wypadały. I choć nie unikał brawury, nie pamiętam, by kiedykolwiek chodził chociażby zadrapany. Zawsze towarzyszyło mu kilku zasmarkanych, bosonogich wyrostków, dla których był bohaterem.

Najstarsza córka Dużej Siostry miała zaledwie dwa miesiące, kiedy Trzeci Brat, ujęty urokiem różanych policzków, zaniósł niemowlę nad rzekę, gdy jego mamusia położyła się na drzemkę. Pozwolił maleństwu samodzielnie pluskać się w wodzie. W tym czasie Duża Siostra, wiedziona złym przeczuciem, obudziła się i wyskoczyła z łóżka. Kiedy z obłędem w oczach szukała wszędzie córki, Trzeci Brat wmaszerował do siedliska, niosąc na rękach przemoczoną dzieczynkę ze źdźbłami trawy we włoskach. „Nauczyłem ją pływać" – oznajmił, nie zwracając najmniejszej uwagi na rozwścieczoną siostrę.

Matka aż pobielała z gniewu. Ale nie podniosła na niego ręki, a nawet dała mu dokładkę na kolację.

– Prędzej czy później zostaniesz wodnym klocem! – napadła na niego Duża Siostra.

Spiorunował ją wzrokiem, rozdymając przy tym nozdrza, odwrócił się na pięcie, energicznie wymaszerował z siedliska i zniknął nam z oczu. Prawdopodobnie poszedł nad rzekę, żeby znowu się kąpać.

– Wracaj tu zaraz, Numer Trzy! – krzyknęła za nim matka. – Na nikim ci nie zależy, ty przeklęty samotniku!

Nogi same zaniosły mnie do sieni.

– Mała Szóstko, żebyś mi się nie ważyła pójść za nim! – ostrym tonem powstrzymała mnie matka.

Pakowała do szmacianej torby czyste ubranie i marynowane warzywa, żeby zabrać je ze sobą do fabryki. Chociaż matka zjawiała

się w domu raz w tygodniu, nigdy nie zapominała prawić mi kazań: „Zabraniam ci kąpać się w rzece, szczególnie bez opieki. Nie życzę sobie, abyś nawet bawiła się na brzegu. Rzeka może cię pochwycić, wciągnąć i zarzucić na ciebie pętlę. Czy ci się podoba, czy nie, ona uwielbia dzieci”.

Matka zaczęła opowiadać mi o okrucieństwie rzeki, kiedy ledwo potrafiłam chodzić i mówić. I tak ja, dziewczyna wychowana nad rzeką, córka marynarza, nigdy nie nauczyłam się pływać. Wątpię, czy jest ktokolwiek prócz mnie, kto spędziwszy dzieciństwo nad rzeką, nie potrafi pływać jak ryba. Natomiast ja, choć tak się szczyciłam nieposłuszeństwem wobec matki, wzięłam sobie jej ostrzeżenia do serca.

Nawet przeprawa promem napawała mnie bezgranicznym lękiem, chociaż nie umiem powiedzieć dlaczego. Szczególnie w święta, gdy upychano nas na pokładzie jak bydło. Prom był wyposażony w kamizelki ratunkowe, lecz gdyby zaczął tonąć, któż miałby czas się za nimi rozglądać? Raz zeszłam nad rzekę akurat w chwili, gdy prom się wywrócił. Ciemne głowy na powierzchni wody podrygiwały jak piłki. Siedziałam na kamiennych schodach, sparaliżowana ze strachu.

Nauczyciel historii, zamiast jak zwykle słuchać mnie w milczeniu, roześmiał się rozbawiony moim lękiem przed wodą. Pływanie jest proste, powiedział. Dziewczęta wspaniale wyglądają, kiedy pływają żabką. Podniósł się z krzesła i stając za mną, ujął mnie za ramiona. Moja skóra płonęła pod dotykiem jego ciepłych, silnych dłoni. Rozpostarł mi ramiona i zaczął poruszać nimi jak przy pływaniu. Zrobił to w taki naturalny sposób, że kiedy otarł się o moje plecy, nie zorientowałam się, do czego zmierza.

A kiedy nagle to do mnie dotarło, twarz oblał mi rumieniec. Odepchnęłam jego dłonie i odsunęłam się od niego.

– Jeżeli nie chcesz nauczyć się pływać, twoja sprawa – powiedział, pochmurniejąc.

Cisza wypełniła pokój. Czułam, że za chwilę coś się wydarzy. Mijały sekundy, czekałam na próżno. Znowu zrobiłam z siebie idiotkę. Skierowałam się do wyjścia.

– Zostań jeszcze trochę.

– Nie. – Podeszłam do drzwi i chwyciłam za klamkę. Podniosłam tornister za pasek i z wymuszonym uśmiechem

odwróciłam się do nauczyciela. Obserwował mnie.

– Zajrzyj, kiedy tylko zechcesz. Czy mam cię odprowadzić?

– Nie. – Westchnęłam głęboko, jakbym chciała się pozbyć dławiącej mnie melancholii.

Rozpłakałam się dopiero, gdy odeszłam spory kawałek od szkoły. Albo mnie nie lubi, albo bawi się mną jak ci wredni mężczyźni z powieści, którzy uwodzą kobiety, a potem je porzucają.

Tak, on właśnie jest takim typem mężczyzny.

Zdążyłam go znienawidzić przez drogę do domu i obiecałam sobie, że odtąd będę traktować go jak powietrze. Ale w nocy nie mogłam odpędzić myśli o nim. Dlaczego uciekłam? To moja wina. Zaczęłam gładzić się po twarzy, wyobrażając sobie, że to on mnie dotyka. Przesunęłam dłonią po ustach, po szyi, a potem pozwoliłam jej zbłądzić pod koszulę, na piersi. Oderwałam rękę, jakby poraził mnie prąd, ale za chwilę położyłam ją z powrotem, a później dotykałam się coraz niżej, odczuwając nieznane mi dotąd wrażenie. Przymknęłam powieki.

W ciągu dnia ani przez ułamek sekundy nie myślałam o tym, żeby z nim być. Lecz w ciemnościach nocy, gdy zapadała cisza, obraz nauczyciela wypełniał moje myśli.

Co bym zrobiła, gdyby mnie wtedy objął? Oparłabym się czy uległa?

Twarz mi płonęła, słyszałam szczury buszujące pod podłogą, przez lufcik wpadało kwilenie niemowlęcia. Potem ktoś zakasłał w sieni. Usiadłam cicho na łóżku i kaszel ustał. Lecz kiedy się położyłam, rozpoczął się znowu, jak gdyby ten ktoś nie chciał, bym zasnęła.

Nasze posiłki w wigilię Nowego Roku miały zawsze szczególny charakter. My, biedacy, bardzo oszczędnie wydzielaliśmy jedzenie, ale tego dnia pozwaliśmy sobie na prawdziwą ucztę. Duszony korzeń lotosu, zupa na wywarze z kości z pływającymi kawałkami mięsa, smażone orzeszki ziemne, no i przede wszystkim surowa tarta rzodkiew polana szczodrze pysznym sosem chili, bez którego musieliśmy się obywać przez resztę roku. Obojętnie jak bardzo nam zależało, aby już zasiąść do stołu, matka najpierw wyrzucała nas na zewnątrz i musieliśmy wystawać w lodowatej sieni albo na wietrznym podwórku, podczas gdy ona siedziała w środku i wykonywała jakieś tajemnicze czynności, mrucząc coś pod nosem. Twierdziła, że to jedyny sposób, aby udobruchać przodków.

– Naszych przodków nie ma w pobliżu, więc jak się dowiedzą? - spytałam, za mała, by rozumieć, że lepiej nie zadawać takich pytań. Tymczasem moi bracia i siostry trzymali język za zębami.

– Bzdura! Nasi przodkowie stoją przy nas, kiedy mówimy - skarciła mnie matka, rzucając groźne spojrzenie.

Gdy wreszcie usiedliśmy do stołu, wskazała na nasze miski i pałeczki.

– Widzicie? – powiedziała. – Pałeczki się rozchodziły, a teraz stykają się czubkami. Nasi przodkowie tu byli.

– No pewnie – powiedziała Czwarta Siostra.

– Mała Szóstko, kiedy się nauczysz prawidłowo trzymać pałeczki? – zwróciła się do mnie matka. Zamarłam z pałeczkami w powietrzu. –

Spójrz tylko, nie należy ich trzymać przy końcu. Jeżeli będziesz tak robić, któregoś dnia wyjedziesz daleko i nigdy nie wrócisz do domu. Trzymaj je niżej. Wtedy zawsze będziesz blisko matki i ojca.

Przesunęłam pałeczki, chwytając je w połowie.

– Nie, tak też niedobrze! Czy ty nie masz uszu? Dlaczego nigdy nie słuchasz, co mówię? Nie krzyżuj ich w ten sposób! Bo pieniądze nie będą się ciebie trzymać i na zawsze pozostaniesz biedna. Uchwyć je, o tak, i trzymaj razem, kciuk i palec wskazujący powinny się stykać. Niczego nie mogę cię nauczyć! No, zabieraj się do jedzenia, a jutro masz się nauczyć trzymać pałeczki prawidłowo.

Moi bracia i siostry ani na chwilę nie przestawali jeść, jak gdyby nic nie słyszeli.

Kiedy zbliżał się Dzień Czystej Jasności, święto zmarłych, ojciec udawał się w góry, by wykopać pędy czystej jasności. Czasami szedł sam, a czasami zabierał mnie i Piątego Brata. Zawsze uważał, żeby nie wykopać ich z korzeniami. W ten sposób mogliśmy liczyć na większe zbiory w przyszłym roku. Podczas klęski głodu nawet korzenie powyrywano, więc potem trudno było o dziko rosnące jadalne rośliny.

To była szczególna roślina, o liściach miękkich jedynie przed Dniem Czystej Jasności. Później robiły się twarde i włókniste, mimo że z rana była na nich świeża rosa. Budziły skojarzenia z życiem kobiety – dobre dni mijały niepostrzeżenie. Te drobne, niezbyt grube listki pokryte białym puszkiem wyrastały z łodyg w małych pęczkach. Zrywało się je, myło, siekało i obtaczało w mące, formując cienkie placuszki, które układało się przy woku. Kiedy tylko z woka odparowała cała woda, podnosiliśmy pokrywę i rozgrzewaliśmy jego dno, poruszając nim kolistymi ruchami nad ogniem. Placuszki, smażąc się, wydzielały przyjemny świeży zapach i były ciągliwe. Bardzo podobała mi się ich nazwa: ciasteczka czystej jasności.

Ojciec zabraniał nam rozmawiać podczas jedzenia tych ciasteczek, lecz w jego surowym zachowaniu było coś, co budziło respekt, w przeciwieństwie do rytualnych zabiegów matki. Mieszkał daleko od swego miejsca urodzenia w Czeciang, o śmierci ojca i matki dowiedział się od ziomka podczas przymusowego wojennego marszu. Duchy zmarłych rodziców prawdopodobnie były zbyt daleko, żeby znaleźć się u boku syna, który na dobre związał swe życie z rzeką.

VIII

1

Obudziłam się przed świtem i już nie zasnęłam. Duża Siostra, rozłożywszy się wygodnie, przygniatała mnie nogą. Delikatnie się wysunęłam, naciągnęłam pod brodę cienką kołdrę i zwinęłam w kłębek przy ścianie.

Kiedy siedziałyśmy nad rzeką, siostra nakreśliła jedynie ogólny zarys tamtych minionych lat. Wiedziałam, że najważniejsze szczegóły zatrzymała dla siebie, nie wyłączając odpowiedzi na najbardziej nurtujące mnie pytanie: dlaczego czułam się niepożądana w rodzinie?

Leżałam w łóżku, czułam silniejsze niż kiedykolwiek zawroty głowy i z trudem oddychałam. Wątpliwości pogłębiały się z każdą mijającą sekundą. Dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych Partia Komunistyczna wreszcie zrozumiała, jaką głupotą było promowanie dużych rodzin, lecz wtedy wyjałowiona ziemia nie była już w stanie wykarmić gwałtownie wzrastającej populaqi. Jednakże z winy rewolucji kulturalnej próba zaradzenia temu problemowi odwlekła się do lat siedemdziesiątych. Ponieważ wszelkie zmiany polityki rządu miały gwałtowny charakter, wprowadzono drakońskie przepisy dotyczące planowania rodziny. Ale było już za późno. Z powodu nadmiernej liczby ludności każde małżeństwo mogło mieć tylko jedno dziecko; po jego narodzinach jedno z małżonków musiało poddać się sterylizacji. Znacznie później, w związku z narastającym oporem, pozwolono parom na jeszcze jedną próbę, jeżeli pierwsze dziecko okazało się dziewczynką.

A więc Chińczyków było za dużo. A ja, czy też należałam do tej nadwyżki?

Kiedy nastał świt, ból w jelitach dał znać, że znowu czeka mnie zaparcie – przypadłość, która zawsze mnie nękała, nawet w dzieciństwie, ilekroć miałam jakieś kłopoty. Wiele kobiet z Południowego Brzegu cierpiało na tę dolegliwość.

Ponieważ nie mieliśmy ubikacji w domu ani też wspólnego ustępu w siedlisku, musieliśmy korzystać z nocników. W licznych rodzinach nie zdawały one egzaminu. Do publicznego szaletu, zapuszczonego przybytku z trzema miejscami w części dla kobiet, trzeba było iść dziesięć minut pod górę krętą, błotnistą ścieżką. Nigdy nie byłam w męskiej części, ale wiedziałam, że jest dwa razy większa od naszej i ma o trzy otwory więcej. To był powód do dumy miejscowych mężczyzn: „Dziewczęta od urodzenia znają swoje miejsce, mają o połowę mniej wychodków od nas".

Od wczesnych godzin rannych ludzie ustawiali się w kolejce pod publicznym szaletem. Do naszej kobiecej części kolejka zawsze była dwa razy dłuższa. Starsze kobiety lub te, którym przytrafiło się

rozwolnienie, po prostu szły za ustęp do otwartego szamba, gdzie wstydliwie opuszczały majtki i przykucały nad krawędzią. Mężczyźni robili to, gdzie im się podobało, czasami schodzili sobie ulżyć na brzeg rzeki, a potem kopnięciem nogi zasypywali piaskiem ekskrementy, podobnie jak koty czy psy.

Często zdarzało mi się słyszeć, jak ludzie opowiadali o jakimś potworze z czerwonymi szponami, który straszył w kobiecym ustępie. Mówili, że jaskrawoczerwone pazury wyłaniają się z kloaki i atakują odsłonięte intymne miejsce. Takie opowieści zniechęcały nieśmiałe młode kobiety do odwiedzania ustępu w pojedynkę. W końcu policja rozwikłała zagadkę; przynajmniej tak powiadano. Podobno do ustępu zakradał się jakiś miejscowy chuligan z ręką pomalowaną merkurochromem. Było jeszcze jedno, bardziej przekonujące wytłumaczenie: ponieważ otworów nie wystarczało dla okolicznych mieszkanek, parę kobiet wymyśliło tę historię, żeby odstraszyć pozostałe i móc się w spokoju wypróżnić.

Każdą z trzech latryn pokrywała taka warstwa brudu, że trudno było znaleźć kawałek miejsca dla nóg. A robaki, niektóre z długimi żółtymi ogonami, wiły się wokół stóp. Jednak gdybym chciała skorzystać z nocnika w domu, musiałabym odczekać, aż zostanę sama, potem zaryglować drzwi i kucnąć za zasłonką. Tymczasem zawsze ktoś mógł przechodzić przed frontowymi drzwiami albo do nich zapukać. A jeślibym na przykład zapomniała je zamknąć na zasuwkę i ktoś by wszedł do sieni, akurat kiedy siedziałabym na nocniku, wstrzymałabym oddech i czekała, znosząc tortury, aż ten ktoś sobie pójdzie. Gdyby coś takiego mi się przytrafiło, potrzeba wypróżnienia na długo by mnie opuściła.

2

Wiele kobiet miało robaki; czasami z otworu kloacznego wypełzało tyle glist, że tworzyły na podłodze wijący się, połyskliwy, różowawy kłąb. Środki na odrobaczanie nie były drogie, ale niewielu ludzi ich używało, bo na dłuższą metę okazywały się niezbyt skuteczne. Ponieważ w naszych jelitach glistom brakowało pożywienia (Syczuańczycy nazywali to „brakiem resztek z posiłku"), opuszczały organizm, by szukać szczęścia w następnym „wcieleniu".

Dziewczynka była mniej więcej w moim wieku, miała jakieś dziesięć lat, okrągłą twarz i długą, cienką szyję. Mieszkała na tej samej ulicy, gdzie był sklep z ziarnem. Nie jestem pewna, dlaczego zaszła do naszej ubikacji; może akurat ją mijała, a może kolejka przed jej ustępem była za długa. Mnie udało się już wejść do środka, czekałam druga w kolejce do jednej z latryn.

Właśnie zaczęło się lato, w ustępie panował niemiłosierny smród. Dziewczynka kucała nad otworem na lewo ode mnie. Nagle gwałtownie otworzyła usta, wytrzeszczyła oczy i rozdęła nozdrza; cała jej twarz uległa przerażającej metamorfozie, a z ust wypadła glista. Dziewczynka krzyknęła przeraźliwie i osunęła się na pokrytą kałem podłogę. Krępa, niska kobieta stojąca przede mną podeszła do niej i wyciągnęła ją na zewnątrz, po drodze rzucając mi ostrzeżenie:

– To moja latryna, nie waż się jej zająć!

Ludzie czekający przed szaletem przyglądali się dziewczynce, zachowując słuszną odległość, bo była umazana ekskrementami. Krępa kobieta uderzyła małą kilka razy w twarz, a kiedy ją docu-tiła, stwierdziła opryskliwie:

– I czego się tu bać? Każdy z nas ma coś takiego w brzuchu! Matka powtarzała nam, dziewczętom, że skoro nie stać nas na świeże warzywa i owoce, powinnyśmy dbać o higienę intymną, szczególnie po urodzeniu dziecka. Przed pójściem spać kazała nam się podmywać czystą wodą, a nie tą po myciu nóg. Dziewięć kobiet na dziesięć ma hemoroidy, mówiła, a wy, dziewczęta, nie, bo dobrze o was dbałam.

Ona również, podobnie jak jej cztery córki, cierpiała na obstrukcję. Mało która z mieszkanek Południowego Brzegu nie miała tego problemu. Matka, zazwyczaj bardzo oszczędna, nie skąpiła na papier toaletowy. Ludzie najczęściej wykorzystywali gazety, kartki z zeszytu czy papierowe opakowania z rynku. Już jako dzieci nauczyliśmy się wykopywać kłącza perzu i wyszukiwać młode pędy bambusa, z których wywar służył jako środek przeczyszczający. Ale najskuteczniejsze okazywały się nasiona tykwy. Smak naparu był tak ohydny, że pijąc, zatykaliśmy nosy, a żeby pozbyć się goryczy z ust, popijaliśmy go zimną wodą.

Nie było łatwo się wypróżnić, kiedy tyle oczu wpatrywało się w odsłonięte intymne części. Kobiety stojące na początku kolejki trzymały się za majtki i z twarzą zroszoną potem czekały na wolne miejsce. Te starsze rozsiadały się z upodobaniem, celebrując rzadką chwilę swej terytorialnej autonomii. Inne, przyglądając się siedzącym w latrynach, pozwalały sobie na niewybredne uwagi: „Tę rozciągniętą szparę musiało zwiedzić mnóstwo chłopów. A popatrzcie na tamtą z tymi krostami! Pewnie była dziwką, co za dużo dawała. Jeśli jej nie zgnije, to będzie cud!”

Już samo czekanie w kolejce wprawiało mnie w zdenerwowanie, a co dopiero mówić o kucaniu w latrynie! Zazwyczaj brałam ze sobą coś, czym mogłam się niby niechcący zasłonić. Czasami to był wachlarz, książka albo tornister. Zawsze bardzo uważałam, żeby nie pobrudzić sobie majtek czy butów i żeby białe lub czerwone robaki nie wpełzły mi na stopy. Pilnowałam, by nie dotknąć tym przedmiotem, którym się zakrywałam, krawędzi latryny, a jednocześnie starałam się tak go trzymać, żeby kobiety w kolejce nie pomyślały, że celowo się zasłaniam. Za nic nie chciałam wzbudzić w tych plotkarach o ostrych językach podejrzeń, że mam coś do ukrycia. Bo co niby tam miałam takiego, czego nie mogłyby widzieć?

Tamtego dnia, gdy zobaczyłam, jak dziewczynka wypluła glistę, z miejsca opuściła mnie potrzeba. Więc kiedy przypadła moja kolej, odwróciłam się i wyszłam z ustępu, odprowadzana zdziwionymi spojrzeniami kobiet.

A potem, któregoś dnia, mnie również się to przydarzyło. Ponieważ wiedziałam już, jak to wygląda, nie przestraszyłam się aż tak bardzo. Nie zemdlałam co prawda, jednak zareagowałam dość gwałtownie. Akurat wyszłam na podwórko z parującą miseczką ryżu rozgotowanego z fasolą na papkę. Wzięłam pierwszy kęs, lecz zanim zdążyłam go przeżuć, z ust wyskoczyła mi glista i wijąc się, spadła na ziemię; była szara i miała około trzydziestu centymetrów długości. Nie krzyknęłam, rzuciłam jedynie miskę z taką siłą, że uderzyła o okap, a fasola rozprysła się po omszałej ziemi, znacząc ją czerwonymi cętkami. Zacisnęłam powieki, żeby powstrzymać łzy, i rozdeptałam glistę.

Nie chciałam z nikim rozmawiać o tym, co się stało, bo z boku moja reakcja wyglądała na jakąś cyrkową sztuczkę, budzącą śmiech zamiast przerażenia.

Ojciec zabrał mnie na Kamienny Most, gdzie kupił dziesięć deka ziół. Chińska medycyna jest najlepsza, powiedział, bo nie powoduje skutków ubocznych. W skład mieszanki wchodziły czarne śliwki, syczuańska chińska jagoda, pokruszony pieprz betelo-wy, pieprz syczuański, suszony imbir, rabarbar i wiele innych składników o dziwnie brzmiących nazwach. Kiedy wywar gotujący się powoli w

kamionkowym garnczku był gotowy, piłam go miseczka za miseczką do chwili, kiedy mój żołądek nie był w stanie przyjąć ani kropli więcej. Gdyby tak matka nie pracowała tamtego dnia! Co prawda całkiem nieźle było widywać ją jedynie raz w tygodniu, ale wtedy bardzo mi jej brakowało. Przez cały wieczór powietrze wirowało w moim wzdętym brzuchu, jakby hasał w nim jakiś demon.

Zerwałam się z miejsca i wybiegłam na dwór.

– Nie idź do ustępu! – zawołał za mną ojciec, a potem zaryglował drzwi od zewnątrz i usiadł w sieni na straży, aby nikt z rodzeństwa czy sąsiadów mi nie przeszkodził.

3

Każdego wieczoru, kiedy słońce skryło się za wzgórza, z okolicznych wsi przychodzili chłopi w słomianych kapeluszach, żeby zabrać nieczystości służące im jako nawóz.

– Opróżniać kubły! – wykrzykiwali, stawiając na ziemi duże drewniane cebrzyki, i czekali, aż ludzie powyciągają nocniki i wiaderka spod łóżek, zza drzwi czy z kątów za zasłonką i przyniosą je z pietyzmem godnym urn z prochami przodków. Nie pamiętam już, ile miałam lat, gdy ten obowiązek spadł na mnie.

Po wylaniu zawartości do cebrzyka szorowałam nocnik bambusową szczotką i płukałam wodą po praniu czy myciu jarzyn. Potem zanosiłam go do domu, po drodze wylewając brudną wodę do rowu, który biegł wzdłuż kamiennych schodów. Drzewa rosnące przy ścieżce były grube i silne i zawsze miały gęste, soczyste liście.

Jeżeli przypadkiem przeoczyłam nadejście zbieraczy ekstrementów, musiałam iść z nocnikiem do szamba za publicznym ustępem. W czasie deszczu droga była grząska, więc nieraz się poślizgnęłam, a czasem i przewróciłam, tłukąc nocnik i przy okazji ochlapując się zawartością. Zrywałam się wtedy na równe nogi i biegłam do domu po popiół, żeby posypać nim nieczystości, a potem je pozbierać i wyrzucić do szamba. Najtrudniej było pokonać bez przygód kamienne schody, więc zdarzało mi się pożyczać popiół z sąsiednich domostw. Ktokolwiek mnie mijał, musiał zapewne przeklinać mego ojca i matkę oraz ich przodków. Nie miałam wątpliwości, że rodzice, gdziekolwiek się znajdują, słyszą te złorzeczenia i nie omieszkają się na mnie odegrać.

Za każdym razem, kiedy przytrafiło mi się to nieszczęście, wyobrażałam sobie, że moi bracia, siostry i rodzice, stojąc w bramie siedliska, przyglądają się mi z taką samą nieukrywaną niechęcią jak sąsiedzi, gdy, ochlapana kałem, gorączkowo sprzątam cały ten bałagan.

Pewien niepokój, być może bezpodstawny, prześladował mnie od dzieciństwa. Pamiętam, był wtedy deszczowy poranek, miałam dwanaście lat i matka zdziwiła się, dlaczego nie idę do szkoły, mimo że było już po dzwonku. Trzymając tornister za pasek, wyjaśniłam nieśmiało, że mój nauczyciel powiedział, iż nie zapłaciłam czesnego, i już dwukrotnie zatrzymał mnie po lekcjach. Matka siedziała na łóżku.

– Dopiero co zapłaciliśmy za szkołę – stwierdziła. – Dlaczego żądają więcej? – Przykurcz mięśni pleców powinien był już jej przejść; nie wiedziałam, dlaczego została w domu.

– To było w zeszłym semestrze – wyjaśniłam cicho.

Jestem pewna, że się przy tym zaczerwieniłam. Nigdy nie potrafiłam prosić o pieniądze, nawet własnych rodziców. Matka milczała przez chwilę, a potem wybuchła:

– Powinnaś się cieszyć, że masz co jeść! Ale nie, tobie się zachciewa szkoły! Jesteśmy biedni, udaje nam się przeżyć wyłącznie dzięki opiece przodków! Nie mamy pieniędzy. Myślisz, że łatwo jest wyskrobać trzy juany na twoje czesne?

To samo powtarzało się w każdym semestrze. Wiedziałam, że dostanę pieniądze, dopiero gdy się rozpłaczę. Matka nie tyle nie chciała mi ich dać, ile pragnęła bardziej mnie pognębić, abym potem była jej wdzięczna. Moi bracia i siostry musieli ją prosić zaledwie raz czy dwa, zanim wysupłała pieniądze. Ja o wiele dłużej. Nie budziłam jej gniewu, tylko nienawiść.

– Nie powinnaś była pozwolić mi się urodzić – powiedziałam i z tornistrem przyciśniętym do piersi kucnęłam na progu, zaciskając zęby, żeby się nie rozpłakać.

Masz rację, nie powinnam! – wyczytałam z wyrazu jej zimnych oczu, chociaż tego nie powiedziała. Cisnęłam tornister i uciekłam do ciemnawej sieni. Nie chcę dłużej żyć, łkało moje serce. Nikomu nie jestem potrzebna!

Schody skrzypiały pod moimi stopami, kiedy biegłam na górę, przeskakując po dwa, trzy stopnie i nie dotykając poręczy.

Stanęłam przy łóżku przed zasłonką i wyjęłam spod poduszki lusterko Czwartej Siostry, żeby uczesać się przed nim tak jak co dzień. Ale tym razem nie było w nim mego odbicia, obojętnie pod jakim kątem je ustawiałam.

Kiedy Czwarta Siostra weszła na poddasze, zapytałam ją, dlaczego siebie nie widzę. A ona wytrzeszczyła oczy i śmiertelnie przerażona zbiegła na dół po matkę, Drugą Siostrę i Trzeciego Brata. Jej piskliwy krzyk wisiał w powietrzu przez długi czas jak piosenka. Jeszcze raz spojrzałam w lusterko – lustro jak lustro, ale mnie w nim nie było. Upuściłam je na podłogę; potoczyło się i upadło taflą do dołu, ukazując na odwrocie dwa tłuściutkie bo-baski z kłosami kukurydzy i pszenicy w objęciach.

Nie jestem już sobą, zdążyłam pomyśleć, zanim poczułam, jak uginają mi się nogi i osuwam się na podłogę.

Otoczył mnie potworny hałas. Jakaś twarz nachyliła się nade mną.

– Jej duch uleciał.

Uleciał mój duch? Już nie żyję, w wieku dwunastu lat? Moje życie się skończyło, ot tak, po prostu? Czułam się lekka jak piórko; nieważka i eteryczna, mogłam się swobodnie poruszać. Nigdy bym nie przypuszczała, że śmierć może być taka prosta, taka beztroska i

kojąca.

Tymczasem zaczynało narastać we mnie nowe uczucie: mieszanina głębokiego żalu i przygnębienia. Już zaczynałam tęsknić za nowym życiem, nawet gdyby miało być jeszcze marniejsze od tego, które mnie opuściło. Przecież dopiero co zaczęłam żyć, nie powinnam była umrzeć. Rozpaczliwie pragnęłam znowu żyć i dorastać.

Wśród ludzi skupionych nade mną szukałam matki; chciałam ją poprosić, żeby spaliła pamiętnik, który trzymałam pod łóżkiem. Ale nie mogłam jej znaleźć. Więc w języku zrozumiałym wyłącznie dla nas obu mówiłam, żeby nie trzymała moich podobizn, zgadzałam się, by spaliła wszystkie moje zdjęcia, byle tylko pozwoliła mi dalej żyć.

Ktoś ciężko i boleśnie unosił mi głowę. Kroki na schodach nie przypominały stąpania matki.

4

Musiałam się przeziębić, siedząc na zimnie nad rzeką tamtego wieczoru, kiedy Duża Siostra opowiadała mi historię rodziny. Leżałam chora dzień, a może dłużej.

Z trudem dźwignęłam się z łóżka i opuściłam nogi na podłogę, chcąc wsunąć stopy w czarne filcowe papcie. Po chwili pokój przestał wirować; ściana była znowu ścianą, stół stołem, a zasłona wisiała tak jak dawniej pomiędzy dwoma łóżkami. Byłam sama. Stając na podłodze, natrafiłam prawą stopą na coś miękkiego. Cofnęłam nogę i spojrzałam w dół. Zobaczyłam ogromnego szczura. Leżał na podłodze, dłuższy od mojej stopy. Nie ruszał się.

Za pomocą dwóch szczap, które wyciągnęłam spod łóżka, zebrałam szczura z podłogi i ostrożnie wyniosłam na podest. Lecz kiedy zaczęłam schodzić na dół, szczur jakby nagle ożył; spadł na podłogę i sturlał się po schodach do sieni. Krzyknęłam przerażona.

Na podwórku było pustawo, jedynie wędrowny fryzjer strzepywał włosy z szyi klienta. Tuż za bramą kilkoro dzieciaków karmiło liśćmi morwy jedwabniki, ktoś wylewał brudną wodę do rowu.

Mój okrzyk był słaby i piskliwy, nikt ani na chwilę nie oderwał się od swoich zajęć. Kiedy ponownie krzyknęłam, ojciec zajrzał na schody.

– Co się dzieje, Mała Szóstko?

Wskazałam na miejsce, gdzie leżał szczur. Niedowidzący ojciec go nie dojrzał, ale nasz sąsiad, Łysy Czeng, przybiegł ze szczypcami do węgla.

– Jest cały we krwi – oznajmił, podnosząc szczura.

Łysy Czeng był kucharzem na statku towarowym. Kiedy statek rozładowywano czy remontowano w Czungcing, wracał do domu na urlop.

– We krwi? – podchwyciła jego stara matka.

– We krwi – przytaknął.

– To dobry znak – stwierdziła stara kobieta.

– Nadepnęłaś na niego?! – wrzasnęła do mnie. Kiwnęłam głową.

– Nadepnęła na niego i zabiła. – Nie wiem, jakim sposobem zauważyła moje skinienie, skoro siedziała na stołku w drzwiach swego mieszkania. – Szczura należy zabić, nadeptując na niego jeden raz. Jeżeli się nie uda, trzeba znaleźć jakiś inny spogób – zauważyła, cedząc słowa.

– Dlaczego? – Łysy Czeng zdawał się traktować sprawę poważniej niż jego matka.

– Jeżeli nadepnie się na niego więcej niż raz, czeka go po śmierci drugie życie i będzie buszował po całym siedlisku.

Stara kobieta wydawała się bardzo pewna siebie. Westchnęłam głęboko, wciągając w płuca chłodne powietrze, i pobiegłam z powrotem na poddasze.

Czwarta Siostra i Dehua nie wrócili do domu na noc. Duża Siostra również się nie pojawiła. Nie wiem, dokąd poszła, ale na pewno wolała trzymać się z daleka od domu, bo miała dość moich pytań. Wiedziała, że nie spocznę, dopóki wszystkiego z niej nie wyciągnę. W nocy nie mogłam zasnąć, przeszkadzał mi płacz dziecka. Czułam się lepiej i czoło nie płonęło mi tak jak z rana. Jutro będę na tyle silna, ażeby pójść do szkoły. Potrzebowałam rozmowy, byłam tego pewna.

5

Rano usłyszałam, jak ktoś o mnie pyta na dole; głos był znajomy. Wybiegłam na podest. W sieni stał nauczyciel historii. Zaprosiłam go na górę, odprowadzana czujnym spojrzeniem ojca.

– Tu nie ma gdzie usiąść – wyjąkałam.

Byłam tak zdenerwowana, że nie wiedziałam, co zrobić z rękoma i nogami, więc stanęłam przy biurku. Marzenia rzadko się spełniają; być może tak często wyobrażałam sobie, że on przychodzi na moje ciemne, wilgotne poddasze, że, o dziwo, rzeczywiście ściągnęłam go myślami. Nigdy nie udawałam, że jestem kimś lepszym, niż byłam, lecz teraz, gdy tak gwałtownie wkroczył w moje życie niezapowiedziany, paraliżował mnie wstyd z powodu naszego ubóstwa.

– Może pan usiąść na łóżku, jeżeli pan chce – odezwałam się po chwili, cały czas stojąc.

– Jesteś chora? – Przyjrzał mi się, siadając. – Tak też podejrzewałem, kiedy wczoraj nie przyszłaś. To niepodobne do ciebie: opuszczać moje wieczorowe zajęcia.

Nie odpowiedziałam. Jego głos brzmiał donośnie i energicznie w małej przestrzeni poddasza. Był bardziej dźwięczny niż w klasie.

– To nic poważnego, prawda? Schyliłam jedynie głowę.

Rozejrzał się po pokoju i przyznał, że rzeczywiście moje warunki bytowe są gorsze, niż sądził. Ale podoba mu się poddasze, na którym spędziłam całe życie.

– Opowiadałaś, że lubisz obserwować chmury przez świetlik, bo płyną w innym kierunku niż nad rzeką.

Zapamiętał, i to jak dokładnie! Ale najbardziej mnie wzruszył, mówiąc, że podoba mu się moje małe poddasze.

Wyjął i wręczył mi paczkę owiniętą w brązowy papier.

– To dla ciebie – powiedział.

– Książka? – Paczka była zaklejona, a ja chciałam wiedzieć, co jest w środku. – Jaka książka?

– Otwórz ją dopiero, gdy będziesz sama – polecił. Jego oczy miały dziwny wyraz.

Nawet nie podziękowałam. Tyle chciałam mu powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w krtani. Po prostu stałam i patrzyłam na niego jak niedorozwinięta. Podniósł się, mówiąc, że akurat przechodził aleją Strumienia Kotów w drodze ze szkoły i przyszło mu na myśl, żeby do mnie zajrzeć i sprawdzić, co słychać.

A więc jednak nie wybrał się tu specjalnie, pomyślałam zawiedziona. Dotknął mojego ramienia; przycisnęłam paczkę do siebie w nerwowym podnieceniu. Nie chciałam, żeby zabrał rękę, ale on ją

cofnął. Zmierzał do wyjścia.

– Nie masz ochoty zaczerpnąć świeżego powietrza? Skoczyłam na równe nogi.

– Możemy przejść się na wzgórze – zaproponował.

Nie odezwałam się. Jeżeli sąsiedzi zobaczą, jak idziemy razem, całe siedlisko będzie trząść się od plotek.

Musiał czytać w moich myślach, bo zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, zasugerował, że wyjdzie pierwszy i około wpół do trzeciej spotkamy się przed Przychodnią Ludową Numer Pięć.

Odprowadziłam go na schody, a potem patrzyłam, jak znika za bramą.

– Kto to był? – usłyszałam za sobą głos Mamy Szy.

Moja ostrożność się przydała. Ta plotkarka zapewne przez cały czas sterczała pod schodami, żeby sprawdzić, jak długo on u mnie siedzi. Pierwszy raz gościłam u siebie dorosłego mężczyznę.

– Nie musisz mi nic mówić, bo i tak wiem. Jego ojciec był reakcjonistą, demonem wołu i duchem węża. To pierworodny syn tego wstrętnego starucha, który sprzedawał prażoną kukurydzę na całym Południowym Brzegu, prawda? Jest żonaty i ma dzieciaka. Ciekawe, co on od ciebie chciał.

– Nie twoja sprawa – ucięłam chłodno, wchodząc do sieni.

Zegar ścienny wskazywał jedenastą czterdzieści pięć. Obojętnie jak często się go regulowało i nakręcało, zawsze się spieszył lub spóźniał dwie minuty.

Na górze w moim pokoju rozerwałam papier i wyjęłam grubą książkę pod tytułem Anatomia człowieka. Napis na okładce informował, że to podręcznik medyczny. Byłam zaskoczona. Kiedy przerzucałam strony, natrafiłam na serię ilustracji: nagi mężczyzna z tyłu i z przodu oraz naga kobieta, także z przodu i z tyłu, a do tego strzałki i terminy: pierś, pochwa, włosy łonowe, jądra, i tak dalej, i tak dalej – same takie słowa, których w życiu nie wypowiedziałam. Serce biło mi jak oszalałe, gdy siedziałam pochylona nad książką. Po kilku sekundach uniosłam głowę i rozejrzałam się, by sprawdzić, czy naprawdę jestem sama. A potem znowu skupiłam się na studiowaniu organów płciowych. Pierwszy raz w życiu poczułam dziwne sensacje w podbrzuszu. To było nie do zniesienia.

A niech to! Mój nauczyciel jest maniakiem seksualnym!

IX

1

Cytaty z myśli przewodniczącego Mao brzmią bardzo pięknie, kiedy skanduje się je chórem w rytmicznym i melodyjnym dialekcie syczuańskim. Nawet jeśli nie są recytowane najpłynniej, przypominają odgłos wznoszących się i opadających fal, brzmią trochę jak opera. Słuchane przez dłuższy czas mogą hipnotyzować, a nawet wprowadzać w senny trans.

Na początku lat siedemdziesiątych przez kilka lat z rzędu w szkolnej toalecie, na murach, a nawet na ziemi, ukazywały się „reakcyjne hasła". Treść większości brzmiała prosto i dosłownie: „Precz z przewodniczącym Mao" lub podobnie. Skoro więc chciano go usunąć, po co dodawano pełne szacunku „przewodniczący"? Nikt nie zadawał tego pytania, ponieważ takich bardzo reakcyjnych haseł nie wolno było „powtarzać ani rozpowszechniać", nawet podczas przesłuchania. Policja i władze szkolne traktowały każdy przypadek niezwykle poważnie; bez ostrzeżenia konfiskowano nam tornistry i tak długo analizowano charaktery pisma, aż wytropiono małego kontrrewoluq"onistę i zmuszono, by ujawnił nazwisko dużego kontrrewolucjonisty, który za tym wszystkim stał. Ucznia wyrzucano ze szkoły, a dorosły znikał bez śladu na dziesięć lat albo i dłużej. Do takich śledztw mobilizowano wszystkie siły, a całe miasto o niczym innym nie mówiło.

Żadne miasto w Chinach nie może się pochwalić graffiti, które dorównywałoby naszemu ostrością i soczystością języka, ani też nie ma chyba drugiego takiego miejsca, gdzie pojawiło się tylu młodocianych „reakcyjnych" grafficiarzy. Bycie kontrrewolucjonistą stanowiło najcięższą zbrodnię i pociągało za sobą najstraszniejsze konsekwencje. Dzięki paru nabazgranym słowom można było z dnia na dzień zyskać sławę, co stanowiło nieodpartą pokusę dla wielu nierozsądnych podrostków. Przestraszeni, a zarazem podekscytowani, próbowali napisać tych parę fatalnych słów.

Raz, kiedy jako dyżurna sprzątałam szkolny ustęp i nikogo nie było w pobliżu, zelektryzowała mnie chęć, żeby napisać coś, co zaszokuje otoczenie i mnie samą. Jednak tego nie zrobiłam, co prawdopodobnie uchroniło mnie i moją rodzinę przed oskarżeniem o „działania kontrrewolucyjne". A zrezygnowałam wyłącznie dlatego, że moją uwagę przyciągnął dziwaczny rysunek wykonany węglem – genitalia o niewiarygodnych proporcjach. Oblałam się rumieńcem i z trudem oddychałam. Podobno narysowali to chłopcy, którzy nocą zakradli się do ubikacji dla dziewcząt.

Przeważnie też oni wypisywali reakcyjne hasła, ale policja, szukając sprawców, równo traktowała dziewczęta i chłopców.

Wsunęłam Anatomię człowieka pod poduszkę, lecz po chwili przełożyłam ją do tornistra, żeby nie wpadła w ręce komuś z rodziny. Widziałam już wcześniej zdjęcia intymnych części ciała, ale tym razem to było zupełnie co innego. Genitalia na fotografiach ofiar egzekucji czy u mężczyzn kąpiących się na podwórku napawały mnie odrazą i lękiem, podobnie jak nieprzyzwoite rysunki na ścianach ubikacji. Natomiast te w podręczniku medycznym wyglądały czysto, nawet ładnie, i niebezpiecznie podniecająco. Przycisnęłam rękę do piersi; czułam, jak zlewam się potem.

Na dole rozległo się bicie zegara; była pierwsza. Umówiłam się z nim na wpół do trzeciej. Jeżeli pójdę wzdłuż rzeki, a potem skrótem pod górę do Przychodni Ludowej Numer Pięć, dotrę na miejsce za wcześnie, nawet gdybym szła powoli. Moje nogi były jak z waty, ledwo się na nich trzymałam. Zapytam go, co to za pomysł, żeby mi dawać taką nieprzyzwoitą książkę. Co z niego za nauczyciel?

2

Przed kranem czekała długa kolejka, ale wody nie było. Przy rzędzie wiader ustawionych wzdłuż drogi kręciło się pięcioro czy sześcioro ludzi. Słońce tego dnia wcześnie wzeszło, w południe będzie prażyć. Byłam zadowolona, że po drodze schwyciłam kapelusz ze słomy, który chronił zarówno przed słońcem, jak i przed deszczem.

– Jeżeli wkrótce nie pojawi się woda, nie tylko umrzemy z pragnienia, ale nasze rozeschnięte wiadra zaczną skrzypieć! -narzekali ludzie, szukając cienia pod okapami domów.

Schodziłam ze wzgórza ku przystani promowej na alei Strumienia Kotów.

Nieopisanie brudna kobieta stała na kamiennym mostku przy punkcie zbiórki surowców wtórnych. Natykałam się na nią za każdym razem, kiedy tamtędy szłam. Mostek łączył brzegi strumienia, którym płynęły wyłącznie ścieki z miejscowych fabryk; w słońcu oleista woda połyskiwała czerwonawo, czasami unosiła się nad nią zielonkawoniebieska poświata. Łachmany ledwo okrywały ciało tej kobiety. Ludzie twierdzili, że liczyła sobie ponad trzydzieści lat, tymczasem twarz miała dziecinną, piersi zaś jak u młodej dziewczyny. Reszta ciała była otyła, a biodra i uda masywne. Raz do roku, czasem co dwa lata, rósł jej brzuch. Uwypuklał się na wiosnę, latem stawał się ogromny, a jesienią znowu płaski. Nikt nie wiedział, co się działo z dziećmi, które rodziła, podobnie jak nikt nie znał jej imienia ani przeszłości. Opluwana i bita, żywiła się resztkami z pobliskich restauracji i odpadkami, które udało jej się znaleźć na ulicach. Noce spędzała gdziekolwiek.

Ludzie mówili, że to nimfomanka.

Kamienny mostek przy punkcie zbiórki surowców wtórnych był ulubionym miejscem tej kobiety, a zarazem jedynym, gdzie jej nie nękano.

W punkcie pracowało dwóch starych mężczyzn; jeden przenosił od bramy do magazynu makulaturę, plastikowe sandały, szmaty, stare buty, potłuczone szkło i kawałki metalu, a drugi prowadził księgowość, wyliczał należność na liczydle i przez małe okienko wydawał monety lub pogniecione banknoty.

Widok nimfomanki jest jednym z moich najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa. Oczy miała zamglone, palce czarne, a ciało pokryte warstwą lepkiego brudu. Zimą nosiła przegniłe kalosze, latem chodziła boso, niewrażliwa na potłuczone szkło, którego mnóstwo leżało wokół punktu skupu. Potrafiła w każdej chwili ściągnąć majtki na oczach kobiet czy mężczyzn, ale za to -w przeciwieństwie do tych nienawistnych „normalnych ludzi", którzy spędzali życie na

atakowaniu wrogów klasowych – zawsze chodziła uśmiechnięta.

Cztery lata wcześniej komitet mieszkańców ogłosił na zebraniu, że uwięziono bandę czworga. Kiedy zebranie dobiegło końca, ludzie nie posiadali się z radości, że znowu wpływowi funkcjonariusze zlecieli ze stanowisk, a kolejna grupa prześladowców zasiliła szeregi ofiar. W euforycznym nastroju sąsiedzi paradowali po ulicach, bijąc w metalowe wanienki, garnki i patelnie, które zastępowały im gongi. Powiewały czerwone transparenty, strzelały fajerwerki. Mężczyźni o nagich torsach na całe gardło wykrzykiwali hasła, tłum gęstniał, głównie za sprawą dzieciarni, która dla zabawy dołączała do pochodu. Ciągle rosnąca rzesza demonstrantów skierowała się na plac Przy Kamiennym Moście.

Dając się porwać tłumowi, szłam po kamiennych stopniach alei Szkoły Średniej, niepewna, co nam przyniesie jutro. Ale podobnie jak wszyscy uczestnicy tej manifestacji wiedziałam, że tak jak należało okazać smutek po śmierci przewodniczącego Mao, teraz trzeba uczcić aresztowanie bandy czworga, prawej ręki wodza w okresie rewolucji kulturalnej. I wtedy zauważyłam nimfomankę, która szła ku mnie, w przeciwnym kierunku niż wszyscy. W jasnym jesiennym słońcu jej twarz nie wydawała się taka brudna. Miała włosy obcięte na jeża i ociekała wodą; prawdopodobnie jacyś rozbestwieni demonstranci wepchnęli ją do rzeki. Podarty męski mundur oblepiał jej ciało; brzuch tym razem był płaski. Szła, przeciskając się w ludzkim mrowiu.

Opuściłam pochód i ukryta za słupem telegraficznym przyglądałam się zafascynowana, jak podąża samotnie na przekór ludzkiej fali, zupełnie niezainteresowana tym, co dzieje się wokół ani co przyniosą następne dni.

Minęły cztery lata, a ona dalej żyła sobie szczęśliwa i brudna jak zawsze, gdy tymczasem w moim życiu pojawiało się coraz więcej oczekiwań i frustraqi.

Jangcy nadal płynęła mętna i znacznie ciemniejsza od Cłaling. I chociaż woda sprawiała wrażenie bardzo ciepłej, okazywała się zimna, jeśli sprawdziło się ją stopą. Nas, mieszkańców nabrzeża, cechuje szczególne przywiązanie do rzeki. Ludzie, którzy przybywają tu w odwiedziny, podziwiają ją przez chwilę i zapominają o niej, jak tylko się odwrócą plecami, śmiejąc się z nas, że jak głupcy puszczamy kaczki na wodzie. Miło jest popatrzeć na rzekę, mówią, ale to wszystko. Zobaczcie, ile czasu tracicie, przeprawiając się przez nią, a kiedy prom się wywróci, rzeka staje się morderczynią.

Nam rzeka przepływa przez serce, jest z nami od dnia narodzin. Jeżeli przystajemy na wzgórzu, żeby chwilę odsapnąć, odwracamy się, by spojrzeć na rzekę, bo to dodaje nam energii i zachęca do dalszej wędrówki.

Dysząc ciężko, wspięłam się do połowy wysokości zbocza. Ludowa Przychodnia Numer Pięć stała na końcu drogi. Nauczyciela historii jeszcze nie było. Przyszłam za wcześnie.

3

Nie mając odwagi wejść na teren przychodni, stanęłam pod drzewem przy bramie, tak by nie natknąć się na kogoś znajomego. To była moja pierwsza randka i bardzo się denerwowałam.

Jako nauczyciel powinien być punktualny. A już się spóźniał jakieś dwadzieścia, może trzydzieści minut. Zdjęłam słomiany kapelusz i wachlowałam się nim podniecona, chociaż wcale nie było gorąco. Nigdy nie rzucał słów na wiatr, był ze mną szczery, przynajmniej do tej pory. Pewnie ogarnął go wstyd po tym, co zrobił – podarował dziewicy taką obleśną książkę – na pewno wiedział, że przejrzałam jego grę.

Czekałam, patrząc, jak na prowizorycznych noszach transportowano do przychodni pacjentów, za którymi ciągnęli strapieni krewni.

– Gorące, słodkie bułeczki! – Wieśniacy z bambusowymi koszami na plecach zachwalali przed bramą swoje wyroby. – Kupujcie słodkie, pyszne bułeczki!

Gdyby poszedł ze mną na wzgórze, tak jak obiecał, ten dzień byłby idealny.

Stoję na szczycie, zasłuchana w szum sosen kołysanych wiatrem, i patrzę na największą rzekę Chin. Z góry wygląda jak szarfa poufale opasująca miasto, zanim połączywszy się z Cialing u Niebiańskich Wrót, popłynie rozlana szeroko w dal do innego miasta. Statki suną z prądem i pod prąd, wzbijając fale, ale z tej odległości ledwo słyszę ich syreny. Podmuchy wiatru burzą mi włosy i szarpią ubraniem.

W scenie, którą podsuwa mi wyobraźnia, widzę wyłącznie siebie i dobrze mi z tym.

A w rzeczywistości słońce spłynęło na czubki drzew, sprzedawcy słodkich bułeczek nie przestawali nawoływać klientów. Zaczynało mi burczeć w żołądku; robiłam się głodna. Mijały mnie sznury ludzi wracających z pracy. Czyżbym pomyliła miejsce? Źle zrozumiałam, co mówił? Dlaczego każe mi na siebie tak długo czekać? Przestałam tu całe popołudnie, wdychając zapach środków dezynfekcyjnych. Wiem, o czym myślisz, chciałam mu powiedzieć, ale jeśli się krępujesz, zrobię to za ciebie.

Inni ludzie mogą mną pomiatać, ale tobie nie wolno. Jeśli spróbujesz, odsłonię przed tobą moje krwawiące rany. Te myśli przygnębiły mnie i zasmuciły tak bardzo, że o mało nie popłynęły mi łzy. W przeciwieństwie do innych ludzi, bez wysiłku potrafił mnie sprowokować do płaczu. Mógł sprawić, bym się zupełnie zatraciła, lub zmienić mnie w coś tak kruchego, że rozsypałabym się od jednego

ciosu. Pragnęłam jedynie polubić kogoś, w kimś się zakochać. Teraz stało się jasne, że te emocje łączyły się z pewną częścią mego ciała, bo gdy wzruszenie przepełniało mi serce, wypływał ze mnie lepki płyn.

4

Kiedy bezsensownie czekałam przed bramą Przychodni Ludowej Numer Pięć, w domu rozpętało się piekło. Nawet ojciec, który poruszając się po omacku, rzadko wchodził na poddasze, był tam teraz razem z Drugą Siostrą i Trzecim Bratem. W trójkę na siłę wlewali w gardło Czwartej Siostry lekarstwo i mleko sojowe oraz niezliczone szklanki wody.

Napiła się DDT, jednak za mało, by ze sobą skończyć. Kiedy otworzyła oczy, nie pozwoliła się zabrać do szpitala; czepiała się tralek łóżka z taką siłą, że o mało ich nie połamała, a puściła je dopiero wtedy, gdy brat obiecał, że jej tam nie zaprowadzi.

To ojciec usłyszał uderzenie butelki o podłogę i poczuł ostry zapach pestycydu sączący się przez szpary między deskami. Musiała jakiś czas po moim wyjściu wyjąć butelkę z zakamarka w sieni, gdzie wcześniej ją ukryła, po czym wniosła ją na górę i usiadła na łóżku, żeby się zastanowić. Ponieważ niczego lepszego nie wymyśliła, postanowiła wypić to świństwo i położyć wszystkiemu kres.

Czwarta Siostra była z nas wszystkich najładniejsza. Miała tak wyraźnie zarysowane brwi, że nie musiała ich podkreślać ołówkiem, i rozmarzone ciemne oczy, ocienione długimi rzęsami; jej piersi wznosiły się dumnie, a włosy nosiła przycięte do uszu. W tamtym czasie wszystkie plotkarki, które zaglądały do naszego domu, mówiły do ojca: „Twoja czwarta córka z dnia na dzień zmieniła się w piękność!"

Matka bez przerwy powtarzała Czwartej Siostrze, że piękny wygląd nie ochroni jej w życiu przed cierpieniem.

Ona lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, że uroda ściąga nieszczęście na dziewczynę z ubogiej rodziny, ale nie podejrzewała, jak szybko te przepowiednie się sprawdzą. Czwarta Siostra i De-hua od łat byli zakochani, a poznali się w kolektywnej wsi, do której ich wysłano. Jednak zwlekali ze ślubem z obawy, że potem już nigdy nie uda im się wrócić do miasta. Kiedy bowiem miastowi chłopcy czy dziewczęta wchodzili w związki małżeńskie z wieśniaczkami czy wieśniakami lub pobierali się między sobą w trakcie pobytu na wsi, tracili hipotetyczne prawo do ponownego zameldowania w mieście. Więc Czwarta Siostra i Dehua przyrzekli uroczyście, że na zawsze pozostaną sobie wierni, ale ślub wezmą dopiero po powrocie do miasta. Po zakończeniu rewolucji kulturalnej w 1976 roku ci, którzy mieli koneksje, wracali do domu ł coraz mniej młodych mieszkańców miast pozostawało na wsi. Dehua wrócił w 1978 roku i starannie przeanalizował sytuację: Czwarta Siostra mogła na zawsze utknąć na wsi, skazana na los żony rolnika, a jeśli to on miałby być tym

rolnikiem, oboje czekałaby skrajna nędza. Więc zainteresował się dawną koleżanką z klasy, córką sekretarza partii w fabryce, ponieważ ten związek mógł odmienić jego życie i nawet zapewnić mu awans na członka kadry, co byłoby znacznie lepsze, niż gdyby miał pozostać zwykłym robotnikiem.

Z wyjątkiem mojej rodziny wszyscy uważali, że Dehua dokonał słusznego wyboru. W porównaniu ze stałym zameldowaniem w mieście miłość była błahostką. Czwarta Siostra pisała długie listy do domu, błagając matkę, żeby zrobiła co w jej mocy, aby ściągnąć ją do domu i uchronić przed losem żony rolnika.

Naturalnie matka była bezsilna: nie miała koneksji ani pieniędzy. Więc kiedy Czwarta Siostra przyjechała na urlop do domu i zorientowała się, że Dehua ulokował uczucia gdzie indziej, wpadła w panikę i oznajmiła, iż nie wyjedzie z Czungcing i nie powróci na wieś, dopóki on nie przysięgnie, że będzie się trzymał z dała od tamtej kobiety. Kiedy jednak zaczęła się zbierać do wyjazdu na wieś, zdeterminowana, aby tam szukać sposobu rozwiązania tej tragicznej sytuacji, odwiedziła nas zaprzyjaźniona sąsiadka i Czwarta Siostra się załamała, wylewając przed nią swoje żale. Kobieta, wiedziona współczuciem, zapytała ją, czy byłaby skłonna pracować jako tragarz w przedsiębiorstwie budowlanym na przedmieściu, i Czwarta Siostra zgodziła się bez wahania.

Tym sposobem poszła w ślady matki; została tragarzem piasku i cegieł, z tą różnicą, że matka była „zatrudniona czasowo", podczas gdy ona miała status „robotnicy kontraktowej". Wychodziła z domu bladym świtem, a wracała późnym wieczorem, bo do pracy dojeżdżała dwoma autobusami, no i musiała przepłynąć przez rzekę. Przychodziła cuchnąca potem i coraz bardziej zamykała się w sobie; wkrótce nie miałyśmy już o czym ze sobą rozmawiać.

Fabryka, w której pracował Dehua, znajdowała się w pobliżu przystani promowej na alei Kamyka z Procy, niedaleko naszego domu. Dehua był przystojnym, uprzejmym młodym człowiekiem i kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy, pomyślałam, że wygląda jak ci młodzi naukowcy z czytanek.

Za każdym razem, kiedy do nas przychodził, pomagał w domowych obowiązkach: nosił wodę, kroił i gotował warzywa oraz zmywał naczynia. I bardzo grzecznie się do wszystkich odnosił. Jednak matka nigdy mu nie wybaczyła, że zerwał z Czwartą Siostrą. Ojciec, małomówny jak zawsze, również traktował go chłodno, bo według niego był zniewieściały, czyli z góry skazany na cierpienia. Gdy zapadała noc, ojciec wołał w kierunku poddasza, że droga do domu robi się ciemna i niebezpieczna, co miało oznaczać, że Dehua powinien się zbierać. Lecz aluzyjne uwagi rodziców rzadko przynosiły skutek, a Czwarta Siostra nalegała, żeby Dehua się do nas wprowadził.

Tylko w ten sposób mogła na nim wymóc wiarygodną obietnicę małżeństwa.

Toteż przyszło mi dzielić poddasze z Czwartą Siostrą i Dehua. Aby im nie przeszkadzać, wychodziłam na dwór i do późna czytałam w słabym świetle latarni, co pogłębiało moją krótkowzroczność. Poddasze było takie małe, że nie mogłam spać, kiedy się kochali. Wstrzymywałam wtedy oddech i zaciskałam powieki, udając głęboki sen. A czasem po prostu schodziłam po omacku na dół i siedziałam w ciemnym kącie. Nienawidziłam ich za te hałasy.

Nasze łóżka oddzielała jedynie zasłonka, więc nie mogliśmy się tak zupełnie unikać. Jeżeli w domu była rodzina i młodzi nie mieli dla siebie miejsca, schodzili nad rzekę albo szli na wzgórze. Nie posiadali aktu ślubu i gdyby nakryła ich policja czy milicja obywatelska, przeżyliby upokorzenie, a w dodatku powiadomiono by zakłady pracy i musieliby napisać samokrytykę. Jedynym miejscem w tym rozległym mieście, gdzie mogli przez parę godzin cieszyć się intymną atmosferą, była sala zrujnowanego kina na szczycie góry.

– Czy ty naprawdę musisz czyścić buty przed wyjściem do pracy? – zapytał ojciec Dehuę.

– Zmieniam obuwie w fabryce – odparł Dehua.

– Czy to aby nie za wiele kłopotu?

– Nie – rzucił Dehua od drzwi, wychodząc z domu przed śniadaniem.

Ojciec powiedział do matki, która akurat wróciła, że to niewątpliwy znak, iż Dehua nie zerwał definitywnie z tamtą dziewczyną. Obawiał się, że znowu się dogadali i tylko patrzeć, jak Dehua rzuci Czwartą Siostrę. Ludzie pragną piąć się w górę, a on na pewno nie czuł się szczęśliwy na naszym ciasnym poddaszu.

5

Dehuę ściągnięto z fabryki do domu. Kiedy zobaczył Czwartą Siostrę, miała potargane włosy, policzki w kolorze popiołu i matowe oczy. O mało się nie udusił od smrodu, jaki wydzielała zawartość spluwaczki przy jej łóżku. Wszyscy, z wyjątkiem Czwartej Siostry, naskoczyli na niego. Wyglądało na to, że cała rodzina ma ochotę rozszarpać go na kawałki. Druga Siostra rzuciła się ku niemu z krzykiem, Trzeci Brat zaciskał i otwierał pięści, a Dehua dobrze wiedział, że ma przed sobą groźnego przeciwnika.

Za sprawą próby samobójczej Czwarta Siostra zyskała świadectwo ślubu.

Tuż przed przeprowadzką młodej pary do domu rodziców De-huy na Zakręcie Białych Piasków matka podarowała Czwartej Siostrze nową kołdrę.

– Czy wy oboje o niczym nie macie pojęcia? – obruszył się nasz sąsiad, Łysy Czeng, który akurat był w sieni. – Pokazywanie białej powłoki ślubnej kołdry przynosi pecha.

Żadne z nich nie zareagowało. Należało powiedzieć mniej więcej coś takiego: „Pech dla kołdry to szczęście dla ludzi" albo „Wiatr wieje, słońce świeci, pech odleci", ażeby odczarować złe proroctwo. Najbezpieczniej jednak w takim wypadku jest chwycić jakiś tłukący się przedmiot – miseczkę, dzbanek na wodę, kafelek czy szklankę – i rozbić go o podłogę. Podobnie rzecz się ma z pałeczką do ryżu. Gdy spadnie, należy wymówić zaklęcie: „Pałeczka upuszczona, ziemia nam sądzona", zanim się po nią nachylimy.

A im tak się spieszyło, że zapomnieli, czego uczyli ich starzy ludzie. Nic nie powiedzieli, niczego nie rozbili i prawdopodobnie w tamtej chwili owionął ich zły wiatr, niewidzialny dla ludzkich oczu.

Łysy Czeng po śmierci swojej matki przestał uprawiać walki tai chi z własnym cieniem i zarzucił grę na zdartych skrzypcach. Kupił sobie Szkolny słownik encyklopedyczny i zaczął studiować takie hasła jak „heksagramy" czy „prawo pięciu elementów". Powiedział naszemu ojcu, że nagłą śmierć jego matki spowodowała niekorzystna pozycja ich kuchenki, która nie powinna stać przodem do południa, jako że to kolidowało z „niebiańską łodygą" i „ziemską gałęzią" matki.

Potem przerzucił się na akupunkturę. Wkrótce jego szyję, ramiona i nogi, a szczególnie wierzch dłoni, pokryły liczne ślady po igłach. Usiłował zmienić obieg energii witalnej, aby zapewnić sobie długowieczność. Gdyby tylko udało mu się zgromadzić qi, mógłby obyć się bez jedzenia przez pół miesiąca! Idealny stan określano mianem „brak-łaknienia-ziarna". Ponieważ rząd wydał ścisłe zarządzenie, że wszystkie zwłoki, bez żadnych wyjątków, muszą być

spalane w krematorium, matka Czenga nie mogła spocząć w okazałej trumnie, którą zbił dla niej kilkanaście lat wcześniej. Zatem Czeng popiłował trumnę na małe kawałki, które układał w taki czy inny heksagram zgodnie z regułami zawartymi w I-cing, i spędzał większość czasu, siedząc w jego centrum, aby ochronić się przed złymi duchami i przywołać sprzyjający wiatr.

To górskie miasto spowija atmosfera niezwykłości. Przed wiekami górny i środkowy bieg Jangcy był kolebką szamanizmu i nawet dzisiaj każdy rodzaj magicznych praktyk znajduje tu wyznawców. Sama nie bardzo wierzyłam w cudowną moc qi, ale uważam, że Łysy Czeng zdobył jakąś tajemną wiedzę. Inaczej jak by wytrzymał, poszcząc przez pół miesiąca? Jednakże w latach głodu ojciec również całymi dniami obywał się bez jedzenia. Patrząc pod tym kątem, gromadzenie qi jest bardzo pożyteczne.

X

1

Zanim wieczorem wróciłam do domu, na nowo zapanował w nim spokój. Dehua poszedł do siebie, aby zająć się przygotowaniami do ślubu, a Druga Siostra została u nas na noc. Ponieważ spała ze mną, Dużej Siostrze przypadło dzielić łóżko z Czwartą Siostrą.

Druga Siostra i Duża Siostra nie przepadały za sobą i zawsze się o coś spierały. Duża Siostra przy swoim gwałtownym usposobieniu nie potrafiła pohamować potoku gniewnych słów, a z kolei Druga Siostra rozważała wszystko starannie, zawsze stawiając własny interes na pierwszym miejscu. Jednocześnie była bardzo delikatna i kilkakrotnie o mało nie umarła z powodu niebezpiecznie wysokiej gorączki. Matka twierdziła, że ona ma dwa życia, że jest „powrotnikiem". Cicha i zamknięta w sobie, wolała kilka godzin wędrować pieszo do szkoły i z powrotem niż prosić matkę czy ojca o pieniądze na autobus. Nogawki spodni i buty miała oblepione błotem, więc czyściła je bez słowa skargi, a potem nacinała krwawe pęcherze na stopach i nawet ręka jej przy tym nie drgnęła. Kiedy ja chodziłam do pierwszej klasy szkoły podstawowej, ona kończyła liceum. Któregoś dnia razem z kolegą z klasy zabrali mnie do szkółki leśnej, żeby zrobić trochę zdjęć. Pierwszy raz byłam wtedy na takiej wycieczce. Podrostek w okularach miał ze sobą aparat fotograficzny mniej więcej wielkości połówki cegły ł życzył sobie, żebym mu pozowała, urywając gałązkę. „Popatrz na niebo!" – powiedział. Zamiast „Uśmiechnij się!" powiedział: „Popatrz na niebo!"

Kiedy wróciliśmy do domu, ojciec wziął Drugą Siostrę na stronę i ostrzegł, że jej kolega jest zanadto przymilny i ma rozbiegane oczy. Że to nie typ człowieka, na którym mogłaby polegać do końca życia. Kwadrans później siostra odprowadziła go do drzwi. Nigdy więcej się nie pojawił. A kiedy film został wyjęty z aparatu, stwierdzono, że się przypadkiem naświetlił. „Żadne zdjęcie nie wyszło -oznajmiła smutnym głosem Druga Siostra. – Jaka szkoda!"

Potem znajoma matki, której Druga Siostra bardzo przypadła do gustu, przedstawiła ją swemu siostrzeńcowi, młodemu, przystojnemu i „złotoustemu" przywódcy rewolucyjnych buntowników w fabryce broni. Kiedy siostra poszła się z nim spotkać, był akurat zajęty w prowizorycznym areszcie na parterze fabryki. Co prawda zaciemnione okna nie przepuszczały światła, ale nie tłumiły potwornych krzyków, które dochodziły z wewnątrz. To katowani członkowie innej frakcji skandowali cytaty z myśli przewodniczącego Mao.

Druga Siostra, zbyt wystraszona, by zajrzeć do środka, zrobiła w tył zwrot i uciekła. I słusznie postąpiła. Gdyby wybrała tego przywódcę rewolucyjnych buntowników na męża, bardzo by tego

potem żałowała; przed końcem rewolucji kulturalnej, kiedy ta już właściwie dogorywała, skazano go na dwadzieścia lat więzienia.

Druga Siostra była jedynym dzieckiem w rodzinie, które pozwoliło rodzicom wybrać kandydata na męża, i teraz wiodła najbardziej stabilne i szczęśliwe życie. Wszyscy jej zazdrościli.

Tamtego wieczoru wcześnie zgasiłyśmy światło na poddaszu.

– Mała Szóstko – odezwała się Duża Siostra z drugiego łóżka - gdzieś ty się dzisiaj podziewała? Ojciec powiedział, że wyszłaś około południa.

– Byłam w szkole. – Otworzyłam szeroko oczy. Ciebie także nie było w domu, pomyślałam. Unikasz mnie. Odwróciłam się na bok, plecami do niej.

– Nie poszłaś do szkoły. Mnie nie oszukasz – odpowiedziała.

– To po co pytasz? – mruknęłam pod nosem.

2

Trzeci Brat, a jednocześnie najstarszy syn, był prawdziwym tyranem, rozpieszczanym zarówno przez ojca, jak i przez matkę. Kiedy miał piętnaście lat, wraz z rówieśnikami z sąsiedztwa nałożył opaskę Czerwonej Gwardii, lecz tylko jemu udało się wcisnąć do pociągu do Pekinu i zobaczyć przewodniczącego Mao. Kiedy wieczorem wrócił ze stolicy, sięgnął za siebie i wyczarował garść landrynek w plastikowej torebce, czym wprawił w osłupienie nas, maluchów, czyli Czwartą Siostrę, Piątego Brata i mnie.

Nieporozumienia między nim a matka i ojcem zaczęły się latem 1980 roku.

Teraz wdał się na dole w zażartą kłótnię z rodzicami, której powodem był incydent z Czwartą Siostrą. Matka wyrzucała mu, że nie dba o rodzinę i że wychowując go, zmarnowała czas.

Aby jak najszybciej wynieść się z domu i nie dzielić pokoju na dole z rodzicami i Piątym Bratem, ożenił się z dziewczyną z sąsiedztwa, nie informując o tym ani matki, ani ojca, po czym przeprowadził się do jej rodziny.

– Twoja żona – skarżyła mu się matka po jakimś czasie – ani razu nie powiedziała do mnie „mamo".

– To jej sprawa – odburknął, wychodząc do sieni. – Przecież wszyscy dorastaliśmy bez żadnej pomocy z waszej strony – dodał i wyszedł z domu.

Na poddaszu słyszałyśmy to wszystko, ale żadna z nas nie odezwała się słowem.

Trzeci Brat nigdy nie opowiadał nikomu z rodziny o swoich przeżyciach podczas pobytu na wsi ani też nie rozmawiał o latach, które przepracował jako doker u armatora w Ipin już po powrocie do miasta. Miał swoje powody, aby odczuwać rozgoryczenie, wyjaśniła nam później jego żona.

W połowie lat siedemdziesiątych, w początkowym okresie powrotu mieszkańców miast ze wsi oraz przydziału stanowisk pracy, członkowie kadry wszystkich szczebli, rozbestwieni podczas rewolucji kulturalnej, otwarcie angażowali się w różne działania korupcyjne: ludzie z koneksjami dostawali ciepłe posadki w biurze, tych, których stać było na łapówkę, czyniono pracownikami technicznymi na statkach, natomiast tym bez układów i pieniędzy pozostawała praca dokera. Trzeci,Brat i jego koledzy bardzo szybko wzniecili strajk, do czego prawo gwarantowała im konstytucja Chińskiej Republiki Ludowej. Jednak należy pamiętać, że robotnicy stanowili przewodnią siłę narodu jedynie pod „przewodnictwem" partii. Więc jeżeli gdziekolwiek dochodziło do tego rodzaju „zakłóceń", jednym

telefonem ściągano policję, żeby aresztowała „przywódców kontrrewolucyjnych zamieszek", których czekały surowe wyroki, z karą śmierci włącznie. To była stara, sprawdzona metoda gaszenia niepokojów społecznych. Jednak tym razem strajkujący mieli w ręku dowody świadczące o korupcji pośród członków kadry. Więc czołowi działacze, znani ze swych bezpardonowych metod podczas rewolucji kulturalnej, czując, że tracą grunt pod nogami, postanowili zastosować „łagodne środki". Wszystkim dokerom przydzielono nowe miejsca pracy. Trzeciego Brata skierowano na najwyższy bieg Jangcy, gdzie został marynarzem na płaskodennej łodzi. Tkwił tam sześć lat, zanim udało mu się znaleźć zmiennika rodem z Ipin, który pragnął wrócić w rodzinne strony. Ta zamiana pochłonęła wszystkie oszczędności brata, jakie zdołał zgromadzić w ciągu sześciu lat, ale wreszcie w 1980 roku znalazł pracę na statku u lokalnego armatora.

Pewnego dnia matka siedziała na stołeczku w sieni, a ja, kucając obok, pomagałam jej pruć stary sweter, żeby z upranej wełny wydziergać nowy. Wtedy właśnie do siedliska wkroczył młody dzielnicowy, jeszcze z puszkiem zamiast zarostu, w starannie odprasowanym mundurze. Matka wstała, skinęła mu głowa i powiedziała dzień dobry. „Zreformuj się" – warknął do niej z groźną miną.

Uśmiech zamarł na twarzy matki. „Tak, tak, dobrze" – odpowiedziała, nisko schylając głowę. Spuściłam oczy, policzki mi płonęły. Przez lata nic nie zdołało zatrzeć wspomnienia tamtego młodego, zaledwie o parę lat starszego ode mnie chłopaka, który bez żadnego powodu publicznie poniżył moją matkę.

Najpierw wysłano na wieś Dużą Siostrę. Potem jej los podzielił Trzeci Brat i Czwarta Siostra, która skończyła jako tragarz. Oni wszyscy mieli powody, by trzymać się z daleka od rodziców, którzy nigdy nie wyciągnęli do nich pomocnej dłoni, przez co przyszło im wycierpieć więcej niż innym. To, że matka wypłakiwała oczy ze zgryzoty za każdym razem, gdy żegnała któreś z nich, nie miało żadnego znaczenia. Wraz z dorastaniem przyszła świadomość, że nasza przyszłość rysuje się w ciemnych barwach i obojętnie jak bardzo będziemy się starali cokolwiek zmienić, przypadnie nam w udziale ciężki los, podobny do losu rodziców.

3

Słynny pikantny kociołek syczuański, jedno z najstarszych i najbardziej znanych dań kuchni chińskiej, po chudych latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ponownie stał się dumą Czungting. Do garnka wrzucało się wszystko, co jadalne w danej porze roku, czy to parnym latem, dżdżystą wiosną, mroźną zimą, czy też chłodną i rześką jesienią. Rano, w południe i wieczorem, a nawet o trzeciej nad ranem, pikantny kociołek można było zamówić zarówno w obskurnych spelunkach na przedmieściu, jak i w eleganckich restauracjach.

Jednak ludzie z siedliska napomykali w rozmowach, że choć pikantny kociołek w okolicznych jadłodajniach wygląda tak samo jak kiedyś, to brak mu tego szczególnego aromatu, jaki miał za dawnych czasów.

W wigilię pewnego Nowego Roku – nie pamiętam już którego - było tak zimno, że pomimo dwóch par skarpet musiałam cały czas przytupywać, żeby nie marzły mi nogi. Duża Siostra przyjechała ze swojej wsi u stóp góry Wu. Zgromadzeni wokół małego żelaznego piecyka, jedliśmy danie z kociołka. Odrobina mięsa dodana do rzepy i kapusty dawno już zniknęła, a na powierzchni wrzącej wody pływały tylko oczka oleju.

Ojciec polecił Czwartej Siostrze umyć trochę szpinaku i wrzucić go do garnka. Ona z kolei scedowała to zadanie na mnie, co spotkało się z aprobatą matki, która kazała mi starannie wypłukać szpinak, nie marnując przy tym wody. Więc wzięłam szpinak i umyłam go w zlewie we wspólnej kuchni.

Duża Siostra zanurzyła we wrzątku liść szpinaku, włożyła go do ust i wypluła, twierdząc, że skrzypi od piasku.

– Idź i umyj to jeszcze raz – polecił, wstając, Trzeci Brat.

– Czy ty tam z kimś rozmawiałaś? – zapytała mnie Duża Siostra. Pokręciłam głową.

– Nie zaprzecza] – odezwała się Czwarta Siostra z pełnymi ustami. – Ona zawsze gada do ściany.

– Nic dziwnego, że w szpinaku jest piasek – dodała matka. Nie reagowałam, dopóki nie zaczęli się śmiać. W końcu nie wytrzymałam.

– Przecież mówię wam, że z nikim nie rozmawiałam! Nawet nie mówiłam do siebie! – Zła, odstawiłam głośno miseczkę. – Nie mam ochoty więcej jeść – warknęłam do matki.

No i bardzo dobrze, odpowiedziała. A potem kazała mi odejść od stołu, żeby bracia i siostry mieli więcej miejsca. Wstałam i wyszłam z pokoju.

– Za łatwo wpada w gniew jak na swój wiek – zauważył ktoś, kiedy się oddaliłam.

W sieni było ciemno, ponieważ jednak nikt mnie nie zawołał, wyszłam na dwór, zbyt lekko ubrana na taki mróz. Ktoś strzałem z procy stłukł latarnię za bramą, więc dookoła było zupełnie ciemno. Na szczycie wieżowca przy Niebiańskich Wrotach migał neonowy napis. Wydawało mi się, że słyszę wybuchy fajerwerków za rzeką.

Skierowałam się do publicznego ustępu, jedynego miejsca, gdzie mogłam uciec przed zimnem. O tej porze w wigilię Nowego Roku powinno być tam pusto. Weszłam do środka, uważając, aby w nic nie wdepnąć, i znalazłam względnie czyste miejsce za drzwiami. Oddychając płytko w smrodliwym powietrzu, przestałam tam wiele godzin, trzęsąc się z zimna, lecz jednocześnie zachowując jasność umysłu.

Całą noc przetrząsali wszystkie uliczki, ale znaleźli mnie dopiero o świcie, bo nikomu nie przyszło do głowy szukać w ustępie. Natknęła się na mnie przypadkiem Duża Siostra, kiedy przyszła się wysiusiać.

No, tym razem, pomyślałam sobie, matka potraktuje mnie serdeczniej. Ale ona tylko przelotnie spojrzała na moją zmarzniętą twarz i sine usta, po czym zdjęła buty i bez słowa położyła się do łóżka. Duża Siostra ze śmiechem zwróciła matce uwagę, że powinna czulej traktować najmłodsze dziecko w rodzinie. Mała Szóstka wygląda na niewiniątko, jest milczkiem i nie robi tego, co się jej każe, ale kto wie, czy w przyszłości nie powiedzie się jej lepiej niż reszcie nas i czy to nie ona właśnie zadba o ciebie na starość.

– Och, tak sądzisz? – zapytała matka. – Nie próbuj mi się przymilać. Ona się mną nie zajmie. Podobnie zresztą jak wy wszyscy. Na starość zostanę zdana na samą siebie i dobrze o tym wiem. Podziękuję niebu, kiedy ona dorośnie, znajdzie sobie męża i sama będzie umiała się wyżywić.

4

Wysoka kobieta szorowała z tłuszczu Bóstwo Kuchni nad wspólnym zlewem. Mała wnęka z gzymsem, w której stał bożek, znajdowała się wysoko w ścianie. Na gzymsie stawialiśmy świeczki albo lampy naftowe, gdy brakowało prądu, a normalnie trzymaliśmy tam ocet winny i sos sojowy.

Ta kobieta to Ciocia Czang, jedna z naszych sąsiadek. Mieszkała w najbardziej wysuniętym na wschód narożniku siedliska, w pokoju z balkonem, którego jej wszyscy zazdrościliśmy. Na tym balkonie o powierzchni siedmiu metrów kwadratowych hodowała w doniczkach kaktusy, orchidee, gwiazdy Salomona i obuwiki. Kiedy padało, deszczówka spływała z balkonu, ponieważ w posadzce był otwór. Stały tam również dwie beczułki na wodę oraz duży słój na przetwory. Krążyły pogłoski, że Ciocię Czang wykupił z burdelu w Wuhan pewien doker. Inna wersja głosiła, iż zabrał ją ze sobą, nie płacąc za nią ani fena, kiedy po wyzwoleniu likwidowano domy publiczne, a prostytutki zamykano w obozach, żeby się reedukowały. Ciocia Czang miała owalną twarz, jasną cerę i rozmarzone oczy o cienkich powiekach z jedną tylko fałdką. W przeciwieństwie do innych kobiet przyciągała wzrok.

– Rozmarzone oczy, ja ci pokażę rozmarzenie! – ryczał mąż, kopiąc ją ciężkim roboczym buciorem. A ona nigdy się nie skarżyła, nawet kiedy całe jej ciało pokrywały sińce.

Była wysoka na jakiś metr siedemdziesiąt, miała długie nogi i najzgrabniejszą figurę, jaką zdarzyło mi się widzieć. Tak wielkie wrażenie robiła na mnie jej smukła szyja, że rysy twarzy zatarły mi się w pamięci. Gdyby nie posiniaczone policzki, byłaby warta każdych pieniędzy, no i oczywiście gdyby nie bezpłodność – ludzie mówili, że to cena, jaką się płaci za uprawianie prostytucji. Rzadko słyszałam, aby się do kogoś odezwała, a i mało kto chciał się wdawać w rozmowę z kobietą, której przeszłość była ogólnie znana. Od czasu do czasu, wychylona za balustradę balkonu, zbierała doniczki potłuczone przez męża, a kiedy skończyła, wychodziła z siedliska i kupowała nowe kwiaty.

Ciocia Czang miała przybranego syna, który przechowywał mnóstwo grubych ksiąg o kartkach pożółkłych ze starości. Szabrował je, korzystając z zamieszania, jakie panowało w trakcie rewolucji kulturalnej. W tamtym czasie wszystkie, nawet średnio ciekawe książki zostały zakazane, więc nigdy nie było nic interesującego do czytania. A kiedy nawet w miarę przyzwoita pozycja pojawiała się w księgarniach, któż na naszej ulicy wydałby na nią pieniądze? Lizak czy

para poliestrowych skarpetek znaczyły o wiele więcej niż jakaś tam książka. Podręczniki były jedynymi książkami, jakie można było znaleźć u nas w domu.

Ciocia Czang pożyczała mi książki syna za jego plecami. Któregoś dnia odkryłam manuskrypt pozbawiony pierwszej kartki. Pismo było niestaranne, lecz na tyle wyraźne, że przy pewnym wysiłku dawało się je odczytać. Rzecz dotyczyła szpiegów Kuo-mintangu, którzy w pierwszych latach po wyzwoleniu planowali wysadzić w powietrze Czungcing. Całość zaczynała się mniej więcej tak: „Pewnej nocy stróż usłyszał dziwne hałasy w opustoszałym, zasnutym pajęczynami domu na ciemnej, ponurej ulicy. Poszedł sprawdzić, co tam się dzieje, i oniemiał z wrażenia…" Już w tym miejscu byłam nieźle przestraszona i wydawało mi się, że słyszę złowieszcze, przytłumione stąpanie na pustym podwórku. Przemogłam się jednak, aby czytać dalej, a kiedy skończyłam, każdy mieszkaniec naszego siedliska wydawał mi się podejrzany.

Słyszałam o powieści pod tytułem Dziewczęce serce, która krążyła po naszym mieście. Ta cieniutka książeczka z prostą, romansową fabułą okazała się „najbardziej zjadliwą z trucizn". Aby powstrzymać zły wpływ burżuazyjnej dekadencji, policjanci robili naloty na szkoły i przeszukiwali tornistry, a jeśli znaleźli u kogoś egzemplarz tej książki, poszerzali poszukiwania o polowanie na wrogie elementy, które ręcznie przepisywały dzieło; mieli nadzieję, że w końcu uda się dotrzeć do jego autora. Płonąc z ciekawości, czekałam, kiedy Ciocia Czang pożyczy mi ten romans. Ponieważ sama była analfabetką, dawała mi każdą książkę, o którą poprosiłam. Tamtą jednak jej syn musiał chyba bardzo starannie ukryć, a ja prawdopodobnie miałam szczęście, że nie wpadła mi w ręce.

Któregoś dnia dwóch policjantów wywlekło z siedliska syna Cioci Czang. Spędził w obozie kilka lat, by się tam reformować przez pracę, i zupełnie możliwe, że powodem była właśnie ta powieść. Ciocia Czang, płacząc, złorzecząc i przeklinając książki, obróciła cały księgozbiór w popiół.

Pamiętam, widziałam raz, jak w nocy Ciocia Czang z lampą naftową w dłoni dreptała przez siedlisko, żeby otworzyć bramę synowi, który obejmował jakąś wiejską dziewczynę i nie chciał jej puścić. Ciocia Czang stała w paptiach, czekając, aż wejdzie. Obserwowałam tę scenę z drzwi na poddasze. Ciocia Czang, nie mając odwagi mu przeszkodzić ani też wpuścić ich obojga do środka, stała pokornie. Widziałam jej udręczoną twarz w słabym świetle płomyka, który osłaniała dłonią.

Zawsze można było dostać w szkole rewolucyjne powieści

0 Partii Komunistycznej, prowadzącej biednych ludzi ku rewolucji. One także pobudzały moją wyobraźnię, mimo że wszystkie miały

mniej więcej taką samą treść. Fascynował mnie ten duch odnowy u wyzwolonych biedaków. Ja też postanowiłam przeżyć odnowę, zaczynając od własnego domu.

Matka miała stary czarny płaszcz z flaneli, który pozwalała nosić na zmianę Dużej Siostrze, Drugiej Siostrze i Czwartej Siostrze. A mnie nie dawała go nawet przymierzyć, twierdząc, że jest za długi. Natomiast Czwarta Siostra powiedziała, że nie pozwoliłaby mi go nosić, nawet gdyby był w strzępach.

– Zamierzam przejść duchową odnowę – oznajmiłam jej gniewnie któregoś wieczoru.

– Dobra, odnawiaj się – wymamrotała sennie Czwarta Siostra

1 przysunęła się bliżej ściany, żeby zrobić mi trochę więcej miejsca.

Miałam wtedy jedenaście lat i niczego nie pragnęłam bardziej niż przymierzyć ten płaszcz. Więc któregoś dnia, gdy zostałam w domu sama, skróciłam go nożyczkami i podszyłam dół czarną nitką. A potem go włożyłam. Był taki ciepły i przytulny, że aż doznałam uczucia wielkiego szczęścia.

Kiedy Druga Siostra odkryła, co zrobiłam, zawlekła mnie na górę, zaryglowała drzwi, zdjęła stołek zawieszony pod sufitem, ustawiła go na podłodze między łóżkami i kazała mi się na nim położyć.

Leżałam ze wzrokiem wbitym w podłogę, zaciskając dłonie na nogach stołka, a ona wyjęła polano spod łóżka, ściągnęła mi majtki i zaczęła okładać mnie po pupie.

– Nie ustąpisz, prawda? Masz zamiar być dalej taka harda? Skąd w tobie tyle nienawiści?! Jakie masz do tego prawo?

Walcząc ze łzami, dziwiłam się, jak to możliwe, żeby ktoś tak drobny jak Druga Siostra potrafił wykrzesać z siebie tyle siły i tak mocno bić. Polano poprzecinało mi skórę i zanim skończyła, z pośladków polała się krew.

Nikomu, nawet moim rodzicom, nie powiedziałam o tym laniu. Być może właśnie dlatego Druga Siostra zaczęła mnie lepiej traktować. Raz w szkole jedna z koleżanek posadziła mi na włosach wszy, które znalazła u najbardziej zaniedbanej dziewczynki w klasie. Druga Siostra, widząc, jak się drapię, przyciągnęła mnie do siebie, żeby sprawdzić, co się dzieje. Po całej mojej głowie pełzały wszy. Więc siostra wypłukała mi włosy w parafinie i ciasno owinęła głowę szmatą, żeby odciąć dostęp powietrza. Po mniej więcej godzinie zdjęła ciasny kompres, a ja dostałam gęsiej skórki na widok czarnych kropek pływających w misce z wodą.

Parafina zabiła wszy, ale podrażniła mi skórę na głowie i zniszczyła włosy. Zawsze sterczące i nie do końca czarne, po tej kuracji zblakły do brązu i zmatowiały.

XI

1

Wywołała mnie Duża Siostra. Nie idź dziś do szkoły, powiedziała. Chciała, bym dotrzymała jej towarzystwa. W porządku, pomyślałam. I tak dzisiaj nie miałam ochoty tam iść. Kto by chciał oglądać nauczyciela historii po tym, jak wystawił mnie do wiatru? Najpierw zbałamucił niewinną dziewczynę, a potem ją zlekceważył.

Schodziłyśmy wąskimi, krętymi dróżkami, aż wreszcie Duża Siostra zatrzymała się przed siedliskiem obok spichlerza, po czym kazała mi wejść do środka i wywołać na zewnątrz pewną osobę, z którą chodziła do szkoły. Od przyjazdu do domu wydawała się podminowana; miałam wrażenie, że szuka kogoś lub czegoś, co pozwoliłoby jej zapomnieć o ostatnim, nieudanym małżeństwie.

– Nie potrafisz trzymać się z daleka od kłopotów – zauważyłam. – Po co ci to?

Błagała, bym jej pomogła.

– To chłopak, prawda?

– Jesteś za sprytna jak na taką małą dziewczynkę – odparła zniecierpliwiona. – To dziewczyna. No, idź już!

Za bramą kamienne schody prowadziły do siedliska, które -choć znacznie mniejsze niż nasze – służyło za mieszkanie kilku rodzinom. Weszłam do pierwszego zabudowania po lewej stronie i natknęłam się na starą kobietę zajętą krojeniem suszonych pa-pryczek. Musiałam kilkakrotnie powtórzyć pytanie, zanim usłyszałam odpowiedź:

– Nie ma jej w domu.

– A kiedy będzie? – zapytałam.

– Nie wiem – zakończyła rozmowę stara kobieta.

Zeszłam z powrotem do bramy, gdzie zdałam relację Dużej Siostrze. Ta kobieta to jej matka, powiedziała. Stara, cuchnąca wiedźma nie zawołałaby jej, nawet gdyby była w domu! Szczurzy demon!

Wyjaśniła, że ta koleżanka została razem z nią zesłana na wieś u stóp góry Wu. Łączyła je przyjaźń, dopóki nie pokłóciły się o jakąś błahostkę.

Siostra opowiedziała, że kiedy w 1964 roku znalazła się na wsi i zobaczyła tam cztery inne dziewczyny z miasta, od razu się zorientowała, że czeka ją ciężki los. Jedna z nich miała matkę pochodzącą z kułackiej rodziny, druga była córką kontrrewolucjonisty, ojciec trzeciej uciekł przed wyzwoleniem wraz z oddziałami Czang Kaj-szeka na Tajwan, skazując ją tym samym na los „dziecka wroga”, czwarta zaś została sierotą podczas wielkiego głodu. Za pomocą zwodniczej propagandy „trudne przypadki” zwabiano na wieś, ażeby tam przekształcić je w herosów odpowiadających na apel partii.

Nocami pokrzykiwanie małp przypominało zawodzenie zbłąkanych duchów i miastowe dzieciaki bały się wychodzić w pojedynkę. Na skutek przymusowej kolektywizacji, „domowego wytopu żelaza" oraz klęski głodu ten niegdyś gęsto zalesiony obszar został całkowicie pozbawiony drzew. Wieś mogła się pochwalić jedyną w okolicy rajską jabłonią, którą młodzież z miasta chciała porąbać na opał. Tymczasem wieśniacy twierdzili, że w tym drzewie mieszkają złe duchy i ktokolwiek podniesie na nie rękę, ściągnie na siebie kłopoty.

Do licha z przesądami! Miastowi ścięli drzewo, no i uwolnili demony. Wkrótce jedna z dziewcząt zaszła w ciążę i umarła przy porodzie na górze Wu. Niedługo potem inną zgwałcił członek kadry z regionu, ale nikomu o tym nie wspomniała i wyszła za mąż za rolnika. Ona także umarła podczas porodu. Kobiety, które umarły przy porodzie, miejscowy zwyczaj nakazywał grzebać po północy. Tamtej nocy ulewny deszcz zmienił ścieżki w błotniste szlaki i żałobnicy niosący trumnę poślizgnęli się i razem z nią runęli w przepaść.

Dwóch chłopców, nie mogąc się pogodzić z niesprawiedliwym traktowaniem ze strony lokalnych urzędników, namówiło dwudziestu podobnych sobie młodych ludzi do ucieczki w góry, gdzie mieli założyć oddział partyzancki uzbrojony jedynie w miecze i dzidy. Duża Siostra nie poszła z nimi, podejrzewając, że tam życie okaże się jeszcze trudniejsze niż na wsi. Rebeliantów schwytano, zanim zdążyli dotrzeć w góry, a obu przywódców skazano na piętnaście lat więzienia.

– Czy zostali zrehabilitowani? – zainteresowałam się. – Codziennie w gazetach piszą o przypadkach zadośćuczynienia za błędy polityczne.

– Czy ich zrehabilitowano? Niewiele czasu potrzeba, żeby w obozie pracy zmienić człowieka we wrak. – Siostra szybko sprowadziła rozmowę na koleżankę ze szkoły. Jedynie za jej pośrednictwem dotrze do chłopaka, który kiedyś się do niej zalecał. Wtedy nie bardzo ją interesował, ale teraz sytuacja się zmieniła.

Pierwszy mąż Dużej Siostry był członkiem kadry niższego szczebla w jednej z powiatowych kopalni w powiecie. Wiecznie się kłócili, aż któregoś dnia pobiegł do komitetu partii z donosem, że dzielą ich różnice klasowe, a przy okazji wyjawił historię naturalnego ojca siostry. Następnego dnia pojawiły się wielkie plakaty atakujące siostrę. „Działalność Wywrotowa Dziecka Wroga Klasowego jednej z Pięciu Czarnych Kategorii" – krzyczały napisy. Podczas burzliwej sesji, jaka potem nastąpiła, mąż siostry stał przed podium, czym jeszcze pogłębiał jej upokorzenie.

– Ale dość o nim – zakończyła. – Nie powinnam była w ogóle wychodzić za kogoś takiego.

– Nie był taki zły. Przynajmniej wydawał się lepszy od twego obecnego męża.

– Jeden wart drugiego. A następny też nie będzie lepszy. Celem małżeństwa nie jest znalezienie dobrego mężczyzny. – Odrzuciła włosy i ruszyła przed siebie. – Poza tym rozwód musi zostać zaaprobowany na tylu szczeblach organizacji partyjnej i kosztuje wiele lat ciężkich zmagań.

Wagonik kolejki linowej, naładowany wysoko workami ze zbożem, piął się w górę, w tym samym czasie drugi, pusty, zjeżdżał w dół. Jedna brygada dokerów wyładowywała zboże ze statku, a druga, na szczycie góry, zdejmowała je z wagonika, przenosiła przez czarną bramę i układała w spichlerzu. Zabudowania w okolicy spichrza były w lepszym stanie od pozostałych domów na Południowym Brzegu. Gdziekolwiek się spojrzało, widać było czerwone napisy ostrzegawcze: „Wstęp wzbroniony" albo „Obiekt strzeżony przeciwpożarowo", a także znany cytat z myśli przewodniczącego Mao: „Kop głęboko, gromadź ziarno, walcz z hegemonią".

Stanęłyśmy pod mostkiem. Nad głowami miałyśmy linę kolejki.

– Nie powiedziałaś mi wszystkiego – zaczęłam. – Ostatnim razem stwierdziłaś, że robi się późno i że dokończysz kiedy indziej.

– I tak już powiedziałam ci więcej, niż powinnam – odparła. - Twoja przyszłość rysuje się w znacznie jaśniejszych barwach niż moja. Nie miałaś nawet sześciu lat, kiedy Piątego Brata przygniótł wagonik kolejki linowej, i nie chodziłaś jeszcze do szkoły, a już potrafiłaś wsiąść na prom, dotrzeć do stoczni na Nabrzeżu Białych Piasków i powiadomić matkę, choć nigdy przedtem tam nie byłaś. Nikt nie podejrzewał, że jesteś do czegoś takiego zdolna.

– Nie tak było, całą drogę przeszłam pieszo. Skąd niby miałam wziąć pieniądze na prom?

– No dobra, pomyliłam się. Ale najważniejsze w tym wszystkim, że pięcioletnia dziewczynka przewędrowała taki szmat drogi i się nie zgubiła. Wygląda na to, że chyba mimo wszystko jesteś członkiem tej rodziny.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Nagle zrobiłam się czujna. – Dlaczego powiedziałaś „mimo wszystko"?

– Bo dokładnie to mam na myśli. – Głos jej nawet nie zadrżał. – Dowodem jest to, co zrobiłaś dla Piątego Brata. Ja miałam dwadzieścia jeden lat, akurat wróciłam ze wsi pod górą Wu, żeby urodzić swoje pierwsze dziecko, i wiedziałam, że ty, w przeciwieństwie do mnie, należysz do rodziny.

– Co znaczy „w przeciwieństwie"? – Omal nie chwyciłam jej za rękaw. – Nie potrafiłam odgadnąć, czy się przejęzyczyła, czy daje mi coś do zrozumienia.

Piąty Brat trzymał pleciony koszyczek wypełniony suszonym

grochem i fasolką mung; razem je wyzbieraliśmy z ziemi i ze szczelin między skałami. Kiedy wagoniki kolejki linowej sunęły w górę i w dół, dzieci kładły się płasko i zbierały ziarno wypadające przez dziury w workach. Co prawda sytuacja nie była już tak krytyczna jak w okresie wielkiego głodu, ale nawet teraz, gdy lata klęski minęły, nadal brakowało ziarna, więc wysyłano dzieci na jego poszukiwanie. Liczyło się każde ziarenko, po kilku dniach można było uzbierać nawet pół miseczki albo i więcej, a to wystarczało na jeden posiłek Wczesnym latem 1968 roku odkryłam kępę dzikiej cebuli na piaszczystym nadbrzeżu tuż przy torze kolejki. Podekscytowana, usłyszałam ostrzegawczy dzwonek nadjeżdżającego wagonika, więc podniosłam się z rękami oblepionymi błotem, żeby zejść mu z drogi.

Tamtego poranka wagoniki jechały w górę puste, natomiast sunące w dół były wypełnione workami zboża, które miano załadować na statek przycumowany do pomostu. Czwórka, a może piątka dzieciaków, z moim bratem na przedzie, siedziała w pustym wagoniku. Robotnicy obsługujący kolejkę, podobnie jak i dokerzy, nie przepędzali dzieci, ponieważ widywali je niemal codziennie. Jeden z dzieciaków zanurzył rękę w koszyku brata i wykradł mu garść ziarna. Piąty Brat, zazwyczaj nieskory do bójki, zrewanżował mu się tym samym. Wtedy tamten chłopak wypchnął go z wagonika, a tylne koło najechało mu na lewą nogę. Maszynista błyskawicznie zaciągnął hamulec.

Widziałam to wszystko z mojego miejsca, a na krzyk brata wybuchłam płaczem. On jedyny pośród rodzeństwa nigdy się na mnie nie wyżywał, a w dodatku nauczył mnie czytać i często dzielił się ze mną jedzeniem. Z powodu zajęczej wargi unikał ludzi i nigdy nie kłócił się z nikim z rodziny, nawet jeśli go prowokowano.

Druga Siostra, widząc zamieszanie, podbiegła do brata, który strasznie krwawił, oderwała mu pasek od spodni i obwiązała zranione udo, po czym zarzuciła go sobie na plecy. A ja, otrząsnąwszy się z przerażenia, podążyłam za nią.

W tym czasie przygasły już walki frakcyjne, ludzie zdawali broń, niemniej zdarzały się jeszcze wymiany strzałów z armat czy karabinów maszynowych lub najazdy czołgów. Nagminnie dochodziło do paraliżu transportu, zarówno wodnego jak i lądowego, a także występowały częste przerwy w dostawach wody i prądu. Tamtego dnia przychodnia na Kamiennym Moście i Szpital Dzielnicowy Numer Jeden były zamknięte z obawy, że jeśli przyjmą rannych jednej frakcji, przeciwnik się na nich zemści.

Druga Siostra waliła pięściami w szpitalną bramę, zapewniając personel, że wypadek jej brata nie ma nic wspólnego z walkami frakcyjnymi. Kiedy lekarze, ujęci jej determinaqą, zastanawiali się nad przyjęciem rannego, wybiegłam ze szpitala i zamiast do domu

skierowałam się nad rzekę. Ni stąd, ni zowąd rozpętała się ulewa; chmury, pędząc po niebie, zdawały się przybliżać odległe góry i odpychać pobliskie wzgórza.

Nie wiem, ile czasu szłam, ale kiedy dotarłam do stoczni, gdzie pracowała matka, deszcz prawie ustał. Z zaciągniętego nieba siąpiła mżawka. Matka wraz ze swoją partnerką przenosiła z pokładu na ład beczkę z farbą. Kiedy zobaczyła, że się zbliżam – a wyglądałam jak ulepiona z błota – rzuciła drąg i podbiegła do mnie.

Duża Siostra szła przodem, więc podbiegłam, aby się z nią zrównać. Nic nie zrozumiałam z tego, co mi powiedziała, jednak tym razem nie zamierzałam ustąpić.

– Dlaczego jesteś taka niecierpliwa? – Siostra wydawała się bardziej zdecydowana niż ostatnio. – Nie opowiedziałam ci jeszcze, jak po wyzwoleniu wyglądało moje życie w nowym społeczeństwie.

2

Człowieka triady aresztowano. W 1950 roku Partia Komunistyczna postanowiła podjąć zdecydowaną walkę z siłami antykomunistycznymi i równocześnie rozpoczęła kampanię czerwonego terroru w miastach. Dławienie kontrrewolucji i likwidaqa wywrotowej działalności wrogiej agentury trwały kilka dobrych lat. W Czungcing wytropiono i pozamykano wszystkich szefów triady i przywódców sekt religijnych; codziennie dochodziło do setek egzekucji, a ciała ofiar, po które nikt się nie zgłaszał, grzebano we wspólnych grobach. Miejscem egzekucji na Południowym Brzegu był Parów Persymon. Tam między innymi zginął najwyższy rangą mnich ze świątyni buddyjskiej, którego nigdy nie zajmowały problemy doczesnego życia. Religijni starsi ludzie ronili za nim ciche łzy, podczas gdy podniecona gawiedź wypełniała miejscowe herbaciarnie. Ludzie w Czungcing uwielbiają ekscytację, podobnie jak ostrą paprykę, którą przyprawiają jedzenie.

– W zabijaniu komuniści przewyższają tych z Kuomintangu – podsumował z westchnieniem ojciec.

Matka kazała mu się zamknąć. Znowu w ciąży, trzymała w ramionach córkę.

Ktoś jej szepnął, że człowiek triady siedzi w więzieniu i pragnie zobaczyć swoje dziecko. Niepewna, jak powinna postąpić, spędziła bezsenną noc, wiercąc się i rzucając na łóżku. Rankiem, ze spuchniętymi oczyma poszła do więzienia, ale bez córki.

Poruszając się niezdarnie, w zaawansowanej ciąży, zgłosiła się w kantorku przy bramie więzienia; tam nie tylko odmówiono jej widzenia, ale jeszcze odnotowano związek z reakcjonistą. W drodze powrotnej kipiała z gniewu, ale nie żałowała, że pojechała.

Wiadomość o losie człowieka triady dotarła do niej po kilku miesiącach, na długo po tym, jak go skazano na śmierć. Był to jeden z Wielkich Dni Dławienia Kontrrewolucji; skazańcy transportowani ciężarówką na miejsce egzekucji wszczęli bunt i zostali wystrzelani z karabinu maszynowego podczas próby ucieczki.

W dusznej, zatłoczonej kabinie pod pokładem matka ocierała łzy i usiłowała się uspokoić. Dlaczego płacze nad kimś takim jak on? Ale łzy same napływały do oczu. Siedziała, kołysana rytmem fal uderzających o kadłub promu.

Gdy pewnego razu, wiele lat wcześniej, matka i człowiek triady jechali rikszą, drogę zablokował kondukt żałobny. Przed trumną szli, rozpaczając, synowie i wnukowie w żałobnych strojach, a za nimi ubrani na biało wynajęci żałobnicy nieśli lektyki i konie z papier-mache, brokatowe szaty rytualne, stroje na oficjalne okazje oraz

jedwabne żałobne chorągwie. Grała orkiestra, wybuchały fajerwerki, a czerwone lampiony kołysały się na wietrze.

Człowiek triady odwrócił się ku matce, która przyglądała się procesji z szeroko otwartymi oczami.

– Nie zazdrość tym ludziom – powiedział. – Kiedy upłynie wiele lat i twoja matka zejdzie z tego świata, zorganizuję wspaniały pogrzeb z buddyjskimi mnichami i kapłanami tao, którzy zapewnią spokój jej duchowi w wędrówce na tamten świat. Wybiorę odpowiedni dzień i miejsce na pochówek, zapewniając w ten sposób sławę i poważanie potomkom zmarłej. – Odgadł jej myśli, wyczuł, że pragnęła wywiązać się z obowiązku wobec matki.

Babcia nie zmarła w swojej rodzinnej wsi, tylko w Czungcing, u matki w domu. Jej dwaj synowie nacięli bambusowych kijów, sporządzili z nich nosze i nieśli na nich konającą matkę, żebrząc w drodze. Po czterech ciężkich dniach i trzech nużących nocach dotarli do miasta. Matka na ich widok wybuchła płaczem.

– Dlaczego nie daliście znać? – pytała. – Opłaciłabym wam podróż statkiem, choćbym się miała zapożyczyć.

Białe opaski na ich głowach, które zgodnie z panującym na wsi zwyczajem nakładało się przed wizytą u krewnych, były szare z brudu, a sąsiedzi w siedlisku szemrali, że widok żałobnych strojów to zły omen. Matka wyskrobała dwadzieścia juanów na prom dla braci, którym spieszno było do domu.

Jednak oni stwierdzili, że wolą pójść pieszo, a pieniądze przeznaczą na ważniejsze domowe potrzeby.

W szpitalu lekarze oznajmili matce, że nic już nie mogą zrobić dla tej starej kobiety. Więc matka kupiła zioła i sama sporządzała lekarstwa; przez wiele dni w naszym domu unosiły się dziwne zapachy. Z babki została tylko skóra i kości, bo jej przewód pokarmowy był wyniszczony przez pasożyty – długie, płaskie kolorowe glisty, które wychodziły wraz ze stolcem. Babcia spędzała całe dnie w łóżku, zwinięta w kłębek, obejmując brzuch rękoma, i ani nie mogła spać, ani siedzieć wyprostowana. Chciała przetrwać zimę, ale jednej mroźnej nocy, tuż przed księżycowym Nowym Rokiem, zawyła z bólu, siedząc na nocniku, i osunęła się na podłogę. Matka pomogła jej wejść na łóżko i wtedy babcia w swych ostatnich słowach poprosiła ją, by ściągnęła ze wsi do Czungcing głodującego najmłodszego brata i żeby go odkarmiła i nauczyła czytać. Matka pokiwała głową na zgodę, a wtedy babcia wydała ostatnie tchnienie.

W dniu jej śmierci w 1953 roku matka obmyła zwłoki ciepłą wodą, a potem przycisnęła zimną rękę zmarłej do swojej piersi. Babka, ubrana w pogrzebowy strój uszyty przez córkę, leżała na marach zbitych ze starych desek w sieni przy drzwiach. Nikt po niej nie płakał i nie było kapłanów tao, żałobnych wieńców, sztandarów ani

katafalku. Jedna oliwna lampka rzucała migotliwe światło na zwłoki. A pochowano ją między zaniedbanymi grobami w Parowie Trzech Kamieni.

Nawet na łożu śmierci babka nie wybaczyła córce ucieczki z domu przed aranżowanym małżeństwem. Matka bardzo się tym gryzła; często śniła, że babka zjawia się przy jej łóżku, ale nigdy nie wspomina o małżeństwie. Kiedy staruszka dogorywała, także omijała ten temat. Żaliła się jedynie, że matka ją opuściła, skazując na głód, samotność i życie na łasce innych. Babka życzyła sobie również, aby odszukano grób jej siostrzenicy, Trzeciej Ciotki, lecz pomimo starań matce nigdy nie udało się tego dokonać. Trzecia Ciotka umarła z głodu w 1961 roku i podobno została pochowana na wzniesieniu gdzieś w okolicy południowego przęsła mostu przez Jangcy. Mostu wtedy jeszcze nie było, a skalisty wzgórek porastały krzaki i chwasty. Ponieważ miejsca nie zaznaczono nawet kamieniem, zlokalizowanie grobu stało się niemożliwe. Potem, kiedy wznoszono most, buldożery zniwelowały wzniesienie i rozwłóczyły kości.

Siedemnaście lat po śmierci babki matka rozkopała jej grób, owinęła szczątki w białe płótno i umieściła je w skrzyneczce, którą kazała braciom zabrać do wioski, gdzie babka się urodziła, i pochować obok męża na wzgórzu za rodzinnym domem. Sny przestały ją nawiedzać. Wieśniak, który jakiś czas później przybył do Czungcing, powiedział matce, że po każdym deszczu w księżycowe noce wyrastają przed grobem babki czarne grzyby, które ludzie zbierają i zjadają, nawet ich przedtem nie płucząc, bo nie ma na nich śladu błota.

3

Matka już od młodych lat miała problemy z oczami, musiała co rusz wycierać je chusteczką, bo inaczej w kącikach gromadziła się i zasychała zielonkawa wydzielina, powodując dokuczliwe swędzenie.

– To przez ciążę – mówiła nam. – Starajcie się nie płakać w ciąży. Żeby wam się nie zrobiło coś takiego jak mnie. Nic na świecie nie jest w stanie na to pomóc.

Wspomnienia Dużej Siostry nasunęły mi przypuszczenie, że matka miała na myśli dzień, kiedy poszła na widzenie do więzienia i o mało nie wypłakała oczu w powrotnej drodze.

Jednak Duża Siostra wątpiła, czy matce naprawdę starczyło odwagi, żeby udać się do więzienia. Sądzę, że miała powody, aby snuć takie podejrzenia; jako córka była szczególnie wyczulona.

– A więc tak zakończył życie twój ojciec? – Nic mnie nie łączyło z tamtym człowiekiem, a jednak posmutniałam i mocno jak nigdy dotąd trzymałam Dużą Siostrę za rękę.

– Och, gdyby tak właśnie umarł! – rzuciła po chwili milczenia tonem, który naprawdę mnie zaskoczył.

Przysiadła na skale plecami do rzeki i bez żadnej zachęty z mojej strony kontynuowała opowieść.

Była niedziela. Ojciec od wielu dni pływał po rzece i nie dawał znaku życia, więc matka wzięła na ręce Trzeciego Brata, który miał wtedy trzy lata, i z Dużą Siostrą u boku przeprawiła się przez rzekę, by się czegoś dowiedzieć w przedsiębiorstwie żeglugowym. Przy Niebiańskich Wrotach na spadzistej drodze w pobliżu portu panował wielki ruch, i pieszy, i kołowy, więc było tam dość niebezpiecznie nawet w taki słoneczny dzień. Matka, pogrążona w myślach, zauważyła ręczny wózek toczący się drogą dopiero w chwili, gdy prawie na nią najechał. Przyciskając Trzeciego Brata do piersi, uskoczyła na pobocze, krzycząc do Dużej Siostry, która skamieniała ze strachu: „Zejdź z drogi! Uciekaj!” I zacisnęła oczy, żeby nie widzieć, jak rozpędzony wózek zabija albo okalecza jej córkę. To samo groziło właścicielowi wózka, gdyby doszło do wywrotki. Ale jakimś cudem wózek zatrzymał się w ostatniej sekundzie. Wszyscy byli śmiertelnie przerażeni.

Lecz przerażenie szybko przeszło w zdumienie, bo właścicielem wózka okazał się wuj człowieka triady. Zawołał matkę po imieniu.

– To ty! – powiedział oszołomiony. – Nie masz pojęcia, ile się was obu naszukałem.

Skronie mu posiwiały, miał podciągnięte rękawy i nogawki, a na nogach ubłocone gumiaki.

Choć chwila była dramatyczna, a zbieg okoliczności wręcz

niewiarygodny, incydent nie wpłynął w znaczący sposób na życie Dużej Siostry. Podczas tego spotkania wyszło na jaw, że człowiek triady wcale nie został rozstrzelany. Zawieziono go na plac egzekucji, a kiedy strzelono do niego ślepym nabojem, narobił w spodnie i z miejsca zgodził się na współpracę. Wyśpiewał wszystko, czego od niego żądano, z nazwiskami włącznie, a podczas przesłuchań zaczął ziać nienawiścią do Kuomintangu za to, że potraktowali go jak marionetkę, mimo że wcześniej nadstawiał dla nich głowę. Skoro przejrzał na oczy i zobaczył, że jest tylko pionkiem w grze, dlaczego miał osłaniać innych?

Nie czuł wyrzutów sumienia, kiedy siedział w więzieniu, mimo że pojmano wszystkich, których nazwiska podał. To tylko kwestia czasu, myślał, zanim z powrotem znajdę się na wolności. Wkrótce jednak miał się przekonać, że został oszukany, bo jego prześladowcy nie tylko go nie wypuścili, ale jeszcze domagali się nowych nazwisk.

– Powiedziałem wam już wszystko, co wiem – odparł uprzejmie.

– Nieprawda. Musisz się oczyścić, nie wolno ci niczego zataić. Słyszał, co mówią, ale nic z tego nie rozumiał. Jeszcze do niego nie dotarło, na czym polega taktyka komunistów.

Na początku trzymano go w budynku w pobliżu Białego Domu, gdzie kiedyś, podobnie jak w Jaskini Szczątków, ludzie z Kuomintangu więzili członków „partii demokratycznych" i działaczy komunistycznego podziemia. To tutaj miała główną siedzibę otwarta w 1943 roku chińsko-amerykańska szkoła tajnych agentów. Po wyzwoleniu komuniści zmienili to miejsce w muzeum. Zobaczcie, jakich potwornych zbrodni dopuścili się amerykańscy imperialiści przeciwko narodowi chińskiemu! Oto macie niezbite dowody, że ten rzeźnik Czang Kajszek i jego zausznicy skazali naszych towarzyszy na męczeńską śmierć! Co roku dwudziestego siódmego listopada, w Dniu Męczennika, młodzi pionierzy gromadzili się wokół grobów bohaterów i z uniesionymi pięściami składali uroczyste przysięgi na czerwone chusty, które mieli na szyjach, i na sztandar z pięcioma gwiazdami.

Lista męczenników podlegała nader częstym rewizjom. Pierwsi zniknęli z niej demokraci. Później, podczas rewolucji kulturalnej, niektórzy z męczenników okazali się szpiegami. Następnie poglądy znów ulegały zmianie i ponownie stawali się męczennikami. Śledztwa w przypadku zmarłych są znacznie trudniejsze niż dotyczące żywych. Autorom Czerwonej turni, powieści rewolucyjnej o tutejszych więzieniach, podczas rewolucji kulturalnej przylepiono etykietkę zdrajców. Jeden z nich wyskoczył z okna i zabił się, roztrzaskując czaszkę o chodnik. Powiekę miał zaciśniętą, a drugie oko tak spuchnięte, że dwa razy większe nie mieściło się w oczodole. Zdjęcie jego zwłok było najbardziej przejmującą podobizną nieżywego

człowieka, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć.

Kiedy człowieka triady przeniesiono do Białego Domu, musiało w końcu do niego dotrzeć, że historia lubi płatać figle, a drzwi więzienia powinny być w nieustannym ruchu. Za dnia prowadzono go pod karabinem na wyrobisko węgla. Jedynie w nocy miał czas się zastanawiać nad meandrami swego losu. Zaczął się załamywać pod ciężarem zeznań, które złożył wbrew kodeksowi obowiązującemu w jego świecie, a także w niezgodzie z własnymi zasadami. Kiedy ogarnęły go wyrzuty sumienia, wiedział, że już jest za późno.

4

Do drugiej próby odwiedzin u człowieka triady nie doszło, bo przeniesiono go do Ogrodów Rodziny San na Południowym Brzegu, jednego z dwóch regionalnych więzień dla zatwardziałych kryminalistów.

Naturalny ojciec Dużej Siostry siedział tam jako „pozbawiony kręgosłupa" były członek triady, lecz nie trwało to zbyt długo. W 1960 roku, kiedy przestał być użyteczny jako kolaborant, przeniesiono go do obozu pracy niedaleko jego rodzinnego domu w powiecie Anjue. lam z powodu klęski głodu musiał stracić wszelką nadzieję na dożycie swych dni na wolności. W obozie nie było jedzenia, pod koniec października dopadła go puchlina wodna i nie mógł już dłużej pracować. Zostawiono go samemu sobie, by umarł.

Zima była wyjątkowo mroźna, a ziemia zmarznięta na kamień. Jeżeli nie pracowałeś, nie jadłeś. Kiedy wydał ostatnie tchnienie, palce miał pokryte krwią, bo rył nimi w ziemi; parę jej grudek nadal miał w ustach. Patrzył przed siebie niewidzącymi oczyma. Ponieważ nikt się nie zgłosił po zwłoki, pochowano go we wspólnym grobie. Nie dożył trzydziestu sześciu lat. Długo po jego śmierci ktoś, kto przeżył tamten koszmarny czas, opowiedział to wszystko matce, bawiąc przejazdem w Czungcing.

Tamtego roku w rodzinnym miasteczku matki w powiecie Czong, jak również w jego okolicach, wszystko, co jadalne, zostało już zjedzone i ludzie, aby oszukać głód, zaczęli jeść białą glinkę kredową zwaną ziemią opiekuńczego bóstwa. Ale w żołądku glinka powiększała objętość i tężała, co prowadziło do tragicznych w skutkach zaparć. Moja cioteczna babka zmarła z głodu pierwsza w wiosce; mój kuzyn, student szkoły górniczej, pospiesznie udał się do domu, żeby spełnić obowiązek pierworodnego syna. Po drodze mijał powiat Fengdu i tam dopiero zobaczył, jakie żniwo zbiera głód. Jawnie sprzedawano dzieci, uciekano całymi rodzinami ze strachu o życie, wzdłuż drogi leżały trupy nieprzykryte nawet podartymi słomianymi matami. Głód był tak potworny, że w niektórych rodzinach posuwano się do zjadania ciał zmarłych krewnych.

– Towarzyszu, nie idź dalej – poradził mu przygodny wędrowiec. – Za żadną cenę nie dostaniesz tam nic do jedzenia.

Po spełnieniu synowskiego obowiązku młody człowiek wrócił do szkoły. Nie powiedział nikomu, że matka zmarła z głodu ani że klęska dziesiątkuje mieszkańców wsi. Zamiast tego napisał podanie z prośbą o przyjęcie do partii, w którym wychwalał przywódców za mądrą politykę rolną. Zależało mu na awansie społecznym, nie chciał wracać do głodującej wsi. Matka umarła i żadne skargi nie mogły przywrócić

jej życia. Jego jedyną szansę stanowiło wspinanie się po politycznej drabinie wzniesionej przez reżim. Kłamstwa kadry partyjnej różnych szczebli doprowadziły do głodu, więc jedynie podtrzymując te kłamstwa, można było dołączyć do kadry.

5

Im bardziej starałam się zgłębić powiązania mego życia z klęską głodu, tym bardziej wydawały się one tajemnicze. Krótko przed moim przyjściem na świat głód zmiótł z powierzchni ziemi babkę, Trzecią Ciotkę i jej męża, Pierwszą Ciotkę i pierwszego męża matki. Tylu krewnych umarło, a ja nie.

Jakim sposobem ocalałam?

Moje rozważania zawsze kończyły się znakiem zapytania.

W latach pięćdziesiątych ludzie z naszej ulicy, podobnie jak cała ludność Chin, posłuchali wezwania przewodniczącego Mao, aby mieć jak najwięcej dzieci i walczyć o czerwoną girlandę „wspaniałej matki". Niektóre z kobiet rodziły co roku; niektórym trafiały się bliźnięta. W porównaniu z innymi talent reprodukcyjny matki wypadał dość blado. Niemniej do 1958 roku przybyło naszej rodzinie troje dzieci. Czwartą Siostrę poprzedzał jeszcze jeden brat, ale urodził się martwy. Sztucznie wywołany poród spowodował obfite krwawienie; matka straciła przytomność i przez długi czas nie można jej było docucić. To wydarzyło się wiosną 1954 roku.

– Jaka z ciebie okrutna matka! Dlaczego prałaś w rzece na trzy dni przed terminem? Udusiłaś własne dziecko, zabiłaś je! – łajała akuszerka wycieńczoną matkę.

– O jednego mniej do wykarmienia, o jednego cierpiącego mniej – odpowiedziała cicho matka, uśmiechając się słabo.

Zaskoczona akuszerka odeszła od jej łóżka. Zapewne pierwszy raz miała do czynienia z taką bezwzględną matką.

Ta ironia była matce potrzebna; być może w ten sposób chciała dodać sobie otuchy. Jej los i los jej latorośli był z góry przesądzony. Jeżeli dzieci rodziły się martwe, przynajmniej nie musiały wieść całego życia w nędzy.

Gorączka reprodukcyjna w dramatyczny sposób podniosła liczbę ludności Chin. Nie byłam jedyną zbędną osobą w rodzinie; moi bracia i siostry też stali się zbędni, podobnie jak większość Chińczyków. A zbędni ludzie nie potrafią traktować podobnych sobie z życzliwością i współczuciem.

Rozmowa przeniosła nas w czasy klęski głodu. Duża Siostra, osoba o gwałtownym usposobieniu, miała wtedy szesnaście lat. Kiedy poznała historię swych narodzin, poczuła ogromną niechęć do matki. Niedługo potem ja miałam przyjść na świat. Moje serce biło niespokojnie, kiedy czekałam na dalszy ciąg opowieści Dużej Siostry.

XII

1

Była późna wiosna 1962 roku. Duża Siostra w stożkowatym kapeluszu ze słomy czekała w mżawce na ojca na przystani towarowej przy alei Strumienia Kotów.

Po rzece pływało wtedy znacznie więcej statków towarowych niż osobowych; poruszały się majestatycznie we mgle, przesyłając sygnały syrenami. Siostra nie wiedziała, na którym statku jest ojciec, a w miarę jak mżawka przechodziła w ulewę, wzrastało jej zniecierpliwienie; zaczęła przechadzać się tam i z powrotem po przystani. Im dłużej czekała, tym większy w niej wzbierał gniew na matkę.

Ojca nie było w domu trzy miesiące. Kiedy w końcu go wypatrzyła, idącego po kładce, z workiem marynarskim przewieszonym przez ramię, podbiegła się przywitać.

Ojciec zaczął okładać matkę, jak tylko przestąpił próg. Nigdy przedtem nie podniósł na nią ręki, ani razu w ciągu piętnastu lat ich małżeństwa.

Ósma ciąża matki – a szósta, jeśli policzyć tylko dzieci donoszone i urodzone – wchodziła w czwarty miesiąc i zaczynała być widoczna. Matka nie uchylała się przed ciosami ojca, osłaniała jedynie brzuch.

– Proszę, nie, zrobisz krzywdę dziecku.

Przestał ją bić i załamany przysiadł na piętach. Matka chciała pomóc mu się podnieść, ale nie starczyło jej odwagi.

– Zrobimy tak, jak postanowisz, czyż to nie wystarczy? – powiedziała do niego płaczliwie, chwytając się wezgłowia łóżka.

Ojciec podniósł się i z impetem otworzył cienkie drzwi, aż zaskrzypiała futryna. Druga Siostra i Trzeci Brat trzęśli się ze strachu, Czwarta Siostra i Piąty Brat płakali. Ojciec z krzykiem wypchnął ich za drzwi.

Jednak zamknięte drzwi nie tłumiły wrzasków i szlochów w pokoju rodziców. Druga Siostra wzięła czteroletniego Piątego Brata za rękę i wyprowadziła go z siedliska, Trzeci Brat i Czwarta Siostra uciekli, a Duża Siostra gdzieś się ukryła. Kiedy po zmierzchu żadne z dzieci nie wróciło do domu, ojciec udał się na poszukiwanie. Deszcz, który padał przez cały dzień, w końcu ustał. Duża Siostra wsunęła się ostrożnie do domu, mając nadzieję, że uda jej się przemknąć na poddasze. Ale matka ją zauważyła i wprowadziła do pokoju.

Kiedy przestąpiły próg, kazała jej uklęknąć, lecz Duża Siostra, udając, że nie słyszy, strząsała wodę z kapelusza. Matka wyrwała go jej z ręki i zamierzyła się na nią, ale chybiła, gdyż siostra odskoczyła do tyłu z przekleństwem na ustach. Matka, poszarzała z wściekłości, rzuciła się na Dużą Siostrę, a ona odpowiedziała tym samym. Ruchy

matki były nieco ociężałe z powodu jej stanu, ale była większa od Dużej Siostry. Walczyły ze sobą, a ich głośne zmagania ściągnęły grupkę ciekawskich sąsiadów, jednak żaden nie interweniował. W końcu w domu zjawił się przemoczony do suchej nitki ojciec, wiodąc czwórkę dzieci, i odciągnął Dużą Siostrę.

– Jak śmiesz bić matkę! – krzyknął na nią rozgniewany. – Ja to co innego, ale własna córka nie ma prawa podnieść na nią ręki.

– Chciałam ci pomóc, tato – powiedziała przez łzy Duża Siostra. – Dlaczego trzymasz jej stronę? – Odwróciła się na pięcie, wybiegła do sieni i torując łokciami drogę wśród gapiów, uciekła na dwór.

W tym miejscu Duża Siostra przerwała opowieść; niczego więcej się od niej nie dowiem: matka była ze mną w ciąży, a ona się z nią pobiła.

Usiłowałam ją namówić, żeby dalej mi opowiadała, ale ona po prostu się odwróciła i odeszła, pozostawiając mnie z podstawowym problemem; podobnie jak ona będę musiała dociec, kim jestem. Jak na taką zwykłą rodzinę mieliśmy niezwykle dużo sekretów. Kto wie, może każdy zapadający się dach na Południowym Brzegu krył jakieś domowe tajemnice? Wyschło źródło informacji w osobie Dużej Siostry, Czwartą Siostrę pochłaniały jej własne problemy, a Druga Siostra, choćby nawet wiedziała, to i tak nic mi nie powie. Ludzie z mojego otoczenia omijali ten temat, przeczuwałam, że rozwiązanie zagadki może się okazać dla mnie kłopotliwe. Ale nie dam się powstrzymać.

Pamiętam, jak kilka lat wcześniej Duża Siostra przyjechała autobusem do domu z plamami krwi na rękawie. Oznajmiła, że się znowu zakochała i chce się rozwieść z mężem, który usiłował -lecz mu się to nie udało – przyłapać ją na zdradzie. Więc zagroził, że doniesie na nią do komitetu partii i zostanie skrytykowana za niemoralny styl życia. Wywiązała się między nimi awantura i Duża Siostra cisnęła w niego miseczką, raniąc go do krwi.

Matka zapytała, dlaczego nie może wytrzymać w jednym małżeństwie i czemu każdy kolejny rozwód przebiega burzliwiej od poprzedniego. Kiedy wreszcie zmądrzeje? Duża Siostra odciągnęła mnie na bok i powiedziała do matki:

– To twoja wina, jesteś złą matką i nie masz prawa stawiać mi wymagań! W moich żyłach płynie twoja krew!

Najwyraźniej ich kłótnia miała coś wspólnego ze mną, bo kiedy skoczyły sobie do oczu, razem wypchnęły mnie za drzwi i dopiero potem zaczęły się kłócić na dobre.

Stałam zagubiona przed drzwiami, aż przyszedł ojciec i poszliśmy na występ skalny poniżej siedliska Ósmy Dziób. Usiadł tam przy mnie. Wtedy w pochmurne dni widział jeszcze statki na rzece, chociaż już niezbyt wyraźnie, bo jako ruchome czarne punkty. Wiedział jednak, że to są statki, które tak kocha, i że płyną w dół rzeki do jego rodzinnego

miasteczka, którego już nigdy nie zobaczy.

2

Rozległ się dzwonek po ostatniej popołudniowej lekcji. Gdy pakowałam rzeczy do tornistra, do klasy wszedł nauczyciel historii i razem zeszliśmy po schodach. Na boisku ani słowem nie wspomniał o tym, że dwa dni wcześniej nie przyszedł na umówione spotkanie, tak jakby ten fakt w ogóle nie miał miejsca. I naturalnie żadnych przeprosin. Zapytał mnie, jak mi idzie nauka, a w moim sercu na nowo wezbrały emocje. Odwróciłam się i szybko odeszłam.

– Muszę z tobą porozmawiać! – zawołał za mną.

Przystanęłam i od razu tego pożałowałam. Nie powinnam była tak łatwo ustąpić. Ale skoro się zatrzymałam, nie mogłam tak po prostu zacząć iść.

Przeprosił, że mnie zawiódł. Powiedział, że w południe przyszła do niego policja i w obecności dyrekcji szkoły wypytywała go o spotkania w domu. Policjanci twierdzili, że nie wierzą, iż on i jego przyjaciele tylko czytają książki, podejrzewali go o założenie jakiejś kliki szerzącej burżuazyjno-liberalne poglądy. Władze szkolne, zaniepokojone tymi oskarżeniami, rozważały wyrzucenie go z pracy. Jak tylko przesłuchanie dobiegło końca, pobiegł na umówione miejsce, ale mnie już nie było. Potem policja przesłuchiwała jego kolegów, którzy już dłużej nie mają odwagi spotykać się u niego w domu.

Obok pędziły samochody, wzbijając wokół nas tumany kurzu, ale byliśmy zanadto pogrążeni w myślach, żeby się odsunąć od drogi. Szliśmy tak dłuższy czas, zanim się zorientowałam, iż kierujemy się na zachód.

– Chodźmy coś zjeść – zaproponował.

Nie czekając na odpowiedź, zaprowadził mnie do małej restauracji w alejce, daleko od głównej ulicy. Trzy stoliki były wolne, więc wybraliśmy ten pod oknem.

– Nadal się na mnie gniewasz? – zapytał, kiedy czekaliśmy na jedzenie.

– Co zrobisz, jeśli cię wyrzucą? – spytałam.

– Znowu będę robotnikiem – odpowiedział z uśmiechem. -Wrócę do moich korzeni.

Kiedy przyniesiono dwie miseczki z rozgotowanym ryżem i fasolką szparagową, mały półmisek marynowanych warzyw i talerz szpinaku, zamówił jakiś alkohol pachnący korą. Wyjaśnił, że kiedy pracował dorywczo na budowie, spadł z dachu i uszkodził sobie kręgosłup; do dziś ma z nim problemy i jedynie wódka uśmierza ból. Zawahałam się, kiedy zaproponował mi kieliszek, ponieważ nigdy dotąd nie próbowałam alkoholu, z wyjątkiem jednego razu, kiedy

ojciec dał mi łyk wina w Nowy Rok, ale ono mi wcale nie smakowało. Chcąc, by przestał na jakiś czas myśleć o swoich kłopotach, wypiłam trochę. Wódka okazała się nie taka zła, jak się obawiałam; była słodka i nie paliła.

– Smakowało? – zapytał. Uśmiechnęłam się.

Zaczęłam mu opowiadać o spotkaniu rodziców w 1947 roku

1 o tym, jak wyglądało życie po przejęciu miasta przez komunistów dwa łata później. Starałam się jak najdokładniej odtworzyć tamten czas, opisując ubrania, jakie się wtedy nosiło, pogodę, a nawet kamienne stopnie i rzekę. Słuchał uważnie, nie przerywając, tylko w pewnej chwili zamówił dla mnie następną miseczkę ryżu.

Byłam tak skupiona na sobie, że nie od razu zwróciłam uwagę na wyraz jego oczu. Wylewałam z serca całą nagromadzoną żałość, w ogóle o nim nie myśląc. Przestałam jeść.

– A jak ty przetrwałeś lata głodu? – zapytałam.

– Myślę, że wszystkie historie rodzinne wyglądają mniej więcej tak samo – odpowiedział z uśmiechem. – Ale opowiadane różnią się od siebie. Doświadczenia każdego człowieka są niepowtarzalne.

Wyznał, że chciałby napisać książkę na ten temat, zebrać wszystkie swoje przemyślenia o życiu i losie. Duża Siostra mówiła to samo, tyle że ona pragnęła przelać na papier swoje pretensje do losu o to, że potraktował ją tak niesprawiedliwie. Natomiast jemu zależało na znalezieniu jakiegoś nowego sposobu wyrażenia myśli. Coś takiego robiła właśnie grupa młodych pisarzy w Pekinie; swoje utwory, zamieszczane w drukowanym na powielaczu pisemku pod tytułem „Dzisiaj", rozlepiała na murze przy skrzyżowaniu Sidan. Obecnie rozprowadzanie tego pisma było zakazane przez władze. Najwyraźniej policja w Czungcing poszła za pekińskim przykładem i dlatego szykanowała grupę czytelniczą nauczyciela historii. Więc nawet gdyby coś napisał, i tak nie udałoby mu się tego opublikować.

Odsunęłam kieliszek w jego stronę, ale on przysunął mi go z powrotem. Kiedy zaczął mówić o pisaniu książki, zaczęło mi się kręcić w głowie.

– Bez obawy, nie upijesz się – powiedział. Przyglądał mi się przy tym uważnie.

Postawiłam przed nim kieliszek.

– Ty to wypij.

– Pociągnij jeden łyczek, a ja dokończę.

Więc upiłam łyk, a potem drugi. Czułam, jak płoną mi policzki. Umysł mi się wyostrzył, mowa nabrała płynności. Opowiedziałam o krewnych zagłodzonych na śmierć podczas klęski, zanim jeszcze się urodziłam, i o burzliwych małżeństwach mojej najstarszej siostry.

Według niego Duża Siostra usiłowała zmienić swoje życie. Ale

choćby poświęciła wszystkie siły na walkę ze społecznymi układami, i tak nie odmieni swojego losu.

Ci, którym się udało dochrapać stanowisk, stanowią klikę rządzącą, powiedział, nową uprzywilejowaną klasę. Podczas gdy zwykli ludzie marzą o jeszcze jednej latrynie w publicznym ustępie, kadra ma spłukiwane ubikaqe, łazienki, telefony, służących i nianie.

– Czy kiedykolwiek słyszałaś, żeby ktoś z kadry umarł z głodu podczas klęski? Najważniejszą sprawą dla tych ludzi jest konsolidacja wspólnych interesów swojej klasy i przelanie przywilejów na córki i synów. Drugi istotny cel to wzajemne prześciganie się we wspinaczce po drabinie społecznej. Oczywiście nieuchronny konflikt pomiędzy tymi dążeniami powoduje niekończącą się walkę polityczną, a ta z kolei sprowadza nieszczęścia na głowy zwykłych ludzi. Tak naprawdę mieliśmy do czynienia z dwiema rewolucjami kulturalnymi – mówił dalej. – Podczas pierwszej doszło do walk wewnętrznych w najwyższych organach partyjnych. Ludzie sceny politycznej muszą przez cały czas mieć się na baczności. Za korzystanie ze szczególnych przywilejów nieraz przychodzi zapłacić głową. Ale nie mają prawa mieć o to pretensji, bo sami dokonali takiego wyboru. Pewni ludzie, czy nawet potomkowie tych ludzi, wypisujący obecnie gniewne donosy na rewolucyjnych buntowników, którzy ich prześladowali, są godni pożałowania. Natomiast w drugiej rewolucji kulturalnej udział wzięli zwykli ludzie, którzy w akcie zemsty zaatakowali komitety partyjne, wykorzystując walkę między przewodniczącym Mao a przewodniczącym Chińskiej Republiki Ludowej, Liu Szao-ti. Ale już w sześćdziesiątym dziewiątym roku Mao zwrócił się przeciw rewolucyjnym buntownikom i przez ostatnie jedenaście lat to oni są celem ataków. Kadra nie wyrównała jeszcze rachunków z tymi, którzy odważyli się z nią zadrzeć.

Wpatrywałam się w nauczyciela historii szeroko otwartymi oczyma. Mówił z ogromną ekscytaqą, szeroko gestykulując. Nigdy nie słyszałam, by wyrzucił z siebie taki potok słów naraz. Chyba nawet go nie obchodziło, czy rozumiem, co mówi, albo czy się z nim zgadzam. Wyraz jego twarzy budził we mnie rodzaj współczucia. Nauczyciel historii wiedział znacznie więcej niż ja, ale tak samo cierpiał z powodu obezwładniającego braku zrozumienia. W sferze potrzeb emocjonalnych byliśmy sobie równi.

Mała butelka była już pusta, tylko w kieliszku zostało parę kropli alkoholu. Podnosił go i odstawiał, jakby nie mógł się zdecydować, czy wypić do dna. Zaśmiał się nerwowo, kiedy wyznał, że – nie licząc żony – jestem pierwszą kobietą, z którą poszedł do restauraqi. Zazwyczaj jada proste posiłki w domu, sam. Nie potrafiłam odgadnąć, czy zarumienił się pod wpływem alkoholu, czy w wyniku tego wyznania. Odwróciłam głowę i obserwowałam właściciela restauraqi,

który to się wyłaniał z kuchni, to w niej znikał. Przy pozostałych dwóch wolnych wcześniej stolikach siedzieli teraz goście.

W restauraqi panowała senna cisza. Słońce kryło się za góry, więc musiała być piąta albo szósta. Restaurator mieszał w garnku świeżą porcję wodnistego ryżu. Większość klientów zjawi się między siódmą a ósmą.

Po raz pierwszy nauczyciel wspomniał o swojej żonie, ł to zaledwie przelotnie. Podsłuchałam kiedyś, jak w rozmowie jeden z nauczycieli napomknął, że ona pracuje w szkole podstawowej w administracji, a nie jako nauczycielka. Jego siedmioletnia córka nie chodziła do szkoły na Południowym Brzegu, tylko na jakimś odległym przedmieściu. Dawał mi do zrozumienia, że zazwyczaj jest w domu sam, i choć wiedziałam, do czego zmierza, nie pokazałam tego po sobie.

– Oczy cię zdradzają – mówił nieco gorączkowo. – Nie potrafisz ukrywać swoich myśli, nawet tych przelotnych. Wszystko czytam w twych oczach.

Energicznie pokręciłam głową.

Czyż nie wiesz, mówiłam do niego, ale tylko w duchu, że jedyną rzeczą, którą ukrywam, jest moja samotność? Wszystkich muszę trzymać na odległość, a tęsknię, by oddać komuś ciało i duszę. Ale nie mogę pozwolić, żeby ta tęsknota odbijała się w moich oczach, bo w ten sposób zanadto obnażę serce.

Młodszy chłopiec jest odrobinę wyższy od starszego brata, obaj mają smutne twarze. Od śmierci ojca wychowuje ich samotnie matka, a to niełatwe. Dzieli ich różnica czterech lat, lecz są podobni do siebie jak dwie krople wody. Kiedy zaczyna się rewolucja kulturalna i tworzą się frakqe rewolucyjnych buntowników, siedzą w domu i ćwiczą cytaty z myśli przewodniczącego Mao, żeby móc wykorzystać je jako broń w potyczkach na słowa. Potem opuszczają dom i stają się rewolucyjnymi aktywistami, a kiedy organizacje buntowników ulegają podziałom, kończą w przeciwstawnych obozach.

Takie sytuacje były na porządku dziennym w wielomilionowym mieście. W początkowym okresie rewolucji kulturalnej nawet stare kobiety, które utrzymywały się z cerowania łachmanów i wycinania zelówek, recytowały cytaty z myśli Wielkiego Wodza, przewodniczącego Mao, czy jego Wielkiego Drugiego Zastępcy, Lin Piao, i zamykały usta ich krytykom za pomocą rewolucyjnych haseł. Rodziny należące do wrogich frakcji skakały sobie do gardeł.

Najwyżsi rangą wojskowi bardzo szybko wykorzystali sytuaqę do wyrównania starych porachunków. Frakcję 15 sierpnia poparła Pięćdziesiąta Czwarta Armia stacjonująca w Czungcing. Lecz szybko przysłano do miasta Pięćdziesiątą Trzecią Armię, która stanęła po

stronie frakcji rewolucyjnych buntowników „do końca”. To właśnie wtedy mieszkańcy Czungcing mieli okazję się przekonać, jak wiele fabryk broni istnieje na jego terenie, bo kiedy miasto znalazło się pod kontrolą skłóconych frakcji, rewolucyjni buntownicy, podjudzani przez wojsko, chętnie robili z owej broni użytek. Podczas rewolucji kulturalnej Czungcing stało się jednym wielkim polem bitwy, z godziną policyjną w nocy, fortyfikacjami na wzgórzach, gdzie znajdowały się punkty dowodzenia, z barykadami na głównych drogach i z ryczącymi dzień i noc głośnikami. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy 1967 roku toczono boje na noże i pałki, w lipcu zaczęto używać amunicji.

W tym czasie większość mieszkańców trzech brzegów obu rzek powyciągała spod łóżek wszelkie rupiecie i położyła w ich miejsce słomiane maty. Ludzie spali pod łóżkami, a na nich spiętrzali poduszki i kołdry. To była osłona przed zbłąkanymi kulami i pociskami artyleryjskimi, które w każdej chwili mogły przelecieć z jednego brzegu na drugi. Schrony przeciwlotnicze wydrążone w zboczach wzgórz podczas wojny z Japończykami, prawdopodobnie najlepsze na świecie i nienaruszone przez czas, służyły jako schronienie podczas walk ulicznych. Później, w latach siedemdziesiątych, kiedy pojawiło się zagrożenie wojny atomowej, te schrony powiększono i wzmocniono, aż całe miasto zaczęło przypominać jeden wielki plaster miodu.

Natomiast latem 1967 roku dzień w dzień po zapadnięciu zmroku, obojętnie jak gorąco i parno było na dworze, ludzie ryglowali drzwi, gasili światło i siedzieli w ciemnościach, uzbrojeni w żelazne pręty, nożyczki i tasaki.

W Akademii Medycznej doszło do całonocnej walki na karabiny maszynowe i czołgi. Mało kto się spodziewał, że starcie przybierze taki groźny obrót, a najbardziej zaskoczeni byli pierzchający w panice studenci; wielu uciekało przez parkan i wtedy mur nie wytrzymał naporu i runął. Tyle samo ludzi straciło życie pod gruzami, co w walce.

Najgorętszy czas przypadł na sierpień.

Członkowie frakcji 15 sierpnia, podobnie jak ich przeciwnicy, rewolucyjni buntownicy „do końca”, szykowali się do decydującej bitwy na Jangcy. Na Południowym Brzegu, w centrum miasta i na północnym nabrzeżu wzniesiono barykady. Rzeka opustoszała, zniknęły z niej statki handlowe i promy. Zamilkły nawet głośniki stacji propagandowej po nazwą „I co z tego, że zginiemy”, należącej do rewolucyjnych buntowników „do końca”, która nadawała program ze szczytu wieży – pomnika Wyzwolenia, stojącej w samym sercu miasta. Biała cisza wypełniła niebo i nikt nie zwracał uwagi na rosnącą temperaturę. Mieszkańcy nadbrzeża, wyczuwając nadchodzące

niebezpieczeństwo, ukryli się pod łóżkami albo uciekli do schronów.

Ósmego sierpnia 1967 roku grupka dzieciaków recytowała na dworze dziecinne wyliczanki. Kiedy zaczęły padać pociski, mój nieustraszony Trzeci Brat, wówczas szesnastolatek, pobiegł do siedliska Ósmy Dziób, skąd roztaczał się dobry widok na Niebiańskie Wrota, i rozpłaszczony za skalnym występem, zaczął oglądać przedstawienie.

Ojciec ruszył za nim, przez cała drogę przywierając do ścian i kucając, żeby uniknąć postrzału.

– Synu! Synu! – wołał, pocąc się z nerwów.

A ja, wtedy nawet nie pięcioletni brzdąc, wiedziona ciekawością, chyłkiem wymknęłam się za nimi.

Kłęby dymu unosiły się ze szkieletów płonących statków w miejscu, gdzie Jangcy łączy się z Cialing. Zza Skały Turkawki wypłynął transportowiec; tonął powoli: rufa zanurzona, dziób jeszcze na wodzie. Drugi uniknął podobnego losu tylko dlatego, że pełną parą uciekł w dół rzeki.

Ani śladu brata w siedlisku Ósmy Dziób. Ojciec spostrzegł, że depczę mu po piętach, kiedy zaczął schodzić po stopniach na brzeg.

– A niech cię! – wrzasnął, wskazując na dom. – Uciekaj stąd!

Przystanęłam, zmrożona gniewnym tonem jego głosu, a potem zawróciłam i pobiegłam do domu ile sił w nogach.

Trzeci Brat powiedział, że kiedy zobaczył tonący transportowiec, pokonał biegiem stopnie nad rzekę, zanurkował i dopłynął do brzegu z czymś, co wydawało mu się godne uwagi. To była plastikowa tuba z dwunastoma lotkami. Okazało się, że statkiem płynęli studenci, gracze w badmintona. Pośród świszczących kuł ojciec zaciągnął Trzeciego Brata do domu i wepchnął go pod łóżko, gdzie ten dalej spokojnie prostował piórka swych cennych lotek.

Transportowiec rewolucyjnych buntowników „do końca”, płynący z fabryki broni w górę rzeki, starł się z kanonierką, niewielkim statkiem parowym frakcji 15 sierpnia, który spłynął z Cialing. Opancerzony statek miał otwory strzelnicze na karabiny i działa. Załoga składała się głównie ze studentów oraz paru robotników i była bardzo dobrze wyposażona. Nie okazała się jednak godnym przeciwnikiem dla transportowca rewolucyjnych buntowników „do końca”, na którym większość stanowili byli marynarze marynarki wojennej. Kanonierką została dwunasto-krotnie trafiona, w tym raz w główny silnik. Zanim buntownicy zdążyli pomyśleć o ucieczce, poszła na dno razem z nimi.

Nauczyciel historii widział na własne oczy, jak mały statek parowy stanął w ogniu.

Wtedy jeszcze nie wiedział, że jego młodszy brat był na pokładzie. Ci z frakcji 15 sierpnia, którzy ocaleli, uważali, że taki cherla-wy

studencik jak on powinien był zostać na lądzie, ale sam się wepchał na pokład. Kiedy wyławiano ciała z wody, nauczyciel znalazł grube okulary brata w przezroczystych oprawkach, które pogrzebano potem na cmentarzu Bohaterów Czerwonej Gwardii w parku Na Ławicy Piaskowej wraz z wieloma niezidentyfikowanymi ciałami. W Czungcing, gdzie podczas rewolucji kulturalnej toczyły się najkrwawsze walki, zarezerwowano co najmniej dwadzieścia cmentarzy dla tych, którzy zginęli w obronie Wielkiego Wodza. Ale przetrwał jedynie ten w parku Na Ławicy, a większość grobów pozostała bezimienna. Tę nekropolię, niegdyś okazały pomnik ku czci poległych, zdobiły wyryte w kamieniu fragmenty poezji przewodniczącego Mao i cytaty z jego oryginalną, rozwichrzoną kaligrafią. Jednak kiedy w połowie rewolucji wojsko rozbroiło frakcje, cmentarz popadł w ruinę, powywracane nagrobki porosły zielskiem i dumny pomnik zmienił się w jeszcze jeden zapuszczony cmentarz.

Matka nauczyciela siedziała w domu i robiła sweter na drutach, kiedy usłyszała potworną wiadomość; druty wbiły się jej w dłonie, dostała wylewu i umarła, czując jedynie ukłucie bólu.

Nauczyciel historii wycofał się z walk frakcyjnych i wrócił do domu, który w akcie zemsty zdemolowali kamraci jego brata.

„W ósmym miesiącu, w ósmym dniu obywatele zapłacą diabłu" – powtarzano w mieście nowe, złowieszcze porzekadło. Trzynaście lat później krewni jednego z poległych członków Czerwonej Gwardii doznali potwornego szoku, kiedy przybyli na cmentarz w parku Na Ławicy i ekshumowali szczątki, żeby przenieść je w inne miejsce.

– Zły duch! – krzyczeli. – Zły duch!

Czaszka nieboszczyka była zielona. Później wyjaśniono im, że kula, która dosięgła młodego człowieka, musiała być z miedzi i utleniwszy się w płynnym mózgu, zabarwiła czaszkę na zielono.

Chyba tylko ślepy by nie zauważył, że spokój, z jakim nauczyciel relacjonował tamte wydarzenia, był jedynie maską, pod którą kryły się wyrzuty sumienia. Po raz pierwszy wyczułam sprzeczność w jego potoczystych wywodach. Jasno i zrozumiale mówił o dwóch rewolucjach kulturalnych, lecz jego argumentacja nie do końca była spójna. Bo jeżeli organizacje rewolucyjnych buntowników były zaangażowane w „rewolucję kulturalną zwykłych ludzi", to dlaczego tak chętnie wyrzynały się nawzajem?

– Ciągle się słyszy, że rewolucyjni buntownicy byli dzikusami – powiedział – a jednak, kiedy oni kontrolowali sytuację, niewielu intelektualistów czy szarych obywateli było prześladowanych czy popełniało samobójstwa. Natomiast gdy Mao wprowadził reżim wojskowy i rozpoczął ruch czystek klasowych w latach siedemdziesiątych, to właśnie wtedy zwykli ludzie zaczęli cierpieć.

Oczywiście miał rację. Kiedy byłam w drugiej klasie, ludzie oskarżeni o uczestnictwo w konspiracji 16 maja masowo popełniali samobójstwa, a „męty z Kuomintangu" i „reakcyjnych intelektualistów" zgarniano dzień w dzień. Takie ilości ciał pływały w rzece, że ludziom nie chciało się nawet schodzić na brzeg, żeby je oglądać.

Siedziałam naprzeciwko nauczyciela historii, z głową wspartą na rękach, a w miarę upływu czasu coraz mniejszą uwagę zwracałam na jedzenie. Zapadł wieczór.

O Anatomii człowieka w moim tornistrze przypomniałam sobie dopiero, gdy się pożegnaliśmy. Te wszystkie przemyślenia i mądre rzeczy, które mówił, były takie odległe od tamtej sprawy, że zupełnie zapomniałam, iż zamierzałam mu zwrócić książkę i zawstydzić za brak przyzwoitości. Zawołałam go. Zbliżyliśmy się do siebie, dwie sylwetki oświetlone ulicznymi latarniami. Gałęzie pobliskich drzew rzucały cień na jego rysy; wyglądał jak pozbawiony twarzy duch.

– Co takiego? – zapytał. Musiał słyszeć mój ciężki oddech.

– Twoja książka – powiedziałam spokojnie, panując nad głosem. – Przeczytałam ją i zrozumiałam.

Sięgnęłam do tornistra i podałam mu książkę. Wziął ją, odwrócił się i odszedł, wyraźnie podenerwowany i trochę spłoszony.

Moje pierwsze moralne zwycięstwo. Kiedy patrzyłam, jak pospiesznie odchodzi, nie wiedzieć czemu ogarnęło mnie pożądanie. Serce biło mi jak szalone, podbrzusze pulsowało, a sutki boleśnie stężały. Musiałam mocno opasać się ramionami.

4

W drodze do domu nie mogłam ochłonąć mimo rześkiego wiatru. Zza parkanu przedszkola płynęły dźwięki harmonii.

Szukamy, ciągle szukamy,

Szukamy przyjaciela,

Skłaniamy główki, trzymamy się za rączki.

Dzieci bawiły się na boisku. Co one robiły o tej porze w przedszkolu? Na ulicy unosił się smród ekskrementów; zapewne wydzielał się z pojemników zbieraczy nawozu, a może z pobliskiej publicznej ubikacji. Było gorąco, szeleściły liście na drzewach, woda cicho ciurkała do rowu.

Kiedy weszłam do Siedliska Numer Sześć, było w nim więcej ludzi niż zwykle. Kręcili się również mieszkańcy innych siedlisk, a także przechodnie z ulicy. W tym i tak zatłoczonym miejscu ludzie prawie ocierali się o siebie.

– To chłopak! Mamie Szy się poszczęściło, ma wnuka!

Czwarta Siostra i Dehua jedli kolację na stołkach w sieni. Siedział z nimi Piąty Brat, a także ojciec, który manipulował przy swoim tranzystorowym radiu.

Rzuciłam tornister, wzięłam miskę i poszłam do kuchni po wodę. Na płycie Mamy Szy gotował się garnek zupy, para pachniała mięsem. Na sąsiednich kuchniach grzała się woda w czajnikach. Goście, podjęci uroczystym poczęstunkiem – czerwonymi jajkami, po hałaśliwych pożegnaniach rozeszli się do domów. Dom Mamy Szy, pierwszy z tyłu, znajdował się najbliżej kuchni, więc przez otwarte drzwi widziałam jej synową leżącą w łóżku.

– Dlaczego zupa jeszcze niegotowa?! – usłyszałam jej narzekanie. – Czy mam paść z głodu, zanim dostanę coś do jedzenia?

– Podziała jedynie, jeśli zjesz o północy – odpowiedziała jej Mama Szy.

Mówiły o zjedzeniu łożyska, co było tu ogólnie przyjętym zwyczajem. Brało się je od akuszerki, płukało w rzece, myło solą i sodą, a potem drobno kroiło i gotowało w wywarze z porów. Ludzie wierzyli, że łożysko jest odżywcze dla młodej matki, a co za tym idzie – pomaga jej szybko odzyskać siły. Łakome kobiety gromadziły się w pobliżu płyty, na której gotowała się taka zupa. Większość ich stała przy swoich kuchniach i długimi łyżkami sięgała do garnka sąsiadki. Tylko niektóre, co odważniejsze, podchodziły prosto do płyty, nabierały miseczką zupę, szybko na nią dmuchały, żeby trochę ostudzić, i wysączały do dna.

– Ja tylko próbuję, czy jest dość słona – tłumaczyły się złapane na gorącym uczynku.

Zbierało mi się na wymioty za każdym razem, gdy ktoś rozpływał się w zachwytach nad zupą z łożyska. Pamiętam, jak raz Duża Siostra tuż po porodzie zrobiła matce awanturę.

Nie chciała jeść tego, co matka jej przyniosła.

– To wieprzowy żołądek! – protestowała, tłukąc pałeczkami w brzeg miseczki. – Mamo, wyrzuciłaś łożysko, prawda?!

Matka nie odezwała się słowem.

– Zupa ma taki sam mleczny kolor i smakuje podobnie! – marudziła Duża Siostra. – Ale mnie nie oszukasz, tu nie ma łożyska!

Wiedziała, że matka nie wierzy w to, co mówią ludzie, a spożywanie łożyska uważa za barbarzyński obyczaj. Nie ugotowała go nigdy żadnej z córek. Może matka nie była wykształcona, ale miała swoje zasady, a jedną z nich było ta, że nie jada się ludzkich części ciała.

5

Niemniej matka wierzyła w czary, a odczynianie uroków uważała za bardziej skuteczne od konwencjonalnej medycyny.

Miałam wtedy trzynaście lat; dźwigałam piasek po schodach, omsknęła mi się noga ze stopnia i sturlałam się w dół, boleśnie skręcając lewy nadgarstek, który mi potem okropnie spuchł. W środku nocy, gdy ból stał się nie do zniesienia, matka po cichu wyciągnęła mnie z domu i zaprowadziła do chaty za rowem z wodą, gdzie nieśmiało zapukała do drzwi. Te drzwi, podobnie jak okna, były niewiarygodnie małe. W czarnym jak smoła pomieszczeniu siedziała kobieta i paliła papierosa. Kiedy weszłyśmy, zaświeciła lampę, która rzucała mdłe światło. Gdy postawiła ją na komodzie, nie byłam w stanie dojrzeć rysów gospodyni; widziałam jedynie papierosa w jej dłoni. Ani razu nie zbliżyła go do ust. Wyraźnie niezadowolona, że przyszłyśmy bez zapowiedzi, stwierdziła, że nie stać nas na jej usługi.

Matka zapytała, ile sobie życzy.

Kobieta odrzuciła papierosa i pokazała cenę na palcach.

Matka bez słowa skinęła głową na zgodę.

Wtedy ona podniosła się z miejsca i powiedziała, bym usiadła na łóżku, nałożyła mi na nadgarstek jakąś dziwnie pachnącą maść i wcierała ją, mrucząc pod nosem zaklęcia. Następnie zapaliła kadzidełko i zbliżyła je do chorego miejsca. Przez moje ciało przebiegł prąd.

– No dobrze, możesz ją teraz zabrać do domu – oznajmiła zasapana i usiadła.

Zeskoczyłam z łóżka, a mój nadgarstek był jak nowy. Matka wręczyła pieniądze, ale ku jej zaskoczeniu kobieta ich nie przyjęła.

Wyjaśniła, że matka zrobiła na niej wrażenie, bez wahania przystając na cenę. Wiedziała, że jesteśmy biedni. Ale zaznaczyła, żebyśmy nikomu o tym nie mówiły.

– I więcej nigdy tu nie przychodź, rozumiesz?! – warknęła.

To było tej samej zimy, kiedy po raz pierwszy miałam miesiączkę. Skulona na nocniku za zasłonką, zastanawiałam się, co począć, a tymczasem po drugiej stronie czekała z pełnym pęcherzem Duża Siostra. Zniecierpliwiona rozchyliła zasłonę i zobaczyła mnie roztrzęsioną na nocniku. Podała mi papier toaletowy i kazała włożyć go w majtki. Od tamtej pory za każdym razem, a szczególnie w zimie, odczuwałam niepokój, gdy krwawienie się wzmagało i nie pomagały na to żadne zaklęcia. Zdarzało mi się uciekać z lekcji, bo przemakały majtki, flanelowe kalesonki, a nawet i spodnie. Skrępowana przychodziłam do domu, przebierałam się i suszyłam kalesonki nad kuchnią, bo nie miałam drugich na zmianę, a czekając, aż wyschną,

żeby móc je z powrotem włożyć, myślałam tylko o jednym: jak ukarzą mnie nauczyciele za ucieczkę z lekcji.

Pieprzyk we wnętrzu mojej prawej dłoni zaniepokoił wróżbitkę. „Blokuje naczynia w miejscu, gdzie przecina się kilka kanałów energetycznych" – oznajmiła. Została mi też blizna nad pępkiem po ropniu, który mi wycięto, kiedy byłam mała. Ma kształt oka. To oko patrzy na mnie za każdym razem, kiedy się kąpię. Wtedy rysuję wokół niego palcem znak zapytania.

XIII

1

Otworzyłam drzwi poddasza i stanęłam boso na progu. Siedlisko dopiero się budziło. Ktoś siusiał do odpływu na podwórzu. Mocz z chlupotem wpadał do pełnego po nocy otworu.

Promienie słońca prześwietlały suszącą się bieliznę i padały na bambusowy stołek w kącie sieni. Zarzuciłam tornister na ramię, ale zdążyłam jedynie dojść do drzwi, bo z pokoju wyłoniła się matka.

– A ty dokąd? – zapytała opryskliwie, czesząc włosy. – Jest niedziela.

Nic dziwnego, że nie widać, by uczniowie ciągnęli do szkoły. Matka sprawiała wrażenie wyczerpanej, jakby nie zmrużyła oka w nocy; powieki miała podpuchnięte, ale jej spojrzenie było ostre jak zawsze. Wpadłam w panikę, bo odniosłam wrażenie, że przewierca mnie nim na wylot. Jej twarz złagodniała, jakby chciała mi powiedzieć coś miłego, ale tylko zakaszlała, a potem się odwróciła i weszła z powrotem do pokoju. Nasza sąsiadka jadła owsiankę pachnącą zjełczałym tłuszczem i zagryzała marynowaną fasolą. Wzięłam książkę i poszłam nad rzekę przejrzeć lekcje, ale nie potrafiłam się skupić. Wróciłam do domu, ojciec był sam, zmywał naczynia.

– Gdzie mama?

– Powiedziała, że idzie z wizytą do twojej Drugiej Siostry – powiedział. – Mówiła też, że pójdzie do miasta zapalić kadzidło w Świątyni Oświeconych – dodał po chwili namysłu.

Dziwne. Czyżby coś się stało? Ilekroć stawała przed problemem, z którym nie potrafiła się uporać, szła zapalić kadzidło w Świątyni Oświeconych, czasami też zabierała mnie ze sobą. Powiedziała, że udałam się tam z nią po raz pierwszy, kiedy miałam trzy lata, ale ja pamiętałam, że byłam tam w wieku czterech, a może pięciu lat. Zapach korzeni lotosu wypełniał to ciche, opustoszałe miejsce.

Pamiętam chrzęst kamieni pod naszymi stopami, kiedy szłyśmy ścieżką. Co cztery, pięć stopni stały kamienne posągi o obliczach zniszczonych przez wiatry. Dziobate i popękane, przywodziły na myśl twarze trędowatych żebraków.

Zakręciłyśmy za narożnik i podeszłyśmy do głównej bramy. Matka kazała mi się zatrzymać, wygładzić ubranie i poprawić rzemyki przy butach. Każdy posąg buddyjski, wyjaśniła, sprawuje kontrolę nad czyimś losem. Jeżeli pokłonisz się swemu bóstwu opiekuńczemu, szczęście będzie ci towarzyszyć przez całe życie. Pogładziła mnie po głowie na znak, że czas dokonać wyboru. Jeżeli wchodząc do świątyni, instruowała, przekroczę próg prawą nogą, mam liczyć posągi po prawej stronie. Pięćset posągów stało rzędem na obrysie dwóch

kwadratów i miałam je liczyć zgodnie z ośmioma cyframi daty urodzin: rok, miesiąc, dzień i godzina, bez wybierania i omijania. Ten, przed którym przypadnie mi się zatrzymać, będzie moim bóstwem opiekuńczym. Jeżeli natomiast przestąpię próg lewą nogą, mam zacząć liczyć od lewej strony.

Próg był taki wysoki, że przechodząc nad nim, musiałam się podeprzeć rękami i ze zdenerwowania zapomniałam, którą stopę postawiłam w środku pierwszą. Nagle w tej świątyni złożonej z dwóch kwadratów wyrosły przede mną rzędy kamiennych bóstw mniej więcej tej samej wysokości, lecz różniących się między sobą pod każdym innym względem: jedne patrzyły srogo, inne były uśmiechnięte, niektóre siedziały w uroczystych pozach, trzymając feniksa lub symbol szczęścia, a jeszcze innym wyrastał z głowy kwiat lotosu.

– Uklęknij, Mała Szóstko! – poleciła matka tonem nieznoszą-cym sprzeciwu.

Tak jak kazała, uklękłam onieśmielona na słomianej macie, nie podnosząc oczu w obawie, że bóstwo czuwające nad moim losem może mieć wielki brzuch albo czerwoną twarz. W końcu zebrałam się na odwagę, spojrzałam w górę i zobaczyłam posąg, który zdawał się sięgać sufitu: łagodne rysy o dobrotliwym wyrazie, blade oblicze emanujące szczodrością, srebrny miecz w dłoni. Moje bóstwo, niepodobne do innych, stało na złotogrzywym lwie i patrzyło na mnie wyrazistymi oczami. Nie potrafiłam wyliczyć moich liczb daty urodzin, a nie chciałam pytać matki, jak ona tego dokonała; w każdym razie to bóstwo wydało mi się znajome, miałam wrażenie, że już je kiedyś widziałam.

Matka uklękła przy mnie i zapaliła trzy trociczki, a potem kazała mi pokłonić się nisko. Zrobiłyśmy to razem. Jej niebieska spódnica z szorstkiej bawełny dotykała mojej twarzy, co sprawiało mi wielką przyjemność.

– To Mandżusri – wyjaśniła. – Zwierz mu się. To twój opiekun. Powiedz mu, czego pragniesz, ale nie mów tego głośno. Po prostu powtórz to trzykrotnie w myślach.

Dotykając czołem posadzki, co najmniej dziesięć razy powtórzyłam, czego pragnę. A kiedy spojrzałam w bok, zobaczyłam, że matka przygląda mi się z czułością.

Mój los już od dnia narodzin był smutny i taki zapewne miał pozostać. Z czasem zupełnie wyleciało mi z głowy, co szeptałam do siebie tamtego dnia. Podczas rewolucji kulturalnej, niedługo po naszej wizycie w świątyni, posągi porozbijano, a samą świątynię zamknięto. Później ją odrestaurowano. Pojechałam tam specjalnie, żeby zobaczyć zrekonstruowane posągi. Ludzie ofiarowali złoto na pokrycie oblicza Buddy, był też nowy Mandżusri, dokładna replika oryginału. Ale wydał mi się jakiś obcy i wątpię, czy pamiętał moje życzenie, którego

ja sama nie potrafiłam sobie przypomnieć.

Nigdy nie udało mi się znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego matka wybrała Mandżusri na patrona swego ósmego dziecka, a szóstego, któremu udało się przeżyć, nie zaś Samantabhadrę, bóstwo racjonalnego myślenia, czy też litościwą Guanyin, boginię dobroci, ani nawet wszechwiedzącego Siakjamuni, czyli samego Buddę? Była na wpół analfabetką, ledwo radziła sobie z odczytywaniem prostych ideogramów, w jej kartkach z życzeniami roiło się od błędów. Więc może to był zwykły zbieg okoliczności? Miecz Mandżusri jest mieczem mądrości, lew symbolizuje inteligencję. Może matka od samego początku wiedziała, że przez całe życie będzie mnie nurtować pragnienie poznania, że będę szukać odpowiedzi na wszelkie pytania, a chęć rozumienia przysporzy mi jedynie kłopotów i drogo mnie będzie kosztować. Jakie to szczęście przejść przez życie w nieświadomości, dopuszczając do głosu naturę; rodzić dzieci, unikać komplikacji, a potem umrzeć w spokoju i pozwolić prochom popłynąć do morza.

Niestety, w latach, które potem nastąpiły, matka nie wykazywała żadnego zainteresowania problemami swych dzieci, z moim łaknieniem wiedzy włącznie. Nic jej nie obchodziło; nigdy więcej nie zaznałam od niej takiego ciepła i czułości jak wtedy w świątyni. Nie widziała potrzeby, bym poznała rodzinne sekrety, zwłaszcza zaś te, które dotyczyły okoliczności moich narodzin.

2

Nie mogłam się doczekać spotkania z nauczycielem historii. W poszukiwaniu małego lusterka przekopałam wszystkie pięć szuflad biurka. W tej z bielizną natrafiłam na niebieską niemowlęcą czapeczkę, której nigdy przedtem tam nie widziałam. Nie wpadłaby mi w ręce, gdybym nie wysunęła szuflady do końca. W zwiniętej czapeczce namacałam coś twardego. Mała harmonijka ustna. Czapeczka była stara i pogryziona przez mole, ale podobał mi się jej kolor i małe kwiatki wyhaftowane nieco ciemniejszą nicią. Satynowy wierzch i flanelowa podszewka były miękkie i ciepłe w dotyku. Pamiętam, że raz już widziałam tę harmonijkę, ale matka prędko ją wtedy schowała.

Poszłam na poddasze po lusterko Czwartej Siostry, które wyjęła z szuflady i ukryła u siebie pod poduszką. Nie mogłam patrzeć na moją przebarwioną jak przy żółtaczce cerę, więc usiłowałam poprawić jej wygląd za pomocą zasypki dla niemowląt, należącej do córki Dużej Siostry. Nałożyłam zasypkę w kilku miejscach, a potem ją równo rozprowadziłam. Jeszcze jedno spojrzenie w lusterko: warstwa pudru potrafi zdziałać cuda, byłam całkiem zadowolona z efektu. Szybko odłożyłam lusterko na łóżko taflą do dołu; strachem przed zauroczeniem dorównywałam matce.

Nauczyciel historii na pewno zapyta: „Dlaczego jesteś taka blada? Boisz się czegoś?”. Zaczynałam żałować, że upudrowałam twarz, bo kiedy zaczynam się rumienić, nie mogę nic na to poradzić. Zawsze podejrzewałam, że moja młodość, moje najlepsze lata przeminą niepostrzeżenie jak promyk słońca uwięziony w pudełku. Jednak właśnie tego dnia w moim osiemnastym roku życia pragnęłam otworzyć to pudełko i przyjrzeć się promykowi z nadzieją, że zobaczę jego jasny blask.

Cud miłości nieczęsto się w życiu zdarza; ja czekałam na niego niezmiernie długo. Teraz się wreszcie pojawił i nie zamierzałam z niego zrezygnować. Byłam zakochana w nauczycielu historii, nie przeszkadzał mi fakt, że jest żonaty. Być może podświadomie właśnie z tego powodu jeszcze bardziej mnie pociągał. Zawsze pragnęłam tego, czego nie mogłam mieć, a im mniejsze było prawdopodobieństwo, że osiągnę to, czego chcę, tym bardziej angażowałam się emocjonalnie. Ledwo z rana otworzyłam oczy, moje myśli zaczęły krążyć wokół niego. Co teraz robi? Jak wypadło nasze ostatnie spotkanie? Jak się zachowam, kiedy go znowu zobaczę? Jestem beznadziejnym przypadkiem, wmawiałam sobie w duchu, zupełnie beznadziejnym. Zanim jeszcze pozwoliłam miłości zagościć na dobre, zdążyłam wyczerpać prawie cały zapas emocji, do jakich ma

prawo dwoje zakochanych.

Bez końca snułam skomplikowane rozważania. Jesteś zbyt samotna, ganiłam się w myślach. To normalne, że uczennice zakochują się w swoich nauczycielach. A skąd masz pewność, że nie zrobisz w tył zwrot i nie uciekniesz, kiedy staniesz z nim twarzą w twarz? Jeżeli tak postąpisz, to po pożądaniu, które jeszcze przed chwilą rozpalało cię do białości, zostanie jedynie dym.

Intuicja podpowiadała mi, że nie ma go w szkole, chociaż zdarzało mu się spędzać samotnie niedzielę w biurze. Dzisiaj został w domu, byłam tego pewna. Wsiadłam do autobusu na placu Przy Kamiennym Moście, ale ponieważ jechał zbyt wolno, wysiadłam i zeszłam ze zbocza, a potem ruszyłam wzdłuż nadbrzeża i przecięłam potok. Błoto tworzyło na nadbrzeżu małe pagórki, z których wyrastały kępy młodej trzciny. Widziałam rzędy domów na palach, stojące ciasno jeden przy drugim, tak jak mi opisał. On mieszkał w parterowym domku przyklejonym do zbocza wzgórza, o ścianach obrzuconych tynkiem; drewno zdążyło sczernieć, na zmianę smagane wiatrami i wypalane słońcem.

Serce tłukło się w piersi jak oszalałe, kiedy stanęłam u stóp wzgórza. Dziwiłam się własnej odwadze. A jeśli zapyta, po co przyszłam? Zawsze mogę powiedzieć, że chciałam go poprosić o wypisanie sentencji na weselnym zwoju dla Czwartej Siostry.

Nie! Dlaczego mam kłamać? Po prostu powiem, że zapragnęłam go zobaczyć i dlatego przyszłam. Kamienne stopnie przy Strumieniu Kwaśnych Jabłek pięły się po zboczu aż do samej góry i musiałam kilkakrotnie przystawać, żeby złapać oddech. Ale ani razu nie przyszło mi na myśl zawrócić. On obudził coś głęboko we mnie. Moje zapadnięte policzki i blade usta się ożywiły, przewiane wiatrem mysiobure włosy poczerniały, szorstka skóra wygładziła się, a paznokcie nabrały połysku. Gdybym się mogła wtedy zobaczyć, wiedziałabym, że tamtego dnia, krótko po osiemnastych urodzinach, zużyłam cały zapas mojej młodzieńczej urody, coś, czym należało się cieszyć w umiarkowanych dawkach przez wiele lat.

Kiedy wspięłam się na jego ulicę, gdzie wszystkie domy stały odwrócone tyłem do rzeki, nie musiałam nawet sprawdzać adresu; trafiłam pod właściwe drzwi wiedziona instynktem.

Nie uciekłam. Serce biło normalnie, byłam niewiarygodnie spokojna. Podniosłam rękę i zapukałam.

3

Był zszokowany, gdy otworzył drzwi i mnie zobaczył, ale zaraz się opanował.

– Wejdź – powiedział, lekko skłaniając głowę.

Tak jak podejrzewałam, jego żony i córki nie było w domu. W moich marzeniach ten dom wypełniały książki i tak rzeczywiście było. Stały w biblioteczce przedzielającej trzydziestometrowy pokój na dwa pomieszczenia; jedno mniejsze, drugie większe. Mokre pranie wisiało na bambusowym kiju na werandzie. Niewielkie drzwi z boku prowadziły do dobudowanej kuchni. Pokój nie wydawał się ciasny, bo było tam jedynie łóżko, szafa i kilka stołków. Na stoliku przy biblioteczce stał zabytkowy gramofon, a w kącie stara porcelanowa waza.

Nie zapytał mnie, dlaczego przyszłam, tylko się uśmiechnął, jak gdyby czytał w moich myślach. Ten jego pełen satysfakcji uśmiech był taki poniżający. Nie znosiłam go. Usiadłam na stołku przy ścianie, a on nalał mi do szklanki zimnej herbaty. A potem się nachylił, wyciągnął płytę gramofonową ze sterty gazet, książek i płyt i położył ją na gramofonie.

Na biblioteczce rzeczywiście stała fotografia jego matki. Patrzyła na mnie oczami o nieodgadnionym wyrazie. Co ta zmarła kobieta starała się mi powiedzieć?

– Jest bardzo do ciebie podobna – zauważyłam.

Skinął głową i zbliżył się do mnie. Z wrażenia wypiłam duszkiem pół szklanki herbaty. Wziął ją z mojej dłoni, postawił na biblioteczce, zajrzał mi w oczy i lekko pocałował w czoło. Rozchyliłam usta, nie mogąc złapać tchu.

Oparłam się o niego, kiedy wziął mnie w ramiona; kręciło mi się w głowie, zamknęłam oczy i już nie wiedziałam, gdzie jestem. Nie opierałam się, byłam gotowa mu się oddać, nieważne, czy chciał przyjąć dar, który mu ofiarowałam, czy nie. Weź mnie, prosiłam w duchu, jestem twoja. Drżącymi wargami musnął moją rozpaloną skórę; ten pocałunek dał mi odpowiedź, na którą czekałam.

Nagle zdałam sobie sprawę, że nie stałam się jakąś inną, nową osobą, że zawsze taka byłam; a te nieuświadomione pragnienia leżały w mojej naturze. Byłam gotowa oddać wszystko za miłość, całkowicie się dla niej zatracić. Bez żalu za przeszłością, bez myśli o przyszłości mogłam w tej chwili umrzeć. Czułam, jak przenosi mnie nagą na łóżko i dotyka zakazanych miejsc, których sama nie miałam odwagi dotknąć. Ale nagle ustały pieszczoty i pocałunki; przez chwilę, która zdawała się wiecznością, nic się nie działo. Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego. Wyraźnie się wahał.

Twarz mi płonęła; wstydziłam się mego nieopanowanego pożądania.

– Jesteś dziewicą – powiedział.

– Nie dlatego, że pragnę nią być – odrzekłam.

– Żaden mężczyzna nie zechce cię poślubić, a jeśli nawet jakiś się z tobą ożeni, zamieni ci życie w piekło. W naszym społeczeństwie nawet w obecnych czasach niewielu mężczyzn zdołało się uwolnić od tradycyjnych poglądów.

– Zamierzam żyć samotnie, tego właśnie chcę.

– Bo wiesz, że nie będę z tobą?

– Nigdy mi to nie przyszło na myśl – powiedziałam niemal obojętnie. – Dzisiaj pragnę być twoja, być z tobą teraz.

Musiałam go zaskoczyć, ale te słowa wyraźnie go uspokoiły. Wymówił moje imię.

– Kiedyś wyjdziesz za mąż – stwierdził.

Miałam ochotę mu odpowiedzieć, że od najmłodszych lat nie znam ani jednej osoby, z sąsiadami i rodzeństwem włącznie, która byłaby naprawdę szczęśliwa. Jeżeli instytuqa małżeństwa się nie sprawdzała, po co miałabym wychodzić za mąż? Ale miłość? Miłość była dla mnie wszystkim. Wszystkim, czego pragnęłam.

Ale nie powiedziałam mu tego, tylko raz po raz kręciłam głową.

Byłam dziewczyną zaślepioną przez pożądanie; wiedziałam, że go kocham, lecz nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów. Może kiedyś zakocham się znowu, ale kiedyś to tylko kiedyś. W tej chwili miłość do niego jest wyjątkowa i wpłynie na całe moje dalsze życie.

Wziął do ust moje palce, a potem wsunął je sobie między nogi. Penis był twardy i gorący. Nie wiedziałam, że członek tak nabrzmiewa i czerwienieje. Był większy, niż się spodziewałam, pulsował. Przywodził na myśl zwierzę uwolnione z klatki. Ręka mi drżała, ale jej nie cofnęłam. Nigdy nie sądziłam, że starczy mi odwagi, by posunąć się do czynu tak bezwstydnego jak trzymanie mężczyzny za penis. Obejmował mnie mocno, jakby chciał wcisnąć w siebie. Promienie słońca przeświywały między liśćmi bambusa i kładły się plamami na mym nagim ciele, które zdawało się rozumieć radość biegnącego leoparda. Plamy słońca spajały nasze ciała jak pierścień ognia. Potężna Jangcy płynęła za oknem, zmieniając miasto po drugiej stronie w miraż, klif za oknem stał się pokrytą cieniem płaszczyzną. Na dworze jakieś małe dziewczynki skakały, skandując:

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem,
Wielkie orchidee pną się aż pod niebo.

Dźwięcznym dziewczęcym śmiechom na klifie wtórowały radosne głosy syren statków przybijających do przystani na dole. Po raz

pierwszy zrozumiałam, dlaczego statki porozumiewają się między sobą. Wszystkie odgłosy zza okna tworzyły akompaniament do muzyki płynącej z gramofonu.

Z wielką radością pochwyciłam jego rękę i położyłam się, przyciskając piersi do torsu mężczyzny. Czułam rytmiczne bicie jego serca.

– Masz serce bardziej kruche niż inne dziewczęta – wyszeptał, całując mnie w ucho. – Ledwo dotyk wystarczy, żeby je przebić.

Rozsunął mi nogi i poczułam, jak coś twardego wkrada się w przestrzeń między nimi, niby złodziej, który się przemyka, kiedy nikt nie patrzy.

Zapytał, czy boli; odparłam, że nie.

Westchnął i powiedział, że jego bardzo boli. Tam na dole był tak obolały, że miał wrażenie, iż lada chwila eksploduje. I bolało go również serce. Ale ból jest dobry, powiedział. Miłość nie jest słodka, a kochanie się ze mną sprawia mu większy ból, niż to sobie wyobrażał.

Jego język wniknął w moje usta i spotkał się z moim, splotły się nasze palce. Naparł ciałem na moje piersi i wszedł we mnie. Teraz bolało. Przeszywał mnie nieznany dotąd ból, tłumiłam krzyk przy każdym kolejnym pchnięciu. Nie mogłam złapać tchu, ale nie krzyknęłam, bo się wstydziłam. Chciałam patrzeć na niego, na to, co mi robi, lecz nadal z całej siły zaciskałam powieki. Byliśmy jak stopieni ze sobą, poczułam skurcze w podbrzuszu, które teraz zdawało się płonąć.

Rzeka odwróciła się do góry dnem, statki żeglowały po obłokach, a góry zwisające z nieba spadały na jego język, jego palce, spojrzenie, zagniewaną twarz, ekstatyczną twarz. Niebo trzymało mnie w objęciach, wokół mej głowy unosiły się i opadały fale, bezlitośnie mnie wchłaniając

Nagle popłynęły mi łzy i nie potrafiłam ich powstrzymać. Drżałam na całym ciele. Skóra lśniła od potu, woń własnego ciała wypełniała mi nozdrza. Pachniało jak orchidee czy gardenie. A co najdziwniejsze, urosły mi piersi. Jestem pewna, że dojrzały tamtego dnia; stały się pełne i jędrne.

4

Stopniowo spowalniał nam oddech; leżeliśmy w milczeniu, spleceni w wilgotnych objęciach. Pocałował mnie i zapytał, dlaczego nie było krwi. Wyczułam nutę zdziwienia w jego głosie. Sprawdziłam matę, rzeczywiście nie było. Zamiast zapytać, czy byłam już z jakimś mężczyzną, zauważył tylko, że mogłam utracić dziewictwo podczas ciężkiej pracy.

Kiedy gładził bliznę wokół mego pępka, zamknęłam oczy i słuchałam zgranego bicia naszych serc. Objęłam go ramieniem za szyję i opierając się o niego jedną nogą, drugą przerzuciłam przez jego nogi. Wiedziałam, że wszystkie dziewice mają certyfikat autentyczności – hymen. Czyżbym przyszła na świat bez cnoty? Może mi nie była potrzebna, a może urodziłam się niedziewicą?!

– Czy tego właśnie chciałaś? – zapytał mnie, mocno tuląc do siebie. – Leżeć ze mną nago?

Przytaknęłam.

Wyznał, że on tego bardzo pragnął. Za każdym razem, gdy w swoich snach zdjął ze mnie ubranie, budził się z uczuciem żalu.

Zapytałam dlaczego.

Powiedział, że kiedy siedziałam nago na łóżku, na moich udach widział krew. Nie chciał dośnić tego snu do końca, bojąc się, że może mnie skrzywdzić. Głęboko poruszona, przytuliłam policzek do jego twarzy. Przepełniało mnie szczęście; zakochałam się w człowieku godnym mej miłości.

Poprosił, żebym usiadła.

Zawsze mu posłuszna, zrobiłam, jak sobie życzył. Przysiadłam na piętach, opierając dłonie na kolanach, bo tak widział mnie w swoich snach. Nagi wydawał się wyższy i mocniej zbudowany. Tylko penis miał zwiotczały. Wziął blok papieru i usiadł na stołku najbliżej łóżka. Po kilku minutach podszedł i pokazał mi rysunek.

Moje nagie ciało! Bardzo starannie narysował sutki, pępek i włosy łonowe. Twarz była tą samą, którą naszkicował u siebie w biurze. Teraz dodał ciało. Więc to ja, kobieta, bardziej naturalna teraz niż w ubraniu. Dzikie, zmysłowe zwierzę. Dobrze się czułam taka bezwstydna. A więc dlatego naszkicował głowę u góry kartki! Liczył na to, że resztę zapełni później. Przez cały czas mną manipulował! Jak cudownie! Podniecałam go od samego początku!

Poprosiłam o rysunek.

– Nie boisz się, że ktoś go zobaczył

– To ja. Czemu miałabym się bać? – odparłam. – Podpiszesz mi go?

Skreślił na rysunku zamaszysty podpis, wyrwał kartkę z bloku i

położył ją na poduszce. Zauważyłam, że się podniecił, kiedy patrzył na szkic.

Odwrócił się zażenowany i zaczął ubierać.

Zeskoczyłam z łóżka, włożyłam bieliznę, a potem bluzkę i spódnicę. Kiedy wsuwałam stopy w sandały, on zapinał klamrę przy pasku.

Podszedł do gramofonu, wyłączył muzykę, a kiedy wrócił, miał dziwny wyraz twarzy. Pociągnął mnie za sobą na łóżko, posadził i otoczył ramieniem. Powiedział, że żona i córka wrócą do domu dopiero po zmierzchu, i poprosił, bym jeszcze trochę została. Nie czułam zazdrości ani żalu. Wręcz przeciwnie, byłam zachwycona, że zrobiłam coś, czego pragnęłam od dłuższego czasu, i że to okazało się piękniejsze, niż myślałam.

5

Leżeliśmy na plecach obok siebie. W pewnej chwili podparł się na łokciu i zaczął mówić. Ale teraz jego głos brzmiał inaczej; wydawał się znużony, bezbarwny.

– Zapomnij o mnie – zaczął. – Nie zasługuję na to. Nie różnię się od innych mężczyzn, a nawet jestem od nich gorszy; jestem skończonym draniem.

Usiłowałam mu przerwać, ale zakrył mi usta dłonią.

– Nic nie mów, po prostu mnie wysłuchaj. I zapamiętaj, co powiem.

Wstał. Myślałam, ze chce nalać herbaty, ale on sięgnął po papierosa. Zapalił i zaciągnął się głęboko. Nigdy nie widziałam, żeby palił. Powiedział, że aktywiści z okresu rewolucji kulturalnej dostają wezwania z dzielnicowych komitetów partyjnych, żeby stawić się w „klasie szkoleniowej", i on też spodziewał się takiego pisma. Władze szkolne już zażądały, żeby przyszedł na rozmowę w przyszłym tygodniu, i chociaż nie wie, czego będzie dotyczyć ta rozmowa, intuicja mu podpowiada, że wkrótce go zamkną w jednym z tych prowizorycznych więzień.

Podniosłam się, kręcąc głową.

– Nie wierzysz mi?

– Nie mówisz tego poważnie. Strzepnął popiół na podłogę.

– Któregoś dnia zrozumiesz – stwierdził. – Na pewno zrozumiesz, kiedy dożyjesz mego wieku.

Gdybym była bardziej skupiona, niewątpliwie wyczułabym zmianę atmosfery w pokoju. Ale ja tylko się w niego wpatrywałam.

– Przyszedł czas wyrównania rachunków – oznajmił. – Strażnicy uświęconego porządku nie przepuszczą okazji do zemsty na tych, którzy przeciwko nim wystąpili.

– Nie! – zaprzeczyłam, wstając. – Ty nie zrobiłeś niczego złego. Byłeś ofiarą rewolucji kulturalnej.

Moje słowa musiały zabrzmieć bardzo poważnie, bo zamilkł i słuchał. Lecz ja jedynie powtarzałam w kółko to samo zdanie. Usiadł na stołku przy łóżku.

– Uznali mnie za „mordercę".

– Bzdura!

– Twierdzą, że zabiłem brata, wydając rozkaz ostrzelania statku.

– To niemożliwe. – Byłam bliska łez.

– To prawda. Zabiłem swojego młodszego brata. – Patrzył na mnie spokojnie. – Powinnaś już iść – powiedział, ale trzymał kurczowo moją dłoń.

W końcu ją puścił, podszedł do biblioteczki i wyjął z niej stos

zagranicznych powieści. Niektóre z nich znałam, innych nie. Chciał mi dać te książki.

Sięgnęłam po rysunek na poduszce, ale powstrzymał mnie, schwycił kartkę, spojrzał na nią raz jeszcze, a potem zmiął i wyniósł do kuchni.

– To moje! – krzyknęłam. – To moje! – Pobiegłam za nim. Ujął moją twarz w dłonie.

– Masz przed sobą całe życie, powinnaś je przeżyć najczyściej jak potrafisz.

Podszedł do kuchenki i podpalił kartkę.

Wracałam do domu sama, dźwigając stos książek. Nadal byłam nieco oszołomiona, jeszcze się nie otrząsnęłam z emocji, jakie towarzyszą dziewczynie, która właśnie przeobraziła się w kobietę. Miałam wrażenie, że on ciągle jest we mnie; przy każdym kroku lepkie nasienie, które wytrysnęło z jego wspaniałego organu, zwilżało srom i wnętrze ud. Z całej siły tuliłam do siebie książki, jakby były nim.

A potem, kiedy wróciłam myślami do tego, co mówił, chcąc się mnie pozbyć, serce zadrżało mi z niepokoju. Czułam, że nie bez powodu kochał się ze mną z taką pasją. W zaciekłym szale zdawał się miażdżyć we mnie życie. To zły omen, wróżący czarny czas.

Nie rozmawiał ze mną o przyszłości, nie wspomniał, że chciałby się znowu spotkać.

XIV

1

Położyłam książki, zajrzałam do sypialni, nasłuchując odgłosów z poddasza.

– Nie ma Dużej Siostry? – spytałam.

– Nie – odparła Czwarta Siostra, nawet nie spojrzawszy w moją stronę.

To typowe dla Dużej Siostry: tak pojawiać się i znikać bez słowa.

– Mała Szóstko, uganiałaś się za duchami, czy co?! – wrzasnęła matka z pokoju. – Cały dzień cię szukam! Wiesz, ile roboty czeka?!

Weszłam do pokoju i pozdrowiłam ją serdecznie. Nie zareagowała, udając, że nie słyszy, i dalej przestawiała jakieś butelki i puszki pod łóżkiem. A potem wyprostowała się i obrzuciła mnie dziwnym, chłodnym spojrzeniem, które zdawało się mówić: „Sądzisz, że się nie domyślam, o czym wy dwie rozmawiacie?".

Ignorując jej bezgłośny wyrzut, zapytałam, jak się miewa Druga Siostra.

Odpowiedziała, że dziecko Drugiej Siostry dostało biegunki, więc nie miała czasu zapalić kadzidła, jak zaplanowała. Wiedziałam, że kłamie. Była po drugiej strome rzeki w jakichś swoich sprawach, które chciała utrzymać przed nami w tajemnicy.

Napiłam się wody i zaniosłam książki na poddasze. Na łóżku leżała Duża Siostra. Musiała przed chwilą wrócić. Do świeżo umytej twarzy przylgnęły pasma włosów.

– Nie znam drugiej osoby, którą można tak łatwo nabrać jak ciebie – zaśmiała się, widząc moją zaskoczoną minę.

– No to dalej, nabierz mnie – powiedziałam bez śladu gniewu, siadając na łóżku.

Jej nastrój uległ gwałtownej odmianie.

– Co za rodzina! – mruknęła ponuro. – Nie możesz się doczekać, kiedy zniknę. Wiem, wszyscy uważacie, że wam zawadzam. – Oznajmiła, że wyjeżdża za dzień lub dwa, ale niedługo wróci, i to na dobre. Nie zamierza spędzić reszty swego przeklętego życia w jakimś zakazanym miejscu daleko w górach.

Było popołudnie, przynajmniej tak mi się wydawało. Tego dnia czas nie miał dla mnie znaczenia, nie byłam nawet pewna, czy nadal istniał. Moją głowę i serce przepełniała ekstaza – uczucie, jakiego nigdy przedtem nie zaznałam.

Ktoś z dołu zawołał Dużą Siostrę. Podniosła się z łóżka, żeby sprawdzić, kto ją woła, po czym oświadczyła, że musi wyjść.

– Na długo? – spytałam bez większego zainteresowania.

– Na chwilę. Nie martw się, dzisiaj nie wyjadę. – Pogładziła mnie po głowie, jak gdybym nie mogła znieść myśli o jej wyjeździe.

Wyszłam na podest. Duża Siostra opuszczała siedlisko z jakimś mężczyzną, wesoło rozmawiając. Specjalnie popisywała się przed naszymi sąsiadami. Jej towarzysz miał wzrost koszykarza. Duża Siostra znowu się zakochała, pomyślałam. Wypełni swoje postanowienie: ucieknie z górniczej osady, w której teraz mieszka, i wróci do miasta, choćby jako żebraczka.

Czwarta Siostra, wyraźnie niezadowolona, weszła na poddasze.

– A ty co tu robisz? Dalej, zejdź na dół i wybierz popiół spod kuchni! – Znowu pokłóciła się z Dehuą i musiała wyładować złość na mnie.

– Co to za facet? – zapytałam ją.

– Jaki facet? Och, ten! Był w tej samej wsi co Duża Siostra.

– Przyjechała do domu, żeby go odszukać?

– Skąd wiesz?

– Tak mi się wydaje – ucięłam rozmowę, schodząc na dół.

Byłam pełna podziwu dla Dużej Siostry. Odnalazła go. Wspominała o nim, kiedy wzięła mnie ze sobą do szkolnej koleżanki, przez którą zamierzała do niego trafić. Łączyła ich stara znajomość, no, może coś więcej. Jego poprzednia żona była półkrwi Japonką. W 1953 roku wszyscy Japończycy z mieszanych małżeństw zostali zmuszeni do opuszczenia kraju i nie wolno im było zabrać ze sobą dzieci. Kiedy dwóch policjantów przyszło do ich domu, nie zgodziła się z nimi pójść, a on zablokował im drogę.

Mieli trzy córeczki. Jedna z nich uczepiła się jej ramienia, a dwie kurczowo trzymały się nóg. Polały się strumienie łez. Aleja Szkoły Średniej nigdy nie była świadkiem bardziej rozdzierającej serce sceny.

Kiedy wywieziono Japonkę, rodzina stała się celem ataków podczas kolejnych politycznych zawirowań. Jego bez przerwy ciągano na przesłuchania jako „zdrajcę", dzieci wyzywano na ulicach od „japońskich bachorów". Ten wysoki mężczyzna, który wziął za żonę dziewczynę mieszanej krwi, często musiał bronić swego wyboru pięścią. Gdy pięść zastąpił nóż, wysłano go do obozu pracy. Przez wiele lat nieszczęście goniło nieszczęście; dopiero po 1970 roku, kiedy stosunki japońsko-chińskie z wrogich zmieniły się w przyjazne, życie takich ludzi jak on uległo radykalnej poprawie. I właśnie wtedy, gdy posiadanie żony na wpół Japonki nabrało wielkiej wartości, ona go porzuciła i pozostało im jedynie podpisać papiery rozwodowe.

Duża Siostra wróciła późnym wieczorem.

– Ładna z was para – zauważyłam. – Pierwsza nagroda w konkursie rozwodów.

– Kto by mnie chciał z tymi wszystkimi dzieciakami?

Aby zakończyć wątek, zaczęła nucić syczuańską piosenkę ludową swym ciepłym, głębokim głosem. Nie zależy jej na mężczyznach, oznajmiła. Wszyscy są tyle samo warci. Prawdopodobnie spotykała się

z kilkoma naraz. Była nieszczęśliwa, dopóki nie wpakowała się w jakieś tarapaty.

2

Nie pamiętam, bym kiedykolwiek spała tak mocno jak tamtej nocy. Kiedy późnym rankiem, ociągając się, wreszcie wstałam, byłam na poddaszu sama. Co zupełnie do mnie niepodobne, zanim wyszłam z łóżka, przejrzałam się w lusterku. To nie byłam ta sama, dawna ja. Zmieniłam się; szczególnie moje oczy straciły ten wiecznie spłoszony wyraz, stały się spokojne i błyszczące. Byłam zadowolona z tego, co zobaczyłam. Poprzedniego dnia matka i Duża Siostra także dostrzegły we mnie odmianę; musiały się zastanawiać, dlaczego wyglądałam na taką szczęśliwą. Tego ranka zrodziło się moje ślepe przywiązanie do lusterek; maleńki obraz, jaki się w nich odbijał, stał się moim światem, miejscem, gdzie nieszczęście nie miało wstępu. Spacerowałam tam w deszczu i mgle, przystając od czasu do czasu, by przyjrzeć się odbiciu znajomych ludzi i miejsc.

Na ulicy po drugiej stronie rowu ktoś okładał dziecko, ścigając je z morderczym zamiarem. „A biegnij sobie! Uciekaj, ile chcesz! Zobaczysz, odrąbię ci te twoje przeklęte nogi!" Przez świetlik wpadały ochrypłe okrzyki mężczyzny. Znowu złapali chłopaka, który co rusz uciekał do centrum miasta. Przykują go do łóżka łańcuchem i będą głodzić przez trzy, cztery dni, aż wyczerpany zacznie błagać o litość.

Ale prędzej czy później znowu ucieknie. Nie wiem, co sobie wyobrażał ten dziwny mały chłopiec. Dokąd go tak ciągnęło?

Zaledwie kilka dni po tym, jak podjęto decyzję o ślubie, Dehua przestał przychodzić do domu, a kiedy już się zjawiał, zalatywało od niego alkoholem. Po pracy wraz z kumplami z fabryki grał przy wódce w pokera. Zupełnie się nie liczył z Czwartą Siostrą i nie wzruszały go jej nieustanne łzy. Oznajmił, że go nudzi, a ona odpłaciła mu złośliwą uwagą, że mężczyzna ze świadectwem ślubu w kieszeni przestanie się podobać ładnym koleżankom ze szkoły. To była ostatnia kropla; Dehua odwrócił się na pięcie i wyszedł, po czym zamieszkał u kolegi z pracy. Nie tylko trzymał się z daleka od naszego domu, ale również nie pokazywał się u swoich rodziców.

Duża Siostra poradziła Czwartej Siostrze, żeby poszła za jej przykładem i znalazła sobie kogoś nowego, ale ona odparła, że nie ma odwagi rzucić jednego mężczyzny i zadać się z następnym. Ponieważ nie potrafiła żyć bez Dehuy, ubłagała Dużą Siostrę, żeby nakłoniła go do powrotu.

Kiedy zeszłam z poddasza, razem opuściły siedlisko. W porze obiadu ojciec stwierdził, że nie musimy czekać na matkę, bo z samego rana poszła do miasta, żeby zająć się chorym dzieckiem Drugiej Siostry.

– Nie wróci przed kolacją – stwierdził. – Jest nas dzisiaj tylko troje.

Coś ojca nurtowało, chodził bardziej przygarbiony niż zwykle. Kiedy kazał Piątemu Bratu sprawdzić, czy wędka i podbierak dadzą się naprawić, dowiedział się, że dawno temu zabrał je Trzeci Brat. Ojciec z gniewnie ściągniętymi brwiami nabił fajkę i nie zapałając jej, wyszedł powoli z siedliska. Nie powiedział, dokąd się wybiera. Może szedł nad rzekę, a może nie. Nastał taki czas w naszej rodzinie, ze wszyscy zajmowaliśmy się swoimi sprawami, nie informując o nich nikogo.

3

Do nagłego zwrotu w moim życiu doszło w drodze do szkoły. Prędzej czy później i tak musiał nastąpić, ale nieco by się odwlekł, gdybym nie przejęła inicjatywy.

Gdy przechodziłam na drugą stronę ulicy, przed szkolną bramą kręciło się niewielu ludzi. Było spokojniej niż zwykle i dlatego z miejsca zauważyłam mężczyznę, który ciągle deptał mi po piętach; stał przy murze jakieś dwadzieścia kroków od bramy. Nie było mowy o pomyłce. Kiedy tylko mnie dostrzegł, umknął w jedną z bocznych uliczek jak spłoszony zając.

Nie pamiętam, czy tamtego dnia odbywały się lekcje. Moje myśli krążyły wyłącznie wokół jednej sprawy: musiałam znowu się zobaczyć z nauczycielem historii. Przez ostatnie dwa dni przestała mnie nawet nurtować największa tajemnica mego życia, czyli okoliczności narodzin. W chwili gdy ujrzałam nieznajomego mężczyznę, ten problem niespodziewanie wypłynął na nowo. Po tym wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni, poczynając od wynurzeń Dużej Siostry, a kończąc na moich pierwszych miłosnych doświadczeniach, nie zamierzałam biernie czekać na to, co los ma dla mnie w zanadrzu.

Także i tym razem nie przyjrzałam się dokładnie temu mężczyźnie. Na zarejestrowanie jego rysów miałam zaledwie sekundę, czyli dość czasu, by rozpoznać go w tłumie, lecz za mało, żeby go opisać. Mając w pamięci słowa Dużej Siostry, w jednej chwili ułożyłam wszystkie fragmenty łamigłówki. Wcale nie musiałam go ścigać. Zawróciłam i skierowałam się prosto do domu.

Niebo miało kolor purpury; zawsze tak wyglądało o świcie i o zmierzchu. Domy i wzgórza, te bliskie i te odległe, wydawały się jasne i świeże. Szłam w tej poświacie, pozwalając cieszyć się oczom niesamowitą kolorystyką krajobrazu.

Wmaszerowałam energicznie do Siedliska Numer Sześć. Matkę zastałam przed drzwiami w sieni. W nieruchomej dłoni trzymała wachlarz; siedziała spokojnie, jakby na mnie czekając.

4

Ominęłam ją, nawet nie patrząc w jej stronę. Jeśli chce rozmawiać, niech zacznie pierwsza.

Grzmot przetoczył się ponad naszym dachem, zapowiadając burzę i deszcz. Usiadłam przy stole, nie zapalając lampy. Odrobina światła sącząca się przez okno rozszczepiała się w tęczę na ścianie, tam gdzie zegar niestrudzenie odliczał sekundy i minuty.

Matka nie będzie siedzieć na zewnątrz do końca świata, tego byłam pewna. I rzeczywiście, wkrótce pchnęła drzwi, weszła i przysiadła na brzegu łóżka.

– Nie pozwalasz im nic mówić, to teraz sama powiedz – odezwałam się.

Siedziała i patrzyła na mnie; to było coś, co dotąd jej się nie zdarzyło. Zazwyczaj albo na mnie krzyczała, albo była czymś zajęta, albo leżała wykończona w łóżku, nawet nie mając siły unieść powiek. Przeżyłam tyle lat, a po raz pierwszy trafiała mi się okazja, żeby z nią bez przeszkód porozmawiać. Tymczasem język stanął mi kołkiem w ustach, z trudem wydobywałam słowa i czułam suchość w gardle. Marzyłam o łyku wody.

– Znowu śledził mnie ten mężczyzna – zaczęłam przez zaciśnięte zęby.

– Nie ma się czego bać – odpowiedziała beznamiętnie, tym razem zupełnie nieporuszona.

– Nie czuję strachu – sprostowałam. – To nienawiść. Nienawidzę wszystkiego i wszystkich, z tobą włącznie. Dłużej już nie wytrzymam.

Mięśnie jej twarzy zadrżały. Powiedziała, że wie.

– Nikt cię nie skrzywdzi, dopóki nad tobą czuwam. A już na pewno nie on.

– Trochę za późno mi to mówisz. Wzrastałam bez matczynej opieki i czułości. Dlaczego miałabym ci teraz uwierzyć?

Podniosła się, ale zaraz usiadła z powrotem.

– Wysłuchaj mnie, Mała Szóstko.

Ludzie, którzy poznali głód, nigdy go nie zapomną. Matka oznajmiła, że mnie jednej obca jest taka pamięć, bo tę klęskę przeżyłam w jej brzuchu. Pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych o mało nie odchodzili od zmysłów z głodu. Bywało, że kładli się spać bez kolacji, a wstając rano, myśleli tylko o tym, jak oszukać żołądek. Któregoś dnia rząd ogłosił, że unieważnia syczuańskie kartki żywnościowe. Te kartki, na które tak ciężko harowała, stały się nic niewartymi świstkami. Była na dnie rozpaczy.

A potem nadszedł telegram z informacją, że ojciec miał wypadek. Przewieziono go statkiem trzysta kilometrów i zostawiono w szpitalu

w Luczou.

Matka wzięła Czwartą Siostrę, wsiadła na statek i popłynęła w górę rzeki. Kiedy zobaczyła, jak bardzo ojciec jest wymizerowany, nie miała serca go powiadomić, że umarła Trzecia Ciotka ani że Cioteczna Babka, która mieszkała w powiecie Czong, zagłodziła się na śmierć. Nie wspomniała też, że Trzeciego Brata wciągnąłby wir, gdyby mijający go marynarz nie skoczył mu na ratunek, i że wszystkie dzieci były tak wygłodzone, że jeśliby im nie zabraniała, chodziłyby kraść jedzenie.

Kiedy matka się odwróciła, żeby obetrzeć oczy, ojciec przyciągnął do siebie Czwartą Siostrę i zapytał, co by miała ochotę zjeść. Mięso, kilka jajek, ciasto smażone na oleju i trochę landrynek, odpowiedziała.

Ojciec wyjął resztkę wypłaty i nakazał matce kupić coś do jedzenia.

Kiedy na ulicy Czwarta Siostra miała właśnie odgryźć kawałek kupionego przez matkę placka, siwowłosa kobieta wyrwała go jej z ręki, schowała za pazuchę i obejmując się ramionami, wysunęła głowę do przodu, gotowa do walki na śmierć i życie w obronie swej zdobyczy. Poświstywał lodowaty wiatr, skulona kobieta spoglądała spod oka na Czwartą Siostrę; miała pomarszczoną twarz, a fałdy luźnej skóry na szyi leżały na kołnierzu jak zwój liny. Oczywiście nie ukradła tego placka dla siebie. Był przeznaczony dla dzieci w domu. Czwarta Siostra rozpłakała się, przestraszona nie tyle gwałtownym zachowaniem kobiety, ile jej determinacją, by nie oddać łupu.

Matka wzięła siostrę za rękę i odeszły.

Ponieważ ojciec musiał zostać w szpitalu w Luczou, wróciły do domu same. Matka z powrotem podjęła pracę tragarza, bo w domu było pięć głodnych gąb do wykarmienia. Któregoś dnia, kiedy niosła piasek dla fabryki tekstylnej, natknęła się na jedną z naszych sąsiadek, Okularnicę Wang, grubą kobietę, która obsługiwała wagę i bardzo zabiegała o przyjęcie do partii. Najwyraźniej uznała, że się zasłuży, wyżywając się na matce. Usiadła za wagą i oznajmiła, że każdy wsad ma ważyć sto kilo. Matka była tak osłabiona z głodu, że Duża Siostra i Trzeci Brat przenieśli część ładunku i dopiero przed wagą przesypał piach do jej koszy, starannie go uklepując. Matka zatoczyła się pod ciężarem, skręcając przy tym nogę w kostce, ale dokuśtykała do wagi, która wskazała zaledwie dziewięćdziesiąt osiem kilo.

Okularnica Wang oświadczyła, że płaci wyłącznie za równe sto kilogramów, i z miejsca zabrała matce pozwolenie na pracę. Matka, hamując gniew, powiedziała tylko: „Nie rabujemy i nikogo nie okradamy. Żyjemy z pracy naszych rąk, więc proszę mi pozwolić dalej nosić piach”. W odpowiedzi Okularnica Wang wysypała piasek na ziemię i podeptała kosze.

Młody księgowy z pobliskiej fabryki plastików, słysząc

zamieszanie, wyjrzał na dwór akurat w chwili, gdy Wang wyżywała się na matce, więc podszedł bliżej, żeby się za nią wstawić.

– Sun! – krzyknęła Okularnica Wang, która go znała. – Niech pan się nie waży stawać w obronie żony reakcjonisty!

Młody człowiek, nie wdając się z nią w dyskusję, pomógł matce, której noga zdążyła spuchnąć jak bania, dobrnąć do domu, gdzie już w drzwiach padła bez siły.

Był kawalerem, dziesięć lat młodszym od matki, wówczas trzydziestoczteroletniej. Jego ojczym prowadził niewielką firmę z dwoma warsztatami, gdzie produkował grzebienie z krowich rogów. Po wyzwoleniu firmę znacjonalizowano, zmieniając ją w spółkę prywatno-państwową, a kapitał przelano do fabryki na Południowym Brzegu produkującej plastikowe przedmioty domowego użytku. Chociaż „stały zysk" ojczyma niewiele się różnił od płacy jego pracowników, nadal uważano go za kapitalistę.

Kiedy Sun skończył średnią szkołę, skierowano go do fabryki plastików jako stażystę, przy czym jego status społeczny pozostał wielce niejasny; był kimś pomiędzy kapitalistą a niższym funkcjonariuszem kadry. Jako osoba odpowiedzialna za ustalanie dziennych norm robotników i składanie sprawozdań członkom kadry nie musiał się pocić jak inni, lecz w pracy był pilny i dokładny.

Najpierw znalazł jakąś maść dla matki, żeby uśmierzyć ból kostki, a potem zajął się domem i popilnował dzieci.

Po wyleczeniu kostki matka została tragarzem w fabryce Suną. Pewnego razu, kiedy miała przewieźć azbestowe płyty na drugą stronę rzeki, uciekł jej prom, a gdy czekała na następny, podszedł do niej Sun i pomógł przenieść ładunek.

Powiedział jej, że był najstarszym synem, a ojca stracił, kiedymiał dwa lata. Matka, która w tym czasie pracowała u rodziny Su-nów, wyszła za świeżo owdowiałego pana domu i wtedy on go adoptował. Od tego czasu nosi nazwisko Sun. Oprócz niego matka miała jeszcze pięcioro dzieci, ale on nigdy nie wrósł w rodzinę i zawsze pragnął mieć starszą siostrę.

– Jeśli chcesz – zaproponowała – możesz mnie traktować jak starszą siostrę.

Gdy pewnego razu podczas miesiączki matka wnosiła cement na wzgórze, odpruła krwią i zemdlała. Następne dwa dni spędziła w łóżku, a Sun sam zajmował się dziećmi. Dołożył nawet kilka zaoszczędzonych kartek żywnościowych i ryzykując własną głowę, podkradł z fabrycznej stołówki bułeczki gotowane na parze, żeby dać je dzieciakom, które od ponad dwóch lat chodziły wiecznie głodne. Nareszcie się zasyciły, przez co odsunęło się od nich widmo najróżniejszych chorób, które mogłyby potem nękać je przez całe życie.

Kiedy zakupił zapasy dla robotników w fabryce, odsypał pięć kilo ryżu dla mojej matki; do takiego postępku nigdy by się nie posunął w normalnych okolicznościach. Ten ryż był jak manna z nieba i dzieci dobrze się odżywiały przynajmniej przez tydzień. Sun okazał się dla nich lepszy niż rodzony brat; wykonywał wszystkie ciężkie prace w domu – nosił wodę, rąbał drewno, nawet zreperował cieknący dach. A kiedy grał dzieciakom na harmonijce ustnej, w domu rozbrzmiewał śmiech. Przepadał za sy-czuańskimi operami, a matka, która lubiła ich słuchać, nuciła mu do wtóru. Tej przecież jeszcze młodej kobiecie nie chciało się wierzyć, że potrafi wydobyć z gardła takie miłe dźwięki. Kiedy wracała z pracy, nie odczuwała zmęczenia, no i miała więcej cierpliwości do dzieci.

– Zupełnie inaczej wyglądałabyś z trwałą – zauważył Sun któregoś dnia, kiedy zobaczył jej stare zdjęcie. Powiedział, że ma w domu trochę płynu do trwałej ondulacji.

Trwała… Zrobiła ją sobie wieki temu jako młoda mężatka w jednym z nielicznych, szczęśliwych okresów w życiu. W czasach głodu i walki o przetrwanie zapomniała nawet, jak wygląda. Teraz on jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przywrócił jej pamięć. Dotąd żaden mężczyzna nie układał jej włosów. Zręcznymi palcami z wprawą nawijał pasma. Lampa rzucała przyćmione światło, za oknem padał drobny deszcz.

Ojciec daleko na statku, żadnych listów. Tak długo była sama,że zdążyła zapomnieć, jak to jest, kiedy po domu kręci się mężczyzna. Teraz ten „młodszy brat” przypomniał jej, że jest kobietą, i potężna namiętność oraz tęsknota za miłością na nowo obudziły się w sercu. Nie ma pojęcia, jak między nimi do tego doszło. Stał za nią i nagle zdała sobie sprawę, że ich ciała się dotykają. Ten przelotny kontakt przestraszył ich, a zarazem podniecił. Dzieci poza domem, pokój pusty, a w nim łóżko. Nie starczyło sił, aby oprzeć się temu, co nieuchronne, i w mrocznej czeluści pokoju ich ciała się połączyły. Ledwo zakończyli gorączkowe miłosne zmagania, przed drzwiami rozległy się głosy i dzieci wróciły do domu. Tak jakby kierowało tym przeznaczenie, jakby z góry wszystko zostało ułożone.

5

To było to samo łóżko, na którym teraz siedziałyśmy! Kiedy matka przywoływała przeszłość, nie widziałam w niej tamtej trzydziestoczteroletniej kobiety, lecz tę samą co zawsze, zniszczoną emerytowaną robotnicę, która przedwcześnie się postarzała.

Okazało się, że matka zaszła w ciążę z mężczyzną, który nie był jej mężem. Jestem dzieckiem z nieprawego łoża! Powinnam się była tego domyślić, kiedy słyszałam, jak sąsiadki obrzucają się wyzwiskami w rodzaju „córka ladacznicy" czy „bękart", tak naprawdę mając na myśli mnie. Dookoła było pełno znaków, tylko nie potrafiłam ich odczytać. Być może powstrzymywał mnie podświadomy lęk.

– To był najgorszy czas klęski głodu. – Kiedy matka mówiła o tym mężczyźnie, stawała się inną osobą, kimś zupełnie mi nieznanym. Łagodniała, znikało gdzieś zniecierpliwienie i opryskliwość. Nie podniosła głosu, nawet kiedy się żarliwie usprawiedliwiała. – Nie wyobrażasz sobie, jaki to był wstyd w oczach ludzi. Dlatego nie mogłam ci powiedzieć. Wtedy, w sześćdziesiątym pierwszym roku, nie wiedziałam, jak przetrwa nasza rodzina. On nas wspomagał, niebo go nam zesłało. Możesz wierzyć lub nie, ale temu dobremu i porządnemu człowiekowi zawdzięczamy życie.

Wyznała, że nie chciała urodzić tego dziecka. Nie dość, że stanowiłoby kłopotliwy dodatek do rodziny, to jeszcze doszłaby kolejna gęba do wykarmienia w najcięższym okresie głodu, więc żyde stałoby się trudniejsze. Chciała poronić; brała najcięższe roboty, dźwigała ciężary pod górę, znosiła je w dół, ale dziecko jakby zapuściło korzenie w jej brzuchu. Więc zdecydowała się na aborcję. Sun protestował, lecz matka stanowczo nie chciała urodzić. Dlaczego narażać „dziecko miłości" na życie w poniżeniu? Po niekończących się sporach postanowili zdać się na wyrocznię w świątyni. O życiu dziecka zadecyduje wyciągnięty los – tak albo nie.

– A jeżeli to nie będzie ani „tak", ani „nie"?

– Będzie oznaczać „tak" – powiedział Sun.

– Nie będzie się liczyć – stwierdziła matka.

Ku ich zaskoczeniu i rozczarowaniu wyrocznia wskazała „nie". Zgodzili się nie brać jej pod uwagę,

– Nie można, ot tak sobie, zniszczyć życia – oznajmił Sun. – To nasze dziecko.

Właśnie, jak mogli dopuścić, aby wróżba decydowała o losie nienarodzonego dziecka? Przepowiednia wyciągnięta przez dwoje ludzi nie reprezentowała życzenia Buddy, który odpowiadał tylko na pragnienie jednego serca. A więc w tym wypadku czyjego?

Zapewne to ja musiałam sterować ciągnieniem losu, bo wcale nie

pragnęłam się urodzić.

Matce rósł brzuch, a oni ciągle zwlekali z decyzją.

Duża Siostra wstała którejś nocy za potrzebą, a potem zeszła na dół, żeby się napić wody. Cicho otworzyła drzwi.

Zaspana, zobaczyła parę męskich butów u wezgłowia łóżka matki, więc pomyślała, że wrócił ojciec. Tatusiu, zawołała, a wtedy skonsternowany Sun wyskoczył z łóżka, naciągnął na siebie ubranie i wybiegł na dwór. W mieszkaniach naszych sąsiadów rozbłysły światła, zrobiło się spore zamieszanie.

Duża Siostra, wówczas szesnastolatka, już prowadzała się z chłopakiem, za co spotkała ją krytyka w szkole, a także w domu, gdzie między nią a matką rozpętała się potworna kłótnia. W dodatku siostra była zła na matkę, że nie wzięła jej na widzenie z prawdziwym ojcem, który, jak się zorientowała, dopiero co umarł z głodu w obozie pracy. Pielęgnowała w sercu urazę do matki, którą obarczała winą za wszystkie swoje nieszczęścia.

Nazwała ją kurwą, za co rozgniewana matka kazała jej natychmiast wyjść z domu.

Duża Siostra zignorowała polecenie i złapała za tasak; nie chciała nikogo zabić, zamierzała jedynie nastraszyć matkę, która z kolei usiłowała go jej wyrwać. Podczas szarpaniny siostra została zraniona w ramię i zaczęła poważnie krwawić. Pozostała czwórka dzieci była śmiertelnie przerażona, a najbardziej bał się Piąty Brat, jeszcze wtedy maleńki. Tamtej nocy sąsiedzi nie zmrużyli oka i szykowali się wezwać dzielnicowego, żeby „wyedukował" matkę. Duża Siostra uspokoiła się, kiedy zdała sobie sprawę z powagi sytuacji.

– To nasza sprawa – oznajmiła Druga Siostra. – Muszę się wyspać. -1 zatrzasnęła sąsiadom drzwi przed nosem.

Odtąd Duża Siostra, kiedy przychodził Sun, odwracała się do niego plecami i miotała przekleństwa przez ramię. Z początku udawał, że nie słyszy. A potem zaczął wychodzić, jak tylko się zjawiała. Matka, w samym środku konfliktu pomiędzy Sunem a najstarszą córką, nie wiedziała, co robić.

Już sam widok wypiętego brzucha matki doprowadzał Dużą Siostrę do furii, więc kiedy się dowiedziała, że ojciec jest w drodze do domu, pobiegła nad rzekę, żeby pierwsza przekazać mu wiadomość, która stała się przyczyną tamtej strasznej awantury.

Po raz drugi matka postanowiła przerwać ciążę i zakończyć całą sprawę.

Lecz ku jej zdumieniu ojciec zaprotestował, twierdząc, że za grzechy rodziców nie powinno odpowiadać dziecko, które niedługo ma przyjść na świat.

Matka uznała, że chce zachować dziecko jako broń przeciw niej, żeby podporządkować sobie żonę. Na tę myśl przebiegły jej ciarki po

krzyżu.

– Dobrze, urodzę je i zobaczymy, co będzie dalej. – Po raz drugi zrezygnowała z pójścia do szpitala.

Powrót ojca nie wpłynął na poprawę stosunków pomiędzy matką i córką; kłóciły się coraz zażarciej. Duża Siostra zaczęła rozpowiadać sąsiadom o tym, co się dzieje w domu, przez co matka wyszła na najbardziej występną kobietę w okolicy, bo nie tylko dopuściła się zdrady, ale jeszcze zaszła w ciążę i w dodatku zamierzała urodzić bękarta.

Wszystko to działo się akurat wtedy, gdy władze miejskie rozpoczęły kampanię „nowej komunistycznej moralności". A ponieważ mieszkańcy Południowego Brzegu notorycznie uchodzili za niekomunistycznych, nasze slumsy stały się głównym celem. Ojciec pod wpływem nacisków i pogróżek ze strony komitetu mieszkańców pozwał Suną do sądu, oskarżając go o uwiedzenie żony, próbę rozbicia rodziny i naruszenie konstytucyjnych praw małżeńskich.

– Byłaś już wtedy na świecie – powiedziała matka. – Ta banda wścibskich plotkarzy chciała przyznać Sunowi opiekę nad tobą, potem wtrącić go do więzienia, a ciebie oddać jego matce na wychowanie. Gorzej już być nie mogło.

XV

1

Zanim skończyłam miesiąc, matka musiała wrócić do pracy, a wtedy opiekę nade mną przejął mocno niedowidzący ojciec. Miał prawo mnie okaleczyć, udusić albo pogruchotać mi kości, skoro wielu ludzi postępuje tak z rodzonymi córkami; potem wystarczyłoby jedynie oświadczenie, że to był wypadek. A jednak tego nie zrobił. Po urodzeniu ważyłam zaledwie dwa kilogramy; same kości, dużo pomarszczonej skóry oraz para wielkich, okrągłych oczu. Ojciec zajmował się sześciorgiem dzieci i często zostawałam na łóżku bez opieki. Duża Siostra zawsze mnie szczypała, żeby sprowokować do płaczu. Popiskiwałam żałośnie, choć niezbyt głośno, a moje łzy zdawały się płynąć bez końca i przez większość czasu przyciskałam piąstki do oczu. Piąty Brat, wówczas zaledwie czteroletni, nieświadomy niechęci dorosłych, bawił się ze mną, gdy jego braci i sióstr nie było w pobliżu.

Kiedy jeszcze byłam w powijakach, zostałam zaniesiona do sądu, gdzie matka najpierw podała mnie ojcu, a potem Sunowi. Naszym rozplotkowanym sąsiadkom trafiła się nie lada gratka. Zawsze chętne rozdmuchać każdą historię, przy takim skandalu z rozkoszą dolewały oliwy do ognia. A ja byłam rekwizytem w tej farsie, brzydkim, odpychającym tobołkiem, który każdy mógł kopać do woli.

– Innymi słowy, kiedy się urodziłam, każde z was myślało tylko o tym, jak się mnie pozbyć, czy tak? – To było jedyne pytanie, jakie zadałam, i zawierało więcej zdumienia niż gniewu.

– Nie mów takich rzeczy – zaprotestowała matka. – Twój ojciec jest dobrym, wrażliwym człowiekiem. Mimo wszystko postanowił ciebie zatrzymać. Sun też cię chciał i był gotów ponieść wszelkie konsekwencje.

Po tym, jak Duża Siostra pomogła ojcu napisać pozew i została jego oficjalnym świadkiem w sądzie, ten zaczął żałować swego kroku. Matka zaprzeczyła, jakoby Sun ją uwiódł, i wzięła całą winę na siebie, twierdząc, że to ona działała występnie, a nie on.

Sun przeprosił ojca – człowieka, którego nigdy przedtem nie widział – i zadeklarował przed sądem, że będzie pokrywał koszty wychowania dziecka bez względu na to, czy matka poprosi o rozwód, czy nie. A ojciec, który wcale nie chciał iść do sądu, wycofał skargę. W związku z tym, że sprawa utknęła na martwym punkcie, sąd zalecił poszukanie kompromisu.

W domu ojciec wyznał, że nie powinien był słuchać ludzi, którzy nakłonili go do złożenia pozwu, i dał matce wolną rękę. Jeśli chce, może iść do Suną, zabierając córkę, on zostanie z resztą dzieci. Niewykluczone, że chciał pokazać, jaki jest wspaniałomyślny,

niemniej matka się wzruszyła. Pragnęła odejść, lecz nie potrafiła się przemóc; nie zniosłaby rozstania z piątką dzieci, poza tym ojciec z powodu słabego wzroku nie mógł dłużej pływać. Była potrzebna rodzinie. To pociągało za sobą bolesne konsekwencje: musiała zrezygnować z Suną i zabronić mu widywania dziecka.

Sun był zrozpaczony, widząc jej udrękę. Ale jaki mieli wybór?

Nie zapaliłyśmy światła, więc nie widziałam twarzy matki w ciemnym pokoju. Ale wiedziałam, że płacze. Szlochała, nie mogąc wydusić słowa. Lecz co mogłam zrobić? Jej opowieść o okolicznościach moich narodzin budziła we mnie gniew i nienawiść i nie zamierzałam z nimi walczyć.

Nagle, gdy tak siedziałyśmy w zupełnej ciszy, z komina fabryki papierosów buchnął kłąb pary, a towarzyszące temu dudnienie wprawiło w drżenie okoliczne domy. Fabryka spuszczała parę kilka razy dziennie, czasem nawet o północy. Zdążyliśmy do tego przywyknąć i przeważnie nam to nie przeszkadzało, ale tym razem hałas jakby celowo zakłócił wspomnienia matki.

W tamtej sytuacji jedynym rozwiązaniem było znalezienie rodziny, która chciałaby mnie przygarnąć. Najpierw zostałam oddana koleżance matki z fabryki tekstylnej.

– Mieli dwóch synów – wyjaśniła matka. – Ale żadnej córki. No i wiodło im się lepiej niż nam. Miałabyś tam pod dostatkiem jedzenia, a ponieważ ludzie nie wiedzieliby, że jesteś nieślubnym dzieckiem, nikt by się na tobie nie wyżywał. Przynajmniej nie było tam gromadki starszego rodzeństwa, które darzyłoby cię niechęcią za to, że im odejmujesz pożywienie od ust. Gdybyś stąd zniknęła, pozostałe dzieci lepiej by mnie traktowały, stałyby się posłuszniejsze i mniej się awanturowały.

Tak, pamiętam, jakaś kobieta zmieniała mi w nocy pieluszki (długo moczyłam łóżko) i rzeczywiście była dla mnie lepsza niż matka.

– Nie, nie, to było znacznie później. Ta kobieta tęskniła za tobą, gdy wróciłaś do nas, więc zabrała cię na kilka dni – wyjaśniła matka. – Kiedy cię przygarnęła, miałaś zaledwie sześć miesięcy. Niestety, wkrótce aresztowano jej męża, podobno za defraudację. Podczas klęski głodu ludzie kombinowali jak mogli, żeby zdobyć jedzenie, a z kolei władza robiła wszystko, żeby złapać złoczyńców. Jeśli udało się uniknąć kary, to bardzo dobrze, ale bywało, że ludzie wrabiali kogoś, aby ocalić własną skórę.

Tak czy owak, ktoś doniósł na męża tej kobiety i skazano go na trzy lata obozu pracy. A ponieważ ona sama nie była w stanie utrzymać dodatkowego dziecka, matka musiała zabrać mnie z powrotem.

Nie sądzę, by moja matka potrafiła porzucić własną córkę w

przydrożnym rowie, niemniej oddawała mnie różnym rodzinom, może nawet umieściła w sierocińcu, ale z jakichś powodów za każdym razem wracałam do domu, gdzie w końcu zostałam na dobre, czy to im się podobało, czy nie.

Mam takie jedno na wpół zatarte wspomnienie z wczesnego dzieciństwa. Tęskniłam za matką i w dzień, kiedy miała wolne, wyszłam jej na spotkanie na aleję Szkoły Średniej, ale pomyliłam drogę. Więc przysiadłam na kamiennym stopniu, żeby rzucać się w oczy, i ze wszystkich sił hamowałam płacz, aby przypadkiem ktoś sobie nie pomyślał, że jestem zagubionym dzieckiem, i mnie nie porwał. Siedziałam sobie, jakby nic się nie stało, aż zauważył mnie Trzeci Brat i przyprowadził do domu, a potem naskarżył matce, która wróciła inną drogą. W nagrodę dostałam kilka siarczystych klapsów i ostre słowa, które dźwięczały mi w uszach przez całą noc. Miejsce strachu zajął szok i nie potrafiłam wydusić z siebie ani słowa w swojej obronie. Zresztą gdybym nawet spróbowała, i tak pewnie nic dobrego by z tego nie wyszło. Najważniejsze, że byłam w domu, że miałam dom, nawet taki, i tylko to się liczyło.

Jako dziecko zawsze stroniłam od obcych. Już samo przebywanie w obecności kogoś nieznajomego wprawiało mnie w zdenerwowanie. Kiedy dorosłam, nic się pod tym względem nie zmieniło; prawdopodobnie był to skutek głęboko zakorzenionego w dzieciństwie lęku przed utratą domu.

A tymczasem klucz do zagadki leżał w moim zasięgu przez cały czas. Chyba byłam za głupia, żeby szukać tam, gdzie należało.

– Chcę go zobaczyć – przerwałam milczenie.

Matka bez słowa wstała z łóżka, z góry wiedząc, że to właśnie powiem.

Skuliłam się przy ścianie, niepewna, co teraz nastąpi. A ona podeszła do drzwi, sprawdziła, czy nikt nie podsłuchuje, i odwróciła się do mnie.

– Wszystko już umówione – powiedziała przyciszonym głosem. – Zabiorę cię jutro do miasta, żebyś się z nim zobaczyła.

A więc ostatnimi dniami, kiedy wychodziła do miasta, ogłaszając, że idzie z wizytą do Drugiej Siostry, tak naprawdę przygotowywała nasze spotkanie. Obliczyłam, że nie widziała mojego naturalnego ojca jakieś siedemnaście, osiemnaście lat. Ręka tak mocno jej drżała, że kiedy otwierała drzwi, dopiero za trzecią próbą udało jej się odsunąć zasuwkę, a potem oparła na niej dłoń, jakby nie miała już siły, żeby pchnąć drzwi.

Spotykała się z człowiekiem, za którym musiała bardzo tęsknić przez ten cały czas i którego widok sprawiał jej ból, a wszystko to robiła dla mnie.

2

Umówili się na ostatnie spotkanie, kiedy została rozstrzygnięta sprawa mojej „przynależności". On mieszkał w pokoju na górze w jednopiętrowym drewnianym domu przy ulicy Nowego Narodu na przeciwległym brzegu rzeki. Objęli się mocno i nie mogli się od siebie oderwać. Za oknem na ruchliwej ulicy panował taki zgiełk, jakby nagle połowa mieszkańców miasta wyruszyła na rynek. Przeszedł kondukt pogrzebowy, żałobnicy zawodzili pod niebiosa pośród strzelających fajerwerków. Przy dźwiękach bębnów i gongów przemaszerował pochód aktywistów roznoszących listy gratulacyjne do mieszkańców miasta, którzy „spontanicznie" odpowiedzieli na apel władz i jechali zasilić komunalne wsie, bo chłopów zdziesiątkował głód. Ale do nich nie docierały żadne dźwięki; spleceni w objęciach, słyszeli tylko własne oddechy, a nagie ciała lśniły od potu.

Ciekawe, w którym kącie matka mnie położyła.

Po raz pierwszy nie musieli się obawiać, że któreś z dzieci wtargnie do pokoju albo obudzi się w środku nocy, a mimo to nie osiągnęli spełnienia. Pierwszy raz nie potrzebowali się ukrywać i nigdy by nie przypuszczali, że będzie im tak trudno. Kiedy się z niej zsunął, spojrzała na niego. To koniec, wyczytał z jej oczu.

Niejeden raz mówili sobie: nie widujmy się więcej; każde spotkanie miało być ostatnim. Jednak ta schadzka okazała się klęską, chociaż tak starannie ją zaplanowali. Przejścia w sądzie zabiły w duszy resztki romantycznych uniesień. To popołudnie minęło szybciej niż inne.

Kiedy opuścili dom, szli jedno za drugim, tak jak zawsze, żeby nikt nie pomyślał, iż są razem. Depcząc po resztkach wypalonych fajerwerków, klucząc między ludźmi na ciągle jeszcze otwartym rynku, zeszli po stopniach na boczną uliczkę, gdzie stał mało widoczny stragan z syczuańskimi kluseczkami.

Kiedy postawiono przed nimi parujące kluseczki, jedli je ze wzrokiem wbitym w miski jak dwoje nieznajomych. Żarówka wisząca na przewodzie przeciągniętym z jednego z domów w uliczce świeciła słabiej od odległych latarni, a jednocześnie na tyle jasno, aby rzucać na stół ich cienie. Do miseczki matki potoczyły się łzy, zanim ubyła z niej połowa kluseczek.

– Nie płacz, siostro – prosił. – Serce mi się kraje, kiedy płaczesz.

– To nic – powiedziała. – Zaraz mi przejdzie.

– Zatrzymaj dziewczynkę. Kto wie, może właśnie w niej znajdziesz oparcie na stare lata. Dla mnie nie ma żadnej nadziei, sąd nie pozwoli mi się z nią widzieć, dopóki nie osiągnie pełnoletności. Czyż los nie obszedł się z tobą bardziej łaskawie? Przynajmniej masz

dziecko. A ja? Nie mam nic, jestem sam. Zostały mi tylko niespełnione marzenia.

Pragnął ją podnieść na duchu, a tymczasem jego słowa odniosły odwrotny skutek.

– Nie płaczę nad tobą – oświadczyła. – Nie myśl, że nie potrafię bez ciebie żyć. – Walczyła ze łzami. – Dasz sobie radę beze mnie. A co do małej: albo przeżyje, albo nie, będzie tak, jak zdecyduje los. Ja się wkrótce zestarzeję, ty jesteś młody. Znajdź sobie kogoś i ustatkuj się.

Ponieważ nie odpowiedział, dodała:

– Daj mi słowo, że ułożysz sobie życie.

Nie chciał się rozpłakać, bo przecież mężczyźni nie płaczą przy ludziach. Ale nie udało mu się powstrzymać łez.

Matka, na wpół analfabetka, wiedziała, że ideogram słowa „wytrwać" składa się z noża umieszczonego nad sercem. Aby pomóc im obojgu zerwać ze sobą definitywnie, zrezygnowała z pracy w fabryce plastików i poprosiła kogoś z komitetu mieszkańców, aby skierował ją do załogi tragarzy przypisanych do fabryki po drugiej stronie góry. Stamtąd do domu było tak daleko, że mogła wracać jedynie na weekendy.

Po ich rozstaniu Suną przeniesiono do innej fabryki plastików, usytuowanej przy krematorium na drugim końcu miasta, i zdegradowano z członka niższej kadry do robotnika. Wyznaczono mu pracę przy cięciu azbestu.

Czy naprawdę widzieli się wtedy po raz ostatni? Chciałam to wiedzieć.

Któregoś dnia, dźwigając kamienie, matka załamała się i rozpłakała na oczach wszystkich.

– To nie dla ciebie robota, jeżeli ci za ciężko.

– Odpocznij chwilę, zmęczenie zaraz ustąpi.

Jej towarzyszki mogły oszczędzić sobie tych rad, bo i tak nie słyszała ani słowa. Spływała potem, nieraz mówiła, że nie pamięta, kiedy jej ubranie było suche w pasie. Jadła tylko dwa posiłki dziennie i często w żołądku burczało jej z głodu. Twarz znaczyły ślady po ugryzieniach insektów. Zawzięła się, żeby nie słuchać jego cichego głosu, który niósł do niej wiatr. Mówił, że tęskni, że pragnie ją zobaczyć, że jej potrzebuje i wie, iż on też jest jej potrzebny. Nie chciała tego słyszeć. Gdyby miała słabszy charakter, gdyby się ugięła, gdyby nie postanowiła być głucha na ten głos, rzuciłaby drąg, zbiegła ze wzgórza i pokonała rzekę ze ślepą determinacją zakochanej kobiety.

Była do tego zdolna, ale wiedziała, że nie żyje sama dla siebie i że przede wszystkim musi wychować dzieci. Zaczęły jej wypadać włosy, pogrubiała w talii, plecy z dnia na dzień robiły się coraz bardziej pochyłe, rósł garb na barku. Nie mogła uwierzyć, jak szybko się

zestarzała ł jak bardzo zbrzydła. W mgnieniu oka zmieniła się w matkę, jaką pamiętam od zawsze.

Dopiero po latach, po tym, jak sama wielokrotnie oberwałam od życia, skleiłam jej zdjęcie, które z rozmysłem podarła na drobne kawałki. Wcześniej, za bardzo zajęta obwinianiem matki, nie potrafiłam się przemóc, aby chociaż spróbować ją zrozumieć. To wszystko, co mi powiedziała, nie roztopiło ściany lodu pomiędzy nami. Może ją tylko naruszyło, lecz nie na tyle, żeby runęła. Szczerze mówiąc, uważałam, że lepiej, aby dalej nas dzieliła, i nic nie mogłam na to poradzić.

3

Jezdnie w naszym mieście są przeważnie strome i pełne wybojów, więc trudno jeździć po nich rowerami czy pchać ręczne wózki, a samochody nie mieszczą się w wąskich bocznych uliczkach i alejkach. Grupki robotników, zwanych nosidłowymi, z drągami i linami wystawały na skrzyżowaniach, stacjach i przystaniach, czekając cierpliwie, aż nadarzy się jakaś dorywcza praca.

Oprócz robotników, którzy w pocie czoła zarabiali na życie jako nosidłowi, w mieście żyła armia bezczynnych ludzi spędzających czas w herbaciarniach. W każdej dzielnicy istniał przynajmniej jeden taki lokal, a na głównych ulicach można było znaleźć nawet dwanaście i więcej tradycyjnych herbaciarni o dobrej renomie. Ich klienteli nie stanowili wyłącznie starsi mężczyźni, przesiadywali tam również ludzie młodzi. Kiedy się weszło do środka, ciepło buchające od czajników z wrzątkiem dodawało wigoru gościom, na których czekało tu wiele przyjemności. Gwarząc leniwie z przyjaciółmi, pogryzali pestki melona, chrupali fistaszki, a przede wszystkim żuli suszone papryczki. A kiedy już się nasycili rozmową, podnosili się z miejsc, przeciągali, gasili fajki i powoli wychodzili.

Nawet najubożsi mieszkańcy Czungcing zawsze znajdą sposób, żeby zdobyć największy przysmak, jakim jest ostra papryka; będą ją żuć tak długo, aż ich wargi staną się obrzmiałe, a twarze czerwone. Prawdopodobnie, oddając się tej masochistycznej przyjemności, demonstrują niechęć do poddania się losowi czy też chwackość w walce z jego przeriwnościami.

Zajęłyśmy z matką mały stolik w herbaciarni przy drodze na obrzeżach centrum i po jakichś dwóch minutach, zanim jeszcze podano nam herbatę, w drzwiach stanął szczupły, wysoki, a przy tym nieco przygarbiony mężczyzna w średnim wieku. Z rozradowaną twarzą skierował się prosto do naszego stolika i usiadł na krześle pomiędzy matką a mną. Przyglądałam się mu badawczo, a serce biło mi tak mocno, że aż miałam mroczki przed oczyma. Był świeżo ogolony i włożył czystą koszulę pod wyblakłą marynarkę ze stójką, jednak pomimo starań nie udało mu się zatuszować zabiedzonego wyglądu. Co do jednego nie miałam wątpliwości: to był ten sam mężczyzna, który mnie śledził przez te wszystkie lata.

Uśmiechał się z nadzieją, licząc zapewne, że nazwę go ojcem. Ale to słowo nie chciało mi przejść przez usta; w ogóle nie wiedziałam, co powiedzieć, i czułam, że się czerwienię. Matka nawet nie spojrzała w moją stronę, odchylając się na bok, żeby zrobić miejsce kelnerowi, który z dużą wprawą nalewał wrzątek do filiżanek z imbryka o smukłym dziobku. Potem nakryła je pokrywkami, aby opadły

herbaciane liście.

Żadne z nas nie odzywało się słowem. Popatrzyłam na matkę; odpowiedziała mi przelotnym spojrzeniem, a potem podniosła się od stolika, oznajmiając, że zaraz wróci. On wpatrywał się w nią, w tę starą, brzydką kobietę, wzrokiem, jakiego dotąd nie spotkałam – wzruszonym i czułym. Nasz ojciec nigdy tak na nią nie patrzył. Kiedy wyszła, wyraźnie się odprężył; już nie zachowywał się przy mnie tak sztywno i sztucznie jak na początku. Odejście matki tchnęło życie w jego twarz.

Ktoś włączył radio tranzystorowe i popłynęła z niego opera syczuańska, zdaje się Jesienna rzeka. Jej akcja rozgrywa się w dawnych czasach: zdenerwowana dziewczyna udaje się łodzią w pogoń za kochankiem. W tej samej chwili przed herbaciarnią przeszedł ufryzowany młody elegant w dzwonach, z imponujących rozmiarów radioodbiornikiem „Sanyo" na ramieniu, i rockowy przebój z Hongkongu przemieszał się nieprzyjemnie ze wzruszającą sopranową arią; Czterech gości siedzących przy drzwiach grało w pai gow.

– Twoja matka nie przyjdzie – odezwał się, kiedy po raz drugi rzuciłam spojrzenie w stronę wejścia.

Udałam, że nie słyszę, i dalej patrzyłam na drzwi.

Opuściliśmy herbaciarnię, ledwo dopiwszy herbatę. Kiedy przeszliśmy przez jezdnię, a potem na drugą stronę szosy, zaprowadził mnie do domu towarowego i przystanął przy stoisku z materiałami. Musiał czytać w moich myślach; wiedział, że gdyby zapytał, na co mam ochotę, nie doczekałby się odpowiedzi. Sam wybrał niebieski poliester w kwiaty (niebieski to ulubiony kolor matki), wcisnął mi go do ręki i powiedział, żebym uszyła z niego bluzkę, bo ta, którą mam na sobie, jest stara i znoszona. Byłam ubrana w luźne bure wdzianko, odziedziczone po Czwartej Siostrze. To, co on miał na sobie, nie wyglądało dużo lepiej. Nawet mu nie podziękowałam, a kiedy spojrzałam na jego twarz, zauważyłam, że w miejscu uśmiechu z jakiegoś dziwnego powodu pojawił się nerwowy grymas.

4

Było parę minut po czwartej, zbyt wczesna pora na wieczorny posiłek, więc większość okolicznych restauracji jeszcze nie działała. Minęliśmy kilka lokali, zanim udało nam się znaleźć jeden otwarty. Miejsce wyglądało na ekskluzywne. Zawahał się przed eleganckim frontem. Weszliśmy do środka, a kelner zaprowadził nas do sali na piętrze.

Zajęłam miejsce naprzeciw niego i przysłuchiwałam się, jak składa zamówienie: pikantnie przyprawiona ryba w fasolowym sosie, rosół z tofu i smażona wołowina z porami.

Sam zaledwie skubnął parę kęsów, nakładając większość jedzenia do mojej miseczki. Wzięłam do ust parę łyżek ryżu, a ponieważ był twardawy i niedogotowany, popiłam go rosołem. Niestety, pociągnęłam zbyt duży łyk i zakrztusiłam się. Poklepał mnie po plecach, a ja, gdy tylko przestałam kaszleć, odłożyłam pałeczki.

Chociaż bardzo wnikliwie studiowałam jego twarz, nie dostrzegałam żadnego podobieństwa między nami; nadal wydawał się kimś obcym. Natomiast widać było, że on poświęca mi całą uwagę. Więc komuś na tym świecie naprawdę na mnie zależało, ktoś pragnął, żebym była szczęśliwa, chciał mnie poznać, rozmawiać ze mną, nałożyć mi na talerz dużo mięsa i ryby, dopilnować, aby nikt mi tego nie zabrał, nie powiedział, że za dużo jem, albo rzucał wymowne spojrzenia; tymczasem ja nie miałam apetytu i nie potrafiłam poczuć się szczęśliwa. Mój nastrój oscylował między zdumieniem a oburzeniem, w głowie kłębiły mi się myśli, których nie ogarniałam. Można je było podsumować jednym zdaniem: Nie ma sposobu, abym zobaczyła w tobie ojca!

Zamówił wódkę. Chciał dodać sobie odwagi? Oboje drżeliśmy w środku, może rzeczywiście jego krew płynęła w moich żyłach. Wypił kieliszek i zaczął mówić.

– Dziś są twoje urodziny.

– Moje urodziny? – powtórzyłam. O mało nie prychnęłam ironicznie. – Spóźniłeś się. Miałam urodziny dwudziestego pierwszego września.

– Dwudziestego trzeciego dnia ósmego miesiąca osiemnaście lat temu byłem w szpitalu przy twoich narodzinach – oznajmił.

No tak, ja posługiwałam się zachodnim kalendarzem, natomiast on i matka trzymali się tradycyjnego, księżycowego. Wyjaśnił, że przed osiemnastu laty obie te daty się nałożyły, a w tym roku dzieli je różnica paru dni.

Więc to tak! Sekret został odsłonięty zgodnie z twoim planem, a nie dlatego, że tak uporczywie o to walczyłam! To ty zadecydowałeś,

że wyznasz mi wszystko w moje osiemnaste urodziny. Od początku nosiłeś się z tym zamiarem! To tak się sprawy mają!

Oczekiwał na ten dzień osiemnaście lat, tak jak wyznaczono. Powiedział, że nie mógł się ze mną zobaczyć, dopóki nie osiągnę pełnoletności, więc cierpliwie czekał. Być może matka chciała zachować tajemnicę, a ugięła się dopiero, gdy zrozumiała, że nie ustąpię. Muszę przyznać, że też byłam zdenerwowana i pełna obaw.

5

Ponieważ rzadko bywałam w centrum, nie mogłam się nadziwić, skąd tyle ludzi wzięło się na ulicach; można by pomyśleć, że wszyscy naraz opuścili swoje domy. Samochody trąbiły bez przerwy, lawirując po pochyłych jezdniach. Kolorowe flagi i transparenty powiewały na wietrze, jaskrawe balony podrygiwały radośnie ponad wieżowcami. Ulice wyglądały wręcz niewiarygodnie czysto, niektóre domy były pobielone i miały na drzwiach noworoczne rymowane sentencje, wypisane świeżą czerwoną farbą. Połyskliwe wstęgi czyniły tę scenerię nieco nierealną. Wszyscy wydawali się wystrojeni w najlepsze rzeczy. Dzień przypominał święto.

Przez całe popołudnie i wieczór mój naturalny ojciec wychodził ze skóry, żeby zaspokoić moje potrzeby i dobrze mnie do siebie usposobić, a ja nie czułam się w najmniejszym stopniu wdzięczna. Jego tak zwana ojcowska miłość przyszła zbyt późno; już jej nie potrzebowałam. Z drugiej strony nie przeszkadzałam mu w staraniach.

– Chcesz pójść do kina? – zapytał, kiedy skończyliśmy jeść. - Twoja matka mówiła, że uwielbiasz książki, filmy i dobre jedzenie.

Bez wahania pokiwałam głową.

W kinie trafiliśmy na podwójny seans. Weszliśmy w połowie pierwszej projekcji. To był jakiś chiński film o wojnie z Kuomintangiem; na ekranie rozrywały się pociski, żołnierze atakowali przy dźwiękach sygnałówek. Po serii z karabinu maszynowego ziemię zaścielały trupy nieprzyjaciół. A śmierci każdego rewolucjonisty towarzyszyło kilka minut patetycznej muzyki oraz zawodzenie i okrzyki jego towarzyszy broni, zaprzysięgających zemstę.

Drugi, zagraniczny film był o jakimś statku pasażerskim, który uderzył w górę lodową i zatonął w lodowatej wodzie. Kiedy patrzyłam na ekran, on prawie nie odrywał ode mnie oczu. W końcu oznajmiłam, że mam już dość filmów i chcę wracać do domu. Spojrzał na zegarek. Jeszcze jest wcześnie, zauważył i dodał, żebym się nie martwiła, bo odwiezie mnie autobusem na przystań, przepłynie ze mną promem i odprowadzi do domu.

– Sądziłem, że chciałaś mnie zobaczyć – powiedział, nie doczekawszy się żadnej reakcji z mojej strony.

– Już cię zobaczyłam. Mama pewnie czeka w domu.

– Jesteś teraz pełnoletnia, więc sąd nie może mi zabronić się z tobą widywać. – Jego buńczuczny ton bardziej pasowałby do starszego brata niż do ojca.

Kiedy opuściliśmy kino, nalegał, żebyśmy poszli do parku Loquat, położonego najwyżej w mieście. Znaleźliśmy się w Pawilonie Czerwonej Gwiazdy i uznałam, że miał dobry pomysł. Nie było tu tak

wielu ludzi jak w sklepach na dole, a usadowione na wzgórzach miasto wyglądało stąd zupełnie inaczej. W oknach domów paliły się światła, ruch uliczny jeszcze nie zamarł; w ciemnościach widać było reflektory aut, które wyglądały jak świetliki i omiatały smugami światła zbocza wzgórz, oraz kontury miasta na tle nieba. Dwa rzędy latarni na moście nad Jangcy pięły się świetlnym łukiem na Południowy Brzeg. Reflektory statków odbijały się w spokojnych wodach obu rzek, a gdy ich powierzchnię marszczył łagodny wiatr, migotały niczym światła rampy.

6

Tamtego wieczoru mój naturalny ojciec bardzo dużo mi opowiedział. Słuchając go, trzymałam się w pewnej odległości i cały czas przyciskałam do siebie paczkę z niebieskim materiałem. On z kolei usiłował zmniejszyć dystans między nami i wytworzyć intymną atmosferę, ale nie posunął się do tego, by przygarnąć mnie ramieniem. Kiedy siedzieliśmy na kamiennej ławce w zacisznym kącie, cały czas próbował przysunąć się bliżej, ja jednak pilnowałam dzielącej nas odległości, niwecząc jego wysiłki, aż w końcu ich zaniechał. Odór alkoholu w oddechu nie był mocny, wyczułam natomiast siarkowe mydło. Szczerze mówiąc, nie raził mnie ten zapach; może nie był przyjemny, ale kojarzył się z czystością. Na nasze spotkanie obciął paznokcie; podobnie jak ja miał długie i szczupłe palce, a wierzch dłoni pokrywały blizny. Przerzedzone czarne włosy były przyprószone siwizną. Jak to możliwe, że wyglądał tak staro, mając zaledwie czterdzieści trzy lata? Natomiast jego głos był mocny i dźwięczny, więc jeśli się go słuchało, nie patrząc na niego, wydawał się znacznie młodszy.

Kiedy matka go zostawiła, znalazł sobie chłopkę z pobliskiej wioski, bo postanowił założyć rodzinę. Przed ślubem po raz ostatni udał się do miejsca pracy matki. Ponieważ nie chciała go widzieć, rozmawiali przez drzwi. Wyznaczył miejsce i datę, oznajmiając, że musi zobaczyć swoją córkę, zanim wyjedzie z miasta i osiądzie na wsi jako chłopski zięć. Zostawił przed drzwiami świeżo upraną moskitierę i woreczek z żywnością.

Matka wzięła dwuletnią córkę na plecy i po kamiennych stopniach wspięła się wysoko na wzgórze nad przystanią promową. Czekał przy nieużywanym torze kolejki linowej w pobliżu Niebiańskich Wrót. To tam jej wyznał, że znalazł sobie dziewczynę ze wsi. Żadne z niej cudo, ale jest uczciwa i porządna. Dawał w ten sposób jasno do zrozumienia, że jeśli matka nadal żywi do niego jakieś uczucia, wystarczy jedno słowo i odwoła ślub, na co ona stwierdziła, że to dobra wiadomość i że ma nadzieję, iż ułoży sobie życie. Potem podziękowała mu za moskitierę oraz jedzenie i chciała odejść, a wtedy on przytrzymał ją za rękę i poprosił, żeby poszła z nim do domu na ulicy Nowego Narodu.

Matka odmówiła i rozwiązała pasek podtrzymujący tobołek z dzieckiem.

– Twierdziłeś, że chcesz zobaczyć swoją córkę. Proszę bardzo, oto ona, napatrz się do woli. Najlepiej zabierz ją ze sobą, wtedy przynajmniej nie będziesz mnie musiał prosić, żebym ci ją znowu pokazała. – Podała mu dziecko, odwróciła się i odeszła, nie

spoglądając za siebie.

Dziecko uderzyło w płacz, gdy tylko je postawiła na podkładzie kolejowym. Mama! – wołało, raczkując za matką. Stał i patrzył na płaczącą córkę, nie wiedząc, co robić. W tym ruchliwym miejscu pełnym zgiełku, pośród zawodzenia okrętowych syren na rzece, matka słyszała wyłącznie żałosne, ciche kwilenie swej córeczki i biegiem po nią wróciła.

Uśmiechnął się, patrząc, jak gniewnie podrywa ją z ziemi.

– Widzisz, ona mnie nie chce. Wołała „mamo", nie „tato". Nie mógłbym jej wziąć, nawet gdybym chciał – stwierdził uszczypliwie. Posadził dziecko matce na plecy, z powrotem je owiązał i włożył mu na główkę nowiutki atłasowy czepeczek z flanelową podszewką. – Dobrze o nią dbaj. Jeszcze się zaziębi na tym porywistym wietrze.

– Nie martw się – powiedziała matka. – Żaden wiatr nie może zrobić jej krzywdy. Los jest dla niej zbyt twardy i bezwzględny, aby pozwolić jej umrzeć.

To było ostatnie spotkanie moich naturalnych rodziców. Rozpaczliwym łkaniem raz na zawsze przypieczętowałam swój los. Matka ponownie zrezygnowała z prawa wyboru, chociaż, szczerze mówiąc, wiedziała, że tak naprawdę przeznaczenie nie pozostawiło jej żadnego wyjścia. Zeszła po stopniach na przystań promową, ze mną na plecach. Ponieważ pora była sucha, w rzece ubyło wody, a piaszczyste łachy wzdłuż skalistych brzegów ciągnęły się aż po horyzont. Stopy matki zostawiały głębokie ślady na piasku, żwir wpadał do butów. Mocniej zacisnęła pas i pochylona brnęła pod wiatr, który sypał jej piaskiem w twarz i rozwiewał włosy. To była najostrzejsza zima, jaką pamiętała, mroźniejsza niż trzy kolejne zimy w czasie klęski głodu i bardziej przerażająca od tamtej, kiedy zmarł jej pierwszy mąż.

Mój naturalny ojciec przez długi czas stał u szczytu schodów, a podmuchy zimnego wiatru targały jego szczupłą sylwetką. Ponieważ coraz więcej ludzi kręciło się w pobliżu, zmierzając do autobusu albo na przystań, usunął się z widoku. Był zwykłym młodym człowiekiem, któremu brakowało w życiu miłości, dopóki nie poznał mojej matki. Spotkała go też z jej strony wdzięczność za uratowanie dzieci od śmierci głodowej. Prawdopodobnie nigdy przedtem nie czuł się ani doceniony, ani potrzebny, więc uległ magii miłości, z której nie potrafił się wyzwolić.

Kto to wie, dlaczego ludzie się kochają i nienawidzą? Miłość jest doznaniem zbyt osobistym, aby inni umieli ją zrozumieć. Weźmy na przykład mnie. Czy można wytłumaczyć moje potajemne zakochanie? Przypadła mi w udziale miłość zakazana, która w oczach postronnych była brudna i przynosiła wstyd.

Lecz nawet ja, która zawsze lekceważyłam zasady i reguły, nie

potrafiłam zrozumieć cudzołożnego związku moich rodziców. Kiedy w trójkę – ja, matka i mój naturalny ojciec – siedzieliśmy w herbaciarni, czuliśmy się wszyscy niezręcznie w tej wymuszonej sytuacji. Powołując mnie na świat, skazali na życie pełne cierpień, za które żadne z nich nie wzięło odpowiedzialności.

Kiedy opuściliśmy park Loquat i zeszliśmy na dół po stromych stopniach, wystrzeliły pod niebo fajerwerki, zmieniając budynki i drzewa wokół nas w rozmigotane cienie. Na miasto i na nasze głowy posypały się kolorowe gwiazdki jak deszcz dziwnych kwiatów prosto z nieba. Szliśmy w stronę skrzyżowania do stacji kolejki linowej pod rozjarzonym nieboskłonem. Sztuczne ognie wybuchały z ogłuszającym łoskotem.

– Nie życzę sobie, abyś dłużej za mną chodził – oznajmiłam. -I nie chcę cię więcej widzieć. – Ciągle nie mogłam im darować, że ułożyli wszystko za moimi plecami, przez tyle lat trzymając mnie w nieświadomości.

Twarz mu stężała, nie spodziewał się, że usłyszy coś takiego. Widziałam rozpacz w jego oczach, zupełnie jak u tamtych pasażerów na filmie, kiedy zdali sobie sprawę, że pójdą na dno razem ze statkiem.

Nie poruszyło mnie to. Zażądałam, by dał mi słowo.

Kiwnął głową na zgodę, patrząc gdzieś w bok.

Przy okienku biletowym zaproponował, że odprowadzi mnie na przystań. Powiedziałam, że nie, pojadę sama, więc wyczuł, iż nie ma sensu nalegać. Wmieszałam się w tłum pasażerów i przyciskając do siebie niebieski materiał, wybrałam miejsce na końcu wagonika. Wszystkie krzesełka były ustawione tyłem do jazdy, więc go widziałam; stał za barierką przy budce biletera. Kiedy kolejka powoli zjeżdżała z góry, pomachał do mnie. Miałam ochotę też mu pomachać, ale się powstrzymałam. I żeby go nie widzieć, a także ukryć przed nim twarz, odwróciłam się do okna i wbiłam wzrok w drewniane chaty w połowie wysokości wzgórza, gdzie światła w oknach pełgały i drżały, jakby za chwilę miały całkiem zgasnąć. Kolejka w mgnieniu oka znalazła się na dole. Wyjście ze stacji znajdowało się dokładnie naprzeciw głównego dworca, w którym wrzało jak w tyglu od zgiełku ludzkiej ciżby.

Matka jeszcze nie spała; czekała na mnie. Kiedy otworzyłam drzwi, z westchnieniem ulgi wróciła do łóżka. Stały pod nim buty ojca, który leżał odwrócony twarzą do ściany. Ogarnęła mnie chęć, żeby do niego podejść. Myślałam o tych wszystkich ciężkich latach, które przeszliśmy razem – ojciec i ja. Zapragnęłam zarzucić mu ręce na szyję, znaleźć się w jego ramionach. Albo przynajmniej przyjrzeć mu się dokładnie. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek wnikliwie

przyjrzała się jego twarzy, tak jak na córkę przystało.

Matka odwróciła się na bok, zaskrzypiało łóżko. Ojciec musiał głęboko spać. Wyszłam do sieni, umyłam się po cichu, wylałam wodę na podwórko, a kiedy wróciłam, zastałam matkę siedzącą na łóżku.

– Idź, prześpij się trochę – powiedziała półgłosem.

Opuściłam pokój i z sieni weszłam na poddasze.

XVI

1

Od dawna miałam zwyczaj prowadzenia dziennika, robiłam w nim zapiski, których następnego dnia nie miałam już ochoty czytać. W moich oczach pisanie pamiętnika uchodzi za hobby ludzi słabych, wymagających pocieszenia. Jednak za każdym razem, gdy odkładałam dziennik, wracałam do niego po paru dniach i uzupełniałam wstecz.

Na poddaszu odnotowałam spotkanie z ojcem w dwóch linijkach: herbaciarnia, restauracja, kino, park Loąuat, kolejka linowa, dom, łóżko.

Taki lakoniczny zapis był całkiem naturalny, i to nie dlatego, że wielu ludzi nacierpiało się albo nawet straciło życie przez „reakcyjne" treści w swoich pamiętnikach; po prostu uznałam, iż moja rodzina nie powinna się dowiedzieć o tym spotkaniu. Zachowanie prywatności w naszym zatłoczonym mieszkaniu było niemożliwe. Co powiedziałby ojciec, gdyby się zorientował? A bracia i siostry? Co czułaby matka, gdyby wiedziała, jak go potraktowałam?

Lepiej unikać tego tematu. Poza tym szczegóły i tak szybko zatrą mi się w pamięci.

Kiedy następnego dnia zobaczyłam ojca, nie okazałam mu czułości ani się do niego nie odezwałam. Moja chwilowa potrzeba przeminęła. Sen jest takim dziwnym procesem, przypomina śmierć i zmartwychwstanie, filtruje ból i cierpienie, studzi pragnienia i emocje. Zaniosłam niebieski materiał na dół, dałam go matce i zajęłam się swoimi sprawami. Całe moje rodzeństwo tkwiło w domu, bez przerwy na siebie wpadaliśmy. Prawie wszystkich sąsiadów w siedlisku odwiedzali krewni, więc hałas był szczególnie dokuczliwy. Widziałam, że matka jest na skraju wytrzymałości nerwowej, a zanim udało nam się zostać w pokoju bez świadków, minęło sporo czasu.

– Wybierzemy się na plac Przy Kamiennym Moście, jak tylko znajdę wolną chwilę – powiedziała. – Uszyjesz sobie bluzkę z tego niebieskiego materiału.

– Kupił go dla ciebie.

– Nie oszukasz mnie, już ja wiem swoje.

Nie odpowiedziałam, koncentrując się na obieraniu czosnku.

– Czy on cię dobrze traktował? – Kiedy mówiła o moim naturalnym ojcu, nieodmiennie używała zaimka „on". Na pewno wiedziała, jak się do mnie odniósł, a spytała tylko po to, abym potwierdziła, że akceptuję go jako ojca. Wreszcie miałaby kogoś, z kim mogłaby rozmawiać o człowieku, którego kochała. Wpatrywała się we mnie z napięciem, czekając, co powiem.

– Nieźle – zbyłam ją nonszalancką odpowiedzią. A dlaczego by nie? Wiedziałam, który z ojców jest ważniejszy: ten, co mnie spłodził,

czy ten, który wychował.

Matka przez chwilę usiłowała sprawiać wrażenie osoby bardzo zajętej, po czym oświadczyła, że zmieniła zdanie: nie pójdziemy do krawcowej, bo to za drogo, a i usługa pewnie też nie najwyższej jakości. Zapaliła światło, pozdejmowała wszystko ze stołu, rozpostarła na nim materiał i spryskała go wodą. Kiedy przyniosła nożyczki, centymetr i kredę, uznała, że blat stołu jest za mały, więc przeniosła materiał na łóżko.

Zdjęła mi miarę i zapytała, czy wolę bluzkę, czy wdzianko, które mogłabym wkładać pod watowaną kufajkę. Lato już minęło. Zanim zdążyłam otworzyć usta, stwierdziła, że uszyje mi wdzianko na zimę. Znowu stała się tą samą, dawną matką, dla której zdanie córki się nie liczy.

– Pewnie nie wiesz – mówiła, znacząc materiał kredą – że on obiecał w sądzie przekazywać osiemnaście juanów miesięcznie na utrzymanie dziecka i robił to regularnie każdego miesiąca aż do twoich osiemnastych urodzin. Kiedy Druga Siostra została nauczycielką, zaczął wysyłać alimenty do szkoły, ale jej koledzy z pracy okazali się równie wścibscy jak nasi sąsiedzi i ciągle się dopytywali, co to za pieniądze, więc żeby uniknąć kłopotów, wysyłał je potem do swojej matki, czyli twojej babki, a ja chodziłam do niej za rzekę i je odbierałam. To dobra, przyzwoita kobieta. Za każdym razem zatrzymywała mnie na obiad. Mówiła, że jej syn urodził się pod nieszczęśliwą gwiazdą, bo odebrano mu prawo do własnej córki. A jaka kobieta z miasta chciałaby za męża takiego nędzarza? Dlatego musiał ożenić się z chłopką.

Matka nie widziała go przez te wszystkie lata, ale dowiadywała się tego i owego o jego życiu od mojej babki. Świadomość, że mieszka tak blisko niego, a przy tym musi udawać, że on w ogóle nie istnieje, zapewne doprowadzała ją do szaleństwa.

– Nigdy nie poprosił o spotkanie z tobą, bo wiedział, że wielu ludzi patrzy na nieślubne dziecko jak na odmieńca – opowiadała matka. – Nasze zakłamane społeczeństwo nie dałoby ci spokoju i nie wzruszyłyby go twoje łzy.

Ponieważ cały czas milczałam, matka ciągnęła dalej:

– Mała Szóstko, nie wyobrażasz sobie, jakie on miał nędzne życie. Niemniej te osiemnaście juanów każdego miesiąca nie tylko pozwoliło cię utrzymać, ale także stanowiło ogromną pomoc dla całej rodziny.

2

Czy część tych pieniędzy nie powinna pójść na moje czesne? - miałam na końcu języka, ale się powstrzymałam.

Słowa matki mnie nie wzruszyły. Jako naturalny ojciec miał obowiązek łożyć na moje utrzymanie. A ty korzystałaś z pieniędzy, które ci dawał, nawet mi o tym nie mówiąc, wyrzucałam jej w myślach. Żyłam tu z wami pod jednym dachem przez te wszystkie lata, ale nie jesteście dla mnie rodziną. Nie należę do was i już nigdy nikomu tu nie zaufam.

Matka sporo mi opowiedziała o ojcu i jego żonie, chłopce, o dwóch synach, czyli moich przyrodnich braciach, których nie widziałam na oczy, o babce, a także o różnych innych sprawach. Wcale nie byłam zachwycona, że nagle tyle ludzi pojawiło się w moim i tak już pełnym chaosu życiu.

On przez cały czas mieszkał w hotelu robotniczym, a do domu jeździł raz na tydzień albo na dwa. Nie dość, że odmawiał sobie wszystkiego, to jeszcze woził na wieś dla świń odpadki z zakładowej stołówki. Pakował je w plastikowe worki, żeby nic nie wykapało, potem w wiadra, i tkwił godzinami na poboczu szosy, aż ulitował się nad nim jakiś kierowca ciężarówki. Zdarzało się, że spotykały go tylko zniewagi: „Ty smoluchu, zjeżdżaj stąd z tymi pomyjami!" Szedł wtedy pieszo dwanaście kilometrów do domu.

W domu wykonywał wszystkie prace polowe: orał, siał i nawoził. Synowie chodzili zrywać ostrą górską trawę, którą razem z żoną ciął drobno i mieszał ze zlewkami. Świnie jadły chętnie, ale słabo przyrastały na wadze. Pod koniec roku, kiedy były dostatecznie utuczone, odstawiał je do rzeźni, a zarobione pieniądze musiały starczyć rodzinie na utrzymanie przez następny rok, z czesnym i ubraniami dla chłopców włącznie. Nawet późnym wieczorem widywano go nad stawem, jak płukał warzywa, które na drugi dzień sprzedawał na targu za parę fenów.

Matka dopiero jakieś dwa lata temu dowiedziała się, jak marnie mu się wiedzie, i przestała przychodzić do babki po alimenty.

– Za dawnych lat, kiedy ubrał się w miarę porządnie, paradował przede mną i pytał, czy wygląda na młodego dziedzica. Śmiałam się z jego udawanej próżności i zwracałam mu uwagę, że czasy bogaczy minęły – wspominała ze smutkiem matka. – A jednak obojętnie jak mu było ciężko, miesiąc w miesiąc przysyłał te osiemnaście juanów, chociaż to prawie połowa jego zarobków!

– Nie wierzę ci – oznajmiłam. – W ani jedno słowo. – Pod moim protestem kryła się jedna myśl: choćby nawet był najlepszym człowiekiem, nie masz prawa okazywać tyle współczucia dla cudzego

męża i ojca. I nie wzruszysz mnie. W moim sercu jest miejsce wyłącznie dla tego ojca, którego znam od lat i który traktuje mnie lepiej niż ty czy ktokolwiek inny w tej rodzinie. – Powinnaś na zawsze wyrzucić go z myśli. Ten człowiek nie ma nic wspólnego z naszą rodziną – powiedziałam bez ogródek.

Moje stwierdzenie musiało ją zaskoczyć, bo zaniemówiła.

– Więc jego też nienawidzisz, Mała Szóstko. Sądziłam, że tylko mnie darzysz nienawiścią.

Zmięła rękaw, który wykroiła z materiału, i usiadła ciężko na łóżku, kręcąc głową ze zmartwienia.

3

Zeszłam z Dużą Siostrą na przystań, gdzie zatrzymałyśmy się na skalnym występie, żeby poczekać na prom.

– Chcę cię o coś zapytać – zaczęła – ale musisz mi szczerze odpowiedzieć. Czy mama wzięła cię na spotkanie z Sunem?

Kompletnie zaskoczyła mnie tym pytaniem.

– Wiedziałam. Wyszłyśrie z domu razem, a potem wróciłaś z tym ładnym materiałem. To nie mogło być nic innego. Prawie dwadzieścia łat trzymała się od niego z daleka, ale go nie zapomniała. – Zaśmiała się ze złośliwą satysfakcją. – No i co tam u mego słychać?

– To ja chciałam się z nim zobaczyć – odpowiedziałam obojętnie. – Jest żonaty i ma dzieci.

– Musi nadal mnie nienawidzić za to, co zrobiłam przed laty.

– Nie wspominał o tobie.

Duża Siostra miała koszyk przytroczony do pleców. Spakowała do niego „parę niezbędnych rzeczy". Zawsze zjawiała się w domu z pustymi rękami, a opuszczała go obładowana. Aż dziw, że cokolwiek zostawało po jej wizytach. Poprawiła pasek od koszyka, wpatrując się we mnie nieruchomym wzrokiem.

– Nie broń go – powiedziała. -1 zawsze pamiętaj, że wychowałaś się w tej rodzinie. Trzymamy się razem i wzajemnie sobie pomagamy. Gdyby nie my, już dawno byś nie żyła. Kiedy miałaś dwa lata, zrobiła ci się ogromna przepuklina na brzuchu i nie umarłaś tylko dlatego, że Druga Siostra i ojciec się tobą zajęli.

Najstarsza córka Dużej Siostry, zaledwie sześć lat młodsza ode mnie, była za ciężka, bym mogła ją wziąć na ręce. Niemniej spróbowałam, chcąc zyskać przychylność Dużej Siostry. A ona mi ją wyrwała, sądząc, że mam złe zamiary. Nawet ta siostrzeniczka wiedziała, gdzie jest moje miejsce w rodzinie, bo ilekroć przewróciła miotłę, stłukła miseczkę czy coś zbroiła, zrzucała winę na mnie. A ponieważ dziadkowie jej dawali wiarę, ja ponosiłam karę.

– Nie opowiadaj mi tych bzdur! Nawet twoja córka wie, że można mną pomiatać – rzuciłam jej w twarz, nie dbając, że mogę zranić jej uczucia. – Nie zapominaj, że matka sprzedawała własną krew, żeby kupować dla ciebie kurczaki, kiedy leżałaś w połogu.

– I po to właśnie jest rodzina. Rodzice wychowują dzieci, a potem one dbają o rodziców. Czyżbyś tego nie wiedziała?! – Podniosła głos, ale kiedy spojrzała na moją ponurą minę, opamiętała się. Nigdy celowo nie starałam się nikogo skłócić, a jeśli ludzie na mnie krzyczeli, po prostu zamykałam się w sobie. Nie potrafiłam się postawić, za bardzo to przeżywałam.

Prom ruszył z przeciwległego brzegu. Wody w rzece nieco ubyło,

odsłoniło się kilka stopni, ale piaszczyste nadbrzeże nadal było pod wodą.

Duża Siostra wzięła ode mnie torbę, którą pomogłam jej nieść, ale zażyczyła sobie, abym odprowadziła ją aż na przystań, gdzie wysiadali pasażerowie. Możesz odejść, jak wejdę na pokład, zadecydowała, po czym skierowała rozmowę na własne sprawy. Jak tylko wróci do domu, będzie się domagać od drugiego męża swojej części dobytku, choćby to miał być garnek czy miseczka na ryż. Postanowiła, że tym razem nie ustąpi w walce.

Miałam już dość „walk" Dużej Siostry i chciałam ją odwieść od tego zamiaru, ale nie dała mi szansy. Oznajmiła, że postanowiła zamieszkać w mieście na dziko.

– Nie bój się – powiedziała, biorąc mnie za rękę. – Jedziemy w rodzinie na tym samym wózku. Musimy się trzymać razem. Ja nikomu nie zdradzę twoich sekretów, a ty nie mów o moich. Zgoda?

4

W drodze do domu zastanawiałam się nad tym, co powiedziała Duża Siostra. Mimo pewnego podobieństwa nasza sytuacja bardzo się różniła. Zanim tamtego wieczoru zdążyłam przemyśleć wszystko do końca, wywołała mnie z domu Czwarta Siostra i zaprowadziła na pusty plac w pobliżu Siedliska Numer Sześć. Kiedy się tam znalazłyśmy, ku swemu zdumieniu zobaczyłam wszystkie siostry i braci oraz ich mężów i żony, brakowało jedynie rodziców, no i Dużej Siostry. W słabym świetle latarni nie widziałam wyraźnie ich twarzy, ale poznałam, że kipią gniewem.

Usiadłam na niskim stołeczku i przypomniały mi się szkolne czasy, kiedy stawałam się jedynym celem ataków kolegów z klasy, podobnie jak to miało miejsce na zebraniach w okresie rewolucji kulturalnej, podczas których masy oskarżały jednego biednego delikwenta. Tyle że mnie osaczyła własna rodzina. Co ja takiego zrobiłam?

Pierwszy przemówił Trzeci Brat, czyli najstarszy syn, i od razu stało się jasne, że Duża Siostra przed wyjazdem mnie wydała. Powiedziała im wszystko, powtórzyła nawet pytania, jakie jej zadałam na temat rodziny, i przy okazji dodała co nieco od siebie. A więc to, co mówiła, zanim weszła na prom, stanowiło nie tyle jej własny sąd, ile opinię rodziny. Powinnam wiedzieć, że należy do tego rodzaju ludzi, którzy czują się nieszczęśliwi, dopóki nie wywołają zamieszania. Gdyby za rządów komunistów w jej własnym życiu i życiu całej rodziny nie zapanował chaos, byłaby nie-ukontentowana.

– Wybieraj! W której rodzinie chcesz być?

– Jadłaś nasze jedzenie, nosiłaś nasze rzeczy, a w dodatku odejmowałaś nam od ust to, co nam się należało. Jeśli chcesz, możesz odejść, ale masz uregulować rachunki za wszystkie te lata spędzone w naszym domu, z czynszem, wydatkami na lekarzy i opłatą za naukę włącznie!

– Nie zrobiliśmy ci nic złego, a mimo to miałaś czelność spotkać się z tym człowiekiem. Ile się z twojego powodu wycierpieliśmy, ile wstydu najedliśmy przez te wszystkie lata!

– Wychowaliśmy cię, a teraz, kiedy jesteś dorosła, chcesz najzwyczajniej w świecie odejść, tak?!

– Posłuchajmy, co ona ma do powiedzenia – odezwała się Druga Siostra, która dotąd nie zabierała głosu.

– A co mam powiedzieć? – Udawałam, że nie wiem, o co im chodzi, tak jak to robiłam podczas nagonek w szkole. Ale tym razem naprawdę miałam pustkę w głowie. I chociaż wszystkie zarzuty były bezpodstawne, nie potrafiłam ich podważyć.

– Czy on chce, żebyś od nas odeszła i zamieszkała u niego?

– No, powiedz coś!

Usiłowałam wstać, ale Trzeci Brat pchnął mnie z powrotem na stołek. Nie ustąpią, dopóki tego nie wyjaśnią. Wbiłam wzrok w dzieciaki z piłką idące przez ulicę.

Nie lubiłam mojej rodziny, ale inne rodziny też mi się nie podobały. Nie obchodziło mnie, kto, co i komu zawdzięcza, po prostu chciałam, żeby dali mi spokój.

– Nie odchodzę z domu – odpowiedziałam stanowczo, odwracając się do nich. -1 nie myślcie, że uda się wam mnie wypędzić. To jedyny dom, jaki mam.

Wyraźnie zbiłam ich z tropu. Zapomnieli języka w gębie. Spodziewali się, że zasypię ich pretensjami, i w ogóle nie przyszło im na myśl, że mogę nie chcieć zerwać więzów z rodziną. Nie wspomniałam też o alimentach, które dawał mój naturalny ojciec, chociaż oni cały czas mówili o pieniądzach. Ludzie są dziwni: nie potrafią zapomnieć o wyrządzonych im krzywdach, lecz za to łatwo zapominają o dobrodziejstwach, jakie ich spotkały. Owszem, do pewnego stopnia mieli prawo obwiniać mnie o swoje cierpienia, bo to moja obecność sprawiła, że chodzili głodni w czasie klęski, no i wstydzili się przed sąsiadami, że mają w rodzinie bękarta; musieli kłaść uszy po sobie i przemykać się chyłkiem. Wolałam więc uznać, że mam wobec tej rodziny emocjonalny dług, którego nigdy nie spłacę.

– No dobrze. – W końcu Trzeci Brat przerwał milczenie. – Nie powiesz mamie, co tu się dzisiaj wydarzyło, ani nie dasz ojcu do zrozumienia, że wiesz o swoim pochodzeniu. Zrozumiałaś?

– Zrozumiałam. – Kiwnęłam głową. – Dlaczego miałoby mi zależeć na tym, żeby zrobić przykrość tacie?

Miałam ochotę krzyczeć. Dać upust oburzeniu, że tak paskudnie mnie potraktowali. Jednak nie powiedziałam ani słowa więcej. Siedziałam i patrzyłam, jak się oddalają, mrucząc pod nosem groźby. Zawsze się bałam mego rodzeństwa, tak samo jak bałam się nauczycieli w szkole. Nigdy się nie przeciwstawiałam, robiłam, co chcieli, schodziłam z drogi i najchętniej zaszywałam się w jakimś kącie, żeby mnie nie widziano.

Kiedy odeszli, zabierając ze sobą stołki, zostałam sama; kręciło mi się w głowie i dzwoniło w uszach, jakby tuż obok biły o siebie metalowe pręty

W końcu wstałam, wzięłam stołek i powlokłam się do domu. A potem nagle, ni z tego, ni z owego, rzuciłam stołek i jak mała dziewczynka zaczęłam biec przed siebie, najpierw po stopniach na aleję Szkoły Średniej, a stamtąd na zarośnięty chwastami plac zabaw. Biegłam tak aż na sam szczyt wzgórza, gdzie było ciemno i zupełnie pusto. Wreszcie, wyczerpana, przystanęłam i żeby nie upaść, oparłam

się o pień drzewa. Patrzyłam w ponurą czeluść zapomnianego schronu przeciwlotniczego. Czyż nie szeptano dokoła, że ludzie z Kuomintangu zakopali w bunkrach materiały wybuchowe? To znaczy, że całe miasto jest jedną wielką tykającą bombą zegarową. Dlaczego akurat teraz nie wybuchnie? Dlaczego raz na zawsze nie zniknie z powierzchni ziemi?

XVII

1

Po przejściach z rodzeństwem przez kilka dni nie czułam się na siłach, aby pójść do szkoły. Bolała mnie głowa, miałam stan podgorączkowy i byłam ogólnie osłabiona. Matka traktowała mnie serdecznie jak nigdy dotąd. Natomiast ja nie miałam ochoty okazywać sympatii nikomu z rodziny. Wszyscy mieli twarze powykrzywiane i zniekształcone, zupełnie jak domy na naszej ulicy. I wszyscy udawali, że nic się nie stało. Sąsiedzi, tak samo jak zawsze, obrzucali się wyzwiskami i kłócili z byle powodu, ganiając po ulicy. Wszystko to działo się jakby poza mną; ich radości i zgryzoty w ogóle mnie nie obchodziły. Nadal wykonywałam swoje domowe obowiązki i każdy po kolei się mną wysługiwał, a kiedy tylko miałam okazję, zaszywałam się na poddaszu, nie chcąc nikogo widzieć.

Tamtego dnia poszłam z koszem śmieci do wysypiska na zboczu. W drodze powrotnej natknęłam się na koleżankę ze szkoły.

– Jesteś chora? – zapytała. – Dlaczego nie przychodzisz na lekcje?

– Na lekcje? – powtórzyłam. Mój głos był cichy i zachrypnięty.

– Tak, na lekcje. – W normalnych okolicznościach nie poświęciłaby mi chwili uwagi, więc rzeczywiście musiała myśleć, że jestem chora, skoro nagle zrobiła się taka rozmowna. – Nie zamierzasz podchodzić do egzaminów wstępnych?

Popatrzyłam na nią bezmyślnie. Zupełnie zapomniałam o egzaminach. Uśmiechnęła się, pokazując rząd krzywych zębów. A potem nagle uśmiech znikł z jej twarzy, jakby sobie o czymś przypomniała.

– To pewnie nie wiesz, że nauczyciel historii nie żyje.

– Co powiedziałaś?!

– Nie bierz sobie tego tak do serca. Popełnił samobójstwo - uspokajała mnie, przestraszona moją reakcją.

2

Cisnęłam koszyk na ziemię i pobiegłam do szkoły.

Tamte dni należały do najdziwniejszych w całym moim życiu. Działo się tak wiele rzeczy, wydarzenie goniło wydarzenie, z przytępionym umysłem poruszałam się jak we śnie. Osoba nauczyciela historii zdążyła zatrzeć mi się w pamięci, chociaż minęło zaledwie kilka dni; moja niedawna obsesja na jego punkcie wydawała się niczym innym, jak erotyczną fantazją. A teraz nagle obraz tego mężczyzny z pętlą zaciśniętą na szyi położył kres mej melancholii i wywołał kompletny zamęt w głowie.

Nie biegłam do szkoły, żeby usłyszeć potwierdzenie wiadomości. Wierzyłam, że koleżanka mówi prawdę, a kiedy prześledziłam w myślach wszystkie wypowiedzi nauczyciela, zrozumiałam, że powinnam była przewidzieć, iż prędzej czy później musi do tego dojść. Od dłuższego czasu myślał o odebraniu sobie życia.

Sznur zaniósł do kuchni; nie chciał, żeby córka go zobaczyła, kiedy się ocknie ze snu. Wisielec stanowi przerażający widok: wysunięty język, bolesny grymas ust, wywrócone gałki oczne, prącie we wzwodzie, kał i mocz na ubraniu. Nie chciał, aby taki widok zranił jej wrażliwe serce. Więc pchnął drzwi do kuchni, przerzucił ów fatalny sznur przez belkę, wszedł na stołek i zawiązał pętlę na sznurze. A potem zacisnął węzeł, wsunął głowę w pętlę i kopnięciem wypchnął stołek. Jedno szarpnięcie – i zawisł w powietrzu.

Jego ciałem wstrząsnęły konwulsje, spazmatycznie podkurczył i wyprostował nogi, a palce instynktownie wpiły się w pętlę. Sznur zakołysał się pod ciężarem ciała, zaskrzypiała belka, ręce opadły bezwładnie wzdłuż tułowia, zwiotczał i znieruchomiał na zawsze.

Zobaczyłam to wszystko, zobaczyłam ciebie zastygłego w bezruchu. I żadnego listu, do nikogo. Oczywiście nie myślę o sobie, ponieważ tak niewiele dla ciebie znaczyłam. W twoim tragicznym życiu byłam taką sobie zwykłą uczennicą, epizodem bez znaczenia.

Tak jest, bez znaczenia. Nawet nie chciałeś zobaczyć się ze mną po raz ostatni. A nawet gdybyś do mnie przyszedł, kiedy mój umysł trwał w otępieniu po szoku, jakim było poznanie tajemnicy narodzin, i tak nie potrafiłabym ci pomóc; mogłabym to uczynić dopiero po przezwyciężeniu apatii, bo przecież miałam świadomość, że wkrótce i tak cię zobaczę, chociażby na lekcji.

Analizując w myślach nasze spotkanie, musiałam przeoczyć chwilę, w której spotkały się nasze oczy i zespoliły dusze. Mogłabym wtedy dotrzeć do ciebie i zbudować między nami prawdziwą więź. Jeśliby nastąpiła taka chwila, czułabym się teraz znacznie spokojniejsza.

Tak, przyznaję, ja także ponoszę winę. Gdybym tylko poświęciła ci więcej uwagi, być może bym cię uratowała albo choć trochę pocieszyła przed śmiercią. Ale nie miałam dla ciebie czasu.

A z drugiej strony co dobrego dałoby ponowne spotkanie? Oczekiwałam od ciebie pocieszenia, kojącej pieszczoty, a ty szukałeś fizycznej podniety, żeby zagłuszyć cierpienie. Nie potrzebowałeś miłości, a przynajmniej nie takiej kłopotliwej, jaką ja ci ofiarowałam. Sam powiedziałeś, że jesteś skończonym draniem. Manipulowałeś mną od samego początku, podstępem zwabiłeś do łóżka, bo zależało ci jedynie na łatwym fizycznym zaspokojeniu z własną uczennicą.

I ty, i ja jesteśmy egoistami. Między nami nie było miłości, tak samo jak nie ma jej w mojej rodzinie. Odtąd każdy żyje dla siebie.

Przystanęłam w drzwiach dobrze mi znanego biura. Jak zawsze na biurkach piętrzyły się zeszyty i gazety. O tej porze powinni tu siedzieć nauczyciele, a łącznicy znosić zeszyty; tymczasem nie było żywej duszy i tylko od czasu do czasu zaskrzypiała podłoga na korytarzu.

Podeszłam do biurka nauczyciela historii; nawet bez szklanek, zeszytów, podręczników, pudełka z kredą i innych drobiazgów to było wciąż to samo biurko. Podobnie zresztą jak czyste, porządnie ustawione krzesło, na którym przysiadłam.

Szuflada nie była zamknięta na klucz. A wewnątrz leżały jedynie czyste arkusze papieru. Żadnych piór czy podręczników, nic, tylko równo poukładane kartki. Przejrzałam je, ale nie znalazłam żadnych poetycznych wynurzeń ani, naturalnie, listu do mnie. Trzeba być nietuzinkowym człowiekiem, żeby opuścić ten świat, nie zostawiając dla nikogo ani słowa. Najprawdopodobniej przed śmiercią zrobił porządek w szufladzie.

Przypomniałam sobie, jak mówił o swym zainteresowaniu polityką: „Gazety są mostami do moich najskrytszych myśli”. Więc jeśli chciałam zrozumieć, dlaczego popełnił samobójstwo, być może podpowiedz kryła się w gazetach. Później rzeczywiście udałam się do biblioteki, gdzie odkryłam, że jakiś czas wcześniej, zanim popełnił samobójstwo, gazety donosiły o nasilającej się fali represji wobec „osobników, którzy brali udział w zamieszkach, dewastacji oraz grabieży podczas rewolucji kulturalnej” w Suczou i Szanghaju. Organizatorów rozruchów zbrojnych skazywano na karę śmierci. W „Dzienniku Ludowym” z piątego września przytoczono przemówienie przewodniczącego Sądu Najwyższego, wzywające do bezzwłocznego ukarania morderców, podpalaczy, gwałcicieli i paserów z okresu rewolucji. A nieco później, na początku października, prasa w całym kraju dowodziła, że program czterech modernizacji tylko wtedy przyniesie oczekiwany skutek, jeśli zostanie przeprowadzony w

kontekście socjalistycznej demokracji ze zdrowym systemem prawnym, czyli w praworządnym państwie.

Naturalnie celem samym w sobie było utrzymanie władzy i każde prawo się do tego nadawało.

Propaganda skruszyła jego wolę przetrwania. Czy postanowił skończyć ze sobą ze strachu przed więzieniem, czy dręczyły go wyrzuty sumienia? Ogarnęło go rozczarowanie czy też miał jakieś poważniejszy powód? Nie wiedziałam i nie było sposobu, abym się mogła dowiedzieć. On z kolei nie musiał się już niczym przejmować.

Nienawidziłam go. Oszukał mnie, otumanił. Dlaczego miałam żałować człowieka, który rozumiał mechanizmy społeczne, życie i historię, a wybrał najbanalniejsze rozwiązanie, aby uwolnić się spod ich presji? Jego wiedza i doświadczenie pomogły mi zrozumieć problemy, jakie mnie nurtowały, ale jemu samemu nie dały siły przetrwania.

Może jestem niesprawiedliwa i kalam jego pamięć. Przez wszystkie lata rządów Partii Komunistycznej spadło na niego i jego rodzinę wiele nieszczęść. Być może, mimo wszystko, jedynie działalność buntownicza podczas rewolucji kulturalnej dała mu możliwość sterowania własnym życiem, co w efekcie doprowadziło do strasznych konsekwencji i wywołało jeszcze głębszą rozpacz. Śmierć młodszego brata i matki przyniosła druzgoczącą świadomość, że sam zniszczył własną rodzinę, i załamała go ta ironia losu.

Wróciłam myślami do naszej rozmowy o Yu Luoke, młodym człowieku, którego stracono za to, że odważył się mówić prawdę. Przerwał mi wtedy niegrzecznie w pół zdania. Jego oczy patrzyły z ożywieniem, ale czaił się w nich strach. Wtedy uznałam, że nie zasłużyłam na tę reprymendę, i długo nosiłam w sobie żal.

Jego spojrzenie na własny los cechował chorobliwy pesymizm, który niestety bardzo do mnie przemawiał. Dlatego ja, również skrajna pesymistka, tak łatwo wzięłam za miłość to, co naprawdę było współczuciem dla kogoś podobnego do mnie. To czyste i wzniosłe uczucie pomogło mi się wznieść ponad beznadzieję życia w slumsach. Przez kilka cudownych dni miałam wrażenie, że mi się poszczęściło, teraz wiedziałam, iż poniosłam klęskę.

Doznałam czegoś w rodzaju rozdwojenia jaźni, byłam jednocześnie dwiema osobami siedzącymi po obu stronach biurka. Mówiłam i słuchałam, od czasu do czasu rzucając jakąś uwagę, żeby zachęcić do rozmowy moje drugie „ja". Biuro stawało się przerażającym miejscem, kiedy panowała w nim cisza; w takiej chwili tysiącletni zmierzch zdawał się okrywać cały ten samotny świat.

Jego termos stał na dawnym miejscu przy biurku. Zza okna dochodził szkolny zgiełk. Uczniowie wychodzili z lekcji, na boisku

zawodnicy rozgrywali zacięty mecz koszykówki, goniąc za umykającą piłką. Życie toczyło się jak zawsze, dzień biegł za dniem i nikt nie miał poczucia straty tylko dlatego, że ubyła jedna osoba; nawet jego klasy przejął już inny nauczyciel historii. Na dobrą sprawę tylko ja jedna dostrzegłam, że świat zubożał, chociaż nadal świeciło słońce, a drzewa pozostały zielone.

Zapragnął odejść i odszedł w sposób, jaki sobie wybrał. Niech i tak będzie. Miał prawo zadecydować o dopełnieniu losu, czyż nie?

Przytaknęłam sama sobie skinieniem głowy, a w moim sercu powoli wzbierała muzyka, jakby ktoś lekko trącał struny harfy; to była ta sama melodia, która płynęła z gramofonu tamtego dnia, gdy kochaliśmy się w jego domu.

Za oknem toczyła się bezkresna rzeka, promienie słońca kładły się plamami na mym nagim ciele. Z twarzą wtuloną w moje piersi, ssał brodawkę, delikatnie ją przygryzając. Oczami przepełnionymi wstydem i pragnieniem błagałam, by nie przestawał, by został. Położył rękę między moimi udami, jeszcze raz zbłądził płonącym palcem w wilgotne, gorące, wygłodzone miejsce i w jednej chwili otworzyłam się dla niego.

Nasze ciała stopiły się w jedno i nawet gdyby otaczała nas gromada patrzących z wyrzutem ludzi, nie chciałabym, żeby się ode mnie oderwał. Nie pamiętam już tytułu tamtego utworu, ale wiem, że jego smutne piękno pozwoliło mi dojrzeć dwa bliźniacze szczyty: radość i rozpacz, górujące nad nicością tego świata.

A potem przyszła refleksja, że nie zostawił wiadomości nie ze względu na konsekwenqe, jakie mogłyby z tego wyniknąć dla mnie i mojej reputacji, ale ponieważ wiedział, że niewiele znaczyłam w jego życiu, podobnie jak on w moim, i że jego obowiązkiem było mi to uświadomić tym milczącym pożegnaniem.

Tamtego wieczoru poszłam samotnie na brzeg rzeki i podarłam na strzępy wszystkie zapiski w moim pamiętniku, które w jakikolwiek sposób wiązały się z jego osobą, a potem wrzuciłam je do rzeki i pozwoliłam im odpłynąć z prądem.

Według lokalnego przesądu dusze wisielców zmieniają się w upiory, które nie podlegają wędrówce dusz ani reinkarnacji i nigdy nie trafiają do raju. Inne wierzenie mówi, że wszystkie rzeki prowadzą do podziemnego świata. Więc skoro cierpiał za żyda, teraz też cierpi. Jeśli rzeka rzeczywiście płynie do podziemnego świata i zaniesie mu te kartki, których nigdy nie miał okazji przeczytać, to czy i tym razem on powie: „Kiedyś zrozumiesz”?

3

W ciągu dwóch tygodni mężczyzna, który dawno temu zniknął z mego życia, pojawił się na nowo, a drugi, który w nim na chwilę zagościł, zniknął na dobre, jak gdyby moje życie było trawnikiem, po którym można deptać do woli.

Właśnie wtedy podjęłam decyzję o opuszczeniu domu.

Wiedziałam, że pcha mnie do tego skłonność do ucieczki od rzeczywistości, ta przypadłość ludzi słabych, ale kiedy patrzyłam na stłoczone rudery na zboczu wzgórza i sznurki mdłych świateł latarni, czułam, że tylko dzięki ucieczce mam szansę odzyskać spokój.

Prom stał przy przystani na przeciwległym brzegu, ociągając się z przepłynięciem rzeki. Tłum pasażerów gęstniał, a ja, ukryta w kącie, nie wiedziałam, dokąd się wybieram, jak sobie poradzę i czego właściwie szukam. Moim jedynym celem była ucieczka.

W plecaku miałam kilka książek i trochę rzeczy na zmianę. Powtarzałam sobie z uporem, że w tej chwili muszę skoncentrować się wyłącznie na przepłynięciu rzeki. Ta myśl działała na mnie kojąco. Przysłuchiwałam się rozmowie stojącej obok pary.

– Słyszałaś? Dwóch więźniów próbowało zbiec z obozu pracy.

– To nie pierwszy taki przypadek. Ale ci dwaj nie uszli zbyt daleko, zagnano ich do domu strażnika, a tam znaleźli siekierę i rzucili się na tych, co ich ścigali.

– Wcale tak nie było. Oni tam poszli z zamiarem zabicia strażnika i nawet podnieśli rękę na jego dzieci.

– Złapano ich?

– A jak myślisz? Rozłupano im czaszki, zanim się zorientowali, skąd padły ciosy.

– Może strażnicy zaczną lepiej traktować więźniów.

– Teraz nie mogą im pobłażać. Powinni jeszcze mocniej przykręcić śrubę. „Łagodne traktowanie wroga stanowi zbrodnię wobec narodu". – Polityczny slogan gładko popłynął z ust mężczyzny.

Zarzucono cumy na żelazne pachoły, marynarz dał sygnał gwizdkiem. Gdy tylko pasażerowie opuścili prom, weszliśmy na pokład. Owa para rzuciła się w stronę wolnych miejsc, ani na chwilę nie przerywając rozmowy, lecz teraz zagłuszało ją rzężenie silnika.

Bure fale wywoływane przez przepływające parowce kołysały promem, pasażerowie z piskiem uciekali przed bryzgami wody, które chlustały na pokład. Stałam przy relingu, bo wszystkie miejsca w kabinie były pozajmowane i coraz więcej ludzi wciskało się do środka. O tej porze roku poziom wody powinien być niski, tymczasem rzeka pozostała wezbrana, zalewając błotniste nabrzeże aż do stóp wzniesienia. Woda obmywała kamienne stopnie, po których zeszłam

na przystań pontonową, i nie zamierzała ustąpić. Ludzie mówili, że nigdy nie widzieli rzeki tak rozszalałej. Pale ruder stojących wzdłuż brzegu były do połowy zanurzone w wodzie.

Podniesiono kotwicę, marynarz ponownie dał sygnał gwizdkiem, po czym wskoczył na rufę i wciągnął cumy.

Prom odbił od przystani, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył ku przeciwległemu brzegowi. Światła reflektorów ślizgały się po powierzchni, dziób pruł wodę jak nożyce, pozostawiając biały ślad; rozkołysana woda ginęła w ciemności poza kręgami światła.

4

Matka zawsze powtarzała, że trójka jest moją szczęśliwą cyfrą. W dialekcie syczuańskim słowa „trzy” oraz „wzgórze” mają identyczne brzmienie. Urodziłam się w roku Tygrysa, więc sprzyja mi szczęście w pobliżu gór, natomiast na równinie jestem zdana na łaskę wrogów. Mówiła również, że wróżbici zgodnie orzekli, iż układ moich ośmiu cyfr daty narodzin jest niekorzystny ze względu na przewagę pierwiastka yin i dlatego czeka mnie ciężki los, jeśli opuszczę góry. Kto wie, może chciała mnie zwyczajnie nastraszyć?

A ja zawsze lubiłam trójkę i jej wielokrotności. Jestem pewna, że istnieje jakiś magiczny związek między mną i tą cyfrą. Trzy szóstki to osiemnaście – jak moje osiemnaste urodziny, co było oczywistym znakiem, którego nie potrafiłam odczytać.

W związku z tym nasuwa mi się to samo nurtujące mnie od dawna pytanie: dlaczego kiedy miałam trzy lata, matka wybrała dla mnie Mandżusri na bóstwo opiekuńcze? Czyżby wiedziała, że moją udręką będzie nie tylko głód poznania, ale również nieumiejętność wyrwania się spod wpływu uzyskanej wiedzy?

Nikt nie znał mnie lepiej niż matka, więc musiało ją to martwić.

Pierwszą noc przespałam na ławce w zatłoczonej poczekalni na przystani parowców przy Niebiańskich Wrotach, a plecak posłużył mi za poduszkę. Wokół kręcili się podróżni objuczeni bagażami, a ja zwinęłam się w kłębek i gdy tylko przymknęłam powieki, przyśnił mi się taki sen… Szłam po rzece skutej lodem, lecz gdy znalazłam się na środku, lód zaczął topnieć i pękać z trzaskiem. Dookoła była jedynie bezkresna biel i ani żywej duszy. Na powierzchnię zaczęły wypływać zdechłe psy i koty… Czym prędzej otworzyłam oczy, żeby odpędzić od siebie tę scenę. Nie przeraziło mnie, że we śnie pojawią się zwłoki ludzi, których pochłonęła rzeka, tylko obleciał mnie strach, że rodzina może mnie wytropić.

Zrobiło się późno. Jeżeli jeszcze nie zauważyli mojej nieobecności, niewątpliwie odkryją ją jutro, a najdalej pojutrze. Jak to przyjmą? Matka obrzuci mnie przekleństwami. Będzie najbardziej rozczarowana ze wszystkich. Ojciec, który rzadko okazuje emocj uzna mój postępek za niewybaczalny i zacznie ubolewać, że na darmo mnie wychowywał. Czwarta Siostra i Dehua będą z upodobaniem opowiadać, jak to rodzice karmili i odziewali takiego niewdzięcznego bachora jak ja, a poza tym się ucieszą, iż wreszcie mają dla siebie całe poddasze i nikt im nie przeszkadza. Kto wie, może lepiej zacznie się im układać w małżeństwie, skoro wreszcie zyskają przestrzeń, której tak bardzo potrzebowali? Trzeci Brat, pierworodny syn, a zarazem samozwańcza głowa rodziny, wpadnie we wściekłość i oskarży mnie o

zdradę, a potem wyrzuci wszystkie moje rzeczy do rzeki; może nawet odszuka mego naturalnego ojca i zażąda, aby mnie oddał. Naturalny ojciec… człowiek, który musiał dzielić odpowiedzialność za moje narodziny, a którego nie mam zamiaru więcej oglądać. Żądanie, by przyrzekł, że przestanie za mną chodzić, już zraniło jego ojcowską dumę, a teraz nawet gdyby chciał, nie mógłby mnie śledzić.

No dalej, możecie się wszyscy pieklić, ile wam się żywnie podoba! Akurat się tym przejmuję.

Być może byłam zbyt małoduszna, aby obdarzyć kogokolwiek jakąś serdeczną myślą. Zresztą bez względu na to, czy moja nieobecność ich cieszyła, czy martwiła, i tak wkrótce do niej przywykną.

Dość, nakazałam sobie. Przestań się nimi przejmować. Czas rozejrzeć się za jakimś dachem nad głową. Po zmroku, kiedy w drodze do przystani promowej na alei Strumienia Kotów mijałam punkt skupu surowców wtórnych, zauważyłam nimfomankę na kamiennym mostku. Nawet w ciemnościach dostrzegłam, że była goła do pasa i wcale jej nie krępowało, iż przechodnie widzą nagie piersi. Twarz miała usmarowaną, tak samo jak ramiona i ręce, ale jej oczu nie zasnuwała mgła jak u większości szaleńców. Powiew wiatru od rzeki załopotał jej długimi, szerokimi spodniami. Czy ona nie marzła? Wiedziona impulsem, podeszłam i chciałam coś powiedzieć, a ona roześmiała się głośno, odsłaniając zęby.

Nie odpowiedziałam uśmiechem. Nie byłam w radosnym nastroju.

Ponieważ nie mogłam zasnąć na ławce, usiadłam i rozglądałam się dokoła. Na zaplutej podłodze leżały kawałki papieru; ławki i wszystkie miejsca pozajmowali przybysze z prowincji, którzy dzień żebrali na ulicach, a noce spędzali tutaj. W progu stanął żebrak z pozlepianą smarkami i flegmą siwą brodą, równie długą jak jego zmierzwione włosy.

– Pomóżcie biednemu człowiekowi, błagam – prosił.

Chociaż mógł mieć około czterdziestki, zwracał się do wszystkich mężczyzn „wujku”, a do kobiet „ciociu”, klękając przy tym przed nimi.

Widok tego żebraka przyprawił mnie o dreszcz. Czy tak zapowiada się moja przyszłość? Nagle poczułam strach, który jednak szybko przeminął. Poradzę sobie, pocieszałam się. Pójdę obojętnie z kim i nieważne, czy to będzie mężczyzna, czy kobieta, bo poznałam już sztukę uwodzenia. Może to nie jest coś, z czego można być dumnym, ale niewątpliwie wymaga odwagi.

Przy odrobinie szczęścia mogę spotkać się z życzliwością. Jeżeli nie, trudno. Mało to razy byłam źle traktowana? Najważniejsze, że zostawiłam za sobą mój dom na zboczu wzgórza po drugiej stronie rzeki i zerwałam wszelkie więzy z przeszłością. Tak jej miałam dość, że nie było ceny, której nie byłabym gotowa zapłacić za rozpoczęcie

nowego życia.

Głowa, ciężka od tych rozważań, co rusz opadała mi na ramiona. Zapatrzyłam się na brzęczącą muchę i w jednej chwili opuściły mnie wszystkie myśli. Osunęłam się na ławkę i nie wiadomo kiedy zasnęłam.

XVIII

1

Z każdym mijającym jesiennym dniem robiło się coraz chłodniej i zaczynałam zapadać na zdrowiu. Od dawna odczuwałam niedostatek snu, a teraz męczył mnie jeszcze brak apetytu i mdłości. Na sam widok tłustego jedzenia na przydrożnych straganach kręciło mi się w głowie i zbierało na wymioty. Nie miałam ochoty jeść, nawet kiedy byłam głodna, bo często wszystko zwracałam. Mogłam wmusić w siebie co najwyżej pół bułki na parze, popijając dużą ilością czystej wody. Po dwóch miesiącach została ze mnie sama skóra i kości.

Wiedziałam, że jeśli chcę przeżyć, potrzebuję pomocy, więc poszłam do lekarza, starszego człowieka, który zmierzył mi puls, zbadał mnie pobieżnie i zapytał, kiedy miałam ostatni okres. Jego biały kitel zamigotał mi przed oczami i tylko pokręciłam głową.

– Ile czasu? – Wyraz jego twarzy uległ gwałtownej przemianie; patrzył na mnie potępiająco, odchylając głowę w białym czepku tak mocno do tyłu, że wydawało się, iż jeszcze trochę, a pęknie mu szyja.

Pochyliłam głowę i liczyłam wstecz. Przeszło miesiąc. Nie, źle, ponad dwa miesiące temu. Żachnęłam się. Dotąd nie przeszło mi to przez myśl. Zdenerwowałam się i ogarnął mnie strach. Kropelki potu wystąpiły na czoło.

– Masz zaledwie osiemnaście lat? – zapytał, patrząc w moją kartę, i pokiwał głową. Chciał coś zanotować, ale się rozmyślił. Odłożył pióro i wypowiedział te straszne słowa.

Nie pamiętam, jak opuściłam gabinet. Minęłam bramę, zeszłam po stopniach i stanęłam bez ruchu na krawężniku. „Ciąża przedmałżeńska!" Już jako mała dziewczynka uczyłam się w szkole, że to najbardziej wstydliwy ze wszystkich grzechów, straszniejszy niż śmierć, i naprawdę pomyślałam, żeby się rzucić pod nadjeżdżający autobus. Przed przychodnią zahamowało auto i wysiadł z niego pacjent, a ja nawet nie drgnęłam. Nie rozpoznawałam swego odbicia w szybie, więc poszłam przyjrzeć się sobie w lustrze. Poszarzała cera, włosy w nieładzie, do tego wyraźnie przerzedzone, a zapadnięte oczy jak gdyby za duże w stosunku do twarzy. Nie wiem, czy był to objaw ciąży, czy czego innego, ale na policzkach miałam plamy. Tylko starzy ludzie takie mają. Nie mogłam znieść własnego widoku, więc się odwróciłam.

Nie, nie mogę umrzeć, muszę żyć. Nie mam prawa zakończyć życia, nie teraz, kiedy wytrzymałam to wszystko, co los mi dotąd zsyłał. Poza tym akurat zaczęło się krystalizować moje wyobrażenie o tym, jak miałoby wyglądać moje dalsze życie.

Byłam z nauczycielem historii tylko jeden raz i jestem w ciąży. Wystarczył mi jeden raz, żeby zajść.

To samo musiało się przytrafić mojej matce. Jedno zbliżenie z mężczyzną – i od razu ciąża. Tak samo było z człowiekiem triady, tak samo z moim ojcem. Najwyraźniej odziedziczyłam po niej niewiarygodną płodność; chociaż kto wie, czy była to sprawa genów, czy może wspólna przypadłość wszystkich ubogich kobiet na świecie, jakiś rodzaj naturalnej kompensacji nędznej egzystencji? Czy głodne kobiety mają głodne macice? Matka z miejsca pomyślała o aborcji, ale tego nie zrobiła.

Co mi przyszło na myśl? Chciałam się pozbyć dziecka?

Już samo uświadomienie sobie tej myśli napawało mnie strachem. To było jego dziecko, może syn, miałam taką nadzieję – syn wyglądający zupełnie jak on: przeciętna powierzchowność, nic szczególnego, bez neurotycznego temperamentu artysty i bez skłonności do poezji czy malarstwa. Absolutnie nie chciałam, żeby był skażony karmą swojego ojca. Lepiej niech wzrasta jako przeciętny człowiek; im będzie zwyklejszy, tym większe prawdopodobieństwo, że będzie wiódł spokojne, szczęśliwe życie.

Jak ja, kobieta bez widoków na najskromniejsze środki zapewniające przetrwanie, nie wspominając już o poczuciu bezpieczeństwa i szczęściu, mogłam zagwarantować zdrowe i dobre życie dziecku, które nosiłam w brzuchu?

Kogo próbowałam oszukać? Jeżeli mam kiedykolwiek wyrwać się z nędzy, muszę zdecydowanie usuwać wszystkie przeszkody, jakie stają na mojej drodze. Natomiast jeśli postanowię zachować to dziecko, powinnam znaleźć mu ojca, czym prędzej założyć rodzinę i myśleć o tym, jak wiązać koniec z końcem. Naturalnie wszystkie moje plany i cała ciężka praca, żeby coś osiągnąć, obrócą się wniwecz. Zmarnuję sobie życie, a wszystko przez to dziecko.

Poza tym byłoby to jeszcze jedno dziecko pozbawione ojca i cała miłość na świecie nie scaliłaby jego rozbitego życia. Społeczeństwo traktowałoby je z takim samym okrucieństwem jak mnie, więc na podstawie własnych doświadczeń potrafiłam sobie wyobrazić, jak wyglądałby jego los. A potem nadszedłby taki dzień, kiedy musiałabym opowiedzieć mu o jego ojcu i o tym, co nas łączyło. Wtedy, tak samo jak ja, znienawidziłoby cały świat i wszystkich ludzi. Czym zawiniło to dziecko, by skazywać je na pełne cierpienia życie, które dla mnie okazało się nie do wytrzymania?

Kiedy podjęłam decyzję, niespodziewanie przyszło olśnienie, że od samego początku w osobie nauczyciela historii nie szukałam ani męża, ani kochanka, tylko ojca, którego tak naprawdę nigdy nie miałam – ojca, który byłby mi tak drogi jak kochanek, dostatecznie dojrzały, by mnie pocieszać i podnosić na duchu, odpowiednio inteligentny, żeby mną pokierować, i na tyle bliski, aby dzielić ze mną najskrytsze emocje, hołubić mnie, a czasem i pożałować. Dlatego nie

przeszkadzała mi różnica wieku. Rówieśnikami nigdy się nie interesowałam.

Zawiedli mnie wszyscy moi trzej „ojcowie”. Ten naturalny zapłacił wysoką cenę za to, co zrobił, a w zamian dostał jedynie wstyd. Ten, który mnie wychował, wkładając w to wiele wysiłku i determinaqi – pomimo poniżeń, jakie musiał znosić – nigdy nie zadbał o to, by połączyła nas mocna więź. A nauczyciel historii nie wsłuchał się dostatecznie głęboko w to, co starałam się mu powiedzieć o swoim życiu, i najzwyczajniej mnie zostawił, uważając naszą znajomość za przelotną.

Nie znajdowałam ani jednego argumentu za sprowadzaniem dziecka na ten świat, który nie zapewnił mi prawdziwego ojca. O wiele lepiej będzie oszczędzić mu cierpień, zanim po raz pierwszy zaczerpnie powietrza.

2

Nazajutrz wstałam wcześnie rano i zarejestrowałam się w przychodni przy Miejskim Szpitalu Ginekologicznym. Odchodząca od głównej ulicy brukowana droga pięła się po stromym zboczu. Po obu stronach uliczki, niewiele szerszej od alejki, stały kramy z jedzeniem i owocami, a przejście było tak wąskie, że motorowery i sanitariusze z noszami musieli lawirować pomiędzy pieszymi.

Zaczął siąpić deszcz, ludzie osłaniali głowy chustkami do nosa i gazetami, a kiedy mżawka przeszła w ulewę, rozbiegli się w poszukiwaniu schronienia. Ale niektórzy, nie zwracając uwagi na deszcz, szli dalej jakby nigdy nic. Popychana i poszturchiwana przez kłębiące się w kolejce kobiety, stałam, ściskając w dłoni formularz rejestracyjny, i patrzyłam na zasnute niebo za bramą i pociemniałą, ponurą ulicę. Straganiarze zapalili migotliwe świeczki, blask żaru w palenisku wydobywał twarze ludzi z półmroku.

Podeszłam do biurka przy ścianie i zaczęłam wypełniać formularz długopisem przymocowanym sznurkiem. Na miejscu wymyśliłam sobie nazwisko i naturalnie nie odważyłam się podać prawdziwego wieku. Jeżeli osiemnastolatka stara się o aborcję, przychodnia powiadamia rodzinę albo łącznika dzielnicowego i sprawca ciąży idzie do więzienia, bo podlega karze sądowej jak za gwałt. W rubryce „wiek" postanowiłam wpisać dwadzieścia jeden lat, co zupełnie nie miało znaczenia, ponieważ z zapadniętą, wymizerowaną twarzą ł tak bardziej przypominałam ducha niż dziewczynę na wydaniu. A z moich oczu dawno zniknęły wszelkie ślady młodości.

Adres i nazwę zakładu pracy też wymyśliłam. Właściwie •wszystko było stekiem kłamstw. Tylko płód w mojej macicy był prawdziwy.

Dopiero kiedy siedziałam na ławce przed gabinetem lekarskim, w pełni uprzytomniłam sobie, jak przezornie postąpiłam, wpisując fałszywe dane. Miałam szczęście, że najpierw poszłam do starego doktora od medycyny ludowej. To poniżające doświadczenie wiele mnie nauczyło.

W szeroko otwartych drzwiach gabinetu wisiała zasłona, kiedyś biała, a obecnie szara ze starości. Jedne kobiety za nią znikały, inne się spoza niej wyłaniały, podczas gdy ich mężczyźni wysiadywali na ławkach w poczekalni lub przemierzali korytarz, paląc papierosy. Za każdym razem, gdy odciągano zasłonę, osoby siedzące w poczekalni, jeśli tylko miały ochotę, mogły dokładnie obejrzeć wnętrze gabinetu. Przez cały czas wszystkie trzy stoły do badania pozostawały zajęte. Kobiety leżały obnażone od pasa w dół, z szeroko rozsuniętymi nogami; parawanów nie było, bo pewnie by przeszkadzały.

Oblałam się rumieńcem na ten widok i ze wzrokiem wbitym w kolana, nerwowo wierciłam się na ławce.

Była prawie jedenasta, kiedy nadeszła moja kolej. Lekarka, wyglądająca na jakieś czterdzieści lat, ściągnęła chirurgiczne rękawiczki i wrzuciła je do pojemnika przy jednym ze stołów, po czym zapytała mnie o powód wizyty, na co obojętnym tonem oznajmiłam, że okres spóźnia mi się o dwa miesiące, więc pomyślałam, że mogłam zajść w ciążę. Kazała mi ściągnąć majtki. Po pobieżnym badaniu oznajmiła, że prawdopodobnie jestem w ciąży, ale nie może tego stwierdzić ostatecznie bez analizy moczu.

– Czy można dzisiaj wykonać tę analizę? – zapytałam.

– Oczywiście. – Zanotowała coś na mojej karcie. – Wróć, jak załatwisz wszystko w laboratorium – rzuciła do mnie opryskliwym tonem.

Wiedziałam, że jeśli zadam kolejne pytanie, zacznie na mnie krzyczeć.

Kiedy uiściłam opłatę za analizę i otrzymałam kartkę z wynikiem testu, na której ku mojej wielkiej uldze wypisano zlecenie na wykonanie zabiegu, wyznaczając termin na popołudnie, wróciłam do gabinetu. Ledwo zdążyłam wejść do poczekalni, gdy z ławki zerwała się młoda kobieta z trwałą ondulaqą.

– Chcieli od ciebie zaświadczenie? – zapytała.

– Nie.

– Szczęściara! Wyglądasz na niewiniątko, a ta jędza lekarka musiała być w dobrym humorze.

Zauważyłam, że ma brwi podkreślone czarną kredką. Takie ładne dziewczyny jak ona, a w dodatku z makijażem, były szczególnie źle traktowane. Powiedziała, że za każdym razem żądają od niej zaświadczenia z zakładu pracy o „wyrażeniu zgody" albo świadectwa ślubu, a coraz trudniej jest znaleźć zakład, który chętnie by wystawił odpowiedni papier. Tymczasem jej chłopak nie chce używać prezerwatywy i miała już trzy skrobanki.

Kiedy gadatliwa dziewczyna wreszcie dała mi spokój, stanęłam przy ścianie i udając, że na kogoś czekam, tak naprawdę studiowałam plakaty o planowaniu rodziny i chorobach przenoszonych drogą płciową. Już nie byłam tamtą wstydliwą dziewczynką, która oglądała ilustracje w Anatomii człowieka.

Deszcz ustał, ale niebo pozostało ciemne i zaciągnięte chmurami. W kolejce do gabinetu zabiegowego, który mieścił się w osobnym jednopiętrowym budynku, czekały trzy pary. Wszystkie kobiety przyprowadziły ze sobą mężczyzn. Nad wejściem wisiała drewniana tablica z napisem: „Towarzyszom płci męskiej wstęp wzbroniony", jednak ten zakaz był zdecydowanie częściej łamany niż przestrzegany.

Zajęłam krzesło możliwie jak najdalej od wszystkich, ale i tak czułam, że patrzą na mnie jak na wybryk natury. Nie sądziłam, by mężczyźni przydawali się do czegokolwiek na tym etapie procedury. Parę minut po mnie weszła do poczekalni młoda dziewczyna o okrągłej twarzy, z krótko obciętymi włosami. Towarzysząca jej nieco starsza dziewczyna wręczyła skierowanie dyżurnej pielęgniarce, osiemnaste-, może dziewiętnastoletniej stażystce, która pomimo smarkatego wieku i krótkiej praktyki już zdążyła nauczyć się chamstwa. Kiedy pucołowata dziewczyna spytała, czy długo będzie czekać na swoją kolej, pielęgniarka zmierzyła ją spod przymrużonych powiek.

– Wracaj na swoje miejsce! – wrzasnęła. – Niech cię o to głowa nie boli. Trzeba się było martwić, zanim dałaś sobie zrobić bachora.

Towarzystwo drugiej kobiety niewiele jej pomogło.

A ja? Co powiem, jeśli zapytają, dlaczego nie przyprowadziłam męża? Inne kobiety mogły wziąć ze sobą jakiegoś krewniaka i udawać, że to mąż, lecz ja nikogo takiego nie miałam. Postanowiłam nakłamać, że przyjechałam na szkolenie, a mąż został w domu. Tak naprawdę nikogo tu nie obchodziło, czy chcesz mieć dziecko, czy nie. Ponieważ istniała konieczność ograniczania liczby ludności, im więcej aborcji, tym lepiej. A jednocześnie ciągle propagowano wysokie standardy moralne i publicznie piętnowano seks pozamałżeński. Polityka państwa stwarzała furtkę pozwalająca na łamanie komunistycznej moralności w chińskim wydaniu.

Do poczekalni dobiegł potworny wrzask, jakby za ścianą zarzynano świnię. Można pomyśleć, że szlachtowano tam ludzi żywcem. Tak się przelękłam, że popuściłam w majtki, ale tyle było mi wolno, jeśli chciałam się powstrzymać od ucieczki.

– Najpierw przyjemność, a potem ból, więc przestań wrzeszczeć! – Tę obraźliwą uwagę słyszało się najczęściej. – Jak masz ochotę płakać, wypłacz się na ramieniu swego chłopa. Rzygać mi się chce, kiedy patrzę na taką dziwkę jak ty!

Tak przemawiała lekarka do swoich pacjentek w trakcie zabiegu; nie dawano narkozy ani żadnych środków znieczulających. Mężczyźni czekający na zewnątrz stawali się kłębkiem nerwów; miłość nagle traciła swą romantyczną otoczkę. Kiedy kobieta z twarzą zalaną łzami, słaniając się, opuszczała gabinet, mężczyzna podbiegał do niej, aby ją podtrzymać. W tym zwykłym geście kryło się największe szczęście, jakie mógł ofiarować kobiecie. Kilka rozszlochanych kobiet leżało na ławkach w ramionach swych mężów.

Pociły mi się dłonie. Może, pomyślałam, istnieje jakiś lepszy sposób na rozstanie się z życiem. I dokładnie w tej samej chwili w drzwiach ukazała się pielęgniarka.

– Yang Ling! – zawołała.

Nikt nie zareagował. Powtórzyła jeszcze raz i wtedy do mnie

dotarło, że to właśnie nazwisko wymyśliłam rano. Zerwałam się z ławki.

– Głucha jesteś? Tędy! – warknęła, kiedy za nią ruszyłam. W gabinecie kazała mi zdjąć buty i wsunąć stopy w sandały, które stały za drzwiami. Były stare i podejrzanie brudne, więc zawahałam się, zanim spełniłam jej polecenie.

Na ławce przy ścianie po lewej stronie zobaczyłam kobietę. Przed chwilą zeszła ze stołu zabiegowego i leżała na brzuchu, obnażona od pasa w dół. Przy biurku siedziały dwie pracownice – lekarki czy pielęgniarki, trudno powiedzieć – i wypisywały karty, odnotowując opłaty za kupione w szpitalu podpaski higieniczne, które, jak twierdziły, były czystsze i bezpieczniejsze od sprzedawanych na ulicy.

– Zdejmij spodnie i połóż się na stole! – poleciła ostrym tonem ta, która liczyła pieniądze.

Trzęsłam się cała, zdejmując spodnie, a kiedy przyszła kolej na majtki, palce miałam tak drętwe, że nie mogłam ich ściągnąć.

– Pospiesz się i nie graj mi tu niewiniątka!

Zsunęłam majtki i popatrzyłam na tę kobietę, która nawet nie raczyła zaszczycić mnie spojrzeniem.

Dopiero kiedy leżałam na stole, zobaczyłam, jaki ten gabinet jest duży. Farba na ścianach i suficie łuszczyła się; zapewne dużo czasu upłynęło od ostatniego remontu. Szyby w trzech oknach były popękane, zupełnie tak samo jak w mojej szkole średniej. I żadnych zasłon, które odgradzałyby gabinet od pozbawionego drzew szpitalnego podwórka. Nie widziałam ani skrawka nieba, ani kawałka chmury. Oślepiało mnie jaskrawe światło lampy fluorescencyjnej zwisającej ze środka sufitu. W sali stały dwa łóżka zabiegowe, drugie akurat było wolne. Oba upstrzone rdzawymi plamami w miejscach, gdzie odprysła emalia. Szpital zbudowano w latach trzydziestych, podczas wojny z Japończykami; zapewne zdążyło się przez niego przewinąć kilka pokoleń kobiet.

– Miałaś już kiedyś zabieg? – zwróciła się do mnie, siadając na stołku, lekarka w masce chirurgicznej, po czym rzuciła mi na brzuch stos instrumentów medycznych owiniętych w bure płótno. Materiał miał ten sam brudnoszary odcień co płachta, którą nakryła mi podbrzusze.

– Nie – odpowiedziałam.

– Rozsuń nogi najszerzej jak możesz.

Każde wypowiadane niecierpliwym tonem polecenie pogłębiało mój strach i zdenerwowanie, gdy leżałam ze wzrokiem wbitym w sufit, zaciskając dłonie na zimnej ramie łóżka. Lekarka rozwinęła pakunek na moim brzuchu, narzędzia uderzyły o siebie ze szczękiem. Nie miałam odwagi spojrzeć na te wszystkie szczypce, skalpele i nożyce chirurgiczne. Przeszło mi przez myśl, że jeszcze nie jest za

późno, aby zerwać się z tego stołu i uciec, że mogę zachować dziecko, nie bacząc na to, co będzie później. Pragnęłam go tak samo, jak tamtego dnia pragnęłam jego ojca, i oddałabym mu ciało i duszę tak, jak oddałam się bez reszty jego ojcu. Łzy moczyły mi włosy na skroniach. Lekarka poprawiła się na stołku, a ja dostrzegłam pod stołem białą emaliowaną kuwetę, w której leżało kilka krwawych strzępków przypominających wieprzową nerkę. A więc tak skończy moje dziecko. Najwyższy czas zeskoczyć z tego stołu i stąd wyjść. Jeszcze nie jest za późno. Jeżeli je zatrzymam, to tak, jakbym trwała przy jego ojcu, przywróciła go do życia. W tej samej chwili wepchnięto mi w pochwę coś zimnego i ostrego. Z głębi mego gardła wydobył się przeraźliwy okrzyk. Włosy miałam mokre od łez. Zacisnęłam zęby, kurczowo trzymając się ramy stołu.

Kiedyś matka mi powiedziała, że w chwilach, gdy czuje, iż zaraz upadnie pod ciężarem kamieni, powtarza myśl przewodniczącego Mao: „Bądźmy zdecydowani, nie bójmy się poświęceń, usuniemy z drogi wszystkie przeszkody i zwyciężymy". Jeśli zaś to nie pomaga, prosi o wsparcie Buddę. I zawsze pokonuje słabość. Ja nie miałam zwyczaju wzywać na pomoc przewodniczącego Mao i nie wiedziałam, jak zwrócić się do Buddy, więc mogłam jedynie zaciskać zęby i trzymać się kurczowo stołu. Lekarka radziła sobie bez asysty pielęgniarki. Wrzucała użyte narzędzia do pojemnika, potem wybierała kolejne ze stosu na moim brzuchu, wsadzała je we mnie i wwiercała się w macicę. Czułam rozpychający, paraliżujący ból, jakby wyrywano mi wnętrzności, krojono je na małe kawałeczki i upychano z powrotem.

Kiedy uprzytomniłam sobie, że żadne wrzaski ani jęki nie umniejszą tortury, zacisnęłam zęby i żaden dźwięk nie wydobył się już z mojej krtani. Lampa fluorescencyjna nad głową zaczęła się kurczyć, aż stała się wirującym punktem, który spadł na mnie ognistą kulą, po czym zapadły ciemności.

Kiedy ponownie otworzyłam oczy, lekarka stała przede mną. Zdążyła zdjąć maskę i okazała się całkiem ładną kobietą. Miała pieprzyk na policzku i wyglądała na jakieś trzydzieści lat. Gdy zdejmowała fartuch, zmieniała się w czyjąś kochającą żonę i matkę. Nie odezwała się słowem, lecz odgadywałam jej myśli. Moja skóra była wilgotna i lepka od czubka głowy po palce stóp, miałam przegryzioną wargę, a dłonie nadal zaciskałam w pięści, chociaż już nie trzymałam się stołu. W sali panował chłód, przeciągi owiewały mnie ze wszystkich stron.

Zsunęłam się ze stołu i włożyłam stopy w sandały. Nie miałam odwagi spojrzeć na dziecko, które właśnie pozbawiłam życia. Uderzyło mnie przeczucie, że nigdy nie będę mieć dzieci, nawet gdybym mogła. Żadne nie zastąpi mi tego, które żyło we mnie przez dwa miesiące.

Lecz dziecko urodzone przez kogoś takiego jak ja byłoby narażone na jeszcze większe cierpienia niż jego matka, a dorastając, musiałoby pokonywać potworne trudności.

Idąc powoli, bez niczyjej pomocy dowlokłam się do ławki. Zwinęłam się w kłębek, zasłaniając rękami podbrzusze.

Pielęgniarka podeszła do drzwi i wywołała następną paqentkę.

– Ta tutaj nie krzyczała ani nie piszczała. Powinnyście wziąć z niej przykład – dodała, zwracając się do wszystkich kobiet w poczekalni.

– Pewnie psychiczna – mruknęła starsza pielęgniarka siedząca przy biurku. – No dalej, każ jej się ubrać i niech sobie idzie. Jeśli ma ochotę udawać, że umiera, równie dobrze może to robić na zewnątrz.

– Pozwól jej poleżeć, dopóki nie wypiszę formularza. Wtedy wyjdzie.

Po trzech, może czterech minutach poczułam, że trzymam w ręce jakąś kartkę, więc usiadłam z wysiłkiem i zaczęłam czytać. „Głębokość macicy: 10. Kosmówka: pozytywna. Ubytek krwi: znaczny. Płód: pozytywny”. Dalej nie doczytałam. Podarłam kartkę na strzępy, podniosłam się z ławki i patrząc przed siebie, upuściłam kawałki papieru na podłogę. Nie czekałam na reakcję personelu. Bez słowa włożyłam majtki i skarpetki, zmieniłam sandały na filcowe buty i opuściłam gabinet zabiegowy, trzymając się ściany.

3

Ciepła woda spływała mi po włosach i obmywała ciało aż po pięty. Nacierałam się kostką mydła, zerkając co rusz na wskaźnik poziomu wody, żeby sprawdzić, ile mi jeszcze zostało. W publicznej łaźni dla kobiet są kabiny z drzwiczkami, spod których widać nogi, a wzdłuż ściany biegnie cementowa półka, gdzie kładzie się rzeczy, żeby nie zamokły.

Za sprawą, jak sądzę, swojej budowy Chinki potrzebują miesiąca na odzyskanie sił po porodzie. Przeważnie większość czasu spędzają w łóżku i dostają bardzo pożywne potrawy. Postępowanie po poronieniu, czy to samoistnym, czy sztucznym, jest podobne; kobieta owija głowę chustką albo nosi ciepłą czapkę, bo przeciągi mogą powodować migreny. Do mycia zębów i płukania ust przez cały miesiąc używa wyłącznie ciepłej wody i nie je niczego zimnego ani surowego, ażeby uniknąć problemów z zębami i dziąsłami. Jeżeli podnosi ciężkie przedmioty, musi się liczyć z bólami w krzyżu i stanami zapalnymi nóg. No i nie wolno jej się w tym czasie kąpać.

Jednak ja nie mogłam sobie pozwolić na przestrzeganie tych zasad i po paru dniach wyszłam z domu, pierwsze kroki kierując do publicznej łaźni.

Nigdy dotąd nie wydałam pieniędzy na prysznic. Kąpiel sprawiła mi tyle samo radości, co przyjmowanie dzień w dzień pożywnego jedzenia z rąk ukochanej osoby. Nie potrafię znaleźć słów, aby opisać spokój, jaki ogarnął mój skołatany umysł; woda spływała po ciele, które wydało mi się piękne, mimo że byłam chuda jak szczapa. Od dawna nie dotykałam własnego ciała, a szczególnie brzucha, któremu nie było dane urosnąć i w którym nic już nie zostało. Przygniatało mnie uczucie pustki.

Podobno mężczyźni kapią się w dużym wspólnym basenie. Dla kobiet przeznaczono dwadzieścia kabin. Kąpielowa, grubaska w podkoszulku i szortach, przez cały czas przechadzała się w kaloszach po oślizgłym korytarzu. Jeżeli zauważyła, że ktoś zbyt długo bierze prysznic, nakazywała opuścić kabinę i włożyć ubranie, bo pod łaźnią zawsze stał tłum kobiet czekających na swoją kolej. Klientkom nie wolno było regulować temperatury wody, bo to należało do zadań kąpielowej. Pod drzwiczkami kabin widniał tylko rząd kobiecych nóg; jedne były zgrabne, inne nie.

W tamtych dniach biegałam do łaźni publicznej, kiedy tylko miałam pieniądze, i czekałam w kolejce, ze zmianą ubrania pod pachą. Woda, spływając po moim ciele, zdawała się zmywać wszystkie złe wspomnienia, które wpadały do odpływu, niesione aż do Jangcy.

4

Latem tamtego roku zdecydowałam się przystąpić do egzaminów wstępnych na uczelnię. Nie byłam przygotowana, ale co tam, postanowiłam zaryzykować. Naturalnie nie zdałam, udało mi się odpowiedzieć zaledwie na mniej więcej połowę pytań w ostatnich dwóch testach. Beznadziejna sprawa, widać było zapisane, że moja noga nigdy nie postanie w sali wykładowej uczelni.

Po oblanym egzaminie zostałam skierowana do dwuletniej szkoły zawodowej przygotowującej do pracy w charakterze pomocnicy księgowej, co w Chinach było zajęciem tylko nieco lepiej płatnym od pracy fizycznej. Szkoła mieściła się w małym miasteczku na północ od rzeki Cialing. Powinnam tam jechać czy nie? Teraz, kiedy zakosztowałam wolności, nie bardzo podobał mi się pomysł, aby przywiązać się do wyznaczonego zawodu, ale z drugiej strony po dwóch latach nauki miałabym pracę za trzydzieści juanów miesięcznie i przynajmniej jako tako zapewniony byt.

Podjęłam decyzję i zgłosiłam się do szkoły dwa tygodnie po rozpoczęciu zajęć.

Dwa lata szybko minęły. Jeden raz, tuż przed chińskim Nowym Rokiem, dostałam list z domu. W środku były pieniądze na podróż. Matka dołączyła krótki liścik, pierwszy, jaki kiedykolwiek do mnie napisała: „Mała Szóstko, przyjedź do domu na Nowy Rok". I nic więcej. Parę niestarannych znaków, a w dodatku ideogram „domu" błędnie namalowany. Pieniądze zatrzymałam, ale nie pojechałam ani nie odpowiedziałam na list.

Po skończeniu szkoły dostałam skierowanie do pracy. W pokoju, który dzieliłam z dwiema dziewczynami, spałam na wąskiej pryczy. Starałam się przebywać jak najwięcej poza miejscem pracy, brałam doraźne zlecenia, chodziłam na posyłki. W końcu złożyłam podanie o urlop na podreperowanie zdrowia w domu. Wyjechałam i samotnie włóczyłam się po kraju; najpierw skierowałam się na północ i dotarłam aż do Szenjang i Tantung, nad granicą z Koreą, stamtąd ruszyłam na południe, odwiedziłam wyspę Hainan i tereny sąsiadujące z Wietnamem, a potem przemieszczałam się wzdłuż biegu Jangcy na wschód, zatrzymując się po drodze w każdym większym mieście. Jechałam, gdzie oczy poniosą, wiodąc życie trampa.

Z rzadka korespondowałam z Drugą Siostrą. W jednym z listów doniosła mi, że Dehua nie żyje. Obudził się w nocy z bólem brzucha i wysoką gorączką. Zabrano go do szpitala i zoperowano na wyrostek. Kiedy otworzono brzuch, okazało się, że ma ostre zapalenie otrzewnej, a operacja przypieczętowała jego los. Nacierpiał się przed śmiercią.

Listy od Drugiej Siostry napawały mnie lękiem, bo były w nich

same złe wiadomości. Napisała, że Duża Siostra wróciła do miasta i zamieszkała z wysokim mężczyzną, z którym ją kiedyś widziałam. Ale przedtem między nią a jej mężem doszło do potwornej kłótni, podczas której oboje chwycili za noże. Córka, śmiertelnie przerażona, próbując ich rozdzielić, została zraniona w policzek. Siostra płakała przez wiele dni, po czym załamała się nerwowo. Wtedy mąż podał ją do sądu, oskarżając o wywołanie awantury, która doprowadziła do oszpecenia córki. Dużą Siostrę skazano na dwa miesiące więzienia. Przez ten czas zdążyła się otrząsnąć i opuściła więzienie w typowym dla siebie bojowym nastroju. Trzeciemu Bratu urodziła się córeczka, a Piąty Brat ożenił się z chłopką.

„Dwa dni temu zmarła Ciocia Czang, a wszystko przez tego jej męża brutala – pisała Druga Siostra. – Pamiętasz ją, prawda? To ta była prostytutka".

Oczywiście, że ją pamiętałam. Druga Siostra ani razu nie zapytała, co robię, i rzadko wspominała o matce i ojcu. Nie musiała. Nie chciałam nic o nich wiedzieć, ale w snach zawsze powracałam do Siedliska Numer Sześć, do tamtego domu na wąskiej uliczce przy alei Strumienia Kotów.

Próg dzielący sień od podwórka zapewne dawno zmurszał. Podwórze porósł mech, a pranie, tak jak zawsze, suszyło się pod okapami po obu stronach. Z podwórza widać było zaciągnięte niebo, ale zarwał się dach nad dużą kuchnią i powstały dwie dziury – nad płytami i nad niszą, w której kiedyś stało kamienne Bóstwo Kuchni. Płyty, zasypane potrzaskanymi dachówkami, cegłami i cementem, nie nadawały się do użytku, ale za to doprowadzono do siedliska bieżącą wodę, więc nie trzeba jej było nosić wiadrami. Wśród sąsiadów pojawiło się wiele nowych twarzy. Kto tylko mógł, ten się wyprowadzał. Ci, których nie było na to stać, zostawali ł patrzyli, jak ich dzieci dorastają, pobierają się i chowają własne potomstwo. Starzy mieszkańcy i ci biedacy, którzy nie mogli sobie pozwolić na lepsze lokum, nadal stanowili grupę trzynastu rodzin.

Moja rodzina zaczęła gotować posiłki na piecyku na węgiel drzewny, ustawionym w sieni. Łysy Czeng, mieszkający dokładnie naprzeciw nas, podlewał ziemię w doniczce i przesiadywał nad nią, mrucząc mantry, aby przekazać swoją energię qi paru pędom czosnku. Zdradził ojcu, że kwiatostany, które się na nich pojawią, zapewnią mu długowieczność.

Na poddaszu nadal stały dwa łóżka, ale zniknęła dzieląca je zasłonka. Jedno łóżko, przykryte słomianą matą, najwyraźniej nie było używane. Na drugim, nakrytym czystym prześcieradłem, ojciec trzymał buteleczki z lekarstwami i radio tranzystorowe. Potrzebował spokoju, nie odpowiadało mu wieczne zamieszanie w siedlisku, nic więc dziwnego, że przeniósł się na poddasze. Na małym stoliku

dosuniętym do łóżka stała filiżanka. Ale nigdzie nie było śladu tytoniu. Czyżby ojciec zerwał ze swym wieloletnim nałogiem?

Czwarta Siostra ponownie wyszła za mąż i zamieszkała u teściów. Jej nowy mąż również był robotnikiem budowlanym.

Wszystkie drzwi domów na bocznych uliczkach przy alei Strumienia Kotów stoją szeroko otwarte przez cały dzień i jeżeli do kogoś przychodzą goście, sąsiedzi gromadzą się przed wejściem, by cieszyć się odmianą w swym monotonnym życiu. Jedynym powodem, dla którego zamyka się drzwi przed wścibskimi sąsiadami, jest nieco lepszy niż zwykle posiłek, ale po zakończeniu jedzenia ponownie się je otwiera.

Kiedy pada, na podwórka wystawia się szafliki i wiadra, aby nałapać deszczówki, której potem używa się do prania i mycia mebli, a na koniec płucze się w niej brudne, przepocone buty i plastikowe sandały.

Rzeka pozostała niezmieniona, podobnie jak pływające po niej statki, wzgórza wzdłuż brzegów i ludzie o twarzach, które wyglądają jak pokryte pleśnią. Nowe pokolenie robotników zastąpiło stare i życie toczy się niezmienionym trybem.

Wewnętrzny głos mi podpowiadał: odetnij się od przeszłości. Spędzałam całe dnie z nosem w książkach, najrozmaitszych książkach, albo pisałam wiersze i opowiadania. Te przyzwoite wysyłałam do czasopism, utrzymując się z niewielkich sum, które za nie dostawałam, „nieodpowiednie" chowałam, by nikt poza mną nie mógł ich przeczytać. Większość moich utworów była niewiele warta, więc je po prostu wyrzucałam.

Przez pewien okres znajdywałam przyjemność w paleniu tanich papierosów i piciu byle jakich alkoholi. W połowie lat osiemdziesiątych poeci i pisarze drugiego obiegu zaczęli się pojawiać na całym południu. Wędrowali z miasta do miasta, nigdzie nie zagrzewając miejsca. Trzymałam się z nimi, próbując wszystkiego, co nowe, poczynając od literatury, a kończąc na stylu życia. W torebce albo w kieszeni spodni nosiłam prezerwatywy, nawet gdy ich nie potrzebowałam, bo sam fakt, że je mam, uświadamiał mi wszechobecność seksu. W moich oczach miłość była mirażem, a małżeństwo i rodzenie dzieci żartem. Postanowiłam nie iść w ślady większości kobiet. Wlewałam w siebie alkohol, jakby to była woda, i chociaż rzadko uderzał mi do głowy, udawałam pijaną w sztok i celowo upijałam innych; nawet mężczyznom zdarzało się przy mnie lądować pod stołem.

Większość koleżanek poznawałam na prywatkach, gdzie tańczyło się wolne tańce. Obcinałyśmy sobie nawzajem włosy i robiłyśmy zwariowane fryzury, zakazane w salonach fryzjerskich. Ubierałyśmy się bardzo prosto, po chłopięcemu, a latem często nosiłyśmy spódnice

na gołe ciało i chodziłyśmy z jednej prywatki na drugą, zarówno do domów naszych przyjaciół, jak i ludzi zupełnie mam nieznanych. Żeby zapewnić sobie spokój i bezpieczeństwo, organizatorzy takich imprez zamykali drzwi na klucz, zaciągali zasłony i gasili światła. Miałam szczęście, że nigdy nie wsadzono mnie do aresztu. Od czasu do czasu policjanci robili naloty na mieszkania, ale przeważnie udawało im się złapać i zamknąć zaledwie parę osób, bo większość zawsze zdążyła uciec przez okna lub tylnym wyjściem. Prędzej czy później znowu trafialiśmy na siebie w tym lub innym mieście.

Cała podziemna awangarda chińska lat osiemdziesiątych oszalała na punkcie zachodniej muzyki. Wybierało się partnera, zarzucało mu ramiona na szyję i kołysząc się w rytmie jakiejś obco brzmiącej piosenki, zapominało na jakiś czas o beznadziei i szykanach. W takich chwilach nawet mnie ponosiła wyobraźnia i wierzyłam, że wreszcie jestem szczęśliwa.

Gdy liryczne tony zastępowała muzyka disco, odpychałam partnera i wpadałam w dziki taneczny trans, nieomal ryjąc podłogę obcasami, jakby kluczem do przetrwania w moim życiu waga-bundy była konieczność wytrząśnięta z siebie całego szaleństwa aż do utraty tchu. Moja twarz szybko straciła młodzieńczy wygląd i blask. Dzięki ulotnym przyjemnościom mogłam się śmiać, ale nie potrafiłam uronić jednej łzy ani nad sobą, ani nad nikim innym.

Którejś nocy wypiłam więcej niż kiedykolwiek przedtem. Alkohol palił mi wnętrzności. Przytłaczało ciasne, przepełnione pomieszczenie. Muzykę mogłam znieść, lecz dusiłam się w gęstym od dymu powietrzu, więc przepychając się pomiędzy splecionymi w tańcu parami, wyszłam na dwór, a za mną podążyła koleżanka, zaniepokojona moim stanem. W słabym świetle latarni opustoszała ulica wyglądała jak śmietnik Chciałam zostać sama, czułam obrzydzenie do ludzi i do siebie samej. Uciekłam, gubiąc koleżankę.

Ruszyłam aleją. Przetoczył się wózek śmieciarza, rozległy się dzwonki ulicznej polewaczki. Zdążyłam przejść parę kroków, przytrzymując się muru, gdy zebrało mi się na wymioty. Z ust chlusnął strumień z gorzkimi drobinami niestrawionego jedzenia. Kiedy wreszcie torsje ustały i mogłam złapać oddech, wyciągnęłam z kieszeni kawałek papieru, aby otrzeć usta. Zobaczyłam odbity na powielaczu wiersz z podziemnego czasopisma.

> Zanim spadło nieszczęście, wszyscy byliśmy dziećmi,
> Dopiero później nauczyliśmy się o tym mówić –
> Krzyk uwiązł w gardle jak rybia ość.
>
> Gnom drży od dudnienia naszych młotów,
> Rozgrzebujemy gruzy w poszukiwaniu nieistniejących uszu

I skandujemy podziękowania, lecz już nikt ich nie słyszy.

Dopiero kiedy przeminęło, poczuliśmy strach
Przed ranami, które nie krwawią; pojawiają się nowe kwestie do
Jeszcze jednej sceny ucieczki, odgrywanej

W kręgu migotliwych świateł. Gdybyśmy wiedzieli, jak przetrwaliśmy,
Jakim cudem, przestalibyśmy krzyczeć i bez ociągania
Wrócili do chwili, gdy spadło nieszczęście.

Chociaż nadal żołądek podchodził mi do gardła, poczułam się znacznie lepiej. Ten wiersz musiał zostać stworzony z myślą o mnie, bo wiele razy uciekałam przed nieszczęściem. Napisał go ktoś nazwiskiem Czao. Pomyślałam, że być może los nas jakoś ze sobą zetknie, że spotkam go albo kogoś mu podobnego, kogoś, kto potrafi zrozumieć, co czuję. Mogłabym zostać oddaną przyjaciółką tego człowieka, a może nawet się w nim zakochać. Płomień miłości miałby szansę zapłonąć w moim sercu po raz drugi. A wtedy, być może, moje własne pisanie zaspokoiłoby głód, który noszę w duszy od dnia narodzin.

XIX

1

Od lat byłam w drodze, a teraz nadszedł czas, by wyruszyć w jeszcze dalszą podróż. Zdecydowałam się odwiedzić rodzinny dom. Był początek 1989 roku.

Panowałam nad nerwami, dopóki nie znalazłam się w pobliżu bramy Siedliska Numer Sześć. Jak mnie przyjmą? Ojciec siedział przy małym piecyku w sieni, zakutany w kilka warstw marynarek i kurtek, z dłońmi wsuniętymi w rękawy. Siedział twarzą do wejścia i chociaż całkiem stracił wzrok, wyczuł mą obecność.

– Tato! – powiedziałam, a on się uśmiechnął.

Z pokoju wyszła matka. Od dnia mojej ucieczki jeszcze bardziej się przygarbiła i znacznie postarzała.

– Po co przyjechałaś? Dziwię się, że nie zapomniałaś jeszcze swojego domu. – Jej słowa raniły mi uszy, ale z wyrazu twarzy poznałam, że mój widok nie tylko ją zaskoczył, ale i ucieszył.

Postawiłam na podłodze płócienną walizkę i rozejrzałam się wokół. Wszystko było tak, jak sobie wyobrażałam; nie spodziewałam się tylko, że rodzice aż tak bardzo się posuną i osłabną. Poza tym nic nowego czy niezwykłego, no i ten całkowity brak ciepła. Przyjechałam do domu wyłącznie po to, aby postawić kropkę na końcu rozdziału mego życia, a chciałam to uczynić w miejscu, gdzie spędziłam większość swoich lat. Czy miało to ścisły związek z rodzicami – nie wiedziałam.

Wyjadę stąd pojutrze, a może nawet jutro.

Kiedy skończyliśmy kolację, na dworze zapadły czarne jak smoła ciemności. Wyjrzałam przez okno, ale choć wyciągałam szyję i wytężałam wzrok, nie dostrzegłam nawet zarysu nagich konarów rajskiej jabłoni. Rozebrałam się i weszłam do łóżka, a matka w tym czasie, mrucząc cicho, biła pokłony przed posążkiem Buddy ustawionym na biurku z pięcioma szufladami. Za statuetką, nie większą od kubka na wodę, stała kadzielnica. Matka, obecnie bardziej religijna niż kiedykolwiek przedtem, „zaprosiła” Buddę do domu.

Weszła do łóżka i położyła się tak blisko mnie, że odruchowo się odsunęłam. Pociągnęła za kołdrę, żeby się nakryć. Na ścianie nad łóżkiem wisiała półka ze stertami poskładanych letnich ubrań i jakimiś tobołkami. Niezbyt wygodne miejsce do spania, skoro przy odrobinie nieuwagi można uderzyć się w głowę.

– Czy tych rzeczy nie można powkładać do kufrów pod łóżkiem? – nie wytrzymałam.

– Ot, widzisz, jak mało wiesz – odparła. – Trzymam to wszystko pod ręką, żeby można było szybko uciec.

Zanim zdążyłam zapytać, dlaczego niby miałaby uciekać,

wyjaśniła, że przygotowała się na wypadek pożaru. Najpierw wyprowadzi ojca, a potem wróci po tobołki.

Ma zaledwie sześćdziesiąt dwa lata, myślałam, nasłuchując jej ciężkiego oddechu, ale umysł wydaje się starszy.

Opadały mi powieki. Jakie to dziwne, pomyślałam, że ogarnia mnie taka senność w miejscu, gdzie zazwyczaj nie potrafiłam zasnąć bez tabletek.

Matka zgasiła lampę. Powiedziała, że nie dostała emerytury w tym miesiącu. Kilka stoczni przestało wypłacać pensje pracownikom, a emeryci mają szczęście, jeśli otrzymają połowę tego, co im się należy. Pomimo mrozów kilkakrotnie chodziła do stoczni, ale niczego nie wskórała. Przy bramie kilkuset emerytów urządziło strajk okupacyjny, ale nie dołączyła do nich, bo na tym zimnie obawiała się o swoje słabe serce. Strajkujący domagali się wypłaty emerytury, grożąc, że zablokują dok przy Niebiańskich Wrotach.

– Oni wszyscy są leciwi i parę dni na dworze w taką pogodę wystarczy, żeby śmierć zajrzała im w oczy. – Matka zdawała się mruczeć do siebie. – Teraz nawet wyprawa na rynek Przy Kamiennym Moście bardzo mnie męczy.

Dokładnie wiedziałam, o co jej chodzi.

– Chce mi się spać – powiedziałam. – Jutro dam ci trochę pieniędzy.

Miała chęć jeszcze coś dodać, ale zrezygnowała. Wyczułam, że całą tą przemową daje mi jasno do zrozumienia, iż moim obowiązkiem jest zadbać o rodzinę. Ani słowa na temat mojego życia, żadnych pytań o to, co robię. Jak zawsze obchodziłam ją tyle co zeszłoroczny śnieg. Właściwie, co bym jej odpowiedziała, jeśliby zapytała? Gdyby usłyszała, że jej najmłodsza córka utrzymuje się z pisania wierszy i opowiadań, ani by nie uwierzyła, ani nie potrafiłaby tego zrozumieć. Miałam prawie dwadzieścia siedem lat, a ona nie zainteresowała się, czy jest w moim życiu jakiś mężczyzna, nie mówiąc już o ewentualnym zamążpójściu. Prawdopodobnie uznała, że tej córki lepiej nie pytać o nic, co dotyczy jej życia.

2

Rano obudził mnie drażniący nozdrza, ostry zapach taniego kadzidła. Hołd dla Buddy. Strużka białego dymu wiła się nad kadzielnicą. Ojciec, który zawsze wcześnie wstawał, zszedł po schodach, macając ścianę, i zatrzymał się przede mną. W ręce miał miseczkę z jakimś ciemnym lekarstwem. Nie widział mnie, ale odgadł, że stoję w drzwiach.

Matka wróciła z rynku. Wyjęła z kosza kilka brukwi, kilkanaście dekagramów wieprzowiny oraz pęk cebuli i ułożyła zakupy na bambusowym stole przy drzwiach. Podeszłam, żeby pomóc jej obierać cebulę, i wręczyłam trochę pieniędzy. Przeliczyła je z namaszczeniem, po czym oddała mi dwa banknoty. Nie protestowałam. Powiedziałam, że przyślę więcej, kiedy będę miała.

– Przynajmniej jeden kogut w kurniku wie, jak należy piać - podsumowała. -Zawsze wiedziałam, że będziesz podporą rodziny.

– Wyjeżdżam jutro z samego rana – oznajmiłam, zupełnie ją tym zaskakując.

Uśmiech zgasł na jej twarzy.

– Gdybyś mi powiedziała wczoraj wieczorem, kupiłabym więcej jedzenia. Dlaczego nie uprzedziłaś mnie wcześniej?

Ojciec podniósł wachlarz leżący koło piecyka i zaczął wachlować żar w palenisku. Matka podeszła i wyrwała mu go z ręki.

– Co ty wyprawiasz?! Ogień dobrze się pali! Z tym starym, ślepym głupcem na głowie moje życie jest jeszcze trudniejsze!

Zła na mnie, wyładowała gniew na ojcu. Dobrze jest być dorosłą, chociażby dlatego, że matka nie może się już na mnie wyżywać, kiedy jej przyjdzie ochota.

Przez cały dzień aż do wieczora atmosfera w domu była nie do zniesienia. W porze kolacji zjawił się Piąty Brat. Bardzo wychudł, przez co wydawał się o połowę mniejszy.

– O, wróciłaś! – To wszystko, co powiedział na mój widok. Nawet on znaczył dla mnie niewiele więcej niż obcy. Z resztą rodzeństwa mogłoby być jeszcze gorzej. Moja decyzja, by jutro wyjechać, okazała się słuszna. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie zajdzie słońce i dzień dobiegnie końca.

Matka umyła nogi, ale nie weszła do łóżka. Zegar ścienny wskazywał dwunastą, całe siedlisko pogrążyło się we śnie, a ona przetrząsała kufry i szuflady biurka. Wyraźnie czegoś szukała, ale nie mogła znaleźć. Podejrzewałam, że zawodziła ją pamięć.

– Może to, czego szukasz, jest w którymś z tobołków nad moją głową – zasugerowałam, leżąc pod kołdrą, poruszona jej zgnębioną miną.

Niecierpliwym gestem pacnęła się w czoło, wdrapała na łóżko i zdjęła z półki jedno z zawiniątek.

Znużona i senna, przymknęłam powieki.

Uniosłam je jednak, kiedy mnie zawołała, i zobaczyłam, że trzyma harmonijkę owiniętą w niebieski niemowlęcy czepeczek. Widziałam już kiedyś te rzeczy, które teraz mi podała.

– Nigdy więcej go nie zobaczysz.

Kiedy to mówiła, wyczułam w jej głosie nutkę satysfakcji, jak gdyby wiedziała, że trafiła mnie w najczulszy punkt.

– Niby dlaczego? – Nie miałam wątpliwości, kogo ma na myśli.

– Umarł na raka płuc. Przed śmiercią chciał jeszcze raz zobaczyć się z tobą i ze mną, więc jego stara matka poszła szukać Drugiej Siostry. W końcu ją odnalazła, ale ona nigdy mi o tym nie powiedziała. A nawet gdyby to zrobiła, to i tak tu ciebie nie było. - Matka wydawała się bardzo pewna siebie. – Zresztą jakbyś była, to przecież byś do niego nie poszła.

– Nie było mnie – wymamrotałam.

Gdzie ja, jego dwudziestoczteroletnia córka, byłam trzy lata temu, dokładnie dwudziestego kwietnia 1986 roku, kiedy mój naturalny ojciec wydał ostatnie tchnienie? Prawdopodobnie włóczyłam się z przyjaciółmi, pijąc, śmiejąc się i rzucając w ramiona jakiemuś facetowi, któremu się wydawało, że jest we mnie zakochany. Kto wie? Nie potrafiłam sobie przypomnieć, chociaż coś jakby tłukło mi się po głowie.

– Poszłabym, gdyby umierał – stwierdziłam oschle, siadając na łóżku.

Nie widziałam jej twarzy, mimo że była bardzo blisko, ale odniosłam wrażenie, że skrzywiła się ironicznie. A potem podniosła rękę i otarła policzek. Chyba nie płakała?

Druga Siostra nie wspomniała mi o tym ani słowem w swoich listach i wiedziałam, że nigdy nie poruszy ze mną tego tematu. Matka mojego naturalnego ojca, moja babka, odbyła długie poszukiwania, bo jej syn chciał mnie zobaczyć przed śmiercią. I wtedy usłyszała: „Nie chcę cię widzieć w moim domu i nie szukaj mojej małej siostry. Ona nie chce mieć z tobą nic wspólnego”.

Druga Siostra strzegłaby tej tajemnicy tak samo, jak upilnowała innego sekretu: miesiąc w miesiąc przez te wszystkie lata osiemnaście juanów alimentów przychodziło do niej.

Kiedy już po fakcie matka dowiedziała się o jego śmierci, nie poszła z pretensjami do Drugiej Siostry, bo poczucie winy kazało jej przybrać pokorną postawę wobec dzieci i musiała zdusić w sobie smutek i żal.

Wyznała mi, że przydarzyło się jej coś dziwnego. Przez kilka nocy z rzędu miała dziwny sen: mój naturalny ojciec płakał jak dziecko i

wyrzucał jej, że nie przychodzi się z nim zobaczyć. Nigdy go takiego nie widziała w swoich snach, więc przeczuła, że musiał umrzeć.

Żaden szpital nie chciał go przyjąć, bo był w ostatnim stadium raka płuc, a fabryka plastików, w której pracował, nie miała pieniędzy na pokrycie kosztów hospitalizacji. Jego rodzina nosiła go na noszach od szpitala do szpitala, aż w końcu w jakiejś wiejskiej lecznicy z kilkoma łóżkami wspaniałomyślnie pozwolono mu dokonać żywota.

Żona przez jakiś czas przy nim czuwała, ale potem go zostawiła, bo miała tego dość. Nawet nie towarzyszyła mu w ostatniej drodze do krematorium; prawdopodobnie wiedziała, jakie miejsce zajmowała w jego sercu.

– Umarł z twoim i moim imieniem na ustach, błagając swoją matkę, żeby nas sprowadziła.

Zamilkła na chwilę, a potem powiedziała, że on zawsze odmawiał sobie odrobiny dobrego jedzenia, nawet czegoś tak małego jak jajko, co niewątpliwie przyspieszyło zgon, bo był wątłej budowy, a pracował przy azbeście.

Moja babka, płacząc, uczepiła się ręki matki. „Umarł, mając zaledwie czterdzieści dziewięć lat – szlochała. – A ja, stara kobieta, ciągle żyję. I gdzie tu jest sprawiedliwość?”

3

Zapewne właśnie wtedy w naszym domu pojawił się posążek Buddy. Matka przestała sypiać z ojcem w jednym łóżku i bardzo możliwe, że każdej nocy budziła się z płaczem. Ale też zaczęła lepiej dbać o męża, który był od niej o dziesięć lat starszy. Z samego rana szła na poddasze, wynosiła nocnik i podawała mu filiżankę herbaty. Wyrzuciła fajkę, bo chciała, żeby zaprzestał palenia ze względu na bronchit. Kiedy chorował, zanosiła posiłki na górę i karmiła go, a także spała przy nim, żeby mieć na niego oko, gdyby przypadkiem zachłysnął się flegmą. Wolała po nim odejść z tego świata, nawet gdyby nie miał się nią kto później zaopiekować, bo gdyby umarła pierwsza i zostawiła go niewidomego i samotnego jak palec, jak dałby radę przeżyć?

Nie kochała męża, ale otoczyła go opieką, jakiej nigdy nie zaznał od niej mój naturalny ojciec. Nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć ze swej samotności i tego, co nosiła w sercu, nikogo oprócz Buddy. Z nikim nie mogła szczerze porozmawiać. Nawet w tej chwili jej głos brzmiał tak cicho, że ledwo ją słyszałam. Ojciec mógł sobie być ślepy, ale słuch miał dobry, a deski były cienkie; uważała, że dość mu już krzywd wyrządziła jak na jedno życie.

Zadrżałam, gdy zimna harmonijka spoczęła w mojej dłoni. Powoli metal ogrzał się pod kołdrą. Czy jestem nieczuła? A może nawet zatwardziała? Sięgnęłam po niebieski czepeczek z atłasowym pokryciem i flanelową podszewką, po obu stronach nadgryziony przez mole i myszy. Przymknęłam oczy i usiłowałam sobie wyobrazić tamto spotkanie, gdy mój naturalny ojciec wyjął z kieszeni czapeczkę i włożył mi ją na głowę. „Zaziębi się na tym wietrze” – powiedział do matki. Widzieliśmy się jeden jedyny raz, kiedy skończyłam osiemnaście lat, i stanęły mi przed oczami sceny z tamtego spotkania, kiedy starał się wkraść w moje łaski, przekonać mnie do siebie.

Wtedy nie zwracałam zbyt dużej uwagi na to, co mówił, kiedy staliśmy razem w najwyższym punkcie miasta, w parku Loquat, ale teraz przypomniało mi się, jak dobitnie akcentował każde słowo.

Nie powinnaś, mówił, wyjawiać nikomu swego pochodzenia, a już na pewno nie mów o nim mężczyźnie, którego poślubisz. Wzbudzisz pogardę zarówno w nim, jak i w jego rodzicach, i będziesz ogromnie cierpieć.

Powiedział, że chodząc za mną, nieraz widział, jak ludzie się na mnie wyżywają, i nienawidził siebie za to, że nie może przyjść z pomocą.

Musisz mi wybaczyć, mówił, że nie wypełniłem względem ciebie ojcowskich obowiązków. Wybacz mi i swojej matce. Traktuj ją lepiej,

przynajmniej ze względu na to, co musiała z twojego powodu znosić.

Dopiero teraz, kiedy wspominam nasze spotkanie, widzę, jaki niezwykły był tamten wieczór, rozświetlony gejzerami fajerwerków. Wtedy myślałam, że odbywa się jakiś festyn, i zastanawiałam się, co też się w mieście świętuje. Teraz wyliczyłam, że musiało to być Święto Narodowe. Co takiego się ze mną działo, że je przeoczyłam? Żeby się upewnić, poszłam do biblioteki i sprawdziłam, że dwudziesty trzeci dzień ósmego miesiąca, dzień, który moja matka i naturalny ojciec zapisali jako datę moich urodzin, tamtego roku wypadał pierwszego października, czyli w trzydziestą pierwszą rocznicę powstania Chińskiej Republiki Ludowej. W Wielkiej Sali Ludowej przywódca narodu wydał wielki bankiet dla przybyłych dygnitarzy, pośród których był książę Kambodży, Norodom Sihanouk, wraz z małżonką i towarzysz Hoang Van Ho-an, przywódca prochińskiej frakcji Wietnamskiej Partii Komunistycznej na wygnaniu. Na imperialnym dworze nadal przyjmowano hołdy od wasali z satelickich krajów.

Wertowałam oprawione roczniki gazet. Papier, pożółkły ze starości, kruszył się pod mymi drżącymi palcami, kiedy dotarłam do gazety z dwudziestego pierwszego września 1962 roku, daty moich narodzin. To był piątek, dwudziesty trzeci dzień ósmego miesiąca księżycowego w roku Tygrysa. Tematem dnia były ogólnokrajowe demonstracje, potępiające agresję amerykańskich imperialistów, i radość z zestrzelenia amerykańskiego samolotu szpiegowskiego U-2 na usługach Czang Kaj-szeka. Sam przewodniczący Mao przyjął bohaterów powietrznych. Były tam również inne optymistyczne wiadomości: w prowincji Yunnan wyhodowano uszlachetniony gatunek tytoniu, z Ciangsi donoszono o rekordowych zbiorach, moja rodzinna prowincja, Syczuan, dostarczyła ponad dwadzieścia pięć tysięcy wołów pociągowych do miejsc, gdzie ich brakowało, zbiory ryżu w Kuangsi przekroczyły najśmielsze oczekiwania, i tak dalej, i tak dalej. Im bliżej klęski głodu, tym bardziej optymistyczne wiadomości, tym większy dostatek. Takie gazety są nieocenioną skarbnicą wiedzy. Przeglądanie starych numerów jest najlepszym sposobem na zrozumienie własnego kraju i jego historii.

Na dworze pociemniało; fabryka papierosów wypluła z hukiem chmurę pary. Nie mogłam zasnąć, więc wstałam z łóżka. Matka wyjęła z jednego z tobołków równiutko poskładany niebieski żakiet w kwiatki.

– Przymierz – poleciła.

Poznałam materiał, który mój naturalny ojciec kupił dla mnie dziewięć lat temu. Matka uszyła żakiet, który można narzucić na waciak.

Włożyłam go, stojąc przy łóżku, i z namaszczeniem, jeden po drugim, zapinałam guziki. Matka obserwowała każdy mój ruch. Gdyby

w tamtej chwili poprosiła: „Mała Szóstko, zostań na parę dni”, zmieniłabym plany. Ale nie zrobiła tego, przez co moje postanowienie, by z rana wyjechać, jeszcze bardziej się umocniło.

Powiedziałam matce, by wróciła do łóżka. Kiedy mnie usłuchała, wyciągnęłam się obok niej w ubraniu i zgasiłam światło.

Oczy miała zamknięte, oddychała głęboko i równo, ale wiedziałam, że nie śpi.

O świcie rozległy się syreny na rzece. Ich zawodzenie niosło się do połowy wysokości wzgórza i przypominało próbę głosu, kiedy śpiewak powtarza w kółko ten sam ton, dopóki nie zaśpiewa go czysto. Podniosłam się z łóżka i włożyłam buty.

– Mała Szóstko – odezwała się cicho matka. – Zawsze wiedziałam, że nie zagrzejesz tu miejsca, że nie jesteś jedną z nas. Jedź, jeśli chcesz. Nie będę cię zatrzymywać, mam wobec ciebie ogromny dług. Odnajdę spokój dopiero, kiedy któregoś dnia przestaniesz mnie o wszystko obwiniać.

Wyjęła spod poduszki zawiniątko z chusteczki do nosa. Wewnątrz był zwitek banknotów, niektóre nowe, inne pogniecione i brudne, same niskie nominały.

– To pięćset juanów, które po cichu odłożył dla ciebie przez lata. Krótko przed śmiercią poprosił twoją babkę, żeby dopilnowała, abyś je dostała na posag. – Zauważyła moje ściągnięte brwi. -Weź je! – poleciła szorstko, prawdopodobnie nie chcąc słyszeć, dlaczego nie planuję zamążpójścia. Nie wysłuchałaby mnie, nawet gdybym spróbowała cokolwiek wyjaśnić.

Poranna mgła pochłaniała po kolei rzędy chałup wyrastających tarasowo ze wzgórza.

Z walizką w ręce zeszłam na brzeg rzeki i wtedy nagle mgła opadła, jakby chciała mi ułatwić wejście na prom, który zawiózł mnie na drugą stronę, gdzie wspięłam się po kamiennych stopniach aż do doku przy Niebiańskich Wrotach. To był pierwszy widok, jaki ujrzała matka, kiedy płynąc w dół rzeki ze swej rodzinnej wsi, dotarła do Czungcing czterdzieści sześć lat temu. Teraz rzeka była cicha, jakby wytłumiona.

A więc nawet kiedy osiągnęłam pełnoletność i on nie miał już obowiązku przysyłać osiemnastu juanów alimentów, nadal odkładał dla mnie pieniądze, mimo że uciekłam z jego życia. Kiedy zabroniłam mu za sobą chodzić, musiał poczuć ogromną pustkę. Na mojej osobie skupiły się wszystkie jego emocje. A ja? Ja nie potrafiłam się nawet przemóc, ażeby nazwać go ojcem. Zła na siebie za taki sentymentalizm, czym prędzej wyparłam go z myśli, bo nie chciałam oglądać się wstecz.

Tymczasem zupełnie niespodziewanie oczy same mi zaszły łzami.

Nadaremnie próbowałam je powstrzymać, płynęły strumieniami po policzkach, a pierś rozsadzał taki ból, że oparłam się o ścianę i osunęłam po niej na kamienne stopnie.

4

W lutym 1989 roku wsiadłam do pociągu i pojechałam do Pekinu na studia w Akademii Literatury imienia Lu Xuna. W marcu na terenie uczelnianych kampusów odbyło się wiele mniej lub bardziej licznych wieców, na których studenci debatowali nad kierunkiem, jaki powinien obrać kraj w sytuacji, gdy socjalizm w chińskim wydaniu okazał się jedną wielką hipokryzją. W kwietniu pekińscy studenci wyszli na ulice i demonstrowali przeciw korupcji wśród decydentów oraz ich dzieci, a także domagali się demokracji i wolności słowa. Hasła i pieśni rozbrzmiewały i milkły pod transparentami i sztandarami; podekscytowany tłum wypełniał ulice.

Dołączyłam do demonstrantów, którzy składali wieniec na cześć niedawno zmarłego przywódcy reformatorskiej frakcji Partii Komunistycznej.

Moje myśli powędrowały do Czungcing. Pojechałam tam specjalnie na grób mojego naturalnego ojca. Jego prochy pochowano pod stertą kamieni na odległym, porośniętym chwastami wzgórzu. Żadnego nagrobka, tylko mały kopczyk pośród wyschniętych powojów i łodyg w pobliżu rowu, w którym rosły ziemniaki i sorgo.

Najwyraźniej jego żona i dzieci także postanowiły wymazać go z pamięci. Przez całe wspólne życie co miesiąc pozbawiał ich osiemnastu juanów na rzecz swojej nieślubnej córki. Kto nie miałby pretensji o takie pieniądze? Sercem nigdy nie był przy rodzinie, chociaż zaharowywał się, aby wypełniać obowiązki męża i ojca.

Czy moi dwaj przyrodni bracia zapytają kiedykolwiek o swą starszą siostrę? Bardzo możliwe, że nigdy się nie spotkamy.

Ludzie wypełniali całą szeroką drogę i obie ścieżki dla pieszych; obsiedli nawet konary drzew i mury. Demonstranci przecięli główną arterię i szli ulicą Czangan, gdzie dołączyli do nich profesorowie uczelni, dziennikarze i wydawcy gazet. Na jednym z transparentów widniał napis: „Dłużej nie będziemy kłamać". To hasło przemawiało do mnie najsilniej.

Wszyscy ci ludzie, głosy skandujące unisono, czyste niebieskie niebo nad placem Tiananmen, uświęconym miejscem, które już jako mała dziewczynka widziałam w marzeniach, rozgorączkowany wielomilionowy tłum, gotowy poświęcić się walce o prawo do mówienia prawdy i o równe traktowanie wszystkich ludzi. Domagano się zmiany powtarzającego się cyklicznie losu kolejnych udręczonych pokoleń. Maszerujący weszli na plac Tiananmen. Moje serce zabiło szybciej, gdy zabrzmiały podniosłe tony Międzynarodówki.

Oczyma duszy zobaczyłam małą dziewczynkę w górzystym mieście na południu Chin, jak biegnie ile sił wzdłuż Jangcy w szarych

strugach deszczu. To ja w wieku pięciu lat. Biegnąc, myślałam, że choć nie wiem dokładnie, gdzie jestem, to jeśli będę podążać zgodnie z prądem rzeki, prędzej czy później znajdę stocznię, w której matka pracuje jako tragarz. Powiem jej, że na Piątego Brata najechała kolejka, i będę ją błagać, aby wróciła do domu go ratować. Deszcz przeszedł w ulewę, podmokłe nadbrzeże zmieniło się w grzęzawisko. Potknęłam się i upadłam, ale zaraz się pozbierałam i pobiegłam dalej.

W tej samej chwili znad wzburzonej rzeki wiatr przywiał dźwięki harmonijki ustnej, obce, a zarazem takie znajome. Były tak samo wyraźne jak wtedy, gdy usłyszałam je po raz pierwszy, jeszcze w łonie matki. Uśmiech wypłynął na moją mokrą od deszczu twarz.

Podziękowania

Toby Eady, sprawiłeś, że się otworzyłam i ujawniłam poprzez pisarstwo, co pozwoliło mi się zaprzyjaźnić z moim dawnym „ja”.

Irenę Andreae, byłaś przy mnie zawsze, kiedy cię potrzebowałam.

Alexandro Pringle, Yictorio Hobbs i Jessico Woolard, dziękuję wam za to, że nauczyłyście mnie cierpliwości.

Yindi, pozwoliłaś mi wrócić do domu w moim ojczystym języku.

Henry Zhao, dzięki tobie moje rany w końcu się zasklepiły.

Hua, Ming, Jinang i Lin, chroniliście mnie i pocieszaliście, kiedy doszło do masakry na placu Tiananmen, teraz razem możemy obejrzeć się wstecz, zdumieni, jak nam się udało to wszystko przetrwać. Wam zawdzięczam, że jestem tym, kim jestem.

***